

Elsebeth Egholm



**UKRYTE
WADY**

Replika

Elsebeth Egholm

Ukryte wady

Na pamiątkę Runę

1.

Słońce świeciło nad rzeką Arhus, a w powietrzu czuło się późne lato. W kwaciarni na rogu przy supermarkecie Magasin, panował spory ruch. Rodziny z małymi dziećmi i grupy nastolatków zaczęły pomału zaludniać ulicę Immervad, żeby zjeść pierwszego tego dnia loda. Wszystko wydawało się bardzo normalne. Niezwyczajnie zwyczajne, jak dotąd. Gdyby się to wszystko nie wydarzyło, byłby to pewnie bardzo ładny dzień.

Mniej więcej o tym właśnie myślała Dicte, kiedy zauważyła dziecko. Czy ściślej mówiąc, kiedy usłyszała ten dźwięk, bo on dobiegł ją pierwszy. Szorstki dźwięk plastiku przesuwającego się po kamieniach. Nie miała pojęcia, dlaczego to właśnie ona go usłyszała. Może gościom w ogrzewanym gazem ogródku kawiarnianym pogorszył się słuch po letnich koncertach pod gołym niebem? A może po prostu po czterdziestce wyostrzają się zmysły?

Chwilę wcześniej, zanim zobaczyła dziecko, siedziała razem z przyjaciółkami - Idą Marie i Anne. Ech, jeszcze to ich urodzinowe przyjęcie-niespodzianka, przez które zrobiła się czerwona jak burak i niezdarnie próbowała całą sytuację obrócić w żart... Było to dość trudne, przede wszystkim dlatego, że ciężarna Ida Marie podniosła się z miejsca, prezentując swój wielki brzuch, i przed całą kawiarnią oraz wszystkimi przechodniami, którzy mieli ochotę słuchać, odśpiewała po szwedzku „Sto lat!”. Wymachiwała w dodatku papierową flagą Szwecji, co wywołało burzliwe oklaski.

Dicte miała wrażenie, że wszystkie oczy skierowały się w ich stronę. Nie byłoby może jeszcze tak źle, gdyby nie prezent, który Ida Marie i Anne uroczyście jej wręczyły.

-Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, powodzenia w załatwianiu spraw związanych z nowym domem i z rozwodem - odklepała Anne, jakby odtwarzała z głowy listę zakupów. Anne nigdy nie była zbyt spontaniczna, więc na pewno nauczyła się swojej małej przemowy na pamięć. - Dałyśmy z siebie wszystko, żeby znaleźć prezent praktyczny, który zapewni ci miłe chwile...

- Willę? - zdziwiła się Ida Marie, której matka była Szwedką i dlatego czasami miała problemy ze zrozumieniem duńskiego. - Dicte dopiero co kupiła dom - powiedziała i wyciągnęła z torby nowoczesny aparat, którego wszyscy jej zazdrościli.

Anne zignorowała ją.

- Nie myśl, że było łatwo lub tanio. Miałyśmy kilku doradców: psychologów, gospodarzy programów telewizyjnych, uczestników Wyprawy Robinson i redaktorów „Kącika złamanych serc”. Każdy miał swój wkład. I rezultat, jeśli mogę tak się wyrazić, po prostu chwyta za serce.

- Chwycić to trzeba raczej jego - poprawiła ją grzecznie Ida Marie, podczas gdy Anne, przedrzeźniając prowadzącego „Koło Fortuny”, zwróciła się do Dicte:

- Kategoria: rzecz.

Podczas gdy one wyciągały podłużny przedmiot zawinięty w czarną bibułę i przewiązany ciemnozieloną wstążką, przed oczami przeleciały jej wszystkie poprzednie imprezy urodzinowe. Wspomnienia skumulowały się w jednym irytującym określeniu: „Było miło”, bo tak naprawdę bardzo za tymi uroczystościami tęskniła. Jak za rodziną. Jak za Torstenem, niech go diabli! Musiała przyznać, że Torsten był niezastąpiony w

organizowaniu urodzin. Kawa i bułeczki do łóżka, świece na stoliku, seks ze specjalnymi „efektami Dicte”, jak je nazywał. Wieczorem - kolacja dla paru najbliższych wspólnych przyjaciół, którzy później, po rozwodzie, stanęli po jego stronie. I to nie dlatego, że on miał rację, bo wszyscy wiedzieli, że nie miał, ale dlatego, że podczas imprez był duszą towarzystwa i czasami można go było zobaczyć w telewizji. A przynajmniej ona tak to sobie tłumaczyła.

Przeprowadziła się z powrotem do Arhus, gdzie kiedyś studiowała, jak zresztą połowa kopenhazań. Miała zamiar zacząć wszystko od początku. Odnowić kontakty ze starymi przyjaciółmi i znaleźć nowych, żeby mieć oparcie nie tylko w Rose. Nastoletnie córki nie należą do najsilniej przywiązujących się osób na świecie.

Podczas gdy ona całkowicie pochłonięta była myślami, dziewczyny spierały się o to, czy nie powinny zawęzić kategorii do narzędzia, urządzenia, środka pomocy albo jeszcze czegoś innego. Anne zaproponowała artykuły sanitarne - na równi ze szczoteczką do zębów albo wacikami.

- No, rozpakuj wreszcie - niecierpliwie dyrygowała Ida Marie i wycelowała w nią aparat. - Napięcie rośnie...

Sądząc po spojrzeniach otaczających ich ludzi, nie były jedynymi, które na to czekały.

Dicte popatrzyła na zapakowany prezent i odniosła wrażenie, że on też na nią spojrzał. Dokuczał jej. Wyobraziła sobie czarne pudełko, z którego w momencie, w którym je otworzy, wyskoczy kłown na sprężynie i znokautuje ją rękawicą bokserską. Mimo to rozwiązała wstążkę. Pomału rozpakowała prezent. Trzymała w ręku dziwny przedmiot, bezskutecznie

próbując odgadnąć, do czego może służyć. Ida Marie pstrykała zdjęcia jak profesjonalistka.

Przedmiot był jaskrawo różowy, pokryty czerwonymi cętkami - Dicte odgadła, że kolor wybrała Ida Marie. Poza tym był z plastiku i miał podłużny kształt przypominający raketę.

- Cokolwiek by to nie było, na pewno jest poręczne - powiedziała poddenerwowana.

Anne, Ida Marie i ludzie przy sąsiednich stolikach zachichotali. Dicte zaczęła dokładniej przyglądać się prezentowi. Odwróciła go do góry dnem i przekręciła dolną jego część. Bez żadnego ostrzeżenia „potwór” zaczął wibrować tak mocno, że przestraszona upuściła go na stół.

W pierwszej chwili (gdy zrozumiała co to jest) przyszło jej do głowy, że przyjaciółki powinny się wstydzić, jednak chwilę później zastanawiała się już, jak to cudo działa.

Zakryła twarz dłońmi i poczuła, jak krew zdradziecko napływa jej do mózgu, nadając twarzy czerwony kolor.

- Wibrator! - Dicte wpatrywała się w Idę Marie i Anne. I w ten wibrujący przedmiot, który leżał na stole i warczał na nią, oburzony, że potraktowała go tak brutalnie.

- Przyznaj, że jest genialny - powiedziała Anne i spojrzała na nią swoimi skośnymi oczami Azjatki.

Anne, która zawsze bierze wszystko na poważnie! Anne, która czyta Salmana Rushdiego i która, jako sześciomiesięczne dziecko, przyleciała samolotem z Korei i trafiła prosto do pastorostwa we wschodniej Jutlandii! I która żyła teraz z przyjmowania na świat małych różowych Duńczyków!

Ida Marie sięgnęła po wibrator i z wprawą go wyłączyła.

- Żeby nie wyczerpała się cała bateria - wyjaśniła i spojrzała niewinnie na Dicte oczami w kolorze błękitu ze szwedzkiej flagi leżącej na stole. - Przeczytałam w jakiejś gazecie, że co szósta Dunka ma taki - poinformowała ochoczo.

Dicte nie mogła się opanować.

-A Szwedki nie? Może u was, w Szwecji, to zabronione? Spróbuj przemyścić tam parę sztuk - zaproponowała.

- Tylko przedtem wyjmij baterie - dodała Anne.

Obraz Idy Marie pośród setki brzęczących wibratorów, dyskutującej z rozwścieczonym szwedzkim celnikiem, wyczarował u Dicte pierwszy tego dnia uśmiech. Poczowała, jak podniosły się jej kąciki ust, a mięśnie twarzy napięły. Z ulgą uwolniła z siebie głośny śmiech i pozwoliła mu zabrać część urodzinowej chandry.

Ida Marie nadała swojemu głosowi neutralny ton:

- W Szwecji nikt o takich rzeczach nie słyszał. Od czego w końcu mamy Szwedów?

Wywołała tym salwy śmiechu wśród ludzi przy sąsiednich stolikach.

- Niektóre kobiety mówią, że wolą coś takiego od mężczyzny - powiedziała Anne. - Mają z tym mniej problemów. Podobno.

- Podobno - powtórzyła Dicte i czuła, że atmosfera rozmowy się zagęszcza. - Chcecie powiedzieć, że nawet nie przetestowałyście?

Anne nie wiedziała, co powiedzieć, ale praktyczna natura pozwoliła jej z tego wybrnąć.

- Zawsze możesz wymienić - powiedziała z powagą. - Jeśli ten ci się nie podoba, możesz wziąć w kształcie telefonu.

Dicte szybko włożyła wibrator z powrotem do pudełka.

- Hmm, zapamiętam. W każdym razie, dzięki za prezent - wymamrotała, unikając ich spojrzenia. Popatrzyła w stronę kwiaciarni na rogu i pomyślała ze złością, że mogły po prostu kupić jej bukiet kwiatów albo cokolwiek innego, właściwie wszystko jedno co. Spojrzała na ludzi na ulicy. Jakiś chłopak na rolkach przemykał pomiędzy rodzicami spacerującymi z małymi dziećmi i jedzącymi lody nastolatkami. Wszystko wyglądało zupełnie normalnie, ale były to tylko pozory. Czy nie skończyła właśnie czterdziestu lat? I czy te niechciane urodziny nie zbiegły się ze sprawą rozwodową? W tej sytuacji prezent w postaci wibratora zyskał podwójne znaczenie: był ukoronowaniem dzieła i podkreśleniem jej nowo zdobytego - i jeszcze bardziej niechcianego - statusu singla.

Właśnie w tym momencie usłyszała dźwięk dobiegający z rzeki, dokładnie spod miejsca, w którym siedziały. Usłyszała go na tle głosów Anne i Idy Marie i przypomniała sobie pewne wydarzenie z dzieciństwa, sprzed, wydawało jej się, tysiąca lat, gdy zatopiła plastikowe wiaderko w studni na podwórzu, tak głębokiej, że nie wolno jej było się tam zbliżać. Właśnie tak zarobiła na swoje pierwsze lanie.

Może z powodu tego wspomnienia zapomniała na chwilę o wibratorach, rozwodach i przyjaciółkach, przez które można się najeść tyle wstydu. Wstała i podeszła do brzegu. Spojrzała w dół na mętną zieloną wodę. Nasłuchiwała. Przymknęła oczy z powodu rażącego słońca i przyglądała się falującej rzece. Nagle zauważyła plastikową balię, która kołysała się przy brzegu, gdzie najprawdopodobniej zniósł ją prąd rzeki. Właśnie wtedy zobaczyła buzię, częściowo ukrytą pod czymś w rodzaju ręcznika. Była malutka i blada, ze słodko zamkniętymi oczami.

Stała tak przez dłuższą chwilę i patrzyła, przysłuchując się odgłosowi szurania o kamienie. W jej wnętrzu coś stopniało. Poczwała ogromną potrzebę, żeby wziąć dziecko w ramiona, ochronić je, poczuć na swoim policzku mięciutką skórę, ogrzać i nakarmić tę dryfującą kruszynkę. To instynkt, stwierdziła nagle ze zdumieniem. Ciągłe był aktywny. Po tylu latach.

- Dziecko - usłyszała własny głos, obcy i drżący. Wstrzymała oddech. Powietrze wypuściła dopiero ze słowami: -Tam na dole leży jakieś dziecko... - Wskazała na mętną wodę.

- Svendsen?

- Kaiser-powiedziała Dicte do słuchawki i automatycznie wzięła do ręki długopis. Oparcie. Niepewność. Analiza przyszła automatycznie. Czasami psychologia, którą kiedyś studiowała, była jak przekleństwo, mimo że zrezygnowała w połowie nauki.

Redaktor działu „Wydarzenia” najwyraźniej wyczuł przez telefon, że nie ma dziś siły na złośliwe uwagi, więc to wykorzystał. Cały on. Jak większość redaktorów na całym świecie - pomyślała. Oni rodzą się ze specjalnym redaktorskim genem: potrafią wywołać u dziennikarzy nerwowe tiki i zadawać pytania, na które najchętniej odpowiedziałoby się jednym bardzo konkretnym słowem... Kaisera najlepiej było unikać.

- Słyszałem, że byłaś sobie popływać.

Myśli zawirowały jej w głowie, a długopis sam zaczął rysować na kartce szlaczki.

- Od kogo słyszałeś?

- Może od małego Mojżesza z rzeki.

Nie miała pojęcia, skąd wiedział, ale za bardzo jej to nie zdziwiło. O Ottonie Kaiserze mówili, że miał nie tylko szósty, ale i siódmy zmysł, jeśli chodziło o dobre historie i o sztukę trafiania ludzi w ich czułe punkty. Ona odczuła to na własnej skórze zaledwie kilka razy, ale to i tak wystarczyło - dlatego trzymała się jak najdalej od działu „Wydarzeń”. Jak najdalej od królestwa Kaisera. Przeprowadzka do Arhus zwiększyła, ku jej zadowoleniu, ten dystans. To premia za jej decyzje. Nagrodą główną było oczywiście to, że mogła uniknąć widoku Torstena.

- Nie mam z tym zbyt wiele wspólnego - zawahała się. W czasie, gdy

myślała, długopis narysował jakąś twarz. Trójkątny kształt, ciemne oczy, wąsy. Kaiser.

- Tak? A ja słyszałem coś innego - jego głos był słodki jak miód. - Ptaszki ćwierkają, że to ty znalazłaś Mojżeszka i wskoczyłaś do rzeki jak jakiś ratownik. Mogłabyś być bohaterką, Svendsen. Szkoda tylko, że było już za późno - dodał złośliwie.

- Może masz rację - powiedziała i zaczęła dorysowywać mu coś, co mogło być resztą ciała. - Ale nic więcej nie wiem. Dziecko nie żyło. Na miejsce przyjechała karetka i sprawę przejęła policja. To wszystko.

Mówiła to, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że złamała jedną z reguł obowiązujących w dziennikarskim świecie, do którego chyba nigdy całkiem nie przywykła. Dobra historia musi być ukazana z każdej perspektywy, a w tym przypadku można było oczywiście dowiedzieć się więcej. O wiele więcej. W tej historii było tyle materiału, że wystarczyłoby na całą serię artykułów.

- No, ale muszę już lecieć - spróbowała. - Za pół godziny mam oddać artykuł do rubryki „Gospodarki”.

Dodała to w nadziei, że Kaiser odczepi się od niej, wróci do swoich dziennikarzy z „Wydarzeń” i nie będzie ryzykował konfliktu z jej działem. Między nimi trwała odwieczna wojna.

- Rozmawiałem z Mikkelsenem - powiedział chytrze Kaiser. - Był tak miły, że wypożyczył mi ciebie na tydzień, bo Sejfert jest na urlopie, a Davidsen zajmuje się sprawą tego rockmena z Randers.

Dicte pomyślała, że cały świat obrócił się przeciwko niej. Już na samą myśl o tym, że może zostać żołnierzem „Wydarzeń” pod dowództwem Kaisera, zaczynała się pocić. Wiedziała, że dla wielu był to szczyt marzeń,

ale nie dla niej. Najbardziej chciała pilnować swojego ogródka, pisać krótkie artykuły o psychologii biznesu i od czasu do czasu przeprowadzić długi i nudny wywiad z jakimś przedsiębiorcą.

- Nie jestem dziennikarką „Wydarzeń” - spróbowała, jednak on nie dał się zbić z tropu.

- Musimy mieć coś ostrego na okładkę. Ludzie będą chcieli wiedzieć co, gdzie i kiedy.

Mogła go sobie wyobrazić: siedział za biurkiem, na krześle, w prawie poziomej pozycji, ze słuchawką pod brodą i klawiaturą komputera na kolanach. Śledził wiadomości ze strony internetowej Ritzau. Może otworzył szufladę. Kaiser wiecznie się odchudzał, ale często chował w szufladzie kawałek ciasta. Najczęściej czekoladowego.

-I reportaż na trzeciej stronie - dodał. - W jaki sposób je zauważyłaś? Co wtedy czułaś? Jaki panował nastrój, jaka była reakcja innych i tak dalej. Potrzebujemy właśnie kogoś takiego jak ty, Svendsen. Ma być gotowe na szóstą.

Czyli za trzy godziny. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. Bronić się. Wytłumaczyć mu, że ubikacja się zatkała i o czwartej ma przyjechać szambowóz. Że w wyciągu nad kuchenką brakowało jakiejś rury i wszystkie zapachy z kuchni, zamiast na podwórko, wpadały do sypialni. Że ten przeklęty dom w ciągu ostatnich sześciu tygodni okazał się być bardzo dużym kotem w bardzo dużym worku. Poza tym nie chciała myśleć o tym dziecku, a co dopiero o nim pisać.

- Pamiętaj, żeby zabrać fotografa - powiedział Kaiser, zanim odłożył słuchawkę. - Musimy mieć zdjęcia tego wszystkiego. Miejsca, ciebie, oczywiście, i balii.

- Zwłok? - spytała kwaśno. Odburknął coś niezrozumiale.

Dopiero gdy odłożyła słuchawkę, zauważyła, że trzęsą się jej ręce. Najbardziej ze złości, ale był też inny powód. Odczuwała to jak głód, którego nie można zaspokoić. Jak puste, ciche miejsce gdzieś w jej brzuchu. Przyprawiało ją to o mdłości.

Przypomniała sobie to dziwne uczucie sprzed zaledwie kilku godzin. Niepokojne głosy ludzi przy kawiarni. Bezcelowość tego, co robiła. Niezależnie od tego, skąd Kaiser o tym wiedział, miał rację. Wskoczyła do rzeki. Oczywiście, nie na główkę, tylko zbiegła po schodach nad wodę, która z bliska wydawała się jeszcze bardziej mętna, i weszła do niej. W myślach rysowały się jej obrazy rzeczy, które pływały po powierzchni rzeki. Przypomniała sobie, jak na drodze do niebieskiej plastikowej balii przykleił się jej do palców paperek po lodach i jak musiała odepchnąć plastikową butelkę, która kołysała się na falach. Na wspomnienie napoju energetycznego faxe kondi sama się zdziwiła, że ma taką dobrą pamięć. Twarzy dziecka już nie pamiętała. Nie chciała pamiętać.

Mocowała się z balią, pchała ją przed sobą, płynąc wzdłuż brzegu. Dicte udało się wciągnąć misę na schody. Tam od razu profesjonalnie zajęła się wszystkim Anne. Ida Marie automatycznie (jak robot) robiła zdjęcia. Wyglądało to groteskowo. Dokładnie tak - pomyślała - jak robot. Dicte dopiero później zauważyła łzy płynące po twarzy przyjaciółki. Aparat odcinał Idę Marie od rzeczywistości.

W tym czasie ktoś zadzwonił po karetkę, ale zanim przyjechała, Anne ostrożnie zajrzała do zawiniątka zrobionego ze starych ręczników. Drżącymi rękoma utorowała sobie drogę i stwierdziła to, co Dicte i tak już wiedziała, co przeczuwała, wsłuchując się w ciszę koszyka, która była tak

strasznie wymowna.

- Chłopczyk - powiedziała cicho Anne tonem zawodowej położnej, który przybierała zawsze, gdy w pobliżu znajdowało się małe dziecko. - Noworodek - stwierdziła. - Wydaje mi się, że ma najwyżej dwie doby. - Podniosła wzrok, miała wilgotne oczy. - Nie żyje.

Fotograf przypominał chudego i czujnego bezdomnego psa o zniszczonej sierści. Miał potargane włosy i rzadką jak u nastoletniego chłopaka brodę. Jego ubranie przypominało odzież z magazynu z darami dla Albanii. Ogólnie rzecz biorąc, wyglądał bardzo modnie.

-Jestem Bo - powiedział, gasząc butem papierosa. Wyglądał na kogoś, kto zdecydowanie wolałby być teraz w Afganistanie niż przed wejściem na porodówkę Kliniki Uniwersyteckiej Skejby w Arhus. Dziennikarka wyciągnęła do niego rękę.

- Dicte.

Słyszała o nim. Czytała nawet, że jego zdjęcie wygrało jakiś zagraniczny konkurs fotograficzny. Zrobił je w Sierra Leone albo może w Boliwii. W każdym razie gdzieś, gdzie toczyła się wojna, nie pamiętała dokładnie gdzie. Nawet nagradzani fotografowie muszą jednak z czegoś żyć, więc Bo współpracował jako freelancer z redakcją w Arhus.

- Porozmawiamy z położną, która była wtedy nad rzeką- poinformowała go, kiedy szli długimi korytarzami, przyglądając się personelowi, duńskim zwyczajem, pędzącemu do pacjentów na hulajnogach. Dicte zerknęła ukradkiem na fotografa. I znów nie mogła oprzeć się przekonaniu, że bardzo chciałby być teraz gdzieś indziej.

Bo pociągnął nosem i wytarł go w rękaw koszuli. Podniósł swoją torbę i człapał obok niej, ale i tak dobrze widziała jego oczy. Jego wzrok prześlizgiwał się wzdłuż ścian, Bo zaglądał do wszystkich sal i pokoi, jakie mijali, starając się zarejestrować jak najwięcej. Zauważyła jego czujność, jakby w każdej chwili spodziewał się zasadzki, jakby bał się, że z którejs z sal porodowych, w których co jakiś czas rozlegał się

rozdzierający serce krzyk, nagle wyskoczą faceci z kałachami.

- Kurczę, tu jest jak w sali tortur - powiedział.

- To są tortury - odparła.

Po rozmowie z Kaiserem umówiła się z Anne, która mogła mieć chwilę między porodem pośladkowym a pierworódką. Była wdzięczna przyjaciółce za dobre chęci. Anne już straciła godzinę na komisariacie, składając zeznania przed jakimś urzędasem. Właśnie, musi pamiętać, żeby zadzwonić na policję i dowiedzieć się, kto zajmuje się tą sprawą. Jeśli dopisze jej szczęście, załatwi sprawę szybko i będzie miała spokój z Kaiserem. Będzie miała to wszystko z głowy, chociaż na to chyba nie mogła liczyć. Próbując dorównać kroku fotografowi, pomyślała, że coś się w niej zmieniło. Jakby zostało z jej wnętrza brutalnie wyważone łomem.

Musieli poczekać na Anne. Dowiedzieli się, że poród pośladkowy jeszcze się nie skończył. Usiedli więc. Zewsząd dobiegły ich krzyki umęczonych kobiet ubranych w szpitalne fartuchy. Na oddziale napięcie mieszało się z radością, ból ze śmiechem.

- Masz dzieci? - zapytał nagle fotograf. Kiwnęła twierdząco głową.

- Nastoletnią córkę. Ciężka praca - dodała i poczuła się staro. On był pewnie przed trzydziestką.

- Ja mam dwoje - powiedział ku jej zaskoczeniu. - Dziewczynkę i chłopca. Pięć i siedem lat. - Musiała wyglądać na zdziwioną, bo dodał: - Szybko zacząłem.

Podczas wywiadu Anne i Dicte stały w rogu jakiegoś biura, do którego od czasu do czasu ktoś wpadał, przeproszał i szybko wychodził. Bo pstrykał zdjęcia, a Dicte pomyślała przez chwilę o Idzie Marie, o tym, jak się po tym wszystkim załamała. Anne wystraszyła się, że przyjaciółka

zacznie rodzić. Ida Marie usiadła na krześle, pochyliła głowę i płakała. Szlochała, jakby ktoś ją pobił, wyrzucając słowa: „Nie chcę tego. Nie chcę”. Nie wiedziały do końca, czy miała na myśli swoje nienarodzone dziecko, czy śmierć, która była tak blisko, a od której próbowała trzymać się jak najdalej.

Anne odtworzyła wszystkie fakty. Według niej poród odbył się w domu. Ktoś przeciął pępowinę i nieumiejętnie ją zawiązał. Ciało dziecka pokryte było zaschniętą krwią.

- Moim zdaniem, ktoś zostawił je w rzece niecałą dobę po urodzeniu. Ale więcej dowiedziecie się w Instytucie Medycyny Sądowej - powiedziała i opuściła głowę, trzymając rękę w kieszeni fartucha, jakby było w niej coś, co pozwalało jej ustać. - Ja wiem tylko, jak to wyglądało na pierwszy rzut oka. Jak w średniowieczu. - Anne wyraźnie posmutniała jak wtedy, nad rzeką, gdy była tak zbulwersowana, że prawie się popłakała. Rozżalona dodała: - I to we współczesnej Danii. Kto w ten sposób porzuca swoje dziecko w kraju, w którym jest tyle możliwości otrzymania pomocy?

Dicte nigdy nie sądziła, że Anne może zblednąć. Wyglądało to, jakby ktoś wcisnął przycisk na pilocie i wszystko zrobiło się czarno-białe.

- Co robimy ze zdjęciami balii? - zapytał Bo. - Gdzie ona teraz jest?

- Na policji. Na badaniach technicznych - odparła Anne, która wiedziała, jak takie sprawy się odbywają. - Ale przecież Ida Marie robiła jakieś zdjęcia. Na urodzinach, ale później też. Czemu nie weźmiecie od niej filmu?

- Na urodzinach? - zapytał Bo, gdy opuszczali szpital. - Nawet nie pytaj - westchnęła Dicte i pomyślała o małym królestwie Anne w szpitalu. Miała przeczucie, że dla Anne nic już nie będzie tam takie samo. A Ida Marie?

Przecież jest w ciąży. Pierwszy poród w wieku 39 lat. Spośród nich trzech ona z pewnością nie powinna była się tam znaleźć i tego widzieć. Dicte sądziła, że najlepiej byłoby, gdyby Ida Marie obudziła się następnego ranka z utratą pamięci, gdyby zapomniała o wszystkim oprócz swojego dziecka.

Ida Marie udała się do biura podróży na Dużym Rynku w Arhus. Była współwłaścicielką firmy wraz z trzema innymi osobami. Gdzie indziej miałyby zresztą pójść, pomyślała Dicte, Theis był przecież w pracy w Kopenhadze. A kto potrafił lepiej wysłuchać i pocieszyć od dobrych koleżanek? Może psycholog, ale tego nie wolno było mówić Idzie Marie. Na pewno powiedziałyby, że spotkała już w swoim życiu zbyt wielu psychologów i jeszcze dodała, że to, co się wydarzyło, nie dotyczyło jej przecież bezpośrednio.

Ida Marie siedziała na maleńkim zapleczu ze swoją koleżanką i ścisła kubek z gorącą herbatą. Pozdrowiła przybyłych słabym głosem.

- Cześć.

Dicte nie mogła się powstrzymać. Usiadła obok i pogłaskała Idę Marie po napiętym ramieniu.

- Jak się czujesz?

- Beznadziejnie - wymamrotała Ida Marie do kubka. Dicte kiwnęła głową w stronę fotografa, który trzymał się trochę z boku.

- To jest Bo. Kazali mi napisać artykuł o tym, co się stało.

Ida Marie ostrożnie zwilżyła językiem usta, jakby chciała sprawdzić, czy jeszcze tam są. Skinęła lekko głową w stronę Bo i z powrotem zanurzyła się w świat swojej herbaty.

Dicte odchrząknęła.

- Może potrzebujesz jakiejś pomocy? - zaproponowała nieśmiało. -

Może zamieszkałabyś u mnie, dopóki Theis nie wróci?

- Wszystko w porządku, naprawdę. Nigdy nie było lepiej. - Ida Marie pokręciła odmownie głową.

Dicte nie zaproponowała. Nie bardzo wiedziała, jak zacząć.

- Masz przy sobie aparat z tym filmem? - zapytała cicho, jakby obawiała się, że może coś zepsuć. - Może jest tam coś, co przydałoby się nam do artykułu - powiedziała i poczuła się jak hiena.

Ida Marie spojrzała na nią z odrazą. Głośno odstawiła kubek.

- Zdjęcie dziecka?

Dicte pokręciła głową. Znowu pogłaskała po ramieniu stukając palcami o blat stołu Idę Marie.

- Nie pokażemy dziecka - obiecała. - Tylko sytuację, nas, balię, jeżeli w ogóle znajdziemy zdjęcie, które się nadaje.

Ida Marie spojrzała na swoje ramię z niechęcią, po czym zrzuciła dłoń Dicte, sięgnęła po torebkę i wyjęła aparat.

- Możesz wziąć wszystko - powiedziała obcym, chłodnym głosem i podała jej aparat.

Redakcja była stanowczo za mała dla sześciu dziennikarzy i wszyscy, odkąd Dicte zaczęła tam pracować, mówili o przeprowadzce do innego budynku. Z czasem Dicte zorientowała się, że robią to od lat. Marzą o lokalu przy porcie jachtowym i własnej łodzi z logo firmy. Kończyło się na gadaniu, bo gazeta w Kopenhadze ciągle oszczędzała. Musieli gnieździć się w trzech małych pokoikach i jednym trochę większym, w którym Dicte pracowała razem z dwiema innymi osobami. Z okna gabinetu mogła podziwiać rynek i ulicznych sprzedawców, którzy w regularnych

odstępach proszeni byli przez policję o „zamknięcie interesu”.

Fotograf Bo zniknął w starodawnej ciemni z filmem *Idy Marie*. Dicte usiadła przy biurku, do którego jeszcze nie do końca się przyzwyczała. Wyciągnęła notes i wykonała telefon do komisarza Johna Wagnera, który jednak nie chciał się wypowiadać. Otrzymała parę przewidywalnych odpowiedzi, jak: „Bez-komentarza” albo „Jeszcze-za-wcześnie-na-jakiegolwiek-wnioski”. Zanim odłożyła słuchawkę, była bliska zaproponowania mu kariery polityka.

Spojrzała przez okno. Gdyby chciała, mogłaby zobaczyć rzekę. Trzeba było tylko podnieść się z miejsca i wyteńczyć wzrok, ale wolała tego nie robić. Musiała przestać o tym myśleć i zacząć dużo pracować. Była pewna, że to pomoże, mimo że nienawidziła „Wydarzeń”. A najbardziej ze wszystkiego - nienawidziła ich tworzyć.

Wiele lat temu, w czasie praktyk w redakcji, Kaiser często naśmiewał się z niej i postanowił osobiście ją czegoś nauczyć, co doprowadziło ich oboje do frustracji. Jego, ponieważ wmówił sobie, że ona ma ukryty talent. Ją, ponieważ wiedziała, że się mylił. Mogła robić wszystko poza „Wydarzeniami”. Potrafiła pisać długie rozprawy psychologiczne o sposobach kierowania firmą, analizować rozliczenia przedsiębiorstw i wynajdywać ciekawe opowiadania z dziedziny gospodarki. Dział „Wydarzeń” jednak zawsze był i będzie dla niej czarną magią. Zupełnie nie rozumiała, dlaczego coś tak prostego stanowiło dla niej taką trudność. Może dlatego, że w większości informacji nie dostrzegała niczego nadzwyczajnego i nie rozumiała prestiżu, jaki związany był z umieszczeniem swojego tekstu na pierwszej stronie.

- Wyrzuć te ozdobniki - mawiał Kaiser, gdy poprawiał jej artykuły. -

Najważniejsze są fakty. Cała historia musi być opowiedziana w tytule i pierwszych trzech liniach.

Ze wszystkich sił starała się więc zrobić to teraz i miała odczucie, że znów wylądowała na praktykach. Oto i ona: kobieta czterdziestoletnia, która po dzisiejszych okropnych wydarzeniach czuła się, jakby przejechała ją walec drogowy. Matka nastoletniej córki w okresie dojrzewania, kręcącej się gdzieś po mieście. Szczęśliwa właścicielka rozlatującej się rudery na wsi. W dodatku pewna, że za chwilę zadzwoni Kaiser ze swoimi poradami na temat stylu, priorytetów i argumentowania.

Spojrzała na zegarek. Zostało jej pół godziny, a ona cały czas męczyła się nad lidem, całkowicie opuszczając tytuł. Tym będzie się musiał zająć redaktor dyżurny, dla niej to zbyt trudne. Wręcz niemożliwe - pomyślała. Miała właśnie przejść do tekstu głównego, gdy ktoś za jej plecami, naśladując spikera telewizyjnego, głośno przeczytał:

- Wczoraj w rzece Arhus znaleziono w plastikowej balii noworodka. - Bo uśmiechnął się przyjaźnie, machając plikiem zdjęć. - Czy czytelnicy nie powinni od razu się dowiedzieć, że dziecko było martwe? - zaproponował.

Westchnęła.

- O tym będzie później. Muszę stopniować napięcie, żeby ludzie czytali dalej - wymyśliła na poczekaniu.

- Przyznaj się, w ogóle wcześniej o tym nie pomyślałaś. - Usiadł na brzegu biurka i popatrzył na nią wyzywająco.

-I co z tego - powiedziała zmęczonym głosem. - Co ciebie to obchodzi? Chyba jesteś tu tylko fotografem.

Słowa wyfrunęły, zanim zdążyła o nich pomyśleć. W głowie

zamigotało jej czerwone światło. Takich rzeczy nigdy nie można mówić fotografom. Ewentualnie można tak czasem pomyśleć, ale właściwie nawet to było zabronione.

- Chyba miałaś zły dzień - odparł cicho.

- Beznadziejny - przyznała.

-A będzie jeszcze gorszy - powiedział poważnie, ale cień uśmiechu przebiegł mu po twarzy, wyglądał na rozbawionego.

- Co masz na myśli?

- To, że w Kopenhadze na pewno się zdziwią, jak zobaczą te zdjęcia, które przed chwilą wysłałem taksówką na lotnisko. Ja sam też się zresztą zdziwiłem, ale jestem w tym szczęśliwym położeniu, że siedzę tutaj i może mi uchylisz rąbka tajemnicy, jeśli będziesz chciała.

- Jakiej tajemnicy?

Pomału układał zdjęcia na jej biurku. Rzeczywiście, na kilku z nich było widać balię, ją oraz Anne, która ostrożnie zaglądała do dziecka. Były też inne zdjęcia, zrobione aparatem Idy Marie w charakterystycznym ukośnym ujęciu. A na nich: zapakowany prezent na stole i pełen napięcia wyraz twarzy Dicte, gdy pociąga za wstążkę oraz cętkowany wibrator stojący w pełnej gotowości jak rakieta w wyrzutni. Na następnym Dicte ze swoją zdobyczą w ręku i zmieszonym wyrazem na twarzy. Oczyma wyobraźni widziała już dowcipnisiów z redakcji, dorabiających na zdjęciu chmurkę i wieszających je na tablicy ogłoszeń z dopiskiem: „Już nie mogę się doczekać!”.

- O cholera - wymamrotała i wyobraziła sobie wyraz twarzy Kaisera, kiedy jeszcze tego samego dnia będzie przeglądał te zdjęcia. - Cholera, cholera, cholera! Nie wysłałeś ich. Powiedz, że tych nie wysłałeś!

Bo z ciekawością rozbierał ją wzrokiem. Całkowicie bezwstydnie szukał pod letnią sukienką piersi, ud, szyi i talii. Uśmiech nie schodził mu z twarzy.

- Oczywiście, że wysłałem. Przecież to właśnie kazałaś mi zrobić - powiedział, ześlizgnął się z biurka i skierował w stronę drzwi. - Nie możesz ode mnie wymagać, żebym samodzielnie myślał. - Otworzył drzwi, narzucił na ramię kurtkę dżinsową i przesłał jej dwuznaczne spojrzenie. - Jestem tu przecież tylko fotografem.

Ida Marie szukała ratunku w rutynie. Stopniowo dochodziła do siebie. Po wypiciu hektolitrów herbaty i kilku godzinach spędzonych na patrzeniu przez okno, mogła w końcu się czymś zająć. Na przykład zmienić pościel albo włączyć zmywarę, albo po prostu zapalić świece czy podgrzać Theisowi trochę pomidorówki.

Przez cały ten czas miała przed oczami dziecko. Wtedy, kiedy układała talerze, nakrywała do stołu czy wyrzucała gazety. Jego zamknięte oczy i malutkie rączki, które przyciągnęły jej uwagę, złożone na piersi w geście niemej modlitwy. Przez cały czas obserwowała swoje dziecko. Zwracała uwagę na każdy, choćby najmniejszy ruch. Kontrolowała swoje myśli, nawet najdrobniejsze przeczucie, że coś może być nie tak. Przyznała przed sobą, że traci zmysły, ale nie mogła przestać.

Nie opowiedziała Theisowi o tym wydarzeniu. Właściwie nie wiedziała dlaczego. Może dlatego, że on zawsze był zajęty, a może po prostu nie chciała go martwić. Oczywiście, powinna była mu coś powiedzieć, ale pierwszego wieczoru był taki zmęczony, że zasnął na kanapie. Następnego dnia wzięła się w garść i poszła na spotkanie z koleżankami. Jak by nie było, sama przecież pomagała zorganizować to wyjście - wieczór panieński koleżanki z pracy, Merete, połączony z wizytą u wróżki.

Starła się myśleć w podobny sposób również później, by dodać sobie otuchy, gdy po ekspresowym wypadzie na miasto wzięły taksówkę i jechały do bloków w pobliskim Gjellerup. Mimo to czuła, że ogarnia ją lęk. Lodowaty, paralizujący strach przed czymś, czego nie umiała sprecyzować. Może przed narodzinami dziecka? Może przed jego utratą, a

może przed utratą Theisa? Albo siebie. Było wiele możliwości.

Kobiety szybko znalazły mieszkanie wróżki i pierwsze pięć osób weszło bez żadnych problemów. Wyszły z wypiekami na twarzach i błyszczącymi, rozbieganymi oczami, jakby właśnie pocałował je książę. Gdy przyszła kolej Idy Marie, coś ciągnęło ją w przeciwnym kierunku. Poczowała, że bardzo chce wrócić do domu, że nie powinna tu przychodzić. Nie potrafiła jednak powiedzieć tego głośno.

Na stole nie było kryształowej kuli ani kart Tarota. Nie siedziała przy nim egzotyczna, śniada kobieta ze złotymi kolczykami, kwiecistym szalem na ramionach i czarnym kotem na kolanach. Mieszkania w największej w mieście dzielnicy imigrantów nie można też było nazwać wozem cygańskim. Wróżka nazywała się HAnne Guldborg, miała krótkie blond włosy, sweter z Jackpota, wystrzępione dzinsy i gigantyczne przeziębienie, z którym próbowała walczyć za pomocą tabletek leżących na stoliku przy kanapie.

- To już ostatni żywy obraz - powiedziała wesoło i chwilę później potężnie kichnęła.

Ida Marie poczuła, jak znów zaczyna się denerwować i mimowolnie zrobiła krok do tyłu. Wyciągnęła rękę w stronę klamki.

- Tak mi się tylko powiedziało - rzekła kobieta i uśmiechnęła się przyjaźnie. - Jesteś ostatnia, tak? Muszę zdążyć odebrać dziecko ze żłobka - wytłumaczyła i gestem wskazała Idzie Marie, żeby się rozgościła.

Ta kiwnęła głową i usiadła w fotelu naprzeciwko. Mebel był tak głęboki i miękki, że miała obawy, czy uda jej się z niego wstać.

Mieszkanie wróżki było ostatnim przystankiem wieczoru panińskiego przed kolacją w restauracji Globen Flakket. Wszystkie solidarnie zgodziły

się na tę ekstrawagancję, gdy zamawiały wizytę, ale to było strasznie dawno temu, w zupełnie innym świecie. Przed 11 września, który wstrząsnął całym światem, a fala przerażenia dotarła aż do Arhus. Przed dzieckiem w rzece.

Ida Marie poczuła na plecach zimny pot.

- Możemy zrobić krótszą wersję - zaproponowała nieśmiało i z nadzieją wstrzymała oddech.

- Nie, nie. To nie jest konieczne. - Wróżka kichnęła. - Na pewno zdążymy. Twoje koleżanki powiedziały, że to ty znalazłaś dziecko w rzece - dodała.

Ida Marie zapatrzyła się. Mrugnęła twierdząco.

- Tak, byliśmy przy tym we trzy.

-I to w pani stanie - powiedziała wróżka z troską. -Czuje się pani już lepiej? - zapytała spokojnym, pewnym głosem, zupełnie jakby wiedziała o tym wszystkim, przez co Ida Marie przeszła, i jakby widziała też przeszłość.

- Lepiej - przytaknęła. -Ale pewnie i tak jest ciężko? Znowu przytaknęła.

-Gdyby przyszła tu pani wcześniej, może udałoby mi się to przewidzieć - powiedziała HAnne Guldborg, wyciągając jeszcze jedną chusteczkę higieniczną z pudełka, a Ida Marie odniosła wrażenie, że wróżka mówiła to do siebie. - Może nie ze szczegółami, bo nie na tym to polega, ale mimo wszystko. Z pewnością mogłabym panią trochę przygotować - dodała, nie bez cienia dumy w głosie, po czym została obezwładniona przez gigantyczny napad kaszlu.

Ida Marie chciała (trochę dla żartu) zapytać, czy HAnne Guldborg

przewidziała też 11 września, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

Lepiej nie igrać z losem. Poza tym nie do końca wiedziała, dlaczego nagle zaczęła w myślach łączyć oba wydarzenia.

Przez krótką chwilę znów to zobaczyła. Kiedy tylko odzyskała władzę nad swoim umysłem, pomyślała o tym, jaki ten chłopczyk był malutki. Człowieczek, który nie dostał szansy. Taki bezbronny. Przeszedł ją dreszcz i objęła się ramionami, nie zwracając uwagi na wycierającą nos wróżkę. Dziwny niepokój wkradł się tam, gdzie wcześniej było bezpiecznie i dobrze. Jakby wszystko, całe jej życie, obróciło się o 180 stopni i odbijało się w zupełnie innym lustrze niż dotąd. Co właściwie się stało? Co mogło nakłonić kogoś, żeby w taki sposób porzucić noworodka we współczesnej Danii?

Poczuła ruchy swojego dziecka i odrzuciła nękające ją myśli. HANNE Guldberg powoli opanowała kaszel. Pewnie dlatego Ida Marie czuła ten niepokój. Dlatego, że już wkrótce jej świat zmieni się na zawsze i od tej pory będzie miała o wiele więcej zmartwień. W rzeczywistości nie mogła przewidzieć, jak ona i Theis, oboje aktywni zawodowo (w dodatku on stale kursujący pomiędzy Arhus a Kopenhagą) poradzą sobie jako rodzice. Napotkała spojrzenie wróżki i przez moment zastanawiała się, czy ona nie potrafi również czytać w myślach.

- Niech się pani nie denerwuje. - HANNE Guldberg uśmiechnęła się ze łzami w oczach, wywołanymi kolejnym atakiem kaszlu. - Nie powiem nic strasznego. Tylko tak ogólnie.

Ida Marie przełknęła ślinę. Przecież właściwie nie wierzyła w to wszystko, więc dlaczego miałyby się denerwować? Dlaczego nie potraktować tego jak żartu, którym w rzeczywistości było?

- Czytasz z dłoni? - zapytała.

Kobieta, która była może trochę po trzydziestce, potrząsnęła głową i posłała jej niemal pobłażliwe spojrzenie.

- Wystarczy, że tu jesteś. Może napijesz się kawy albo herbaty?

- Jeśli można, poproszę wodę.

HAnne Guldborg przyniosła dwie szklanki z połączonej z pokojem kuchni.

- Bardzo tu ładnie - powiedziała Ida Marie, zdając sobie sprawę, że w jej głosie słychać było zdziwienie.

To jasne przytulne mieszkanie urządzono zgodnie z duńskim designem. Był tu obowiązkowy owalny stół i sześć krzeseł, tak zwanych mrówek, w kolorze pastelowej zieleni. Promienie letniego słońca tańczyły na oprawionych w ramy wiszących na białych ścianach plakatach duńskiego grafika Pera Arnoldiego.

- Całkiem przyjemnie - potwierdziła HAnne Guldborg i podała Idzie Marie szklankę.

HAnne Guldborg spojrzała na nią przenikliwie.

- Widzę, że jesteś w punkcie zwrotnym - powiedziała. - Zresztą, nie potrzebujesz wróżki, żeby o tym wiedzieć, ale być może ja będę mogła powiedzieć ci o nim coś więcej, jeśli chcesz.

Ida Marie ostrożnie przytaknęła. Nie brzmiało tak źle. Punkt zwrotny. To chyba jeszcze przeżyje. Poza tym umówiły się wcześniej, że HAnne Guldborg nie będzie się skupiała na złych rzeczach. Wizyta nie miała prowadzić do tego, żeby osoba bliska załamania wychodziła od wróżki w jeszcze gorszym stanie. Dlatego też nie było się czego bać. Zupełnie niczego.

- Możesz mi podać jakąś osobistą rzecz, której mogę dotknąć, żeby przywołać wizje? - zapytała nowoczesna wróżka tonem, jakim laryngolog zwraca się do pacjenta.

W pierwszej chwili przyszła jej na myśl obrączka, ale pomyślała, że to zbyt banalne. Poza tym była zła na Theisa, że znowu musiał pracować cały weekend.

Podarła wróżce naszyjnik po prababci. Mama dała go Idzie Marie, jak dowiedziała się o ciąży. HAnne Guldberg trzymała wisiołek w dłoni. Srebrny łańcuszek dyndał niczym odwrócone wahadełko.

- Dostałaś to w spadku - powiedziała. - Od kogoś z rodziny mamy.

Ida Marie przytaknęła, znów poczuła niepokój, a wróżka kontynuowała:

- Z jakiegoś miejsca na północy. Gdzieś przy dużym jeziorze, zgadza się?

- Vanern - wyszeptała Ida Marie. - W Szwecji.

- Oczywiście, Szwecja. - HAnne Guldberg zamknęła oczy. Jej głos zmienił się, prawie szeptała. - Czujesz się tu trochę wyobcowana. Miałaś przez to jakieś kłopoty, ale większość z nich minęła. Zmieniłaś się. Próbowiałaś się dopasować, ale jest coś, co ci przeszkadza. Coś, co ciągnie się za tobą od dzieciństwa. Jeśli chodzi o przyszłość, to zbliża się coś wielkiego. Coś, co na pewien okres całkowicie wypełni twoje życie. Nie wiem, czy to coś dobrego, czy złego, ale z pewnością nie jest to poród. To jakieś inne wydarzenie.

Ida Marie zastygła ze szklanką wody w ręku. Chciała poprosić o więcej szczegółów, ale nie zdobyła się na odwagę.

- Czy widzisz coś w związku z porodem? HAnne Guldberg

uśmiechnęła się i otworzyła oczy.

- To nie poród będzie problemem, jeśli w ogóle będzie jakiś problem.

Porodu nie musisz się obawiać.

- A dziecko?

- Wspaniale. Dokładnie takie, o jakim marzyłaś.

Ida Marie poczuła, jak spada z niej ogromny ciężar i wyprostowała się z uśmiechem.

Gdy tego wieczoru wracała do domu po kolacji w Globen i dyskotecę w Gyngen, którą spędziła na przypatrywaniu się, jak inni tańczą salsę, wydawało jej się, że odgłosy miasta pulsują jej w uszach jak długa i urywana solówka na perkusji. Po zmroku Arhus upodabniał się do Nowego Jorku. Pokrzykiwania pijaków stawały się groźne, a cień w porcie przybierał postać mordercy szaleńca. Nie wiadomo, kiedy to się stało. Kiedy wszystko się skończyło. Kiedy poczucie bezpieczeństwa znikło bezpowrotnie. Ona jednak nadal je miała i musiała o tym pamiętać. Cały czas było w ich mieszkaniu na Samsegade, gdzie Theis ustawił na parapecie okna świeczkę tak, że wewnątrz wyglądało łagodnie, ciepło, tak jak powinno. Bardzo pragnęła je mieć, bezpieczeństwo. Pragnęła go najbardziej na świecie. Tylko dlaczego odczuwała niepokój? Przed tym, że gdzieś, może tuż za rogiem, kryło się coś obcego. Może to właśnie widziała wróżka z Gjellerup. Ucieleśnienie jej wewnętrznych obaw.

Theis. Mieli wzloty i upadki. Swoje gorsze dni, tak jak wszyscy. Dziwiłaby się, gdyby było inaczej - byli ze sobą od dziewięciu lat. I nagle pojawiło się dziecko, które dopiero miało się urodzić i na które tak długo czekali. Te starania w jakiś sposób trzymały ich razem. To bardzo dziwne uczucie, gdy tak długo, mocno się czegoś pragnie i nagle to marzenie się

spełnia. To gigantyczna odpowiedzialność, ogromny prezent, który miał wkrótce przypaść im w udziale. Musiała uśmiechnąć się na tę myśl, gdy wchodziła po schodach na pierwsze piętro. Z trudem wytrzymywali sam okres oczekiwania.

Theis siedział na kanapie z resztką wina w kieliszku i oglądał CNN. Usłyszała coś o Bin Ladenie i węgliku - to ostatnio najpopularniejsze tematy. Zaczynała pomału tęsknić za czymś innym.

- Myślę, że mogliby w końcu puścić coś o Szwecji - zauważyła i pocałowała go, chociaż wiedziała, że to zdradzi jej małe grzeszki.

- Paliaś - powiedział, tak jak się spodziewała, i wydawało jej się, że spojrział na nią z wyrzutem.

-Tylko jednego.

-I tylko jeden kieliszek?

Westchnęła.

- Półtora, no może dwa. Potrzebowałam tego.

- To akurat mogę zrozumieć - powiedział i wskazał na gazetę, która leżała przed nim na stole pod miską z pistacjami i rozrzuconymi łupinkami. - Niezła przygoda, zwłaszcza jak się jest w ciąży. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Ty też tam byłaś, tak?

Nie była pewna, czy w jego głosie usłyszała troskę czy wyrzut, rozczarowało go to, że miała tajemnicę, czy martwił się jej stanem ducha? Miała nadzieję, że chodziło o to drugie. Chciała usiąść obok niego i wytłumaczyć, że nie lubi czegoś opowiadać komuś, kto nie wydaje się być zainteresowany, a w ostatnim czasie zauważyła, że pracował więcej niż zwykle i że jej zwierzenia pewnie by mu tylko przeszkadzały. Jak wtedy, gdy brzuch urósł jej do tego stopnia, że nie mogła sama włożyć butów albo

gdy ciąża sprawiła, że znów odezwała się przepuklina. Jeszcze jeden kłopot, któremu trzeba było jakoś zaradzić. A Theis i tak, jak zawsze mówił, miał dosyć problemów.

- Może zapomniałam - skłamała.

- Zapomniałaś? - zdziwił się. - O takich rzeczach nie zapomina się tak po prostu. Wiem, że masz inne sprawy na głowie, ale mimo wszystko...

Wyciągnęła rękę i nabrała pełną garść pistacji, strzepnęła łupinki z gazety i usiadła w fotelu. Popatrzyła na zdjęcie przyjaciółek. Dicte trzymająca w objęciach plastikową balię. Puste spojrzenia kobiet. Cisza. Sama zrobiła to zdjęcie. Pstrykała prawie jak automat, podczas gdy umysł się wyłączył. Byle nie myśleć, nie przyjmować do wiadomości tego, co się dzieje. Teraz widziała to na pierwszej stronie gazety. Z podpisem Dicte „Mały Mojżesz w rzece Arhus”. Pod spodem było napisane dużymi literami: „Trzy przyjaciółki znalazły martwego noworodka w Arhus. Nie ma informacji o matce dziecka”.

Próbowała przeczytać artykuł, ale nie mogła się skoncentrować. Zaczęła marznąć, usiadła więc obok Theisa i przykryła się pledem. Widocznie wybaczył jej już tego papierosa, bo łagodnie objął ją ramieniem i lekko pogładził po brzuchu. Postanowiła wybaczyć mu tę jego pracę w weekendy, mimo że mieli wybrać się do miasta i pooglądać wózki. Potarła nos o jego chropowaty policzek. Miała ochotę na seks i zatęskniła za poczuciem bezpieczeństwa.

- No więc tak uważasz - powiedział cicho, podczas gdy ona pieściła i całowała jego ucho.

Pragnęła bliskości jego ciała, chciała, żeby zabrał ją w lepsze miejsce, uratował. Choć w jego głosie usłyszała lekką niechęć, nie przestawała.

Odsunęła na bok wszystkie myśli o tym, że pewnie wygląda jak stuki-
logramowa krowa. Chciała tylko, żeby jej pożałał. Ochraniał.

- Zrobiłaś się taka miękka i okrągła - powiedział i gładził ją po plecach
i dalej w dół.

Postanowiła potraktować to jak komplement. To prawda, zrobiła się
okrąglejsza, jej kształty nabrały obfitości, w dodatku spuchły jej nogi, nie
wspominając już o tych przeklętych hemoroidach, których chciała się
pozbyć za wszelką cenę. On jednak jakoś to wszystko znosił.

- Chodź. - Wstała i pociągnęła go lekko.

Widziała, że się zawahał. Może myślał o tym samym, o czym ona
przed chwilą? Spojrzeli na siebie ostrożnie.

- Może lepiej poczekajmy. - Na co?

- No wiesz... - Spojrzał na jej brzuch.

- Jak dziecko się urodzi, będzie jeszcze trudniej. Żeby znaleźć czas. - W
swoim głosie usłyszała zniecierpliwienie.

Przez moment wyglądał, jakby wpadł w panikę. Potem - jakby właśnie
podjął trudną decyzję. Wstał i pozwolił zaciągnąć się do sypialni, ale
poczuła jego zeszywniały kark i wiedziała, że robi to tylko dla niej.
Najwyraźniej nie potrafił inaczej poradzić sobie z tą sytuacją, z Idą Marie i
z jej nieprzewidywalnością.

Pomyślała o tym dopiero, gdy skończyli się kochać. Odsunął się na
bok i zaczął pochrapywać, a ona przypomniała sobie słowa HAnne
Guldberg, gdy żegnały się na klatce schodowej. „Nie wiem do końca, co to
znaczy, ale czuję, że to nie jest ostatni raz, gdy się spotykamy”.

Gdy tak leżała, nagle powrócił strach i uderzył ją prosto w brzuch. Z
trudem odwróciła się i przysunęła do Theisa. Zrobiła coś, czego nie robiła

od wielu lat. Od dzieciństwa - upewniła się w myślach. Złożyła ręce i zaczęła się modlić.

-Uważaj na kalorie, mamó. Dobrze wiesz, co się mówi - powiedziała z przestrogą Rose.

Ręka Dicte, niosąca do jej ust późne śniadanie, zawisła w powietrzu. Zakazany majonez na kanapce z sałatką z makreli zaczął się trząść.

- Niby co?

Rozbawiona Rose ubrana w dziurawą koszulkę do spania przyglądała się Dicte zaspanymi oczami. Nie umknęło jej żadne zaokrąglenie, żadna fałdka, gdy patrzyła na matkę. Przechyliła głowę, tak że błysnął jej kolczyk w nosie. Ten, o który tak długo prosiła, aż Tor-sten się zgodził, więc wykonała piercing bez wiedzy matki. Czego się nie robi, żeby podlizać się swojemu dziecku, kiedy już zniszczyło mu się rodzinę.

- Co się mówi? - powtórzyła Dicte.

- Czterdziestka na karku, rozwód na biurku i tłuszcz na biodrach.

- Bezczelna!

Podniosła rękę, jakby chciała ją uderzyć. Rose, z błyskiem w oku, uchyliła się szybko i zręcznie. Dicte dogoniła ją i złapała. Łaskotała córkę po wystających żebrach, w najbardziej wrażliwych miejscach, a ta zwijała się ze śmiechu.

- Trochę się boimy ludzi, co?

Rose ledwo mogła mówić, tarzając się ze śmiechu.

- To przez te wszystkie lata, kiedy mnie biliście - rechotała. - Ale przyznaj, to był strzał w dziesiątkę.

Dicte puściła ją dobrodusznie.

- Zobaczysz, ty chudzielcu, jeszcze się policzymy!

Nastolatka demonstracyjnie otworzyła szafkę i lodówkę, z których

zaczęła wszystko wyciągać. Chleb, masło, pełnotłusty ser.

- Chwilowo apele duńskiej dietetyczki Anne Larsen nie znajdują w tym domu żadnego oddźwięku - przyznała Dicte. Ale miała wrażenie, że nie minie wiele czasu, a sama będzie musiała pożegnać się ze wszystkim, co miało wysoką zawartość tłuszczu.

Patrzyła z zazdrością na swoją szczupłą córkę, która codziennie mogłaby pochłonąć dziesięć pączków z lukrem, jeśli by tylko chciała. Zazwyczaj poprzestawała jednak na kanapkach z serem i litrach mleka. Żadnych śladów anoreksji.

- Ty też będziesz kiedyś miała czterdzieści lat - zagroziła.

Dziecko, bo przecież Rose ciągle nim jeszcze była, zachichotało, jakby Dicte powiedziała coś niestosownego, i skoncentrowało się na jedzeniu.

- Nigdy nie będę taka stara jak ty - mówiła, przeżuając. - Umrę młoda w walce.

Dicte usiadła przy stole przykrytym ceratą i popiła makrelę zimną kawą.

- W walce o co?

Rose miała przygotowaną odpowiedź.

- Za wolność - odpowiedziała pewnie - i sprawiedliwość. Za przyszłość dla wszystkich dzieci.

- Oczywiście - rzekła Dicte i nawet ona usłyszała, że zabrzmiało to zbyt pobłaźliwie.

Pomyślała o dziecku z rzeki i zrozumiała, że to przez tę sprawę ma takiego straszego kaca. Dlatego przez całą noc dręczył ją koszmar o martwych dzieciach. Szklane oczy w mętnej wodzie i setki pustych butelek po faxe kondi pływających na powierzchni. Tak w ogóle, to

otrzymała pochwałę za swój artykuł, więc powinna teraz świętować, ale to było coś zupełnie innego niż jakaś pierwsza lepsza historia z działu „Gospodarki” o molestowaniu w miejscu pracy albo o dodatkowych świadczeniach socjalnych. Nie można jej było tak po prostu odłożyć na bok po godzinach pracy i przypomnieć sobie następnego dnia, jeżeli zaszłaby taka potrzeba.

Wyciągnęła rękę po dzbanek z kawą i nalała sobie pół kubka. Wypiła tę smolistą ciecz jednym długim łykiem. Przeklęła w duchu Kaisera i tę jego obsesję na punkcie „Wydarzeń”. Zapragnęła nigdy nie kończyć czterdziestu lat i nie siedzieć przy rzece Arhus przed dwoma dniami. Wtedy ktoś inny znalazłby to dziecko. Ktoś inny opowiedziałby tę historię.

Usłyszała pisk opon na podejździe, na tym żwirze, którego całą górę zamówiła i sama z trudem rozsypała, aż rozboleły ją plecy. To trochę odświeżyło wizerunek „posiadłości”, co było konieczne, biorąc pod uwagę fakt, że ten tak zwany nowy dom pochodził z 1930 roku i w przeszłości był znaną w okolicy meliną harleyow-ców. Z tego powodu kupiła go po tak niskiej cenie. Pale z umocnień dookoła domu wciąż stały zatopione w cementowych klocach pod jej trawnikiem.

- To pewnie poczta. Pójdiesz zobaczyć? - poprosiła Dicte.

Rose zmarszczyła nos, a kolczyk na jej nosie podskoczył. Wyglądała bardzo młodo i delikatnie.

- A co, jeśli w środku jest węglik? Dicte dała jej lekkiego klapsa.

- Skoro masz umrzeć młodo, to możesz zacząć już teraz. Potraktuj to jako walkę za sprawiedliwość.

Rose wyglądała, jakby rozważała sprawę całkiem na serio. Potem odłożyła nóż i wyszła. Dicte usłyszała trzask zamykanej z łoskotem

skrzynki pocztowej i poczuła, że powoli wraca jej energia. Ból głowy mijał. To było jak jazda po równi pochyłej, wiedziała o tym bardzo dobrze. Picie wina w samotny wieczór, połączone z uzalaniem się nad całym światem i sobą, to katastrofa. Ale czasami bardzo tego potrzebowała. Ostatnio nawet dość często, jeśli miała być szczerą. No, ale mam ku temu wystarczająco dużo powodów - pomyślała i zaczęła sprzątać ze stołu. Jedno było pewne: lubiła to. Kochała smak dobrego czerwonego wina i to miłe wrażenie, że ma nad wszystkim kontrolę. Kiedy siedziała nad którąś z kolei lampką wina, czuła się tak, jakby wszystkie problemy - rozwód z Torstenem, duchy przeszłości i ten nowy status samotnej matki - nagle gdzieś zniknęły.

Rose weszła, niosąc stertę papierów. Zatrzymała sobie gazetę, którą cały czas z zapalem przeglądała.

- Daj ją! - rozkazała Dicte.

Rose trzymała gazetę w bezpiecznej odległości. Odwróciła się plecami.

- Dostaniesz ją dopiero wtedy, kiedy spełnisz to, co obiecałaś. To przecież dzisiaj, mamo.

- Co dzisiaj?

Rose odwróciła się. Opuściła gazetę.

- P-I-E-S.

Cholera. Kompletnie wyleciało jej to z głowy. Myślała, że spędzi sobotę na rozpakowywaniu się, sprzątaniu, wieszaniu firanek i co tam jeszcze miała na liście. Pies był częścią ich umowy. Rose nie przeprowadziła się dobrowolnie z Kopenhagi do Arhus. Negocjacje były długie i intensywne, wymagały zawarcia wielu kompromisów. Pies był właśnie jednym z nich.

- Czy to nie może poczekać? - spróbowała, ale na twarzy Rose pojawił się ostrzegawczy grymas. W dalszym ciągu potrafiła być momentami słodka i dziecinna, ale umiała też szydzić i prowokować. Na szczęście nie robiła tego zbyt często. Kpiła najczęściej wtedy, kiedy miała do tego dobry powód. Tak jak teraz.

-Obiecałaś. Wczoraj powiedziałaś, że pojedziemy tam dzisiaj... ale może obietnice utopiłaś w tym - powiedziała zuchwale Rose, po czym schyliła się i wyciągnęła z szafki pustą butelkę po czerwonym winie.

Dicte poczuła, że jej obrona rozpada się na kawałki.

- Dobrze, dobrze, jedziemy. Tylko zadzwoń i sprawdź, czy dziś jest otwarte.

Gdy Rose telefonowała, Dicte sprzątała ze stołu. Taki był ich zwykły podział ról. Głupio byłoby sądzić, że coś się zmieni tylko dlatego, że przeprowadziły się na Jutlandię. A jednak to nie do końca sprawiedliwe - pomyślała. Wrzuciła jedzenie do lodówki i szybko ją zamknęła, w obawie, że zawartość wypadnie na podłogę. Rose ostatnio bardzo wydorosłała. Może nawet trochę za bardzo. Na przykład niedawno, gdy Dicte wróciła późno do domu, córka zrobiła lasagne. Kupiła też kwiaty i wstawiła je do wazonu, jakby to mogło sprawić, że znikną wszystkie problemy. I prawie zadziałało. Dicte pamiętała o tym, ale z drugiej strony Rose ciągle była jeszcze dzieckiem, a zwłaszcza wobec dzieci należało dotrzymywać obietnic.

To miał być szczeniak, bez domu i rodziców. Jeden z tych, których nikt nie chciał. Takie były warunki Dicte i twardo się ich trzymała. Nie było żadnego powodu, żeby sprawić sobie drogiego, „nadętego” psa rasowego z nagradzanymi przodkami, z drzewem genealogicznym, sięgającym tysiąc

siedemset któregoś roku. Kundle były z reguły mądrzejsze, zabawniejsze i miały mniej wyszukane zachcianki.

Umowa była oczywiście taka, że będzie to pies Rose i że to ona będzie się nim zajmowała, wyprowadzała go i tak dalej. Jednak gdy wyjechały w stronę Tranbjergu, gdzie znajdowało się schronisko Tingskoven, Dicte przyznała przed sobą, że tę część umowy trzeba będzie wkrótce renegocjować. Rose znalazła już sobie sporo przyjaciół i przyjaciółek w nowej klasie i nie była aż tak niezadowolona ze zmiany w swoim życiu, jak się tego spodziewała. Zaliczyła już zresztą kilka wyjść do kina i do miasta i Dicte dobrze wiedziała, że jej ostatni piątkowy wieczór spędzony w pojedynkę (bez córki) przed telewizorem to dopiero początek. Tak naprawdę - myślała, skręcając przy Viby Torv i jadąc dalej ulicą Skanderborgvej - są w drodze, żeby znaleźć psa właśnie dla niej, dla Dicte. Psa, którego trzeba nakarmić, z którym trzeba się pobawić i zaprzyjaźnić, który będzie ją odciągał od pracy w redakcji w mieście do dyżurów w domu, przeciwko którym w głębi duszy właściwie nic nie miała. Oczywiście mogła pracować poza domem. Redakcja nie była najistotniejsza, to raczej miejsce spotkania z kolegami, o ile oczywiście nie pojechali na wakacje, nie kończyli wcześniej, nie byli na szkoleniu, nie mieli zadań gdzieś w głębi kraju czy nie obstawiali wyników Mistrzostw Świata w Piłce Ręcznej w Polsce. Po dwóch miesiącach w tym mieście doszła do wniosku, że redakcja składająca się z sześciu osób oznacza w praktyce, że na miejscu nie można spotkać wszystkich osób naraz.

Dwadzieścia minut później sympatyczna kobieta oprowadzała je po schronisku, a nieprzyjemny zapach wwiercał się w nozdrza. Niektóre psy merdały przyjaźnie ogonami, inne siedziały w bezruchu i patrzyły przed

siebie pustym wzrokiem; jeszcze inne szczekały głośno, bo w końcu coś się działo.

Były tam i mieszańce, i psy rasowe. Duży, piękny nowofunlandczyk z wywalonym jęzorem przyglądał się im ciekawie. Średniej wielkości pudel stał na tylnych łapach, przednie opierając na kracie, i przyjaźnie merdał ogonem.

To Rose go znalazła. Mały, krótkowłosej czarny szczeniak z białymi łapami i białą szyją.

- Mamo, ten!

Dicte poczuła, że jej obrona rozpada się na kawałki.

Szczeniak był bardzo płochliwy. Dowiedziały się, że jakaś młoda dziewczyna znalazła go w porcie. Nikt nic nie wiedział o jego pochodzeniu. Pożyczyły dla niego klatkę, obiecując, że ją odniosą. Zanim doszły do samochodu, zadzwonił telefon Dicte. Wydawało jej się, że Kaiser był zdenerwowany.

-Dlaczego muszę dowiadywać się z Ritzau, że w balii dziecka znaleziono kartkę zapisaną arabskim pismem?

Potencjalne konsekwencje tego faktu uderzyły ją jak grom z jasnego nieba. Dlatego szybko podjęła się analizy sytuacji. To nie był dobry czas dla imigrantów. Katastrofa w Stanach Zjednoczonych i wzrost przestępczości w kraju sprawiały, że Duńczycy nie mieli ochoty okazywać zrozumienia wobec obcych kultur i religii. Istniało ryzyko, że wiadomość roznieci ogień już tłącej się wrogości wobec obcych.

- Musimy oczywiście naświetlić tę historię. Znajdź jakiegoś eksperta od języka i kultury arabskiej - nakazał Kaiser.

Szczeniak pisnął, przypominając jej o tym, że ma teraz o jeden

obowiązek więcej.

6

Najszczęśliwszy inwalida tygodnia mieszkał w posiadłości w True.

Kiedy Bo otrzymał tę propozycję, był bardzo bliski odmowy. Chciał powiedzieć im, że właściwie jest już jedną nogą w Pakistanie, gdzie ma zrobić dla agencji fotograficznej Magnum zdjęcia islamskim ekstremistom i właśnie dziś przed południem musiał załatwić sobie kamizelkę kuloodporną. Była to oczywiście bzdura. Żadne Magnum niczego nie zamawiało. A poza tym nie było go nawet stać na nową kamizelkę kuloodporną; musiał zadowolić się starą, zdecydowanie za małą. Kupił ją od Hansa Larsena, który dostał bardzo korzystną ofertę od „Gazety” i przeszedł na emeryturę. Poza tym Bo był do tyłu ze spłatami rat za samochód i miał w ostatnim czasie, ogólnie rzecz biorąc, napięte stosunki z bankiem, więc propozycja tygodnika spadła w miejsce tak suche, jak burza piaskowa w Afganistanie. Zawód freelancera nie był do końca taki wolny, jak wskazywałaby na to jego nazwa.

Bo włożył film do aparatu i rzucił go na siedzenie pasażera. Sprzęt wylądował wśród papierków po zużytych kliszach, obok klocków lego z kolekcji jego dzieci i atlasu samochodowego wschodniej Jutlandii, tak zniszczonego, że okładka z tyłu całkiem odpadła, a większość stron oblana była coca-colą. Nie wspominając o tych wszystkich okruchach z kanapek i ciastek, śladach tego, co zjadł w samochodzie od ostatniego sprzątnięcia.

Czyli od około roku.

Gdy jechał, poczuł, jak porusza się jego wewnętrzny niedźwiedź. Wiedział, że to nie najlepsza nazwa, ale nie miał pojęcia, jak inaczej to określić. Oczywiście była to jego tajemnica, zdawał sobie sprawę, że to po prostu śmieszne. Tym bardziej, że ściągnął pomysł od Brada Pitta z Wichrów Namiętności. Nie zmieniało to jednak faktu, że nie mógł tak po prostu zignorować niedźwiedzia, kiedy budził się w swojej kryjówce. Musiał go nakarmić, serwując mu dawkę adrenaliny. Nasycić go wyzwaniem. Reportażem w Turkmenistanie, wyprawą do Boliwii, gdzie mógłby sfotografować dzieci bawiące się na wysypisku śmieci, albo do Sierra Leone, żeby zrobić zdjęcia ludziom, którzy w czasie zamieszek stracili ręce i nogi. W jakimś miejscu daleko stąd. W świecie z dala od rachunków, nudnych, rutynowych zadań i zatruwających życie dziennikarzy, którzy myśleli, że: po pierwsze - potrafią pisać jak Hemingway, a po drugie - mogą mówić, jak fotograf powinien robić swoje zdjęcie.

Gdy zatrzymał się na czerwonym świetle na skrzyżowaniu w Skejby, zadzwoniła jego komórka. Hałas sprowadził go z powrotem na ziemię, do True, i przypomniał o mężczyźnie na wózku inwalidzkim, który wygrał milion w lotka. Jak wynikało ze zgniecionej karteczki, leżącej w jego kieszeni, to sąsiad inwalidy, hodowca świń, zadzwonił do redakcji z tą informacją, a szczęśliwy zwycięzca łatwo dał się namówić na wywiad. Dobra historia do „Familie Bladet”, którego czytelnicy uwielbiali reportaże o chorych ludziach pisane z przesłaniem „szczęśliwy mimo wszystko”.

- Gdzie ty jesteś? - zapytała dziennikarka prosto do jego ucha.

Zapomniał, jak się nazywała... Marie jakaś tam. Co prawda pracował z nią już wcześniej, ale nie należała do ludzi, którzy zapadają w pamięć. Co innego ta druga. Ta od wibratora. Chodziła mu po głowie od momentu, w którym ją poznał.

- Już jadę. Będę za dwie minuty - obiecał i rozłączył się.

Myśl o niedźwiedziu ustąpiła na moment miejsca wizerunkowi Dicte Svendsen ze zdjęcia jej przyjaciółki. Miał teraz przed oczami jej obraz, jak siedzi przy kawiarnianym stoliku z nakrapianym wibratorem w dłoniach. Dobre ujęcie, musiał przyznać. Ida Marie złapała to coś, czego nie było na pierwszy rzut oka widać. Coś jednocześnie dziewczęcego i dojrzałego w postaci Dicte. Ubrana była w letnią sukienkę, a lekki powiew wiatru uniósł jej gęste włosy tak, że fryzura straciła swoją formę i stała się asymetryczną chmurą. Ciemne niewydepilowane brwi kontrastowały z jasnymi włosami. W oczach kryło się zmartwienie, ale akurat w tej milisekundzie była bliska temu, żeby poddać się zabawie.

Bo westchnął. Kiedyś fascynowały go przeraźliwe chudzielce, wyglądające jak wieszaki do ubrań, ale to było, zanim odkrył geniusz formy. Zanim kiedykolwiek dotknął okrągłych bioder i piersi, które mieściły się tylko w naprawdę dużej dłoni. Kiedyś fascynowała go perfekcja, ale to było, zanim ją przedawkował i docenił urok tajemniczości. Ideał to nie jest - stwierdził w czasie jazdy. Tym lepiej, bo ideałami był do cna znudzony. Miał już dosyć tego zimnego piękna i teraz wolał piękno ze skazą. Jak na przykład ta mała blizna przy ustach, którą widział u tej dziennikarki. I małe kropelki potu, jakby cały dzień spędziła, pracując. Jak w ludowych powieściach Mortena Korcha.

OK, możliwe, że trochę sam się nakręcam - pomyślał i wszedł w zakręt

na trzecim biegu - ale to dlatego, że jestem głodny, a całe moje życie kręciło się w ostatnim czasie wyłącznie wokół dzieci, pracy i odpowiedzialności.

Parę filmów leżących luzem upadło na podłogę, a aparat na siedzeniu obok przechylił się. Bo wyciągnął rękę i postawił go, podczas gdy myśli przewijały się dalej.

Ta druga, ta adoptowana, też była niczego sobie, ale nie w jego typie. Była dosyć sympatyczna, ale należała do ludzi, którzy nie odsłaniają siebie ani na centymetr. Niemal automatycznie wcielił się w rolę Sherlocka Holmesa. Przybierał ją zawsze, gdy miał do czynienia z nieznanymi kobietami. Wydawało mu się, że Anne Skov Larsen zamyka się w sobie. Może nie na cztery spusty, ale w skorupie stworzonej z czegoś niedostępnego, którą zapewne niewielu mężczyzn zdoła rozłupać.

Z łatwością potrafił wyobrazić ją sobie jako położną taką która sama decyduje o przebiegu rzeczy. Właśnie dlatego pomyślał, że jej mężczyzna musi być naprawdę twardy. W przeciwnym razie zupełnie straci kontrolę i będzie musiał pozostawić jej wszystkie decyzje.

Skręcił i zatrzymał się, żeby sprawdzić na mapie, gdzie jest. Minął stare Skejby i dojechał do skrzyżowania ulic Herredsvej i Mariendalsvej. Przejechał obok stojących na wietrze koni oraz podmiejskich willi usytuowanych po drugiej stronie ulicy. Tutaj przebiegała granica miasta i wsi.

Pomyślał przez chwilę o ostatniej z trójki kobiet. Tej, która była w ciąży i która dała jemu i Dicte kliszę. Miała niespokojne oczy i wечно poruszające się dłonie. Pewnie często się uśmiechała, tego dnia jednak jej usta drżały.

Potrząsnął głową. Nie mógł do końca zrozumieć, dlaczego te trzy kobiety zajmowały jego myśli. Przecież i tak miał już dość kobiet. Na przykład Eva, która przez siedem lat ich wspólnego życia (owocem którego była dwójka dzieci) stopniowo stawała się kimś zupełnie innym. I, wielkie nieba, Cecilie, nowa dziennikarka sportowa „Gazety”. Młoda i silna, z krótkimi jasnymi włosami, zgrabnym tyłkiem i naturalnym podejściem do seksu. Żadnych zahamowań, ale i żadnych tajemnic, jeśli mógł oceniać.

Zaczynał się pocić na samą myśl o kobietach w ogóle i o niektórych ich przedstawicielkach w szczególności. Może powinien z tym skończyć. Zostać mnichem. Wyjechać do Tajlandii, zostać buddystą i wstąpić do klasztoru. Całkiem serio, czy seks po prostu już mu nie zbrzydł?

Kiedy wysiadał z samochodu przed domem z podjazdem dla wózków inwalidzkich, był spóźniony piętnaście minut. Miał przed sobą całkiem sporą posiadłość. Cztery budynki w doskonałym stanie. Podwórze wyłożone brukiem, mur pruski. Wyglądało na to, że budynek naprzeciwko też był zamieszkały. Może była to wyremontowana stara stajnia? Pod ścianą stały nowe okna.

W salonie podano kawę. Na stole leżał biały obrus, w wazonie stały kwiaty, a na półmiskach i w małych salaterkach schludnie ułożono ciasta. Domowej roboty - pomyślał, oceniając ich zapach, i wbrew swojej woli poczuł, jak udziela mu się ta domowa atmosfera. Przypomnił sobie dzieciństwo - rodzinne wieczory przed telewizorem, ekspres do kawy opryskujący kuchnię, a w niej mamę, która stukała filiżankami i smarowała masłem bułeczki. Był to zapewne któryś z jej lepszych dni.

Pięćdziesięcioletni obecnie szklarz Ole K. Sorensen, piętnaście lat

temu spadł z rusztowania i od tamtej pory był sparaliżowany od pasa w dół
- brzmiała informacja na zleceniu, która głosiła również, że jego żona Esther pracowała jako nauczycielka, a firmę przejął dorosły syn.

Ole Sorensen przywitał Bo przyjaźnie.

- Teraz najgorsze. - Zaśmiał się, spoglądając na aparat. - Nie jesteśmy za bardzo przyzwyczajeni do bycia fotomodelami.

Bo przybrał swoją wyluzowaną pozę. Tę samą którą stosował, gdy fotografował dzieci. Całkiem inaczej było z ludźmi mediów. Z politykami, z królami opinii publicznej i rekinami finansowymi. Z nimi obchodził się zupełnie inaczej.

- Może najpierw wypijemy kawę? - powiedział tonem, jakby mieli mnóstwo czasu. - Poza tym, chyba czuję domowe ciasto.

W Sorensenie było coś z wojskowego. Siedział na wózku wyprostowany, przykryty pledem i, mimo kalectwa, wzbudzał szacunek. Takie życie musi być jednak trudne - pomyślał Bo. Nawet, jeśli wygrało się milion.

- Mogłabyś, Esther?

Esther była potężną damą w średnim wieku, mniej więcej takim jak jej mąż. Jej ubranie było trochę staromodne, nosiła dostojną kwiecistą suknię, ale miała bardzo ładną okrągłą twarz i smutne brązowe oczy. Filizanka stuknęła dźwięcznie o spodek, gdy kobieta nalewała do niej kawy. Ole Sorensen wskazał w stronę młodej dziewczyny o budowie ciała podobnej do matki.

- Moja córka, Rikke. Chodzi do liceum - powiedział z dumą w głosie.

- Cześć! - przywitał się Bo i mrugnął do dziewczyny w nadziei, że rozluźni trochę atmosferę.

Rikke Sorensen próbowała się uśmiechnąć, ale on i tak zauważył jej zdenerwowanie. Dostała rumieńców i mimowolnie zaczęła obgryzać paznokcie. Wiedział, że to normalne, ale i tak nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego widok aparatu fotograficznego działał czasem na ludzi jak lufa Colta 45.

Podczas gdy Ole Sorensen gawędził z dziennikarką, Esther Sorensen stawiała przed nim nakrycie z taką za-dyszką, jakby przed chwilą biegła do autobusu.

- Co my zrobimy z tymi wszystkimi pieniędzmi?

- powiedziała cicho i zabrzmiało to prawie tak, jakby wygrana była powodem do zmartwień.

Uśmiechnęła się nieśmiało do Bo i położyła mu na talerzu spory precel. Gdy zaczął jeść, pomyślał, że z chęcią pomógłby im rozwiązać ten problem.

Ole K. Sorensen sięgnął po fotografię stojącą na stoliku przy sofie. Było to zdjęcie uśmiechniętej rodziny. Mama, tata i troje dorosłych dzieci.

- Oczywiście dzieci trochę dostaną - powiedział.

- To zdjęcie z ostatnich świąt Bożego Narodzenia.

Bo skinął głową i przez sekundę poczuł, jak coś ściska go w gardle. Przed oczami przeleciały mu stare zdjęcia rodziców i rodzeństwa. Wiedział aż za dobrze o tym, że wypiękniały pod wpływem czasu. Z jego rodziną, z jego dziećmi wcale nie było lepiej. Nie miał siły w ogóle o tym myśleć. Przełknął ostatni łyk kawy i spojrzał na dziennikarkę, która, jak sobie właśnie przypomniał, nazywała się Mona Hansen.

- Może spróbujemy zrobić te zdjęcia.

Gdy wracał do centrum, pomału zaczęła dopadać go depresja.

Potrzebował mocno nacisnąć pedał gazu, musiał coś zmienić w swoim życiu. Chciał wydostać się z tej codziennej rutyny, która, o czym był zawsze przekonany, nigdy go nie wciągnie. A jednak to się stało i to o wiele szybciej, niż przypuszczał. O wiele mniej boleśnie niż kiedykolwiek mogło mu się przyśnić. Stało się to jeszcze wtedy, kiedy małżeństwo i miłość szły ze sobą w parze. Teraz to się oczywiście zmieniło. Tylko dzieci trzymały ich razem i robiły to bardzo efektywnie. Powiedzmy sobie szczerze - nie mógłby się teraz, ot tak, wyrwać z tego bałaganu i wyjechać do Afryki Południowej. Niedźwiedź mógł marudzić, ile chciał, ale to nie byłoby po prostu w porządku. Poza tym zdawał sobie dobrze sprawę z tego, że tęskniłby za dziećmi, i że byłoby to trudne do wytrzymania. No, ale trzy tygodnie... może miesiąc. Jeśli trafiłoby mu się teraz wystarczająco dużo zleceń o podrzuconych dzieciach i szczęśliwych chorych ludziach, może udałoby mu się sfinalizować jedną taką wyprawę. Wtedy mógłby uciec od przytłaczającej go zwyczajności, od zleceń, które kierowały go do ludzi na kawę i domowe ciasto i, nie wiadomo dlaczego, doprowadzały do psychicznego dołka. Wtedy miałby gdzieś debet w banku.

Komórka zadzwoniła w momencie, gdy skręcił na parking przed redakcją „Gazety”, żeby sprawdzić, czy nie ma żadnych zleceń.

- Gdzie jesteś? - zapytała Dicte Svendsen. Było to jedno z pytań, które prawdopodobnie wszyscy dziennikarze świata zadawali nieświadomie nawet przez sen.

- Na parkingu przy redakcji. A ty?

- Na uniwersytecie. Robię wywiad z pewnym arabi-stą. Trzeba zrobić mu zdjęcie.

- A o co chodzi?

Krótko opowiedziała mu, co się stało.

- Przyjedziesz?

- Gdzie dokładnie?

Podawała mu adres, a on zawrócił samochód. Pędził jak tornado z jej obrazem przed oczyma, jakby była jedyną kobietą, która mogła przepędzić jego demony.

Siedziała w biurze ze swoją ofiarą, z notatnikiem na kolanach i wyglądała bardzo profesjonalnie. Zadawała właściwe pytania i tak błyskawicznie notowała odpowiedzi, jakby chciała pobić rekord świata w szybkim pisaniu. Spostrzegł, że palce miała umazane tuszem. Długopis musiał wylać, ale ona nawet tego nie zauważyła.

Potem wyciągnął arabistę z biura i zaprowadził do parku, ona poszła z nimi. Trzymała się trochę z boku, w szarpanej przez wiatr sukience, na tle trawy i pierwszych spadających liści. Poczł ogromną chęć, żeby skierować aparat na nią. Chciał złapać jej skoncentrowany wyraz twarzy, pionową zmarszczkę zatroskania na czole, lekkie wcięcie pomiędzy talią a biodrami. Ciepłe i żywe. Ale przecież był profesjonalistą, więc pstrykał zdjęcia mężczyźnie w zniszczonej kurtce, który właściwie nie najlepiej wyglądał na tle natury.

Później odprowadził ją do auta. Szła obok niego. Ta sama długość kroków. Ten sam rytm. Może powinien poprosić ją do tańca? Jego ręka wokół jej talii... Jej głowa na jego ramieniu...

Otworzyła drzwi samochodu. Rzeczywistość rozbiła nagle jego obraz i wyparła uczucie ciepła z żołądka. O kurde, ale go wzięło. Może powinien spędzić kilka minut z Cecilie w ciemni, żeby trochę to rozładować.

Usiadła. Przekręciła kluczyk.

- No, to do zobaczenia.

Odniósł wrażenie, że zabrzmiało to zbyt nonszalancko. Chciał już odejść, ale usłyszał, że silnik jej fiata uno rzezi, nie mając zamiaru odpalić.

- Cholera! - dobiegł go głos Dicte. - Znowu! Zawrócił. Spróbowała jeszcze raz i jeszcze raz. Pomyślał, że to musi być znak. Może los wybrał za niego.

- Potrzebujesz pomocy? - zapytał przez okno i przybrał zatroskaną minę.

Uderzyła rękoma w kierownicę.

- Nie pojedzie. Znam go. Jak raz się zbuntuje, to będzie go można odratować tylko na OIOM-ie.

- Jesteś mechanikiem?

Spojrzała na niego ze złością. W tej chwili mógłby ją pocałować.

-A jak myślisz?

-Chodź. Odwiozę cię do domu. - Otworzył jej drzwi.

- Powinnaś mieć w tym kaloryferze wodę. -Wodę?

Bo spojrział na nią, jakby właśnie oblała ważny egzamin.

- Nigdy wcześniej nie mieszkałaś w domu?

To do tego też potrzebne są specjalne umiejętności? - pomyślała Dicte i poczuła się nagle kompletnie zielona. Gdyby do prowadzenia domu potrzebowała prawa jazdy, na pewno by nie zdała.

-Nie można zadzwonić po jakiegoś fachowca? Hydraulika, czy kogoś takiego? - zapytała, chociaż zdawała sobie sprawę, że zabrzmiało to, jakby była rozpieszczoną dziewczynką.

Bo odwrócił się do kaloryfera i tak długo dłuwał przy zaworze, aż ten zaczął piszczeć. Poznała po plecach fotografa, że zaśmiał się szelmowsko. Siedział właśnie schowany do połowy pod jej stołem. Miała nadzieję, że nie podniesie się nagle i nie huknie głową w stół, co nieuchronnie zdradziłoby, że blat leży oparty tylko na jednym gwoździu.

- Dzwonisz też po elektryka, kiedy trzeba wymienić żarówkę?

Kaloryfer obudził ją rano sapaniem i skrzypieniem, termostat bowiem zaczął pracować po nagłej zmianie pogody.

- Tam, gdzie mieszkałam wcześniej, takie rzeczy robił dozorca.

Przez moment poczuła tęsknotę za mieszkaniem w Christianshavn, jednej z centralnych dzielnic Kopenhagi. Trzy sypialnie, widok na kopenhaski kanał. Musiała słono zapłacić za to, żeby odciąć się od swojego dawnego życia.

Bo wstał, wytarł ręce w nogawki spranych dzinsów. Jej wzrok zastygł na jego udach trochę zbyt długo. Zrzuciła winę na brak kontaktu z mężczyznami w ostatnim czasie, który wydawał się być wiecznością. W

każdym razie nie mogła wiązać się z kolegą z pracy. W dodatku z dużo młodszym kolegą, na którego najprawdopodobniej czekała w sypialni właścicielka rozmiaru 36. Do tego dochodziło jeszcze dwoje wspomnianych dzieci.

- Masz lejek?

Pytanie trochę ją zaskoczyło.

-Oczywiście, zaraz go znajdę - powiedziała po krótkiej pauzie i wiedziała, że jej nagłe zainteresowanie tym cholernym lejkiem mogło wyglądać podejrzanie. Byle tylko porzucić myśli sprzed chwili, bo w przeciwnym razie zacznie się czerwienić i będzie wyglądać na beznadziejnie zawstydzoną, tak jak na tym przeklętym zdjęciu.

Zacząła nerwowo szukać. Otwierała szuflady i szafki. Szła jak burza. Oczywiście, że miała lejek. Problem tylko w tym gdzie. Pewnie w niewypakowanych paczkach albo w garażu, bo używała go ostatnio do uzupełnienia oleju w samochodzie.

Gdy chwilę później wszystko tam przewracali, zastanawiała się, jak do licha mogło dojść do tego, że jakiś fotograf, którego ledwie zna, chodzi teraz po jej domu prawie jak po swoim i szuka lejka. Logiczna odpowiedź brzmiała, że przyczyną jest fakt, iż zgodziła się, żeby ją odwiózł, po tym jak ten gruchot się rozkraczył. Ale dlaczego się zgodziła? To właśnie było pytanie, które sobie stawiała, przyglądając się Bo, gdy ten gorliwie niczym pies tropiciel przetrząsał jej bałagan. O wiele prościej było przecież wziąć taksówkę.

Właściwie знаła odpowiedź. Wywiad popsuł jej i tak nie najlepszy poniedziałkowy humor. Sprawił, że czuła dziwną pustkę i musiała ją wypełnić, najlepiej zajmując się czymś normalnym. Porozmawiać o

zwyczajnych sprawach z jakimś zupełnie zwyczajnym człowiekiem. O czymś, co nie było tak przygnębiające, jak rozważania, dlaczego jakaś kobieta zostawiła swoje nowo narodzone dziecko w rzece.

Zadrzała, jakby stała w chłodnym garażu bez swetra. Rozpoznała samotność i dokładnie ją badała. Nie była to samotność w dosłownym tego słowa znaczeniu, tylko samotność wśród ludzi, którzy otaczali Dicte i których być może nawet bardzo kochała. Tak najprawdopodobniej było z tą zrozpaczoną matką, której myśli, jak się jej wydawało, znała. Ta biedna kobieta musiała czuć się bezgranicznie, cholernie samotna.

- Bingo! - Bo, po chwili szamotania, z trudem wydobył się z głębin garażu, gdzie światło prawie nie docierało. W ręku trzymał pomarańczowy plastikowy lejek. - Leżał na starym gramofonie.

Kiedy to mówił, podłoga pod nim zaczęła groźnie trzeszczeć, uskokzył na bok w momencie, gdy deska przełamała się na pół. Parę metrów kwadratowych podłogi, w innych miejscach zrobionej z twardego cementu, przykrywały deski.

- Halo! Co ty tu masz? Grób?

Szczerze mówiąc, nie zdziwiłaby się nawet, gdyby okazało się, że w tym dole leżą jakieś zwłoki. Wcześniej była tu przecież melina. To by było całkiem logiczne. Trupy w szafie... Kto ich nie miał?

Ona przyrządzała kawę, Bo majstrował z zaworem, lejkiem i wodą. Szczeniak popiskiwał ze swojej kryjówki pod stołem w kuchni i, ogólnie rzecz biorąc, wszystkie odgłosy brzmiały jak w prawdziwym domu. Na moment zapomniała, że w rzeczywistości nic nie jest takie, jak być powinno.

Wrócił do niej głos z uniwersytetu. Arabista Bjorn Gedsted był mocno

poruszony tą historią. Błyskawicznie zorientował się, że zapisana arabskim pismem kartka, przyszyta do ręczników, w które opatulone było dziecko, pochodziła z Koranu. Interpretacja tłumacza była taka, że jakaś młoda muzułmańska dziewczyna urodziła w tajemnicy dziecko i zaopatrzyła je w swojego rodzaju identyfikator. Może miała nadzieję, że dziecko zostanie pochowane zgodnie z muzułmańską tradycją albo odnalezione żywe i wychowane w jej wierze.

- Młode dziewczyny cierpią w tej kulturze najbardziej - powiedział dosadnie, gdy siedzieli razem w jego biurze i czekali na Bo. - To takie typowe. Strach przed tym, co powie głowa rodziny, czyli ojciec - dodał Bjorn Gedsted. Miał na sobie sztruksowe spodnie i sweter. Przypominał parodię profesora Słonecznika z komiksów o Tintinie. Pochylił się w swoim fotelu z dłońmi złączonymi czubkami palców. - Matka tego dziecka wiedziała, że w oczach swojej rodziny nie byłaby nic warta, że rodząc dziecko, a nie będąc po ślubie, przyniosłaby swoim najbliższym wstyd i hańbę.

Przez moment, gdy Dicte przyglądała się, jak za oknem pierwsza jesienna burza rzuca liśćmi w uniwersyteckim parku, dziennikarka odniosła wrażenie, że matka dziecka materializuje się przed nią. Nie chodziło o jej wiek, oczy czy włosy. Widziała zrozpaczoną postać w tym bezwzględny świat. Nieszczęśliwą zjawę, która już nigdy nie zazna spokoju i na zawsze pozostanie wewnętrznie rozdarta. Będzie nosić w sobie tęsknotę za dzieckiem i wstyd, że je zostawiła.

- W jaki sposób możemy odnaleźć tę dziewczynę? - spytała.

- Może najlepiej byłoby jej w ogóle nie szukać. - Gedsted wzruszył ramionami.

-Ale ona czegoś chciała. Miała jakiś cel, skoro przyszyła do ręcznika kartkę z Koranu. Może w rzeczywistości czeka, żeby ktoś ją odnalazł i jej pomógł? - zastanawiała się. Powstała z tańczących na zewnątrz liści postaci zbliżała się do Dicte coraz bardziej, chociaż dziennikarka wcale tego nie chciała.

Bjorn Gedsted położył ręce na brzuchu. Wyglądał jak pastor.

- Jeśli zostanie odnaleziona i jej rodzina dowie się o tym wszystkim, to nie tylko zostanie oskarżona o morderstwo przez duński sąd, ale też wykluczona z własnej społeczności.

Wykluczona. Słowa odbiły się echem w mózgu Dicte i nie wiadomo dlaczego, przypomniawszy sobie nagle, jak to jest być nastolatką. Mieć śmiałość, żeby łamać konwenanse i ponosić za to odpowiedzialność. Do tego naprawdę potrzeba odwagi - pomyślała. Nie takiej wojennej, widocznej u bohaterów. Tylko siły do tego, żeby być niezależnym. Dicte odnosiła niejasne wrażenie, że sama też kiedyś taką miała. Co się z tym animuszem stało? Gdzie jest teraz, kiedy nagle straciła wszystko to, co z trudem budowała przez ostatnie dwadzieścia lat?

Zaczęła się pocić, a jej dłonie zrobiły się lepkie. O Boże, jak bardzo chciałaby zostawić tę historię. Już lepiej pisać o morderstwie w przydrożnym rowie. Przynajmniej wiadomo, czego się spodziewać.

Ktoś zapukał do drzwi. To Bo, który z trudem się poruszał, dźwigając swoje aparaty. Poczowała wdzięczność, kiedy zajęli się praktycznymi sprawami; profesjonalne komendy, jakie wydawał Bjernowi Gedstedowi w parku, w którym gwizdał jesienny wiatr, coś w niej skruszyły i sprawiły, że czuła się dobrze. Były czymś, co dało jej oparcie.

-I co? Jak to się stało, że nagle przeprowadziłaś się do Arhus? - Bo

sięgnął po kolejne czekoladowe ciastko i rozkruszył je w ustach. Spojrzał na nią wzrokiem fotografa.

- Niedawno się rozwiodłam - powiedziała i poczuła, że mówi o tym z niechęcią. - Myślałam, że plotka rozeszła się już po redakcji - dodała i naląła sobie kawy.

Podniósł swój kubek do ust i ostrożnie przechylił.

- Słyszałem o rozwodzie, ale czy to nie jest trochę zbyt drastyczne, żeby przeprowadzać się tak daleko? Nie byłaś chyba żoną seryjnego mordercy?

- Musiałam wyjechać. - Wzruszyła ramionami. Patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Zauważyła, że ma zielone oczy. Na pozór neutralne, ale była z nich łagodna ciekawość.

- Naprawdę było to aż tak upokarzające? - spytał Bo.

Wiedziała, że się czerwieni. Nie mogła nad tym zapanować. Chciała powiedzieć mu, że to nie jego sprawa, co czuła wtedy, gdy jej życie wywróciło się do góry nogami. I co jeszcze cały czas czuje.

-Może jestem przewrażliwiona - powiedziała i usłyszała, jak gorzko to zabrzmiało. A przecież obiecała sobie nigdy tak nie mówić. Nigdy nie zgorzknieć.

Poczuła łzy, a potem złość na Torstena za to, co jej zrobił. Za to, że zdradzał i ranił, i zrobił z niej kogoś, kogo nienawidziła. Potem połówka psychologa, którym była, przypomniła jej, że potrzeba dwojga zarówno do małżeństwa, jak i do rozwodu, a ona też ponosi część winy, chociaż nie do końca zdawała sobie sprawę, co robiła źle. Słyszała głos Torstena, zmęczony od ciągłego tłumaczenia: „Zmieniłaś się. Kiedyś byłaś taka miła i wesoła. Teraz traktujesz wszystko zbyt poważnie”. Chciała mu

powiedzieć, że zdrada to dość poważna sprawa, którą mało kto bierze na wesoło.

Bo pomachał dłonią przed jej oczami, jakby chciał wyrwać ją z transu.

- Hej! - powiedział wesoło. Wiedziała, że robi to dla niej. - To dobra decyzja. Arhus jest w porządku.

Spróbowała się uśmiechnąć.

- To miał być początek czegoś nowego. Nowego życia. A jak to jest z tobą?

- Właśnie, jak to jest ze mną? - Szukał w pudełku jeszcze jednego ciastka i nagle powróciło to spojrzenie, którym patrzył na nią, pokazując jej zdjęcie z wibratorem. Wzrokiem zdejmował z niej bluzkę, gładził piersi i - niby przypadkiem - schodził jeszcze niżej.

- Jesteś żonaty? - zapytała i próbowała przybrać rolę starszej siostry albo życzliwej cioci, ale słowa z trudem przechodziły jej przez gardło, które stało się suche jak ciastko.

Czekał z odpowiedzią o sekundę za długo. Potem kiwnął głową.

- Z matką moich dzieci.

Matka dzieci. Proste. Te dwa słowa natychmiast przerwały jej niezbyt siostrzane myśli. Nie wolno ruszać facetów, którzy byli mężami matek swoich dzieci. Poza tym mogłaby przecież być, może nie jego matką, ale o dziesięć lat starszą siostrą (tak plus minus rok lub dwa) już tak.

- Brzmi wspaniale - wydusiła z siebie, chociaż wiedziała, że było dokładnie odwrotnie.

Wykonał ruch głową, który równie dobrze mógł być potwierdzeniem i zaprzeczeniem.

- Mamy trochę problemów - przyznał.

Miała ochotę go uderzyć. Prawie usłyszała, jak Tor-sten mówi to samo Sandrze, poznanej w stołówce telewizji. Według tego, co tamta twierdziła, od samego początku dał jej zielone światło właśnie tymi trzema słówkami: „Mamy trochę problemów”.

Odsunęła się od stołu. Miała mętlik w głowie. Tak jakby diabeł kusił ją tą samą przynętą, która usprawiedliwiała wiele skoków w bok Torstena. Zwłaszcza ten ostatni i nieodwołalny. Bo też wstał.

- Chyba muszę już pójść. Dzięki za kawę.

- Proszę bardzo - powiedziała cicho, odwrócona do niego plecami, wynosząc filiżanki do kuchni. Szedł za nią z dzbankiem do kawy. Czuła, że stał za jej plecami, gdy ona wkładała naczynia do zmywarki. Miała ochotę odwrócić się, złapać go, potrząsnąć i płakać, i kochać, i znaleźć na nowo sens. Strach był jednak większy, jej dłonie zacisnęły się wokół zimnej porcelany, a palce zawięły wokół ucha filiżanki tak, że ledwo mogła je wyplątać.

- Te ręczniki - odezwał się nagle.

Odwróciła się. Zmusiła się, żeby na niego spojrzeć, na jego nieporządną sylwetkę, na wytarte džinsy i zmierzwione włosy, ale unikała jego wzroku. Matko, to był przecież jeszcze młody chłopak. Nie wart takiego zachodu.

- Jakie ręczniki?

- Te, które były przy dziecku, w balii. W które wszyta była ta kartka.

- Co z nimi?

- Mamy przecież ich zdjęcia - kontynuował. - Może jest na nich jakiś trop prowadzący do matki?

Oparła się o kuchenny stół i poczuła zapędzona w kozi róg. Pomyślała,

że musiał to wyczuć i zauważyć jej pot. Drżała na myśl o bliskości.

- Gdzie one są?

- Mam kopie w samochodzie. - Gdy to mówił, na jego twarzy zagościł głupkowaty uśmiech. Dobrze wiedziała, co go wywołało. To znowu wibrator. Wyglądało na to, że ten prezent będzie prześladował ją do końca życia.

- Może je zobaczymy? - zaproponowała.

Przyniósł plik zdjęć, a ona po długich poszukiwaniach znalazła lupę. Próbowała przypomnieć sobie, jakie były te ręczniki, ich grubość, jakość, ale wyleciało jej to z głowy.

- Tu. Tu coś jest. Jakiś znaczek - powiedział cicho Bo.

Ale nawet z lupą nie byli w stanie go rozpoznać.

- Mogę powiększyć zdjęcie, jak je jeszcze raz wywołam - zaproponował. - Może warto spróbować?

Skinęła głową. Spojrzała na niego i zastanawiała się, dlaczego akurat ten tak nieporządnie wyglądający mężczyzna pojawił się w jej życiu. Czy był w tym jakiś sens? Czy może była to dla niej próba, żeby zobaczyła, iż tak naprawdę jest tak samo słaba jak Torsten. Tak samo jak on przerażona swoim wiekiem, swoim życiem i jego wszystkimi niedokończonymi sprawami. Odsunęła na bok te myśli.

- Spróbować zawsze warto - powiedziała.

- Śpisz? - zapytała Anne.

Anders poruszył się, mamrocząc pod nosem coś, co pewnie miało być odpowiedzią na jej pytanie. Anne przyglądała się jego plecom. Miał wystającą łopatkę. I znamię na samej górze, które do złudzenia przypominało duńską wyspę Langeland. Raczej widziała, niż słyszała, że głęboko oddychał. Nagle coś sobie uświadomiła. On miał dość jej i jej gadaniny. W tym momencie jednak bardzo go potrzebowała, chciała żeby wysłuchał, co ona ma do powiedzenia. Poczwała to z taką pewnością jak wtedy, gdy wiedziała, że spodziewa się Jacoba. Nie mogło być inaczej.

- Był taki malutki - powiedziała tak, jak to zrobiła już wiele razy tego dnia oraz poprzedniego. - Wyglądał, jakby spał. Miał takie ciemne włosy. Całkiem czarne. Cały czas myślałam tylko o tym dlaczego? Stałam tam, trzymałam go na rękach i pytałam samą siebie: dlaczego? Wszystkie o to pytałyśmy.

Obrazy przesuwwały się w jej głowie w zawrotnym tempie. Cały czas od tamtej chwili. Jak film, który nie mógł się zatrzymać i leciał w kółko.

Anders przestał udawać, że śpi i przewrócił się na plecy. Mógłby przynajmniej mnie przytulić - pomyślała. Pokazać, że rozumie. Ale tak jak przypuszczała, nie zrobił tego.

-Musisz w końcu przestać o tym myśleć - westchnął. Zauważyła, że przyglądał się jej w półmroku. Wyraźnie widziała jego senne spojrzenie i długie rzęsy na tle delikatnej skóry. - Przecież nie pierwszy raz widziałas martwe dziecko.

Dobrze znała tę odpowiedź. Wciąż pozostawał przy swoim logicznym myśleniu. Ziewnął.

-Nie możesz uratować wszystkich niechcianych dzieci świata.

Nie mówił tak dlatego, że był nieczuły. Dobrze o tym wiedziała. Było wręcz odwrotnie. On po prostu nie mógł znieść tego tematu. Twierdził, że od razu dostawał bólu brzucha. Teraz też powinna przestać. Nic nie mogła na to poradzić.

Jednak nie potrafiła tego zrobić. Jakby coś w niej chciało go zmusić, by się obrócił, spojrzał jej w oczy i dostrzegł, że świat bywa też okrutny, brzydki i niesprawiedliwy. Nie składa się z czystego piękna, tak jak się to dzieje, gdy mąż wyczarowuje Mozarta ze swojego oboju w orkiestrze symfonicznej. Anders zawsze miał problemy z ciemną stroną życia. Wiedziała, co jest przyczyną. To on znalazł ojca po tym, jak ten się powiesił. Powinna zatrzymać to w sobie. Być wyrozumiała. Ale to musiało wyjść.

- Był jeszcze ciepły - przypomniała sobie i znów poczuła ciężar tego martwego dziecka w swoich ramionach. - Być może umarł kilka minut wcześniej.

-Anne!

Zabrzmiało to tak, jakby powiedziała coś obrzydliwego podczas jedzenia. Odwrócił się do niej plecami i naciągnął kołdrę na głowę.

- Przepraszam - wyrwało się jej. - Nie mogę przestać.

Zazwyczaj, gdy coś smutnego wydarzyło się w pracy, zatrzymywała to dla siebie. Dobrze wiedziała, że on żyje w innym świecie. Składającym się tylko z piękna. Wiedziała również o tym, że wolał zachować swoje romantyczne wyobrażenie o jej zawodzie. Chciał myśleć, że jest aniołem, który przynosi dzieci na ziemię lekko i bezboleśnie, jakby to był spacer po parku. Czy nie zemdłał, kiedy rodziła Jacoba? Czy nie zadeklarował

potem, że jego noga już nigdy więcej nie postanie na porodówce, bo to co zobaczył zniszczyło jego mistyczne podejście do porodu i zrobiło z całego wydarzenia coś krwawego i strasznego? Mógłby powiedzieć: coś obrzydliwego, ale powstrzymał się.

Anne wytłumaczyła mu, że tak to właśnie wygląda. Poród pełen był krwi, śluzu i tego, co może się wydostać z wszelkich otworów w ciele człowieka. Mimo bólu było tam i piękno, które czyniło z tego wydarzenia coś niemal świętego. Jednak na trzy miesiące Anders stracił ochotę na seks, a jej ciało zaczęło mu się nagle kojarzyć z koszmarem - było uosobieniem krzyku, krwi i bólu. Uśmiechnęła się do tych wspomnień.

Anders, zagorzały przeciwnik służby wojskowej z Hobro, który nie skrzywdziłby nawet muchy i nie mógł znieść widoku krwi. Nawet własnej. Zakochała się w nim, gdy razem z przyjaciółką zablądziła w drodze na imprezę na wydziale muzycznym. Przystojny Anders ze zgrabnymi palcami i piękną cerą. Jego oczy wyglądały jak roztopiona czekolada. Czasami myślała, że być może Bóg chciał, aby był dziewczynką. Igraszka losu sprawiła jednak, że urodził się chłopcem i bardzo dużo czasu poświęcał na to, żeby podkreślić swoją męskość. Nosił skórzane spodnie i kowbojskie buty i poruszał się jak facet, który właśnie zsiadł z konia. Swojej wrażliwości nie mógł jednak zakryć ani ćwiekami, ani skózanymi kurtkami. Dzięki niej zarabiał na życie. Troszczył się o siebie, tak jak inni dbają o kwiaty w ogródku.

Westchnęła do jedwabistej skóry na jego plecach. Wciągnęła nosem jego zapach. Zazwyczaj zносиła to wszystko, bo potrafił czarować. Gdy się kochali, zachowywał się jak niewidomy. Jakby wszystkie zmysły znajdowały się w tej chwili w opuszkach jego palców dotykających jej

ciała. Swoim obojem sprawiał, że baśń stawała się rzeczywistością i zabierał ją do świata piękna.

Ale ten świat jest iluzją - pomyślała, leżąc obok niego. Nie miał nic wspólnego z rzeczywistością. Nic wspólnego z dzieckiem w rzece.

- Zabrali go do szpitala, do Instytutu Medycyny Sądowej - powiedziała cicho, chociaż wiedziała, że on już prawie zasnął. Chciała jeszcze dodać, że na pewno od razu zrobili mu obdukcję, ale tego Anders z pewnością by nie wytrzymał. Raczej nie mogła liczyć na jego wsparcie.

- Nie moglibyśmy już zasnąć? - Ziewnął. - Mam jutro długą próbę.

I koncert wieczorem - mogłaby dodać. Bardzo trudno było im się zgrać. Mieli dwie zupełnie różne prace.

Jacob miał teraz sześć lat i na szczęście mógł zostawać po szkole w świetlicy, jeśli nie było ich w domu. Trudno to pouklądać. Zwłaszcza gdy ona ma wieczorny dyżur, a Anders jest na koncercie. Wtedy zostaje tylko teściowa, a za jej pomoc trzeba słono zapłacić. Nie chodzi oczywiście o pieniądze, ale o słowa. Teściowa nie zna granic, kiedy zaczyna opowiadać o swoich chorobach. Tak to już musi być, skoro niektórzy sądzą, że Anne jest prawie lekarzem.

- Dobranoc, skarbie - dobiegło zza pleców Andersa.

Jeszcze przez chwilę w jej głowie kłębiły się myśli, aż przemieniły się w nocne wizje. Obróciła się z trudem w łóżku. Poczowała bardzo silną potrzebę, żeby przysunąć się do niego, przytulić i upewnić się, że wciąż mają siebie nawzajem i mogą wszystkiemu razem zaradzić, że dają sobie moc. Może było to jednak iluzją, tak jak jego świat piękna. Może szukała w nim siły, której on nie ma i nigdy nie miał.

- Co dzisiaj mamy? Kto przyniesie kawę?

Oddziałowa położnych Vibeke Termansen rozpoczęła porAnne zebranie. Maria, najmłodsza położna na porodówce, popatrzyła na kartkę i zaczęła wyliczać.

- Oprócz tych, które już urodziły, są dwie pierworódki, jedna z bliźniakami. Pięć porodów, miejmy nadzieję, bez komplikacji, jeden poród pośladkowy, jedno dziecko martwe.

Przy stole zapanowała cisza, jak zawsze, gdy była mowa o martwych noworodkach.

-Inge Jespersen... Jak ona się czuje? - zapytała Anne.

Pytanie było właściwie zbędne. Rozmawiała już z tą kobietą. Wiedziała, że walczyła o to dziecko i że wcześniej trzy razy poroniła. W wieku 36 lat udało jej się utrzymać ciążę tak długo, że poród stał się osiągalny. Wyznaczono termin, miała rodzić za miesiąc, ale tydzień temu Inge Jespersen poskarżyła się, że od doby nie czuje ruchów dziecka. Nie było słychać bicia serca. Badanie wykazało, że dziewczynka umarła. Przyczyna nieznana.

- Tak jak się można tego spodziewać - powiedziała cicho Vibeke, która widziała więcej martwych noworodków niż one wszystkie razem wzięte. - Kto się nią zajmie?

-Ja - powiedziała HAnne, która przyjechała z Ringkobing i zawsze była pełna energii.

Anne przez chwilę siedziała w ciszy, żeby ochłonać.

- Dzwonili z policji - powiedziała po cichu Vibeke. -W związku z dzieckiem w rzece? - zapytała

Anne.

Vibeke przytaknęła.

-Chcieli wiedzieć, czy nie mieliśmy na badaniu jakichś bardzo młodych dziewczyn z innym niż duńskie pochodzeniem etnicznym, jak to się teraz mówi. Dziewczyn, które nie wróciły na poród.

- Szukają tylko obcokrajowców? - spytała Marie, która nie przejmowała się tak bardzo poprawnością polityczną. Albo się było Duńczykiem, albo nie i większość z obcym pochodzeniem należała do tej drugiej kategorii. Ugryzła bułkę. -I tylko bardzo młodych?

Oddziałowa wzruszyła ramionami.

- Wiem tylko tyle. Powiedziałam im, że nie było tu nikogo, kto by pasował do ich opisu i że depresja poporodowa może dotknąć zarówno starsze, jak i młode kobiety. Jeżeli w ogóle to było przyczyną.

Anne kiwnęła głową. Na tym oddziale widziały już wszystko. Kobiety, które na widok noworodka odwracały głowę i nie chciały się nim zająć. Kobiety, które rodziły apatycznie, bez cienia radości. Kobiety, które przechodziły akurat kryzys w swoim życiu i nie miały siły zająć się dzieckiem. Jednak jeśli rodziły w szpitalu, były przynajmniej pod obserwacją i mogły liczyć na pomoc.

Matka małego Mojżesza na pewno rodziła sama albo z niewielką pomocą. Bez profesjonalnej opieki i wsparcia. Przecież gdzieś tam teraz była. Zdesperowana. Nieszczęśliwa. Może nawet nie pamięta tego, co zrobiła, jeżeli w ogóle ona to zrobiła. Ktoś musiał przecież coś wiedzieć. Ktoś musiał przecież ją znać. Sąsiedzi, rodzina, znajomi. Ciężko być w ciąży, tak żeby nikt nie zauważył. Większość ludzi obraca się w jakimś kręgu, nawet jeśli jest nim tylko najbliższa rodzina. A może więcej osób o tym wiedziało? I czy to w ogóle matka włożyła dziecko do balii i pozwoliła, by odpłynęło z nurtem rzeki?

-Anne? Wszystko w porządku? - Vibeke Terman-sen przyglądała się jej z uwagą.

Anne skinęła głową.

-Na tip-top. - Wypiła ostatni łyk kawy i wstała z miejsca.

Późnym popołudniem, gdy musiała się poddać i wezwać lekarza do cięcia cesarskiego, poczuła zmęczenie. To było jak uderzenie młotem, całkowicie niespodziewane, znenacka. Z trudnością utrzymywała się na nogach, które były jak z waty. Pot ciekł jej po plecach. Jej, która nigdy się nie pociła.

Pomyślała, że to pewnie reakcja na ostatnie wydarzenia. Poczwała, że musi chwilę posiedzieć. Pocieszyć się w ciszy widokiem któregoś z nowo narodzonych dzieci i odpędzić od siebie demony śmierci i nieszczęścia, których zakładnikiem stała się od momentu wczorajszego znaleziska w rzece.

Poprzedniej nocy była przy porodzie młodej kobiety, którą знаła z pierwszego porodu sprzed dwóch lat. Kobieta urodziła córeczkę z długimi ciemnymi włosami i wielkimi pięknymi oczyma. Mimo że to jej drugie dziecko, była bardzo zdenerwowana. Prawie spanikowała i o mały włos uniknęli ssaka. Szczęśliwie dziecko przyszło na świat bez żadnego zadrapania ani guza, ale matka niestety ucierpiała podczas porodu i musieli ją potem długo zszywać.

Anne poszła korytarzem do dwuosobowej sali, na której leżała kobieta ze swoim dzieckiem. Myślała, że rozmowa nie zajmie jej dłużej niż dwie minuty. Potrzyma przez chwilę dziecko. Poczucie jego ciepła i oddech. Popatrzy jak macha małymi rączkami i porusza ustami, jakby ssało. Otuli ją ten słodki zapach nowego życia. Gdy uchyliła drzwi, zobaczyła, że

matka i położone w łóżeczku obok dziecko śpią. Już miała pójść, gdy nagle ogarnął ją niepokój w tym jasnym, słonecznym pokoju, z którego widać było jesień i opadające z drzew liście.

Być może to lata pracy z dziećmi kazały jej to zrobić albo po prostu miała potrzebę, żeby zobaczyć, czy dziecko oddycha. Czy żyje. Było przeciwwagą, której właśnie teraz potrzebowała. Gdy spojrzała w głąb wysokiego łóżeczka, poczuła, jak jej serce przestało na chwilę bić.

Dziecko żyło, tego była pewna. Oddychało spokojnie i miarowo.

Sprawdziła to zupełnie instynktownie, przykładając dłoń do jego małych ust i czując ciepły strumień powietrza. Coś jednak było nie w porządku.

Coś strasznie złego, czego konsekwencji, stojąc tam, nie potrafiła sobie nawet wyobrazić. Ktoś był tu wcześniej. Ktoś stał tam, może tak jak ona teraz, nachylony nad dzieckiem, podczas gdy matka spała. I czarnym, grubym mazakiem napisał na czole dziecka sześć liter: ŚMIERĆ.

Litery podkreślone były grubą wściekłą kreską.

Najlepiej zająć się codziennymi sprawami. Czymś powszednim i logicznym, żeby móc przestać myśleć o niebieskich baliach w rzece Arhus. W tym przypadku Dicte musiała przyznać, że dobrze było mieć dom, w którym -jak się okazało w ciągu pierwszych tygodni jej urzędowania - roilo się od usterek, do których usunięcia potrzebna była tak zwana „złota rączka”.

Dzisiaj, gdy wymieniała żarówki w lampach na podwórku, nie miała całkowitej pewności, czy jej ręce były wystarczająco sprawne. Właściwie to raczej próbowała wymienić, bo oczywiście okazało się, że to nie takie proste. Przyczynił się do tego poprzedni właściciel domu, który postawił na otaczającym go murze dwa rodzaje lamp, wymagających różnych żarówek. Ponadto Dicte nie miała drabiny, tylko beznadziejny, chwiejący się na wszystkie strony stołek. I jeszcze cztery kociska sąsiada postanowiły usadowić się wokół niego tak, że za każdym razem, gdy schodziła, lądowała na ich miękkiej sierści albo następowała na długie ogony.

- Cholera! Uch, ja piee...

Gdy w końcu udało jej się odkręcić zardzewiałą śrubę i podnieść abażur, całe szkło spadło na ziemię. A raczej na koty, które odskakiwały w wielkim pośpiechu. i na nią. Żarówka się pobiła, na dłoniach i kurtce miała pozostałości abażuru i przez chwilę nic nie słyszała, bo hałas tłuczonego szkła dzwonił jej w uszach. Przebiegł ją zimny dreszcz. Poczowała, jak wkrada się niepokój. Nawet do tego małego domku na wsi dotarło jakieś szaleństwo - zatrwożyła się.

„ŚMIERĆ”. Anne była zupełnie roztrzęsiona, gdy rozmawiały przez

telefon i później, gdy spotkały się na filiżankę kawy pocieszenia w Cafe Kindredt.

Jedno jedyne słowo. Sześć liter. I nic już nie było takie jak wcześniej.

To był jej pierwszy dzień dyżuru w domu. Pierwszy z całej serii dyżurów, w czasie których mogła wykonywać swoje zawodowe obowiązki, pies nie musiał siedzieć sam, a przerwy mogła wykorzystać na zaległe prace. Czekać na telefony, zdążyła już umyć podłogę w kuchni i wypakować dwa kartony, co potwierdziło jej starą teorię, że praca dziennikarza polega głównie na czekaniu na reakcję źródeł, którym przekazało się jakąś wiadomość. Czyli, innymi słowy, dziennikarze zazwyczaj zajmowali się czekaniem. I właśnie w tym czasie biegały jej po głowie różne myśli. Dziecko w rzece, słowa na czole noworodka. Nagle poczuła, jakby ściany zaciskały się wokół niej. Postanowiła popracować na podwórku. Zaczęła szukać śrubokręta, żeby wymienić żarówki. Miała zamiar zagrabić jeszcze opadłe gnijące liście, gdy zadzwonił telefon i przypomniał jej, że jest w pracy.

Zeskoczyła niezgrabnie ze stołka i utorowała sobie drogę między czterema tygrysami. Dobiegła po czwartym sygnale, z wielką nadzieją że to psycholog, z którym miała niedawno wywiad o mobbingu w pracy. Artykuł powinien być gotowy jeszcze dziś.

- Tu Dicte.

- Svendsen! - głos Kaisera brzmiał niepokojąco wesoło. - Co tam się u was dzieje? Najpierw dziecko w rzece, a teraz jakiś grafficiarz szalejący po porodówce.

Oczywiście, już o tym wiedział. Nie tylko ona miała przecież kontakty. Jak mogła pomyśleć inaczej.

- Nie wydaje mi się, żeby te dwie historie miały ze sobą jakiś związek
- zaryzykowała.

-Ale musisz przyznać, że to trochę dziwny zbieg okoliczności. Od razu przychodzą na myśl limeryki typu „Wszystkie dzieci...” - tu urwał.

Wiedział, że ona i tak dokończy w myślach.

W zeszłym roku Rose dostała jedną z tych książeczek pod choinkę i bardzo dobrze się bawiła, czytając limeryki na głos w świąteczne dni. Przebiegł ją dreszcz, gdy przypomniała sobie jeden z nich. Wszystkie dzieci stały przy nagrobku - z wyjątkiem Bitten, leżała w środku.

- No, żarty na bok - powiedział Kaiser poważniejszym głosem. Może mimo wszystko był człowiekiem. - Oczywiście musimy mieć tę historię. Teraz, gdy i tak piszesz o tamtej, mogłabyś zająć się i tą sprawą.

Mogłaby, oczywiście. Teoretycznie. Poza tym, że nie miała ochoty, ale to był przecież szczegół, którego on w ogóle nie brał pod uwagę.

Wiedziała o tym, że sam ma dwoje wnucząt. Gdyby to mogło mieć na niego jakiś wpływ. Gdyby mógł wyobrazić sobie strach, który czuła. Który może wszyscy czuli. Ten nieokreślony lodowaty lęk przed tym, że ktoś, jakiś obcy człowiek, chciał zrobić czyimś dzieciom krzywdę, że chciał je zabić.

Oczywiście, że to poczuł. Musi to czuć - pomyślała. I właśnie dlatego wiedział, że wszyscy będą czytali tę historię. Wszyscy wystraszeni ojcowie i matki chciwie ją połkną. Wszystkie kobiety w ciąży. Wszyscy rodzice małych dzieci, którzy codziennie powierzają swoje pociechy opiece pań w żłobkach i przedszkolach. Bo gdzie można teraz czuć się bezpiecznie?

-Nie możemy dolewać oliwy do ognia i straszyć wszystkich rodziców -

powiedziała głosem redaktora, którym nie była.

-Oczywiście - odparł powściągliwie - ale mamy też obowiązek chronić prawdę.

Prawda. Najczęstsze alibi, żeby sprzedać gazetę.

- Wydaje mi się, że Holger wrócił już z urlopu - powiedziała.

Przez chwilę w słuchawce zapanowała cisza, Dicte usłyszała, że Kaiser coś przeżuwa. Ciasto czekoladowe?

-Holger Davidsen ma coś innego na głowie -rzekł.

Ciekawe. Holger Davidsen był redaktorem działu kryminalnego i, jeśli się dobrze orientowała, to on powinien zająć się tym materiałem. Miał kontakty w policji, znał dobrze adwokatów i prokuratorów, i, ogólnie rzecz biorąc, był wkręcony w całą tę machinerię, która napędzała system sprawiedliwości.

- Co chcesz mieć?

- Wszystko, oczywiście. Dyrekcję szpitala, policję. No i sylwetkę.

-Czyją?

W myślach już to widziała. Sylwetkę jakiegoś policjanta, który przypadkowo zajmował się tą sprawą, tak przypadkowo jak ona. Telefony do rodziny i znajomych, żeby się dowiedzieć, jakie ma hobby, czy nosi ciepłe ubrania i lubi zwierzęta. I dzieci.

- Miasta strachu - powiedział Kaiser teatralnie i zrozumiała, dlaczego to ją wybrał do napisania tego artykułu. Nie wystarczyły mu suche fakty. Zależało mu na uczuciach. Chciał wstrząsnąć czytelnikami. Dotyczyło to również jej, żeby jej własne uczucia spłynęły między słowami na linijki gazety. Chciał zdobyć jej duszę, ale nie mógł dostać całej. Nie mógł rozbić jej na kawałki i obnażyć tego, co z takim trudem ukrywała.

W redakcji Holger Davidsen pisał coś na klawiaturze, przytrzymując ramieniem słuchawkę telefonu i od czasu do czasu zadawał pytania uzupełniające. Obok telefonu pomrukiwał mały dyktafon.

- Czy to oznacza, że nie są przestrzegane żadne środki ostrożności? Że każdy może sobie tak po prostu wejść?

Pauza, w czasie której notował. Poznała po jego szyi, że jest wzburzony. Kark miał napięty, a krótkie włosy sterczały gniewnie. Holger był w wieku Dicte. Gwiazda działu kryminalnego. Prawie zawsze tak umiał przedstawić historię, że trafiała na pierwszą stronę. Morderstwo prostytutek w Randers, bandy chuliganów, które napadały na niewinnych konfirmantów, przemyt dziewczyn z Europy Wschodniej do żydowskich burdeli. Jakkolwiek mu się to udawało, Holger zawsze potrafił znaleźć się w odpowiednim miejscu.

- Chce pan przez to powiedzieć, że ktoś mógł, teoretycznie rzecz biorąc, po prostu wynieść stamtąd dziecko? - zabrzmiało to raczej jak ostra uwaga niż pytanie.

Zanim rozłączył się z rozmówcą i odłożył słuchawkę, zdążyła pomyśleć, że na drugim końcu linii był pewnie dyrektor szpitala.

Jej, pożał się Boże, historia.

Kaiser uważał, iż Dicte powinna zająć się tą sprawą, pewnie dlatego, że była kobietą albo dlatego, że znała Anne. A może uważał, że będzie zabawnie, gdy napuści na siebie nawzajem kolegów z pracy, bo najwidoczniej zapomniał poinformować Holgera Davidsena o swojej decyzji.

- Co? Wybrudziłem koszulę jajkiem? Zapomniałem zapiąć rozporek? - spytał zdezorientowany Holger.

Dopiero wtedy dotarło do niej, że stoi tam i gapi się na niego. Nie chciała, żeby doszło do tej sytuacji. Chciała tylko, żeby on i Kaiser znaleźli się daleko, daleko stąd.

- To ze szpitala? - spytała Dicte, sprawnie zmieniając temat.

Podrapał się po głowie. Odepchnął się od biurka swoją długą nogą.

-Tak. Ale jaja. Można tam sobie normalnie wejść, to nieprawdopodobne!

Miała ochotę zapytać go, co takiego nieprawdopodobnego w tym widzi. Jednak wiedziała, co jej odpowie: że 11 września i że wszędzie trzeba zaostrzyć środki bezpieczeństwa. Że przecież po porodówce mogliby sobie chodzić terroryści z bombami na plecach.

-Jutro to będzie pierwsza strona - kontynuował. - Nie mam żadnych wątpliwości.

- Rozmawiałeś z Kaiserem? - zapytała ostrożnie.

- Przecież on jest w Kopenhadze. - Spojrzał na nią, nic nie rozumiejąc.

Już miała powiedzieć, że wynaleziono coś takiego, jak telefon, gdy ten właśnie zadzwonił. Obydwoje gapili się na aparat przez krótką chwilę, po czym Holger podniósł słuchawkę.

- Davidsen - powiedział głosem, w którym skoncentrowana była pewność siebie całej męskiej części świata.

Usiadł przy biurku i włączył monitor, słuchając jednym uchem. Powietrze bardzo szybko uszło z jego głosu, który stał się suchy i cichy.

-OK... OK. Ale... Ale...

Cała rozmowa trwała może trzy minuty i skończyła się wybuchem wulkanu.

-Dobra!!! Skoro chcesz... Cześć.

W tym momencie zapragnęła być bardzo malutka. Schować się w komputerze albo stać się myszką, która leży osłonięta jej prawą ręką.

- To był Kaiser - poinformował sucho Holger. Jego entuzjazm ulotnił się bezpowrotnie. - Wygląda na to, że teraz to twoja sprawa. Kobięcy reportaż. Sprawa o dzieciach. Logika dzieci i kur. I kobiet.

I redaktorów - pomyślała. Tępo gapił się na nią.

- Mogłaś mi o tym powiedzieć - powiedział. Miała ochotę powiedzieć mu szczerze, że jeśli o nią chodzi, to może sobie zabrać cały ten bajzel, ale pomyślała, że to nieprofesjonalne. Jest w tym momencie dziennikarką działu „Wydarzeń”, czyjej się to podoba, czy nie. Poza tym coś w jego zachowaniu sprawiło, że krew się w niej zagotowała.

- Nie zdążyłam - powiedziała krótko i z rezerwą.

- Nie zdążyłaś - zadrwił. - Masz rację. Nie masz zbyt dużo czasu, jeśli chcesz to napisać do jutra.

Gdy wziął do ręki dyktafon, Dicte była przekonana, że dziennikarz zaczął kasować wywiad ze szpitalem.

-Posłuchaj no, Holger - zaczęła. - Nie prosiłam o to zadanie, rozumiesz? I potrzebuję pomocy.

Nie było jednak szans, żeby ją otrzymać od kogoś, kto był teraz jej konkurencją (czy tego chciała, czy nie). Drżącymi rękoma zaczęła szukać w książce telefonicznej numeru do szpitala. Spokój i opanowanie. Spokój i opanowanie - powtarzała sobie, przewracając strony. Dostali nakaz, żeby nie używać informacji telefonicznej częściej niż to konieczne. Właśnie wybrała numer, gdy do redakcji wbiegł, pogwizdując, Bo. Rzucił torbę na kanapę i położył jej przed nosem jakieś powiększone zdjęcie.

- Je t 'aime.

- Kogo?

Bo wskazał na fotografię.

- Nazywa się Je t 'aime. Nie znasz?

Rozłączyła się. Wpatrywała się w zdjęcie. Zdezorientowana, bo myślami była już w szpitalu.

- Ręcznik - podpowiedział. - Bardzo dobrej jakości. Francuski.

- Gdzie można go kupić?

-W Magasinie. - Uśmiechnął się triumfalnie. -Moja kuzynka tam pracuje. Tylko w Magasinie.

Głosy mieszały się ze sobą i unosiły aż do sklepienia kościoła. Katedra w Arhus była po prostu stworzona dla Requiem Brahmsa.

Śpiewał. Poczuł, że znikają jego ograniczenia i staje się sobą. Nie komisarzem Johnem Wagnerem, ale basem Johnem Wagnerem, „Śpiewającym Policjantem”, jak nazywali go na komendzie. Ale przydomki były mu obojętne. No, może nie tak do końca. Nie wtedy, kiedy dostrzegał brak szacunku u młodych policjantów; ale szybko ich naprostował. Na początku nie przypuszczali, że można być twardym i energicznym, gdy się robi coś tak niezrozumiałego, jak śpiewanie w chórze. Od czasu do czasu zmuszony był im to udowodniać. Nie rozumieli, że to, iż miał swoje miejsce, swój azyl dla uczuć, stanowiło jego siłę, a nie słabość. Dzięki temu był właśnie taki, jaki był. Nie uciekał od odpowiedzialności, która na nim spoczywała. Miał obszar, gdzie mógł ją umieścić, którego istnieniu oni zaprzeczali. W najgorszym razie groziło tym niedowiarkom zubożenie, które ludzie niestety zbyt często przypisywali policjantom.

- Selig sind die, da Leid tragen - śpiewał chór. Sopran pięknie jaśniały i obiecywały niebiańskie szczęście z trąbami i aniołami. Środek pozwalał unieść się nad ziemię, a basy pozytywnie wypełniały doły. Dyrygent z precyzją malował w powietrzu kwiaty. Formował słowa. Mieszał się z sopranami, altami i tenorami tak, że dźwięk stawał się ciężki, ale mimo wszystko unosił się w powietrzu, rozprzestrzeniał, porywał dyrygującego.

- Błogosławieni, którzy się smucą - wypuścił te słowa i pomyślał o Ninie. Poczuł ucisk w piersi, który wywoływał jednocześnie ból i radość. Minęło już pół roku, a on w dalszym ciągu nosił żałobę. Nie na zewnątrz,

ale w środku. Głęboko schowaną tam, gdzie docierała tylko muzyka. To ciężkie, gęste Requiem, które mieli przedstawić w czasie świąt Bożego Narodzenia i które od pierwszej próby zapadło mu w pamięć. Tekst utworu nie opuszczał go ani na chwilę. Słowa te towarzyszyły mu dzień i noc.

Oczywiście Johnowi Wagnerowi nie wystarczało czasu, żeby być na wszystkich próbach. Czasami musiał poświęcać wieczory na pracę, poza tym nie mógł zapomnieć o Alexandrze. Darem niebios było to, że policjant miał siostrę, która mieszkała przy tej samej ulicy i wychowywała syna, będącego w tym samym wieku co jego Alex. Właściwie to nie miał pojęcia, jak by sobie poradził przez te ostatnie lata, gdyby nie HANNE.

Dyrygent opuścił ramiona i zwrócił się do sopranów.

-Musimy tu mieć prawie niebiański dźwięk. Jest napisane: Piano pianissimo. Jak chór aniołów - zobrazował. - Jeszcze raz, zaczynamy od E.

Było osiem sopranów, zupełnie różnych z charakteru, ale każdy wydobywał głos z równie dużą mocą. John zwrócił uwagę zwłaszcza na jedną z kobiet. Nie znał jej. Zaczął śpiewać w chórze dopiero przed paroma miesiącami, po przerwie spowodowanej chorobą Niny. Coś było w tej sopranistce intrygującego, a jej głos tak czysty i kruchy, trafiał prosto do jego serca.

Selig sind die, da Leid tragen, denn sie sollen ge-tröstet werden.

Błogosławieni, którzy się smucą albowiem oni będą pocieszeni.

Miał nadzieję, że to prawda. W głębi duszy dobrze wiedział, że nie zawsze będzie czuł żalobę w takim samym natężeniu. Co prawda żaloba na zawsze w nim zostanie, ale może w jego życiu będzie też trochę więcej radości. Trochę więcej światła, tak jak wtedy, gdy śpiewały soprany i wszystko się unosiło.

Przynajmniej miał muzykę, która była pocieszeniem i wzmocnieniem. Bezwzględnie tego potrzebował, również gdy myślał o wszystkim innym. O tym, co trafiło na jego biurko w ciągu ostatnich kilku dni i co wystarczyłoby, żeby zestresować każdego (nawet najbardziej doświadczonego) policjanta. Tajemnica dziecka w rzece, a teraz jeszcze problem na porodówce w szpitalu Skejby. Westchnął. Czasami trudno było zachować wiarę w dobro.

Dyrygent skończył ćwiczenia z sopranami, które zabrzmiały tym razem jak zastęp aniołów.

- Piętnaście minut przerwy - ogłosił. - Są termosy z kawą i herbatą a Iben upiekł ciasto. Mam was pozdrowić od niego.

Wszyscy ustawili się w kolejce. Rozmawiali ze sobą cicho, może dlatego, że byli w kościele.

- Jak tam, John? - zapytał go sąsiad, który był jednym z tenorów. - Myślałem, że nie będziesz miał dziś czasu. Po tym wszystkim, co stało się w mieście.

Wagner spojrział na niego ze swojego miejsca.

- Fakt, że trudno było się wyrwać, ale jest sporo rąk do pracy, które mogą się tym zająć - powiedział to, dobrze wiedząc, że większość najbliższych nocy spędzi na czytaniu raportów i wyteżaniu umysłu. Tak jest zwykle, gdy zaczyna nową sprawę. Nigdy nie udaje się całkowicie od niej uciec.

- Okropna historia, ta w szpitalu - dodał kolega i pokiwał głową ze zrozumieniem.

Wagner przytaknął. Nie powiedział nic więcej. W jego naturze nie leżało zabieranie głosu częściej niż było to konieczne, poza tym nie miał

zwyczaju dyskutować po godzinach pracy o sprawach, którymi się zajmował. Tenor dobrze o tym wiedział, a mimo to kontynuował:

- Moja żona urodziła pół roku temu. Całkiem się rozkleiła, gdy o tym usłyszała. Coś takiego może naprawdę przyprawić o dreszcze. W dodatku tutaj, w naszym mieście.

Dotarli do termosów i Wagner nalał kawę do kubków. Wziął kawałek ciasta i usiadł na kościelnej ławie trochę z dala od reszty zgromadzenia, które cicho rozmawiało. Zazwyczaj był dość towarzyski, ale dzisiaj potrzebował czasu, żeby przemyśleć parę spraw. Może w ogóle nie powinien był przychodzić. Wydawało mu się, że nagle powstała niewidzialna granica pomiędzy obywatelami a policją. Wyczuwał, że rozmówca oczekuje od niego odpowiedzi, co wcześniej zdarzało się Johnowi bardzo rzadko.

Ludzka ciekawość była dla Wagnera czymś nowym. Zwykle mało kto interesował się jego pracą. Wydarzenia ostatnich dni zmieniły jednak ten stan rzeczy i wiele osób pytało go przed próbą o śledztwo.

Ułamał kawałek ciasta i powąchał je. Pachniało rodzynkami, kandyzowanymi owocami i przywodziło na myśl Boże Narodzenie, mimo że był dopiero październik.

Ciekawe, że charakter przestępstwa miał dla ludzi aż takie znaczenie - pomyślał, przeżuwając ciasto. Morderstwo zawsze wywoływało wzburzenie, niezależnie od motywu. To jednak nie miało porównania z ostatnimi wydarzeniami - dziecko w rzece, a teraz „Grafficiarz w szpitalu”, jak nazwała go prasa... Albo ją, oczywiście, bo równie dobrze mogła to być kobieta. Te dwa wydarzenia poruszyły całe miasto. Ludzie zatrzymywali Wagnera na ulicy i dzielili się z nim mniej lub bardziej

przemysłanymi komentarzami, w których można było dostrzec cień nienawiści, zarzuty kierowane przeciw obcym, chociaż nikt właściwie nic nie wiedział. Jego dorosła córka, która właśnie jest w ciąży, oznajmiła, że boi się rodzić w szpitalu i zdecydowała się na poród w domu, a doświadczona koleżanka z komendy rozplakała się i zapytała drżącym głosem, czy coś jest nie tak z całym światem, czy zło zwyciężyło. Jej syn był w Nowym Jorku 11 września i widział upadek World Trade Center, a ona przez dwa dni nie wiedziała, czy syn żyje, bo nie działały linie telefoniczne. Teraz kobiety wyrzucają swoje dzieci do rzeki Arhus, ktoś pisze o śmierci na czołach noworodków. Co będzie następne?

W pracy różni ludzie zalewali inspektorów informacjami i wskazówkami, które i tak nie przydawały się do niczego. Zawsze tak było. Większość zgłoszeń o tym, co ludzie widzieli albo słyszeli, była do niczego nieprzydatna. Tak naprawdę tylko jedna wiadomość w ciągu całego dnia mogła okazać się użyteczna. Dostał ją od dziennikarki, ale w rzeczywistości była to rzecz, do której policjanci sami powinni byli dojść.

Wagner popijał ciasto kawą, podczas gdy inni rozeszli się po kościele. W jednym rogu siedziały trzy alty i najwyraźniej dyskutowały o nutach. Od czasu do czasu któraś z nich chciała pokazać, jakie powinno być frazowanie i głos rozlegał się w pomieszczeniu. W innym miejscu dwóch tenorów rozmawiało ściszymi głosami, studiując freski, które niedawno zostały odsłonięte.

Pomyślał o dziennikarce. Była nowa. Przez te wszystkie lata zdążył już ich poznać, niektórych nawet trochę bliżej. Każda gazeta i każda stacja telewizyjna miała swoich stałych reporterów kryminalnych, z reguły mężczyzn. Byli to albo starzy wyjadacze, którzy dokładnie wiedzieli, o co

pytać, a o co nie. Rezultat ich pracy był zwykle dobry, ale i przewidywalny. Albo młodzi mężczyźni, zazwyczaj świeżo po studiach, którzy zrobiliby wszystko, żeby artykuł trafił na pierwszą stronę. Gorliwi i dociekliwi, ale też żądni krwi. Tacy, którzy chętniej dokładali historii okrucieństwa i krwi, niż skupiali się na człowieku.

No i była ta nowa. Trochę niepewna siebie i nieortodok-syjna Dicte Svendsen z „Gazety” z wiecznym nieładem na głowie i małą blizną przy ustach, nadającą jej wyglądowi nieco niedbałości. Tak jakby uszło czyjeś (a już na pewno jej) uwadze, że właściwie dziennikarka była całkiem ładna. Nie klasycznie, ale na swój sposób. Wyglądała tak, jakby już od dawna była zbyt zajęta, żeby przyjrzeć się sobie w lustrze i spojrzeć w te szaroniebieskie oczy, które przypominały oczy czujnego zwierzęcia. Nie wspominając już o płynnym geście, którym odgarniała włosy z oczu.

Zgodnie z umową przyjechała na komendę tego samego popołudnia. Bez dyktafonu, co nie było dla niej typowe.

- Lepiej będzie, jeśli zadzwonię później do pana i przeczytam - powiedziała.

Z wrażenia omal nie spadł z krzesła. Bardzo rzadko zdarzało się, by dziennikarze sami proponowali, że pokażą mu swój artykuł, zanim zostanie puszczony do druku.

-W ten sposób unikniemy nieporozumień - wyjaśniła i pochyliła się lekko w jego stronę, trzymając w ręku notatnik.

Pomyślał, że sprawia wrażenie bardzo otwartej. W taki naturalny sposób. Albo bardzo chce, żeby tak było, a naprawdę coś ukrywa. Nie mógł się zdecydować.

- Jest tak, jak już panu mówiłam. Muszę napisać na jutro artykuł o tym,

co się stało w szpitalu. To moja przyjaciółka znalazła dziecko z napisem na czole. Powinien pan o tym wiedzieć.

To też go zaskoczyło. Wielu innych dziennikarzy zatrzymałoby tę informację dla siebie, wtedy wywiad wyszedłby jeszcze lepiej.

-I mam coś, co może się wam przydać. Jeśli jeszcze tego nie wiecie.

Nastawił uszu. Z jakiegoś powodu był pewien, że Dicte nie chce mu wciskać kitu. Musiało to być coś ważnego, skoro sama tak uważała.

Siedzieli w jego biurze. Poprosiła o wodę mineralną, którą teraz ostrożnie wzięła do ręki i wlała do nie całkiem czystej szklanki. Odnotował w pamięci, że trzeba wyczyścić zmywarkę. Musiał pamiętać, żeby powiedzieć o tym w kuchni. Naprawdę musiał myśleć o wszystkim.

- Chodzi o ręczniki, w które zawinięte było dziecko znalezione w rzece - powiedziała. - A przynajmniej o jeden z nich. Najprawdopodobniej był kupiony w Magasinie.

Zdawał sobie sprawę z tego, że się na nią gapił. Widziała, jakie wrażenie zrobiła na nim ta wiadomość.

- Skąd pani o tym wie?

Opowiedziała mu. W myślach przeklinał swoich ludzi, że nie poszli tym tropem. Przynajmniej jemu nic na ten temat nie było wiadomo.

Później przeprowadziła z nim wywiad w sprawie noworodka w szpitalu i musiał przyznać, że powiedział jej więcej, niż zrobiłby to w innych okolicznościach. Postąpił głupio? Z reguły nie mówił dziennikarzom ani nikomu innemu nic ponad to, co było niezbędne. Albo nawet trochę mniej. Dwadzieścia pięć lat w służbie nauczyło go powściągliwości, ale z Dicte było trochę jak z muzyką. Wyciągnęła z niego coś, co zwykle leżało głęboko schowane.

Wypił ostatni łyk kawy i podniósł się z twardej kościelnej ławy. Obiecał sobie, że następnym razem będzie ostrożniej szy.

Spojrzał na jasny sopran. Kobieta siedziała trochę z boku na schodku i ćwiczyła cicho. Słyszał od innych, że była pół-Szwedką. W tym samym momencie spojrzała w górę i ich oczy spotkały się. Spojrzała zdziwiona, jakby zobaczyła go po raz pierwszy, mimo że śpiewali w tym samym chórze i oczywiście rozmawiali już o jakichś drobiazgach. Jakby dopiero do niej dotarło, że Wagner jest kimś więcej niż tylko śpiewającym mężczyzną. Uśmiechnęła się nieśmiało, a on skinął głową i spróbował odwzajemnić uśmiech, ale zrobił to nieudolnie, był zbyt spięty. To przez pracę. Powinien w końcu przyzwycząić się do tego, że czasami trzeba dać coś od siebie.

- Kiedy rozwiązanie? - zapytał, podchodząc do niej.

Niezgrabnie trzymała się za swój ogromny brzuch. Jest taka piękna - pomyślał. Ze swoimi długimi jasnymi włosami, które sięgały aż do talii i prostymi rysami przypominała jednego z aniołów, które dyrygent tak bardzo chciał widzieć w sopranistkach.

-Mniej więcej za trzy tygodnie - powiedziała. -Cała wieczność.

Poczuł ciepło w brzuchu i wiedział, że prawdziwe były słowa: Selig sind die, da Leid tragen, denn sie sol-len getrostet werden.

Czy to było to, czego chciała? To, o co walczyła przez te wszystkie lata? Całe czterdzieści. Dicte chodziła po pustym domu, a za nią depczący jej po piętach szczeniak. Próbowwała odnaleźć radość posiadania, ale czuła pustkę. Wydawało jej się, że ściany wodziły za nią niewidomymi oczami, że otaczała ją wrogość i groziła zniszczeniem. Kobieta już miała uciec w rozmowę przez telefon, gdy ktoś nieśmiało zapukał do drzwi. Przez kuchenne okno zobaczyła Anne z przerzuconą przez ramię torebką i spojrzeniem, które błagało o towarzystwo. Przez bardzo krótką chwilę, zobaczyła tam też inną Anne. Tę, która bardzo dawno temu, w ostatniej klasie, usiadła obok Dicte; która jako jedyna odważyła się zbliżyć do dziwnej dziewczyny, nieumiejącej wysyłać do innych odpowiednich sygnałów. Dicte siedziała zawsze w ławce z tyłu klasy z bardzo obojętnym wyrazem twarzy. To był jej pancerz. Próba sprawiania wrażenia, że ma gdzieś cały świat. Umiejętność wyłączenia się. Uwolnienia się i odpłynięcia myślami, gdy coś zaczynało ją boleć. Wykorzystywała tę umiejętność również później. Na przykład tego dnia, gdy Torsten oznajmił jej, że ma inną. Najgorszego dnia w jej życiu. Może nawet nie dlatego, że Dicte tak mocno go kochała, bo to było dość wątpliwe, ale dlatego, że jej duma nie mogła tego znieść. Myśli kłębiły się w jej głowie, gdy szła do drzwi. Otworzyła.

- Wejdz i zobacz mój pałac.

Anne stała przez chwilę. W jej włosach lśniły krople deszczu, a oczy błyszczały.

- Mam dziś dyżur trochę później.

- Chcesz obiad?

- Może filiżankę herbaty - zaproponowała Anne.
- Jak się czujesz?
- Dobrze - powiedziała Anne, ale zabrzmiało to niezbyt przekonująco.
- Czytałaś artykuł?

Anne uklękła i wyciągnęła rękę do szczeniaka, który podkulił ogon i schował się pod stolikiem na telefon.

- Oczywiście. Ale słodki. Jak się nazywa?
- Svendsen. I co o tym myślisz?

Anne próbowała zwabić szczeniaka gumową kością, która leżała obok. Śmiała się. Trochę niewyraźnie, ale było to lepsze niż nic.

- W każdym razie pasuje do wizytówki na drzwiach.
- Mam na myśli artykuł.

- W porządku - powiedziała Anne i głaskała pieska, gdy Dicte go trzymała. - Cześć, Svendsen!

Zdezorientowany szczeniak powąchał ją trochę wbrew swojej woli. Popatrzył na Dicte, jakby chciał zapytać, czy „to tu” jest w porządku. Czy Anne jest wystarczająco dobra i można było ją lizać, czy może trzeba było ćwiczyć się w roli psa obrońcy i warczeć, żeby wyszła z mieszkania.

-Ale z ciebie groźny pies - powiedziała Anne miękko i dostała od szczeniaka pozwolenie, żeby pociągnąć go za zwisające ucho. Podniosła wzrok. - Artykuł był świetny, ale ściągnął na nas uwagę, a to i dobrze, i źle. Dostaliśmy prywatną ochronę. Jeśli chcesz teraz zobaczyć swoje dziecko, muszą cię najpierw przeszukać.

Dicte puściła psa, który uciekł z powrotem do swojego schronu pod stołem.

- Przeszukać?

Anne podniosła się i wzruszyła ramionami.

- No dobrze, może nie całkiem. Ale i tak klimat zrobił się trochę więzienny, prawda? Przecież to porodówka, do cholery, a tam chodzą faceci z krótkofalówkami i szerokimi barami. Jak na dyskotecę. Kto, do diabła, wymyśla coś takiego? - urwała i poszła za Dicte do kuchni.

Dicte chciała uciec w myślach od tego wszystkiego. Sprawić, żeby to się nigdy nie wydarzyło.

-A w ogóle to ruszyło się coś w tej sprawie? Są jakieś postępy? - Dicte podała Anne filiżanki i serwetki, i wskazała w stronę pokoju. - Usiądziemy tam, dobrze? Jest o wiele przyjemniej.

Anne posłuchała, poszła z naczyniami i nakryła stolik przy sofie.

- Żadnych - powiedziała głośno przez ramię. - Za to atmosfera zrobiła się beznadziejna. Wszyscy się boimy. Pracujemy jak w domu strachów.

Przed każdym zdaniem Anne głośno ustawiała na stole spodek lub filiżankę. Dicte przyniosła herbatę i usiadły w miękkich fotelach. Były z Ikei, bo Torsten zatrzymał sobie kanapę Wagnera, gdyż oczywiście kupiona była z jego oszczędności. Bo to niby Torsten miał dobry gust - pomyślała przelotnie. Torsten był tym inteligentnym. Poznała go na psychologii. Na tych studiach, które zrobiła tylko do połowy.

- Nie mogę porozumieć się z Andersem.

Dicte siedziała cicho jak myszka z filiżanką pod podbródkiem i nogami podciągniętymi pod siebie. Taka była Anne. Jak się w końcu otworzyła, trzeba było po prostu słuchać. Czekać.

- Kompletnie nie wie, jak się zachować w tej sytuacji. Chodzi o dziecko w rzece i całą resztę. Nie może zrozumieć, dlaczego jestem tym taka wstrząśnięta. Mówi, że widziałam już przecież martwe dzieci. Tak

jakby to się kiedykolwiek mogło stać rutyną - westchnęła. - Myśli chyba, że pracuję w rzeźni. Mimo że był przy porodzie, nie ma o niczym pojęcia. - Anne spojrzała na nią wzburzona. - Co my właściwie mamy ze sobą wspólnego? Wydaje mi się, że nic.

Dicte zastanawiała się, czy powinna zachować się teraz jak psycholog? Wobec Anne, która zawsze dawała sobie radę. Anne, mającej kontrolę nad terminami, ssakami, bólami i wszystkim innym we własnym świecie.

Dicte złapała jej spojrzenie, krążące po pokoju jak bezradna mucha - do góry, na firanki, na sufit i na obrazy, które w końcu zawiesiła.

- Powiedziałaś mu, że go potrzebujesz?

- Potrzebuję? - prychnęła Anne. - Nie potrzebuję kogoś, kto niczego nie rozumie.

- Nikt tak od razu nie rozumie. To przecież jest mężczyzna. Może niech cię po prostu przytuli.

Anne przewróciła oczami, jak gdyby chciała pokazać, że to bardzo zły pomysł.

O matko - pomyślała Dicte. Właśnie dlatego uciekła ze studiów, między innymi. Dlatego, że zrobiło się zbyt klaustrofobicznie i w rzeczywistości wcale tak bardzo nie lubiła pomagać innym. Jeśli miała być szczerą wobec siebie, to bardzo się wystraszyła, kiedy zrozumiała, że jej również przydałaby się terapia.

- Ale on i tak nic nie zrobi - powiedziała cicho Anne.

- To niczego nie zmieni.

-Może za dużo od niego wymagasz? Nie czyta przecież w myślach.

Anne naląła herbaty dla nich obu. Zaśmiała się.

- A nie powinien? Nie powinien umieć wyczuć sytuacji i wiedzieć, jak

bardzo go potrzebuję, naprawdę muszę o to prosić?

Dicte napiła się herbaty. Poczwała, jak ciepło rozchodzi się w jej palcach. Musiała się uśmiechnąć.

- Naprawdę chcesz mi powiedzieć, że potrzebujesz rycerza na białym koniu? Ty, taka silna duńska dziewczyna. - Pochyliła się w jej stronę. - Naprawdę tego chcemy? Żeby teraz, gdy pali nam się grunt pod nogami, oni przejęli ster? Podczas gdy przez ostatnie dwadzieścia lat uczyliśmy ich czegoś zupełnie innego.

- Po czyjej ty właściwie jesteś stronie? - Anne popatrzyła na nią ze złością.

-Twojej.

- Trudno w to uwierzyć - dąsała się Anne.

- Może po prostu nie możemy oczekiwać od mężczyzn wszystkiego. Może trzeba czasem wykorzystać innych, na przykład przyjaciółki. Mogę zarekomendować siebie. I Idę Marie. Ona też może się przydać.

- Anne nie wyglądała na zbyt uszczęśliwioną, ale Dicte kontynuowała:
- Faceci nie mają przecież instrukcji obsługi. Nie jest na nich napisane, jak zareagują gdy wybuchnie pożar. Nie wszyscy mogą być w końcu Harrisonem Fordem.

Teraz Anne zaczęła się śmiać, a Dicte odetchnęła z ulgą. Trochę pomogło. Widocznie była lepszym psychologiem, niż sądziła.

- Może powinniśmy założyć komitet niezadowolonych klientów? - zaproponowała Anne. - Dla kobiet,

które stwierdzą, że dostały coś innego, niż to, za co zapłaciły, czyli kota w worku.

- A co z mężczyznami? - zapytała Dicte, żeby być chociaż trochę fair. -

Dokąd oni pójdą?

Oczy Anne błysnęły niebezpiecznie. Gdzieś w środku czaił się strach.

- Do diabła!

Przez chwilę siedziały cicho. W końcu odezwała się Anne:

-I jeszcze do tego ten świr, który do nas wydzwania.

- Świr?

Anne przytaknęła.

- Wydaje nam się, że to przez ten rozgłos w prasie. Jedna z pielęgniarek, Sofie, odebrała telefon, a tam jakiś idiota gadał głupoty.

- Jakie głupoty?

Anne popiła herbaty, a jej oczy zwęziły się i pociemniały. Wściekłość wzięła górę nad strachem.

- Jakież bzdury, że wszystkie dzieci umrą.

Powietrze jakby lekko zadrgało. Dicte wciągała powietrze, ale w głowie jej szumiało, jak gdyby było w nim za mało tlenu. Wszystkie dzieci - pomyślała o tym, co powiedział Kaiser i o książce z limerykami.

Słowa Anne krążyły Dicte po głowie, gdy jechała do redakcji. Tak była nimi pochłonięta, że zauważyła oliwkowozielonego mercedesa dopiero, kiedy zaparkowała obok niego i wysiadła ze swojego samochodu. Dla pewności sprawdziła numery rejestracyjne. Cholera! Trzasnęła drzwiami fiata uno, który za pomocą nowych baterii został odratowany. Wpatrywała się w ten drugi samochód.

Mercedes utrzymany był w bardzo dobrym stanie. Stary model. A dokładnie rocznik '82. Wypucowany i wychuchany, z tapicerką z jasnej skóry i mahoniowymi dodatkami. Poczowała, że wściekłość wzbiera w niej jak bąbelki w szampanie. Przyszło jej do głowy właśnie to porównanie, bo

na tylnym siedzeniu wbudowana była mała szafka, przeznaczona na jedną dyskretną butelkę. W fiacie nie było żadnych szafek. Świat był niesprawiedliwy.

Co on sobie wyobrażał, że przyjechał aż tutaj? Pędzona gniewem, z rozwianymi połami płaszcza, wbiegła po schodach do redakcji gotowa na wielkie starcie. Żeby przyłazić tutaj?! Do jej miejsca pracy! Będzie potrzebował cholernie dobrej wymówki, a doskonale wiedziała, że takiej nie ma. Niemalże czuła jego wścib-skość już na korytarzu. Oczywiście, dlatego przyjechał, żeby trzymać rękę na pulsie.

Pchnęła drzwi. Siedział przy stole przy wejściu z Holgerem Davidsenem.

- Co ty, do diabła, tutaj robisz?

Razem z tymi słowami uszła z niej cała wściekłość. Torsten uśmiechnął się od ucha do ucha. Ani trochę nie wyglądał na zszokowanego.

- A oto i moja żona.

- Była - powiedziała z przekąsem i rzuciła torebkę na krzesło. - Co cię sprowadza?

Holger Davidsen pomachał notesem i przybrał swoją wystudiowaną minę dziennikarza, której po prostu nienawidziła. W tym momencie nienawidziła ich obu.

-Właściwie to przerwałaś nam wywiad - powiedział.

- Wywiad - przedrzeźniała go, mimo że wiedziała, iż zachowuje się jak dziecko. Zdawała sobie sprawę, że właśnie się zbłąźniła. - Jaki wywiad?

Davidsen kaszlnął dyskretnie i przewrócił kartkę w swoim notesie. Zignorował ją. Patrzyła na Torstena.

Na jego półdługie, kręcone, siwe włosy i brodę, która, jak zauważyła, niedawno została przycięta, z pewnością z polecenia Sandry. Na ten uśmiech psychologa, który był taki wkurzająco przekonywujący. Widziała bardzo dobrze, że siedział tam, usprawiedliwiał ją i analizował w głowie, że z pewnością dlatego była taka wzburzona, bo ciągle go kochała. Oczywiście przeceniał sytuację i siebie samego, i w rzeczywistości to denerwowało ją najbardziej ze wszystkiego.

- Jaki wywiad? - powtórzyła.

-I tak byłem w okolicy - wyjaśnił Torsten - więc tu zajrzałem.

Zabieram dziś Rose na kolację. Nic ci nie mówiła?

Czy mówiła? Dicte zrobiło się głupio, bo Rose rzeczywiście coś tam przebąkiwała któregoś wieczoru, zanim wyszła do kina, ale potem tyle się działo, w pracy i w domu. Do tego doszło jeszcze wczorajsze wino wzmocnione dużą dawką uzalania się nad sobą. Nad tym, co się stało. I nad tym, że Rose nie była już dzieckiem, ale nagle stała się kimś, kogo nigdy nie było w domu. Była na drodze prowadzącej w świat.

Dauidsen triumfował. Wymownie stukał długopisem w notes.

- Musimy chyba już zacząć - zaproponował, spoglądając na zegarek. - Zaraz przyjdzie fotograf. Właściwie to już powinien tu być.

- Chodzi o mordercę prostytutek w Randers - wyjaśnił Torsten mimo wszystko życzliwie. - Profil psychologiczny i takie tam - powiedział nagle. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego. - To co zwykle, sama wiesz.

Oczywiście, że wiedziała, co oznaczało „zwykle”. Czy nie mieszkała z nim przez dwadzieścia lat? I czy przez ostatnie dziesięć nie stawiał się jak koń cyrkowy na każde zawołanie mediów, kiedy potrzebowały profilu psychologicznego - od mordercy dziecka po pijanego kierowcę? Poza

pracą jako kryminolog, Torsten kochał patrzeć na siebie w gazetach i w telewizji, tylko czy nie stał się już trochę oklepany? Czy Davidsen nie mógł znaleźć kogoś innego? Oczywiście, że mógł, ale to nie dotknęłoby jej tak bardzo, jak zaproszenie Torstena.

Przyjrzała się swojemu byłemu mężowi. Stwierdziła, że wyglądał na zmęczonego. Worki pod oczami, opadające powieki. Jakby nagle bardzo się postarzał, ale nadal nie stracił swojego uroku.

Usiadła i zachowywała się, jakby Davidsena tam nie było. W sumie mogła wykorzystać fakt, że tutaj przyjechał.

- Czytałeś moje artykuły?

Torsten pokiwał twierdząco głową, aż jego loki podskoczyły, połyskując srebrzyście. Dziecko kolorowych lat sześćdziesiątych.

- Oczywiście. Muszę przyznać, że są całkiem niezłe. Rzetelne.

Ucieszyła się. Davidsen nastawiał uszu.

- Pomoc jest mile widziana - powiedziała, gestykulując. - Straszny z tego bałagan, a całe miasto jest po przeciwnej stronie.

Gdy to mówiła, drzwi się otworzyły i powoli wszedł Bo z aparatem na ramieniu. Nagle zatrzymał się.

- No, no. Macie jakieś spotkanie?

- Właściwie to czekamy na ciebie. - Davidsen znów spojrzał na zegarek.

- Wszyscy? - Bo nie dał się zbić z tropu tym zarzutem. Podał rękę Torstenowi i przedstawił się. Usiadł na krześle obok Dicte, która poczuła jego bliskość jak przepływający prąd elektryczny. - Jak tam kaloryfer?

Jego uśmiech był niewinny, ale głęboko w jego oczach dostrzegła podstęp i odwzajemniła uśmiech.

Rycerze na białych koniach występowali pod wieloma postaciami, ten tu miał potargane włosy i obcisły sweter, ale nie był przez to mniej pożądanym.

- Właściwie to wydaje mi się, że wkrótce znów będzie potrzebował męskiej ręki - powiedziała miękko głosem.

- Męskiej - powtórzył i prawie niezauważalnie pochylił się w jej stronę. - Coś na to poradzimy. Po tym jestem już wolny. A ty?

Daidsen odchrząknął. Torsten wiercił się niespokojnie i przebijał ją spojrzeniem które mówiło: „co-ty-do-diabła-robisz!”. Słowa Bo spływały jak miód i Dicte miała ochotę z całej siły przytulić swojego rycerza.

- Mi pasuje. Stawiam piwo - rzuciła ochotczo.

W tym momencie usłyszeli z tyłu huk, a później głośne przekleństwo. Dicte odwróciła się na krześle. Dziennikarka sportowa Cecilie Toft zbierała z podłogi stertę papierów, którą upuściła na korytarzu.

-Jasna cholera! - syczała ze złością, podnosząc książkę, która musiała zaburzyć równowagę ładunku.

Dicte została obdarowana wściekłym spojrzeniem, co bardzo ją zdziwiło. Pomiedzy nią a Cecilie zawsze panowały dobre stosunki i nie zauważyła nic, co mogłoby to zmienić.

- Więc jesteśmy umówieni - powiedział Bo, wstając z miejsca.

Cecilie patrzyła na niego ze złością.

Bo spojrzał na Torstena i pełen energii powiedział:

- To jak? Robimy to zdjęcie?

Kwadrans później udało jej się wysłać artykuł, zadzwonić do Kaisera i umówić się na zapychający miejsce reportaż z porodówki z Anne w roli głównej, którego przeprowadzenie raczej nie powinno być trudne. Może

będzie mogła zobaczyć jakiś poród - pomyślała i spróbowała przypomnieć sobie swój, ale jak większość matek, nie mogła już odtworzyć w pamięci towarzyszącego mu bólu. Pamiętała tylko uczucie wielkiego szczęścia. Tę małą ciepłą istotkę w ramionach i zapach krwi, śluzu i nowo narodzonego dziecka. Siedząc tak przy biurku, poczuła ucisk w gardle i pod powiekami. Minęło tyle lat. Czas leciał, a ona została bez męża, z córką gotową do samodzielnego życia, a przynajmniej bardzo do tego chętną.

Dicte pozwoliła łzom płynąć, a co tam. Od czasu do czasu chyba można. Zwłaszcza gdy nagle zjawiał się jej były mąż, jako żywy dowód tego, co musiała zostawić za sobą.

- To by było na tyle - usłyszała głos Torstena dobiegający z korytarza. - Szybko nam poszło.

Do redakcji wpadli niemal jak burza, więc Dicte szybko wytarła łzy. Bo spojrzał na nią badawczo. Torsten nic nie zauważył. Stał naprzeciw niej z rękoma założonymi na piersi i przybrał minę analityka. Jedną ręką potarł brodę - to był sygnał zapowiadający nadejście jakiejś złotej myśli.

- Bardzo dużo myślałem o sprawie, nad którą pracujesz, i trudno jest mi wypowiedzieć się na jej temat

- powiedział, kołysząc się na nogach jak żołnierz.

- Biorąc pod uwagę informacje, które były w twoich artykułach, nie mogę jednak przestać myśleć o Stanach Zjednoczonych.

- Stanach Zjednoczonych? - zapytała głupio. - A co one mają z tym wspólnego?

Torsten przysunął się do Dicte, podczas gdy Bo wyszedł na zewnątrz. Usłyszała, jak ze złością otwierał i zamykał drzwi do toalety.

- Oczywiście nie bezpośrednio. Mam raczej na myśli efekt

kopiowania. To zupełnie naturalne, że po tym

ataku terrorystycznym ludzie zaczną wszystkich muzułmanów postrzegać jak wrogów.

- Masz na myśli listy z wąglikiem? Ale przecież jest w nich też coś o Allachu i tak dalej. Czy to nie logiczne, żeby wiązać z nimi muzułmanów?

- No właśnie - rzekł i kiwnął głową.

Ich oczy spotkały się na moment i już wiedziała, co miał na myśli.

Jesienny wiatr pędził po Dużym Rynku, unosząc ze sobą liście, które wirowały, opadając z drzew. Ida Marie, siedząc po cieplejszej stronie okna, na którym zamieszczony był napis „Podróże Jutlandzkie”, widziała, jak ludzie po ciepłym i długim lecie szli teraz ulicą skuleni w swoich płaszczach i kurtkach. Jakaś młoda dziewczyna bezskutecznie próbowała opanować łopoczące na wietrze włosy, które podmuch rozwiewał na wszystkie strony. Mężczyzna z pasmem włosów zaczesanym na łysinę miał ten sam problem.

Zadzwoił telefon. Ida Marie, trzymając w ręku kanapkę, dała znak Jane, żeby go odebrała. Kromka była z pieczonym schabem i czerwoną kapustą, na które Ida Marie miała straszną ochotę. Ostatnio miewa w ogóle bardzo dziwne zachcianki.

- Może to jakiś klub karciany, który opróżnił świn-kę-skarbonkę - mówiła, przeżuając. - Ośmioro dorosłych na czternaście dni w pięciogwiazdkowym hotelu z wyżywieniem. Go for it!

Było to chyba zbyt optymistyczne. Jej koleżanka i współwłaścicielka biura, Jane, wzdychając, dała do zrozumienia, że takie zamówienia to jej marzenie. Siedziała naprzeciwko Idy Marie, nad dzisiejszymi rezerwacjami, które tworzyły bardzo mały stosik. Na ścianie wisiała tablica, na której pineskami zaznaczono (zgodnie z przemyślanym systemem) wszystkie wycieczki zarezerwowane na ten sezon. Pomiędzy tymi wyjazdami były długie przerwy.

- Założę się, że znowu ktoś chce coś odwołać - powiedziała Jane. - Ktoś, kto załatwił sobie zwolnienie lekarskie z powodu ostrej grypy żołądkowej. Tak jak pięciu innych dzisiaj...

Nie było łatwo sprzedawać wycieczki po 11 września. Ci, którzy mieli już zarezerwowane bilety i zaakceptowali warunki przewoźnika o unieważnieniu rezerwacji, wykazywali się dużą kreatywnością, żeby tylko uniknąć podróży samolotem. Jane sięgnęła po słuchawkę. Uniosła brwi i przybrała ton prawdziwego sprzedawcy.

- Podróże Jutlandzkie. W czym mogę pomóc?

Ida Marie straciła apetyt na kanapkę i odwróciła się do sterty listów. Były to w większości zażalenia. Nie dlatego, że wszyscy korzystający z usług biura byli nieusatysfakcjonowani, ale dlatego że bardzo niewielu zadowolonych klientów poświęcało swój czas na pisanie pochwał. W przeciwieństwie do tych skarżących się, którzy wykazywali niezwykłą ochotę do pisania. Brakowało tylko, żeby do biura przyszedł list z białym proszkiem, w ramach zemsty, od rozwścieczonego klienta, który nie dostał pokoju z widokiem na morze. Wtedy pozostanie im zwijać interes.

Jane powiedziała coś cicho do słuchawki i wcisnęła przycisk przekierowania.

- To do ciebie. Theis.

Przez ten krótki moment Ida Marie zdążyła się zdziwić. Przestraszyć, że musiało wydarzyć się coś strasznego. Jakaś tragedia, bo Theis prawie nigdy nie dzwonił do niej do biura. Potem rozległ się dźwięk telefonu i automatycznie odebrała.

- Halo?

- Cześć, skarbie. To ja.

Wydawało jej się, że usłyszała to już w jego głosie. W jego „cześć”, które powiedział basem. W sposobie, w jaki wypowiedział „ja” - jak gdyby od razu chciał za coś przeprosić. Za coś, o czym za chwilę jej powie. Znała

go naprawdę bardzo dobrze.

- Co się stało? - zapytała bardzo delikatnie. Właściwie mógł zrobić, co zechciał, bo to przecież nie on był w ciąży. Teoretycznie mógł nawet wycofać się z odpowiedzialności. Oczywiście nie finansowej, ale praktycznej. Powiedzieć, że zmienił zdanie.

Słuchała jego wstępu, a jej myśli pędziły w zawrotnym tempie. Mówił o tym, że część software'owa jego firmy, o czym było jej wiadomo, się rozwinęła i pojawiły się problemy z nowymi oddziałami za granicą. Przygotowywała się na uderzenie i jednocześnie się strofowała. Czy nie mogła trochę wyluzować? Zaufać, że przecież chciał dla nich tego, co najlepsze? Że myślał o dobru jej i dziecka? Że przecież, do diabła, kochał ją i... czemu w ogóle kiedykolwiek przestała w to wierzyć?

Jednak teraz była pełna wątpliwości. Straciła pewność siebie. W zawrotnym tempie zbliżała się do czterdziestki i nagle zaczęła zastanawiać się nad całym swoim dotychczasowym życiem. Oczywiście nie chodziło o dziecko, ale o wszystko inne. O to, czy dokonywała słusznych wyborów.

- Zrobił się bałagan - powiedział Theis nerwowo, co jej się od razu udzieliło. Poczula, że słuchawka zrobiła się śliska od potu i prawie wypadła jej z rąk. - Biuro w Hamburgu zupełnie sobie nie radzi.

Musieliśmy podzielić się naszymi pięcioma pracownikami. Pamiętasz

Ernesta Sorensena? Miał to wszystko uporządkować, ale właśnie trafił do szpitala.

Ostra grypa żołądkowa - pomyślała o słowach Jane, a Theis tłumaczył dalej:

-Ostry rozstrój żołądka. Wyobrażasz sobie? Kochanie, jestem zły, ale muszę tam jechać. Nikt inny nie może.

Ty też nie możesz. Masz żonę, która może zacząć rodzić w każdej chwili. Plus minus parę tygodni - myślała intensywnie.

- Kiedy? - usłyszała swój głos. W słuchawce zapanowała cisza.

- Ale rozumiesz, prawda? To dla mnie wielka szansa. Więc dla ciebie też.

To dlatego zadzwonił do biura - pomyślała. Nie mogła przecież eksplodować przy swoich kolegach, którzy nastavili uszu.

Oddychała głęboko.

- Jasne, Theis - powiedziała automatycznie i, wśród hałasu, który brzmiał jak tłum ludzi w trakcie ucieczki, usłyszała megafon. - A gdzie ty właściwie jesteś?

Był taki rozgorączkowany, że prawie zrobiło jej się go żal.

- Nie było czasu, rozumiesz. W Hamburgu wszystko się wali i personel jest wzywany natychmiast - sapał tak, jakby właśnie biegł do tego Hamburga.

Lotnisko. Był na lotnisku. Nagle usłyszała bardzo wyraźnie ostrzeżenie wygłaszane przez megafony, żeby nie zostawiać swojego bagażu. Nie mogła się powstrzymać. Wiedziała, że to było nie fair i że częściowo miał rację. Robił to dla nich obojga i nie mógł odmówić, gdy firma miała kłopoty. Mimo wszystko słowa same wyleciały z jej ust:

- Jesteś dupkiem, Theis. Skończonym dupkiem.

- Posłuchaj - próbował swoim zdecydowanym głosem, ale wiedziała, że był poruszony, bo nigdy wcześniej tak na niego nie krzyczała. Strach zawsze go paraliżował. Dlatego też nigdy nie zdecydował się na ślub. - Wróć do domu, zanim urodzisz - zapewnił. - Poza tym jest przecież jeszcze twoja mama.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, znów rozległ się głos z megafonu.

- To mój samolot, kochanie. Muszę lecieć. Zadzwoń.

Odłożyła słuchawkę, zanim on zdążył się rozłączyć i poczuła małą, bardzo dziecinną satysfakcję.

Jane patrzyła na nią zaskoczona, prowadząc jednocześnie rozmowę z jakimś klientem, ale było jej wszystko jedno. Ida Marie poczuła, jak złość wyparowuje i zastępuje ją zmęczenie. Oczywiście знаła te uczucia już wcześniej. Tym razem była tak bezsilna, jakby dołożono jej dodatkowe dziesięć kilo, a dziecko uciskało jak nigdy wcześniej. Jakby w każdej chwili mogło obwieścić swoje przyjście na świat.

Wytarła pot z dłoni o serwetkę od kanapki, którą wcisnęła do papierowej torebki. Wstała z krzesła i wykręciła numer swojej mamy. Pomyślała, trochę odbiegając od tematu, że to właśnie jedna z zalet bycia swoim szefem - że można było dzwonić w prywatnej sprawie bez narażania się na cudze spojrzenia.

- Svensson - usłyszała w końcu delikatny głos ze Stadion Alle i uzmysłowiła sobie, że nie rozmawiała ze swoją mamą od tygodni. Gdzie ona znowu była? Pewnie na jakimś operowym turnee po Europie razem z dwudziestoma siedmioma walizkami, meldując się w luksusowych hotelach, najprawdopodobniej opłaconych przez jej przyjaciela, kulturalnego szwedzkiego milionera, produkującego plastikowe zaciski dla kobiet, które nie mogły utrzymać moczu. Jej matka wiedziała, jak korzystać z życia.

- To tylko ja, mamó. Chciałam zapytać, co u ciebie słyhać.

Po drugiej stronie linii wyczuła wahanie. Usprawiedliwione - pomyślała. Jej matka nie była przyzwyczajona do tego, że Ida Marie

dzwoniła do niej w środku dnia. Właściwie nie była przyzwyczajona, że w ogóle do niej dzwoniła.

-Nie, moja droga - powiedziała w połowie po szwedzku i z teatralną dykcją. - Jak TY się masz? To chyba ważniejsze.

- Idę dziś na badanie. Zbliża się przecież termin - odparła Ida Marie nerwowo i poczuła, że nie może zapytać bezpośrednio. Okazało się to jednak niepotrzebne.

-No tak, powinnam zadzwonić i powiedzieć -usprawiedliwiała się jej matka. - Ale właściwie dowiedziałam się o tym dopiero wczoraj...

-Tak?

-La Boheme w Metropolitan. Z Domingo... dostaliśmy bilety.

- Na kiedy? - zapytała odruchowo, choć i tak znała już odpowiedź.

- Pomyśleliśmy, że zrobimy sobie przy okazji krótki urlop. Wiesz, kilka tygodni. Pojedziemy na wycieczkę do New Hampshire i odwiedzimy wuja Oswalda...

Czyżby zawahała się przez chwilę? - pomyślała Ida Marie.

- Mam nadzieję, że zdążę wrócić przed twoim wielkim dniem, kochanie. Ale gdyby nie...

Przerwa. Ida Marie się zlitowała.

- Mam przecież Theisa - wyręczyła matkę.

- Tak, tak, właśnie. Wspaniale - powiedziała mama, siląc się na entuzjazm. - Theis.

Matka Idy Marie nigdy nie mogła przyzwycząić się do myśli, że jej jedyne dziecko nie zostało śpiewaczką operową i nie wyszło za mąż za sławnego dyrygenta. Mężczyźni z branży IT w ogóle jej nie interesowali. Już prędzej zatyczki do moczu - pomyślała Ida Marie złośliwie, po czym

wróciła do rozmowy.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Właściwie to jutro. Na pewno bym zadzwoniła. Już tyle razy słyszała te słowa. Czy nigdy się nie

uodporni? Czy nie mogła przestać o tym myśleć i po prostu pozostać w przekonaniu, że mimo wszystko ma mamę, która kocha ją na swój sposób? Specyficzny sposób - pomyślała - gdzie podróże, opery i mężczyźni z plastikowymi korkami byli na pierwszym miejscu.

Przez krótką chwilę stanęła jej przed oczami własna nieudana kariera piosenkarki. Dwa lata w konserwatorium, a wcześniej jeszcze kilka z nauczycielem, którego napuściła na nią jej matka. Miał za wysokie wymagania, wobec czego załamanie się głosu Idy Marie (takie jak wtedy, gdy przed laty głos jej matki odmówił posłuszeństwa i skazał ją na życie kury domowej) okazało się nieuniknione. Zalecenie lekarza, żeby zmienić zawód, a śpiewanie potraktować jako hobby. Rozczarowanie.

Rozczarowanie mamy.

Grzecznie się pożegnała i odłożyła słuchawkę.

Od dawna była umówiona na badanie u położnej na czwartą. Gdy zamykała za sobą drzwi, słyszała rozmawiające koleżanki, których głosy zlewały się w cichy szum. Po południu zrobił się jednak mały ruch w interesie i tablica ze sprzedanymi wycieczkami zaczęła wyglądać lepiej.

W pewnym momencie, po tym jak przeszła przez rynek i wstąpiła do ciepłego Magasinu, przypomniała sobie ten dzień sprzed siedmiu lat, gdy zapadła decyzja. Było ich cztery. Biuro podróży, w którym były zatrudnione, nadwyreżało ich siły, nie dając nic w zamian. Postanowiły wspólnie rzucić tamtą pracę i postawić wszystko na jedną kartę -

oszczędności, dobre imię w banku i swoje nieruchomości. Razem miały doświadczenie, kontakty i odwagę. „Podróże Jutlandzkie” okazały się strzałem w dziesiątkę od pierwszego dnia, przewyciężą więc i ten kryzys - pomyślała, idąc slalomem pomiędzy półkami działu perfumeryjnego i czując, jak mieszanka zapachów wywołuje w niej mdłości. Nagle ucieszyła się, że wkrótce znowu będzie sobą. Zrzuci nadwagę i wciśnie się w rozmiar 38, chociaż tego akurat nie mogła być do końca pewna.

Oczywiście, cieszyła się też, że wkrótce zobaczy dziecko. Gdyby tylko to wszystko, to z Theisem i mamą tak nagle jej nie uderzyło. Gdyby tylko miała kogoś, na kim mogłaby polegać i się oprzeć...

W Magasinie była akurat wyprzedaż, więc za kasami stały dodatkowe ekspedientki w czerwonych syntetycznych perukach. Właściwie wyprzedaż objęła całe miasto. Znow straszy 11 września - pomyślała, przebierając w pudle z koronkową bielizną, w którą w żadnym razie nie mogłaby się wcisnąć. Nie tylko branża turystyczna ucierpiała z powodu ludzkiej ostrożności.

Ida Marie musiała rozmiąć pieniądze, żeby mieć bilon do parkometru, więc kupiła dwie tunezyjskie bułeczki do kawy. Może Anne będzie miała czas na filiżankę kawy w kantynie. Kiedy już się znalazło te tunezyjskie rarytasy, trzeba się było szybko zaopatrzyć. Bardzo trudno było je dostać, a ich jedzenie należało do jej nowych nałogów. Potem poszła w stronę obrotowych drzwi, przeszła przez ulicę, znalazła samochód na parkingu i (może trochę za ostro) ruszyła z miejsca w kierunku Skejby.

Trudno zrozumieć tych architektów. Tak sobie pomyślała, gdy dotarła do najnowszego szpitala rozciągającego się na ogromnym terenie i

przypominającego małe miasto z domkami z czerwonej cegły. Zamierzenie było pewnie takie, że budynki nie powinny mieć więcej niż dwa piętra, żeby nie szpeciły krajobrazu, czyli płaskich pól, na których kiedyś położone było lotnisko. Efektem była skomplikowana topografia z labiryntem korytarzy, wystarczająco długich, żeby wywołać poród.

Przy wejściu Ida Marie została zatrzymana przez ochronę, co przypomniało jej o ostatnich wydarzeniach. Poczowała rosnące zdenerwowanie, miała spocone dłonie. Czy to się powtórzy? Czy może przytrafić się jej? Czy powinna rodzić gdzieś indziej, z dala od Anne, jej spokoju i wiarygodności połączonej z profesjonalizmem? Rodzić zupełnie sama w jakimś obcym miejscu?

- Cześć. Nad czym tak się zastanawiasz? - zapytała Anne. Nadchodziła korytarzem, powiewając swoim białym fartuchem. Wyglądała na zmęczoną.

Ida Marie wzruszyła ramionami.

- Ciężko przestać o tym myśleć. Chodzi mi o to, co się stało ostatnio.

Anne przytaknęła. Objęła przyjaciółkę ramieniem i ruszyły z miejsca.

-To na pewno ktoś z rodziny, chciał zrobić głupi kawał - uspokajała ją.

- Wiesz, jacy zdarzają się idioci. Tak samo jak z tymi listami z białym proszkiem - mówiła, prowadząc ją do pustego gabinetu.

W trakcie badania zmęczenie Anne jakby trochę się zmniejszyło, a jej oczy odzyskały swój blask.

-Bardzo dobrze - powiedziała głosem, który zawsze brzmiał, jakby wszystko na całym świecie było w jak najlepszym porządku.

- Jak myślisz, kiedy to nastąpi? - Ida Marie usłyszała w swoim głosie niepokój.

Anne też to wyczuła.

- Coś się stało?

Opowiedziała jej o Theisie, matce, Domingo w operze Metropolitan i mężczyźnie od korków, a Anne słuchała, chociaż o większości wiedziała już wcześniej.

- To jest bezpieczne? Mam na myśli, czy tu jest bezpiecznie rodzić?

Nie ma tu żadnego zagrożenia, tak?

Słowa popłynęły same, zanim Ida Marie zdążyła je poukładać. Anne wyglądała na lekko zszokowaną, ale było widać, że słyszała już wcześniej to pytanie.

- Oczywiście, że nie ma - powiedziała z przekonaniem. - Mamy teraz mnóstwo zabezpieczeń. Zapomnij o tym. Oczywiście, że będziesz rodzić u nas.

Dicte mrugnęła światłami przy skrzyżowaniu w Skejby i upewniła się, że samochód za nią zrobił to samo. Nie, żeby musiała pokazywać mu drogę. Bo wiedział, gdzie ona mieszka.

Nie chciała wywoływać u Torstena zazdrości, czy innych temu podobnych uczuć. Ostatnim, o czym marzyła, było, żeby któregoś dnia zapukał do drzwi i znów pojawił się w jej życiu. Już dawno się z tym pogodziła. Skoro Sandra dostąpiła przyjemności przeżycia z nim pierwszych gorących miesięcy, mogła równie dobrze ciągnąć dalej ten wózek z brudnymi skarpetami i Tor-stenem wodzącym wzrokiem, którego nie potrafił ukryć, za innymi kobietami. W sumie można mu było jednak trochę utrzyć nosa, żeby zobaczył, z czego z własnej woli zrezygnował. Myślała o tym, skręcając w prawo za wiejskim kościółkiem wybielonym wapnem w starej części Skejby i udając się w stronę zjazdu na Ny Molle. Dokładnie w tym miejscu miasto zmieniało się w wieś. To tu kończyły się stare wiejskie domy i kilka zupełnie nowych, wybudowanych na uboczu, a zaczynały pola, które rozpościerały się jak różnokolorowe dywany porozkładane w dolinie. Teraz miały pożółkłe kolory jesieni, gdzie brąz i złoto mieszały się z ciężką zoraną ziemią. Kwintesencja wschodniej Jutlandii.

Kochała ten krótki odcinek drogi w stronę rzeki, przecinający krajobraz przy Ny Molle. Podbił jej serce już pierwszego dnia, gdy pośrednik nieruchomości pokazywał jej, jak dojechać. Wtedy, w samym środku lata, łąki przy rzece były soczyście zielone i spokojnie pasły się na nich krowy. Część tych ziem należała do Rolniczej Stacji Badań, która znajdowała się przy zamkniętej drodze, trochę dalej, w kierunku szpitala.

Opowiedział jej o tym pośrednik i wytłumaczył, że to dlatego rosnące tam zboża, były takie różne. Mówił prawdę. Tu rosło złote żyto, tam miękkie jak aksamit jęczmień, tu owies, a tam żółty jak słońce rzepak. Zmodyfikowane genetycznie czy nie, było duńskie przez duże „D” - pomyślała. Na słupku od płotu przy łące siedział myszołów i obserwował okolicę, jakby stał na warcie, pilnując krów. Pomyślała, że właśnie tu rozpoczną swoje nowe życie. Tu, otoczeni idylliczną przyrodą, jednocześnie tak blisko miasta. W takim pięknym miejscu wszystko musiało odmienić się na dobre.

Piękne i dobre. Uśmiechnęła się do swoich myśli, przemierzając ostatni odcinek ulicą Topkasrvej. Skręciła w prawo, obok małego gospodarstwa, gdzie według pośrednika nieruchomości zimą można było kupić choinkę. Oczywiście nie spodziewała się cudów, ale mimo wszystko wiele spraw mogło ułożyć się lepiej w ciągu tych kilku pierwszych ważnych miesięcy w nowym domu. Nie powinna jednak narzekać. Muszę stawiać czoło wyzwaniom - powiedziała do siebie i spojrzała w lusterku na Bo.

- Musisz sobie poszukać jakiegoś majstra - powiedział ze śmiechem, gdy naprawił kaloryfer i rzucił się na okap nad kuchenką. - Może jakiś domowy serwis. To musi być ktoś, kto mieszka w pobliżu.

Na pewno miał rację. Może stawiała fotografowi zbyt duże wymagania. Może nie powinna była go zapraszać, chociaż właściwie sam to zaproponował.

-Nie zrozum mnie źle - głos Bo rozbrzmiewał w aluminiowej rurze, którą właśnie montował nad bojlerem w łazience tak, żeby wydmuchiwała powietrze na zewnątrz domu. - Zawsze chętnie ci pomogę. A nawet więcej. - Uśmiechnął się niewinnie ze stołka. - Ale w przyszłym miesiącu planuję

jakiś reportaż. Somalia.

Przeszedł ją dreszcz. Przez głowę przeleciały różne obrazy. Amerykańscy żołnierze żywcem rozerwani na strzępy przez rozwścieczonych islamskich fanatyków. Naprawdę nie mógł zostać w Arhus?

- W porządku. Teraz powinno działać. Zeskoczył z taboretu. Zwinnie. Jak zwierzę - pomyślała.

- Czy to nie niebezpieczne? Mam na myśli Somalię, Strzepnął z ramienia pajęczynę. Wszędzie było ich pełno. Każdego ranka musiała od nowa odkurzać i w końcu się poddała.

- Nie, jeśli się jest ostrożnym. -A ty jesteś?

Wyobraziła go sobie, jak biegnie po piasku pustyni, osłaniając się przed kulami świszczącymi mu nad głową. Dosłownie jak Clint Eastwood.

- Jeśli to tylko możliwe - powiedział niejasno.

Spotkał jej spojrzenie. Wyglądał na głodnego. Mogła tylko zgadywać, na co miał ochotę, ale jedzenie było ostatnią rzeczą, jaka teraz przychodziła jej do głowy.

- Wspominałaś coś o piwie.

Sytuacja była niezręczna. Stali bardzo blisko siebie, bo łazienka była mała.

- Właściwie to je obiecałaś - powiedział cichym, lekko zachrypniętym głosem. - Potem sobie pójdę, ślicznotko.

Ślicznotko. Jej myśli wirowały. O co mu chodzi? Chce ją obrazić, czyjej schlebić? Czy mówi poważnie? Myśli o wibratorze? Niech diabli wezmą facetów i ich chore poczucie humoru.

Patrzyła na niego, a jej mózg pracował na najwyższych obrotach.

Skończyło się tak jak zawsze - wyglądała jak głupia. Mimowolnie podniosła dłoń, żeby odsunąć z twarzy pasmo włosów, ale tylko jeszcze bardziej je potargała.

Uśmiechnął się. Wyciągnął rękę. Poczuela jego dłoń przy swoim uchu. Łagodnym ruchem umieścił kosmyk na właściwym miejscu. Palec Bo gładził bliznę przy jej ustach. Czuela ten dotyk całym swoim ciałem, a w jej głowie wyły syreny. Żonaty! Dzieci! Żonaty! Dzieci! Patrzyła się na niego o jedną sekundę za długo i, zanim odzyskała głos, zdradziła wszystko.

- Poszukam tego piwa.

Skinął głową. Znowu się uśmiechnął. Wkurzyła się, że wyglądał tak spokojnie.

- Nie ma pośpiechu.

- Nie ma pośpiechu - powtórzyła z wyschniętymi ustami. - Nie ma pośpiechu - jej głos w dziwny sposób stracił swoją moc i przeszedł w szept.

Jej chaotyczne myśli o zakazanym terenie straciły nagle na sile, tak jakby ktoś wyłączył jakąś maszynę. Poczuela jego dłoń na karku. Powoli przyciągał ją do siebie. Widziała, jak jego powieki opadają, gdy spoglądał na jej piersi z uśmiechem. Meszek jego brody lekko ją łaskotał.

- Nie gryzę - wyszeptał. - Nie bój się.

Poczuela jego usta i ochotę, żeby już dłużej się nie opierać. Paść w ramiona jakiegoś mężczyzny i pozwolić nieść się przez życie, albo chociaż przez te pół godziny. To tylko seks - przeleciało jej przez głowę, podczas gdy on szukał jej języka i bawił się nim. Czuela, jak ciepło wibruje w całym jej ciele. Tylko seks. Nic poważnego. W końcu skoro wszyscy mogli to robić, to dlaczego ona nie?

Jednak gdzieś w jej głowie zaczaiła się myśl, że nie o wszystkim

można samemu decydować. W jej życiowym bagażu leżały ukryte rzeczy, które przeszkadzały w dokonywaniu wolnych wyborów.

I wtedy usłyszała odgłos zamykanych drzwi, a zaraz po nich wesołe szczekanie Svendsena. Ledwie zdążyła się oswobodzić, gdy usłyszała głos Rose rozbrzmiewający w całym domu.

- Mamo! Mamooo!!! Jesteś tu?

Dicte musiała uśmiechnąć się na widok osłupiałego wyrazu twarzy Bo. Odchrząknęła i poczuła, jak zdenerwowanie powoli się ulatnia.

- Jestem w łazience. Z hydraulikiem - dodała.

- Nie wyglądasz na hydraulika - powiedziała Rose, przyglądając się uważnie Bo. - Jesteś z serwisu?

Siedzieli przy stole w jadalni. Bo ze swoim piwem. Rose z kanapką z serem. Dicte sięgnęła po kubek z kawą i oparła podbródek o jego ciepły brzeg.

- Bo jest fotografem, freelancerem. To mój kolega z redakcji i właśnie zaproponował...

Nozdrza Rose podniosły się niemal niewidocznie, jakby dyskretnie weszły w powietrze. Dicte wiedziała, o czym myślała jej córka. Czy może raczej, co przeczuwa. Nagle dziennikarka poczuła się, jakby sama była nastolatką i zauważyła, że się rumieni.

- Czy ktoś ma ochotę na ciasto? - zapytała i usłyszała w swoim głosie panikę.

- Do piwa? - Bo podniósł brwi.

Rose przyjrzała mu się. Potem zachichotała do swojej kanapki.

- Może do filiżanki kawy - powiedziała Dicte i wiedziała, że zabrzmiało to głupio - albo herbaty.

Rose pochyliła się nad stołem.

- Mamo. Wyluzuj. Wszystko cool.

- Cooll - zdziwiła się, chociaż Rose używała tego określenia wiele razy.

Bo roześmiał się i napił piwa. Zawołał szczeniaka, który schował się za Rose i patrzył na niego nieufnie.

- Jest nieśmiały - wytłumaczyła Rose z dumą. -Znaleźli go w porcie. Tak przynajmniej twierdzą ci ze schroniska.

Bo z powagą pokiwał głową. Potem wstał, kucnął bokiem do szczeniaka i nawoływał go wesołym głosem.

- Svendsen! Chodź tu, Svendsen!

Przez moment pies siedział całkiem nieruchomo. Potem zaczął węszyć. Bo wyciągnął rękę, żeby pokazać, że nie chowa w niej niczego złego. Szczeniak patrzył na niego ze strachem i ciekawością. Przechylił głowę i słuchał tego głosu, który kusił go z upartą życzliwością.

- Hej, Svendsen! No chodź!

Ciekawość pokonała strach i Svendsen wystawił pysk. Węszył i lizał. Bo nadal łagodnie przemawiał i powoli przyciągnął do siebie rękę. Pies szedł za nią. Rose patrzyła na to z nieukrywanym podziwem, bo szczeniak sam z własnej woli zawędrował prosto w jego ramiona.

- Ho, ho! - powiedziała z uznaniem Dicte. - Trzeba przyznać, że masz talent do psów.

Bo spojrzał na nią z poziomu podłogi, gdzie siedział z psem. Przeleciało jej przez głowę, że ma zielone oczy z czarnymi plamkami, ale to nie ich kolor sprawił, że znów musiała odchrząknąć.

-I nie tylko - powiedziała Rose życzliwie. Przez chwilę było cicho,

potem dodała: -A tak w ogóle, to jak idzie ta sprawa z dzieckiem w rzece?
U mnie w klasie wszyscy o niej mówią.

- A co konkretnie? - zapytała Dicte.

Rose spojrzała zdziwiona, że matka pyta o coś tak oczywistego.

- Mówią że to na pewno jakaś turecka dziewczyna. Przez to z Koranem. No i że żadna Dunka nigdy by tego nie zrobiła. - Ponieważ nikt nic nie mówił, Rose spojrzała na nich, jakby chciała się bronić. - Że my jesteśmy wykształceni. A oni nie zawsze, bo ich rodzice... - Nagle przerwała skołowana. - Co? Coś się stało?

Dicte uświadomiła sobie, że zezłościła się na córkę bezpodstawnie. Rose miała powody, żeby tak myśleć. Wszystko bowiem skłaniało ku temu, żeby tak sądzić. Nie były to nawet uprzedzenia, ale realia. Nawet profesor z uniwersytetu był o tym przekonany. Może policja też. W każdym razie funkcjonariusze powiedzieli jej, że szukając śladów sprawdzali poradnie socjalne w Gjellerup i Bispehaven. Pytali również różne grupy mężczyzn.

- Powiedziałam coś nie tak? Dicte potrząsała głową.

- Nie, tylko to, co uważa większość.

- Tylko nikt nie wie, czy to jest słuszne, czy nie - dodał Bo.

Żonaty mężczyzna z dobrym podejściem do psów. Dobry Boże. Chyba naprawdę nie mogło być lepiej. W dodatku jest w drodze do Somalii. Po prostu idealnie. Dicte myślała o tym, jadąc do miasta, kiedy on już sobie poszedł, a Rose miała odrabiać lekcje i wyprowadzić psa. Właściwie wyprawa Dicte do centrum nie miała żadnego celu. Pomyślała o Rose. Było coś w tym, co powiedziała. Coś, co popchnęło ją w jakimś kierunku. Uprzedzenia. Nie ma dymu bez ognia i takie tam. Jako dziennikarka

wiedziała przecież nadzwyczaj dobrze, że plotki i stereotypy rzadko brały się z niczego, a w przypadku tego dziecka wszystko było takie oczywiste. I może właśnie to jej przeszkadzało - wszystko było zbyt oczywiste, tak jak wskazywał na to Torsten.

Dziennikarka zaparkowała przy Magasinie. Widziała na ulotce sklepu lampę Le Klint, która pasowałaby nad stołem. Markowe rzeczy kupowała tylko wtedy, kiedy była przecena.

Wjeżdżała na trzecie piętro. Ruchome schody pełne były ludzi. Wodziła wzrokiem z góry na dół po całym zgromadzeniu. Próbowwała zgadywać. Oczywiście, nie wszyscy byli Duńczykami, cokolwiek właściwie oznaczało teraz to pojęcie. Gdy dotarła do piętra z lampami i kupiła tę wybraną po obniżonej cenie, zwróciła uwagę na pewną rzecz. Jeżeli już kupowali tam jacyś ciemnoskórzy, to raczej ci w bardziej zachodnim stylu, jeśli można tak to nazwać. Było to może raczej jakieś przeczucie, jak wtedy z Rose i jej kolegami z klasy. A może jakiś stereotyp. Miała jednak bardzo silne wrażenie, że muzułmańska rodzina, w której córka, kierowana rozpaczą i wstydem, wyrzucała swoje dziecko do rzeki, nie kupowała ręczników w Magasinie.

W promocji były nawet Je t'aime i po chwili wahania kupiła kilka sztuk do swojego nowego domu. Markowe rzeczy. Miętkość, dobra jakość.

Przy ulicy Tordenskjoldsgade samochody stały ciasno zaparkowane.

- Tam - powiedziała przejęta Anne. - Tam jakiś wyjeżdża.

Anne wślizgnęła się na miejsce przed sklepem, który był jeszcze otwarty. Przyjechali dość późno i tłumy ludzi zmierzały już do kina Palads. Oświetlony plakat nad wejściem informował, że film nosi tytuł Co kryje prawda. Bardzo męski Harrison Ford i wyglądająca na przerażoną Michelle Pfeiffer spoglądali z góry na chodnik przed kinem.

- Pójdę po bilety - oznajmił Anders i wysiadł z samochodu, zanim zdążyła zgasić silnik.

Powoli podniosła torebkę, wysiadła i trzasnęła drzwiami. Przeszła już na drugą stronę ulicy, gdy przypomniała sobie, że nie zamknęła auta. Zawróciła. Zamknęła i oparła się na chwilę o samochód. Pomyślała o tym, jak szybko czyjeś życie może ulec całkowitej zmianie. Pomyślała o dzisiejszym poranku, gdy, leżąc w łóżku, rutynowo zbadła sobie piersi i znalazła guza. „To na pewno nic poważnego” – powiedział lekarz, kiedy zadzwoniła. Większość nie jest złośliwa, zapewniał.

Starła skupić się na tym stwierdzeniu. Powtarzała je sobie przez cały dzień w pracy, ale kto mógł wiedzieć, co ukrywa się w ciele człowieka? W jej sytuacji (osoby adoptowanej) nie wiadomo było, z jakimi genami chodziła. I czyimi? Jej biologiczna matka mogła przecież umrzeć na raka piersi, a ona nic o tym nie wiedziała. Tak to już jest, gdy jako dziecko zostało się znalezionym na ulicy - pomyślała i od razu zobaczyła przed oczyma dziecko w rzece. Wiedziała, że to dlatego nie mogła o nim zapomnieć. Dlatego myślała o nim w dzień i w nocy. Przypominało jej ją samą, z wyjątkiem szczegółu, że ona otrzymała życie, podczas gdy to małe

dzieciatko znalazło w kołysce śmierć. Ona miała szczęście, a ono przegrało, dlatego czuła się winna.

Ale teraz był jeszcze ten guz, a ona nic nie powiedziała Andersowi. Między innymi dlatego była taka zdenerwowana. Dlatego, że chciała się z nim tym podzielić, ale nie miała odwagi. Dlatego, że знаła go i wiedziała, iż na zewnątrz się przed tym zamknie, a w środku kompletnie spanikuje. A jeśli okaże się, że to jednak coś poważnego, to jak ona mu to powie? I jak on to przyjmie?

Popchnęła drzwi kina. Beznadziejnie. Tak właśnie to przyjmie. I jeśli miała być szczerą, to martwiło ją najbardziej.

- Anne?

Znała ten głos, ale nie mogła sobie przypomnieć skąd. Odwróciła się, szukając odpowiedzi w tłumie. Jakaś ręka kilka metrów dalej wyrwała się do góry i machała do niej.

- Torsten!

Udało mu się precyzyjnie i teraz widziała też Rose.

- Kopę lat!

Przyciągnął ją za rękę i przytulił. Czuła, że mogłaby spędzić w jego objęciach wiele godzin. Już zapomniała. Objęcia Torstena, który przyciągał do siebie wszystko: dzieci i psy. I oczywiście kobiety. Rose też ją uścisnęła, a potem przyszedł Anders z biletami.

- Co cię sprowadza na stały ląd? - zapytał Anders z sympatią. -
Przyjechałeś uczyć nas, jak myśli morderca?

Torsten uśmiechnął się.

- Prowadzę krótki kurs w tutejszej komendzie policji. Poza tym zostałem przecież dojeżdżającym tatu-siem. - Wyciągnął rękę i potargał

włosy Rose. - Dziecko mogło zdecydować i wybrało thriller.

Anne przyglądała się Rose, która uprzejmie odłączyła się od dorosłych i stanęła w kolejce przed barem, na którym stała już jedna porcja jedzenia.

- Czy ktoś coś chce? - zapytała ze swojego miejsca.

Anne dała jej pieniądze na opakowanie lukrecji i dwa marcepany.

- Wejź do środka, tato. Mam swój bilet.

Torsten kiwał z podziwem głową, gdy wchodził z nimi na piętro.

- Jest coraz bardziej samodzielna, a dopiero co trzeba ją było trzymać za rączkę, kiedy przechodziła przez ulicę.

- Przecież ona ma szesnaście lat. - Anne uśmiechnęła się.

Brwi Torstena uniosły się, Anne знаła ten jego szelmowski uśmiech.

- O nie, może jeszcze zaczęła latać za chłopakami? Pokręciła głową i zamilkła. Wiedziała, bo Dicte rozmawiała z nią o tabletkach antykoncepcyjnych. Sporo ją kosztowało, żeby się przemóc, ale było to konieczne. Jak dobrze mieć chłopca, który na razie interesuje się wyłącznie „Harrym Potterem” i „Kaczorem Donaldem” - pomyślała w duchu Anne.

Gdy znaleźli swoje miejsca, zaczęły się już reklamy. Torsten i Rose mieli siedzieć w rzędzie przed nimi. Kiedy Anne oglądała zwiastuny, Anders pochylił się i cicho rozmawiał z Torstenem. Pomyślała, że to dziwne, iż ci dwaj tak zupełnie różni mężczyźni zawsze dobrze się dogadywali. Może to wspólne północnojutlandzkie korzenie sprawiały, że ten niewierny nerwus, syn sprzedawcy warzyw z Holsterbro śmiał się z tych samych żartów, co syn ordynatora szpitala z Hobro.

- Hmm... gdzie ty właściwie mieszkasz, jak jesteś w mieście? - usłyszała, jak Anders zadaje mu pytanie.

-W Ritzu - powiedział Torsten - przy ulicy Banegarden. W porządku, ale jak na mój gust, trochę zbyt bezosobowo.

Torsten obrócił się trochę w jej stronę. Widziała jego profil. Charakterystyczny prosty, grecki nos, brodę, krótszą niż ostatnio (co nie uszło uwadze Anne) i wesołe spojrzenie. Tańczyli razem na wielu imprezach sylwestrowych, gadali, pili i zapominali o płynącym czasie. Pomyślała o guzie w piersi i zastanowiła się, jak ktoś taki jak Torsten przyjąłby tę wiadomość. Jak mężczyzna - pomyślała mimo woli. Mimo wszystkich swoich wad, mimo zdrady i tysiąca kłamstw, umiałby stawić temu czoło.

- Daj znać, to jak będziesz następnym razem, dostaniesz nasz pokój gościnny - wspaniałomyślnie zaproponował Anders.

Torsten uśmiechnął się z wdzięcznością, podczas gdy Rose torowała sobie przejście w rzędzie, niosąc zapas słodczy.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście. Kochanie, Torsten może się przecież zatrzymać u nas, prawda?

Anne wymusiła w ciemności uśmiech. Zastanawiała się, czy ta oferta nie była zbyt nielojalna wobec Dicte. Zazdrościła Andersowi towarzystwa.

- Oczywiście. Jeśli zadzwonisz kilka dni wcześniej.

Gdy następnego dnia przyszła do pracy, prawie całkiem zapomniała o guzie. Może dlatego, że wydawał się taki nierzeczywisty, a może lekarzowi udało się ją uspokoić. Dobry Boże, to zupełnie nie było do niej podobne. Nigdy nie martwiła się na zapas. Wesoło powitała ochroniarzy, idąc korytarzem na porAnne zebranie.

Wieczorem po powrocie z kina kochała się z Andersem. Zupełnie

niespodziewanie, ciepło i miło. Miała nadzieję, że może to unicestwiło guza. Może zniknął pod groźbą szczęścia. Tak samo jak można odstraszyć Drakulę wiankiem czosnku. Oczywiście, zapisała się na mammografię, ale kolejka jest bardzo długa, więc zdąży się trochę uspokoić. Zapomnieć.

Gdy weszła do pokoju, w którym zbierały się pielęgniarki, usłyszała przestraszony głos powstrzymującej się od szlochu Sofie:

- Grozi, że zabije wszystkie dzieci. - Złapała powietrze. Siedziała otoczona przez innych i ścisnęła w rękę szklankę wody. Rozejrzała się ślepo po sali. - Ma gruby głos - powiedziała i swoje wielkie jak spodki od filiżanek oczy utkwiała w Anne. - Brzmi tak, jakby był wielkim facetem.

Typ harleyowca.

Anne spojrzała ze zdziwieniem na Vibeke, która pokręciła ze smutkiem głową.

- Dzwonił nasz przyjaciel z mazakiem. Musimy wezwać policję.

- Gdzie byłeś?

Głos Evy dobiegł go pierwszy i Bo zmusił się, żeby nie zawrócić i nie uciec. Jak najdalej stąd, na wolność. W tym samym momencie przybiegły jednak dzieci, które go zatrzymały, także w dosłownym tego słowa znaczeniu, wobec czego od razu porzucił swoje myśli o ucieczce.

- Cześć, tato! - zawołał Tobias i o mały włos nie przewrócił fotografa z radości.

Bo jak zawsze podrzucił Ninkę, uścisnął Tobiasa i lekko poklepał go po ramieniu.

- Cześć, dzieciaki. Jak tam w szkole?

Ciągnęły go już do salonu, przekrzykując się nawzajem.

- Narysowałam Sushi i Malene powiedziała, że to najładniejsza papużka, jaką kiedykolwiek widziała - chwaliła się Ninka, wykorzystując swoją wychowawczynię, żeby zdobyć uznanie taty. Odchyliła głowę i patrzyła na niego ze szczerym zapalem, a on ją gorliwie chwalił.

-A ja odrobiłem już lekcje - powiedział Tobias dojrzałe, z wypiekami na policzkach, próbując pokazać swojej dziecinnej młodszej siostrze, gdzie jest jej miejsce. - Trzy strony z matematyki. I mama nawet mi nie pomagała.

Eva schodziła ze schodów. Widział ją z pokoju, w którym dzieci wepchnęły go w fotel jak dziadka, a same wgramoliły się na oparcie i machały mu przed nosem obrazkiem i ćwiczeniami z matematyki. Idylla - pomyślał. Dla kogoś, kto nie zna prawdy, wyglądają jak idealna rodzina.

Eva doszła do ostatniego stopnia schodów. Przez jedną sekundę przykuła jego uwagę, stojąc tam i pozując, jakby znów znalazła się na

wybiegu. To mógłby być złoty strzał - pomyślał. Taki, którego nigdy się nie zapomina. Jeszcze przed rokiem, tak jak i w wielu innych podobnych sytuacjach, zerwałby się z miejsca i chwycił aparat. Uwieczniłby jak rusza z miejsca i idzie w jego stronę. Jej piękne, gibkie ciało i długie nogi, cudownie falujące włosy opadające na ramiona. Spojrzenie gwiazdy i idealny owal twarzy. Zbyt idealny - przemknęło mu przez głowę. Jakby była jakąś istotą stworzoną przez komputer - właśnie tak zaczął o niej myśleć. Bez duszy i bez serca. Chociaż spowodowane to było raczej jego złym nastrojem. Wiadomo, że trochę przesadzał. Ale tylko trochę.

Już dłużej nie mogę - pomyślał i słowa o mały włos nie wypowiedziały się same. Ewa ustawiła się na progu salonu jak dekoracja w drzwiach. Ani jednego dnia - myślał. Ninka objęła go ramionami i przytuliła się, i wiedział, że dzieci go potrzebują. Ciężyla na nim ta przekłeta odpowiedzialność, dlatego, że kochał je tak mocno.

- Nadgodziny? - zapytała Eva niewinnie.

- Pojechałem na chwilę do koleżanki - powiedział, bo miał już dość kłamstw, a poza tym nie zrobił przecież nic złego. - Potrzebowała pomocy z przepchaniem rur w swoim nowym domu.

- Przepchaniem?

To jedno pytanie naładowane było wszelkimi możliwymi i niemożliwymi aluzjami oraz sporą dawką braku zaufania. Przez te wszystkie lata doprowadziła do perfekcji sposób, w jaki za pomocą jednego słowa można wyrazić wszystko, co roi się w głowie. Gdzie wszelkie podejrzenia w cudowny sposób zamieniały się w fakty. Zanim zdradził ją pierwszy raz, miała już dowody na dziesięć innych zrad i groziła rozwodem setki razy. Trzymałby ją za słowo, gdyby nie dzieci.

- O co ci znowu chodzi? - bronił się. - Umawialiśmy się może na jakąś konkretną godzinę?

Zacząła wycierać palcem niewidzialne plamki z telewizora. Kasety wideo leżały w równiutkich stosikach. Mimo wszystko poprawiła je i wyrównała jak szereg żołnierzy. Upewniła się, że żadna ani odrobinę nie wystaje. Dbała o porządek w życiu, które było dla niej całkowitym chaosem.

- Nie słyszałeś o telefonach? - powiedziała. Poznał po jej spiętych plecach, że to jest chwila, w której powinien ją udobruchać, jeżeli chce uniknąć awantury. Nie chodziło o to, że tego chciał. Ale nie miał po prostu siły na płacz, krzyk i histerię.

-Miałem zlecenie. Razem z Dicte Svendsen. Komórka mi się rozładowała - skłamał.

Obróciła się. Podniosła swoje pięknie wyregulowane brwi, które jak pomalowane ciemne kreski biegły do skraju włosów.

- A ta twoja dziennikarka nie miała w domu telefonu?

- Dopiero się wprowadziła - wymamrotał i już wiedział, że przegrał. Właściwie było mu wszystko jedno.

Podniósł się. Dzieci szły za nim jak dwa małe szcze-niaczki.

- Biegnijcie się pobawić - powiedział, a one bez słowa poczłapały do swoich oddzielnych pokoi; nawet dzieciaki robiły się posłuszne, gdy w powietrzu czuło się napięcie.

-A co tam jeszcze robiłeś oprócz tego przepychania? - Jej głos był ostry jak brzytwa i trafił w jego plecy, kiedy Bo odwrócił się, żeby odejść.

Westchnął. Wiedział, że ona po prostu nie potrafi sobie z tym poradzić. I bardzo często musiał sobie o tym przypominać.

- Piłem piwo i rozmawiałem z jej córką i psem.

I całowałem się z nią w łazience - dodał w duchu. Może pomoże to z córką i psem? Trzymał kciuki. Może to ją uspokoi i będzie miał święty spokój.

Przez chwilę milczała. Mógł prawie słyszeć jej myśli. Widział, jak krzyżują się jej tory myślowe i jak wyciąga wnioski, w specyficzny dla siebie sposób.

- Czyli nie byłeś z nią tam sam? Ani przez chwilę? O Boże. Tak źle już dawno nie było. Zazwyczaj w miarę szybko umiał ją uspokoić.

-Oczywiście, że byłem. Jesteśmy kolegami. Rozmawiamy o pracy. O dziecku w rzece, jeśli już koniecznie musisz wiedzieć.

Obrócił się na pięcie i szedł korytarzem w stronę swojej pracowni. W tym momencie bardzo żałował, że nie ma swojego gabinetu w redakcji, ale na dłuższą metę było to trochę za drogie. Wyjazd do Somalii wymaga ofiar.

- Czyjej córka była tam przez cały czas?

- Możesz się w końcu zamknąć?

Szła za nim korytarzem. Chciałby, żeby po prostu zniknęła z powierzchni ziemi. Już dawno porzucił nadzieję na to, że znów będzie taka jak kiedyś. Przyznał się do tego, że tak okrutnie się pomylił, że po pierwszych gorących miesiącach ona spowszedniała, była po prostu sobą.

Chwyliła go za kołnierz i gdy się obracał, wyrwała mu kosmyk włosów.

-Nie mów tak do mnie! - rozkazała. - Zachowuj się!

- Nie jestem twoim psem - powiedział i spróbował się wyrwać, krew pulsowała mu w głowie.

Wyciągnęła rękę z szaleństwem w oczach. Przejechała paznokciami pięć centymetrów po jego policzku, zanim zdążył złapać ją za przegub. Pomodlił się w duchu o to, żeby nie zostać damskim bokserem. To było zupełnie nie w jego stylu. Ona coś z nim zrobiła, wszystko zepsuła.

- Idź sobie, Evo - spróbował. - Muszę pracować. Pomyśl o dzieciach. Przecież one wszystko słyszą.

- Pomyśl o dzieciach - przedrzeźniała go. - To ty będziesz o nich myślał, kiedy już będzie po rozwodzie, a one, jak chcesz wiedzieć, zostaną ze mną.

Gdy otwierał drzwi do swojej pracowni i zamykał je za sobą, ciągle jeszcze wrzeszczała. Było mu niedobrze. Myślał o Nince i Tobiasie. Miał nadzieję, że zostaną w swoich pokojach, dopóki napięcie nie opadnie. Za godzinę znów będzie słodka i radosna. Będzie się zachowywać, jakby nic się nie stało. Czasami odnosił wrażenie, że ona nic nie pamięta, że zapomina o wszystkim w ciągu sekundy.

Usiadł przy biurku, na którym klisze, kasety i trzy aparaty poniewierały się razem z wydrukowanymi zdjęciami. Odchylił się na krześle, które kupił kilka lat temu za bardzo dużą kwotę, żeby odpisać je od podatku. Położył ręce na karku i patrzył na tablicę korkową, na której powiesił zdjęcie Dicte z przyjaciółkami i wibratorem. Dobra, było to może dość bezczelne, w końcu ledwo ją znał, ale coś kazało mu właśnie tak postąpić.

Na samą myśl o ich spotkaniu w łazience ogarnęło go podniecenie. Ciepłe uczucie czystej radości. Minęło bardzo dużo czasu, odkąd ostatnio się tak czuł. Bardzo dużo czasu, kiedy sobie ostatni raz na to pozwolił.

Zalogował się do komputera. Zaczął powiększać wczorajsze zdjęcia.

Musiał też dokończyć te z milionerem na wózku. Otworzył wszystkie fotografie, żeby wybrać najlepsze. Przez to zamieszanie z dzieckiem w rzece nie miał czasu, więc zadanie utknęło w miejscu. Tygodniki dawały zawsze dużo czasu, więc miał jeszcze tydzień.

Bez zastanowienia otworzył zdjęcie Olego K. Serensena i jego żony Esther. Zdjęcie, na którym trzymali między sobą rodzinną fotografię. Idealne do tygodnika - pomyślał bez cienia wstydu. Czuł jeszcze zapach ciasta. Przypomniawszy sobie, jaką poczuł wtedy tęsknotę. Do dzieciństwa i iluzji szczęścia rodzinnego, w którego istnienie można uwierzyć, będąc dzieckiem. Pomyślał o Nince i Tobiasie. O tym, że właśnie taka była jego teoria, że fikcja jest lepsza niż nic. Powinni czuć ramy prawdziwej rodziny jak ściany pokoju, mimo że te były bliskie runięciu. Bo myślał tak przez lata. Może dlatego, że było to najłatwiejsze, a może nie było nikogo, kto zrewidowałby jego poglądy.

Zrobił zbliżenie Olego Sorensena na wózku inwalidzkim. Wyciął go tak, żeby zmieścić kwiaty na stole. Wybrał jedno zdjęcie pionowe i jedno poziome, żeby tygodnik mógł je sobie dopasować do layoutu. Nie zawsze był taki pomocny. Jeśli jedno ze zdjęć było zdecydowanie najlepsze, wysyłał tylko to jedno, a oni musieli do niego dostosować tekst. Zwłaszcza, jeżeli było to zlecenie, na którym mu zależało. Teraz mógł ich nawet zaprosić, żeby sami sobie wybrali. Jeśli dadzą mu więcej takich zleceń, uda mu się zbierać pieniądze na wyjazd.

W tym momencie Somalia wydała mu się jednak zbyt daleka i zupełnie nieinteresująca. Znowu pomyślał o Dicte Svendsen. O tym, w jaki sposób, mu się poddała. Jak lekko nachyliła się w jego stronę, gdy ją całował. Jak zupełnie nie mógł się przed tym całowaniem powstrzymać. Właściwie to

nawet nie próbował. Życie trzeba łapać tu i teraz. Taki był jego wniosek po latach, kiedy czekał, aż Eva znów będzie taka jak dawniej.

Kiedyś wierzył, że to tylko okres przejściowy, chwilowe załamanie. Był głupi i naiwny. Płacił za to przez wiele lat i będzie płacił przez wiele następnych.

Zadzwoił telefon i rozbił na tysiące kawałeczków obraz Ewy w jego głowie. Odebrał.

- Bo, słucham.

- Dicte. Co robisz jutro rano?

Od razu przechodziła do sedna. Zobaczył przed sobą długi poranek w podwójnym łóżku, które widział w jej sypialni.

- Nic, co nie może poczekać.

- Świetnie. W takim razie spotykamy się na konferencji prasowej na komendzie policji o dziesiątej. To musi być coś poważnego, skoro od razu do nas zadzwonili.

-Wjakiej sprawie?

- Grafficiarza ze szpitala. Mówią, że mają coś nowego.

Komenda policji w Arhus witała wszystkich czerwonymi niedostępnymi murami, które przywodziły na myśl ciemne noce w zamkniętych pomieszczeniach -smolistą kawę, ogniste przemowy do sztabu zezowatych policjantów i wskaźnik oparty o rozwinięty plan miasta. Dobra - pomyślała Dicte, wjeżdżając na parking. Może obejrzała za dużo odcinków Prawników z Miasta Aniołów, ale było coś w tym budynku, co mocno na nią działało i zapraszało do rozwiązywania zagadek.

Zaparkowała i wysiadła z samochodu. Mocny jesienny wiatr szarpał płaszczem i porywał suche liście, tworząc małe wiry w zakamarkach budynku. Znalazła parkometr i przypomniała sobie, jak któregoś dnia w szkole dziennikarskiej pewien miły komisarz, który miał wziąć udział w programie radiowym, oprowadził ją po budynku. Wtedy komenda była jeszcze całkiem nowa. Wcześniej Wydział Kryminalny i Prewencji miały siedziby w oddzielnych miejscach. Ogarnęło ją to dziwne uczucie, które towarzyszyło jej zawsze, gdy przebywała w instytucji państwowej. I ten widok: szare linoleum na długich korytarzach, ciemnoniebieskie drzwi i stołówka z krzesłami, które można było zawiesić pod stołami jak w szkolnych klasach. Tu mundurowi siedzą nad swoimi posiłkami i kawami, a tajniacy trzymają się trochę z boku. Tak właśnie jest, wytłumaczył jej to trochę poufale policjant. Mundurowi i kryminalni nie tylko pochodzą z różnych miejsc w mieście, ale i z różnych planet.

Przebiegła wzrokiem po parkingu, szukając białej toyoty Bo, ale jej nie znalazła. Poczowała napięcie i musiała zacisnąć dłonie, żeby odzyskać nad sobą kontrolę. Przecież była tu w pracy. To, co się wczoraj wydarzyło

między nimi, nie powinno mieć na nią żadnego wpływu. Właściwie to na nic nie powinno mieć wpływu i w ogóle nie potrzeba tego dłużej roztrząsać. Ani tym bardziej powtarzać - pomyślała, wchodząc przez obrotowe drzwi do recepcji. W pomieszczeniu za szklaną szybą była dyżurka, w której zauważyła tablicę z kluczykami do wozów patrolowych. Od razu było wiadomo, którzy policjanci są w terenie.

Jeszcze go czuła. Ten pocałunek. Wspomnienie o nim cały czas w niej siedziało, wirowało w ciele Dicte jak w pralce. Jak coś obcego i niechcianego, mimo że powodowało uczucie ciepła w brzuchu. Powinna być mądrzejsza i bardziej zdyscyplinowana. Z ich dwójki to ona jest osiem lat starsza i bardziej dojrzała. I dlatego Podjęła decyzję.

Konferencja prasowa została zorganizowana w sali, w której na co dzień odbywały się porAnne narady policjantów. Wisiała tam oczywiście mapa środkowej Jutlandii i Arhus. Była też tablica i white board. Większość dziennikarzy i fotografów już przyszła. Zajmowali miejsca przed stołem, za którym siedziało dwóch policjantów. Funkcjonariusze postawili przed sobą wodę mineralną. Delikatnie rzecz ujmując, wyglądali na niezadowolonych, że będą fotografowani i oglądani. Sprawiali wrażenie, jakby mieli ogromną ochotę wymknąć się stamtąd do swoich małych ciemnych pokoi, gdzie mogli łączyć ze sobą fakty, studiować odciski palców, poganiać lekarzy Instytutu Medycyny Sądowej i rozwiązywać zawikłane sprawy.

Rozpoznała Johna Wagnera, komisarza, z którym rozmawiała przed kilkoma dniami. Był mężczyzną w średnim wieku, w tweedowej marynarce ze skórzanymi łatami na rękawach. Miał ciemną karnację jak południowiec i nosił krótką fryzurę. Gdzeniegdzie połyskiwały pasma

siwych włosów. Jego twarz była podłużna, podkreślona przez wysokie czoło. Miał długi i lekko zakrzywiony nos oraz głęboko osadzone oczy. Wyglądał na bardzo zmęczonego, ale taka może była po prostu jego uroda. Tabliczka na stole głosiła, że obok niego siedział inspektor Wydziału Kryminalnego, Christian Hartvigsen.

Dicte pozdrowiła go lekkim skinieniem głowy. Usiadła obok dziennikarki z jakiejś lokalnej gazety i spojrzała na zegarek. Była dziesiąta, ale najwidoczniej czekali, aż wszyscy przyjdą i zajmą miejsca. Wpatrywała się w mapę okręgu, będącą czymś w rodzaju scenografii całego seansu. Powiodła spojrzeniem na peryferie, na zachód od miasta. Nagle wszystko do niej wróciło, mimo że starała się trzymać od tego z daleka.

Przypomniała sobie konfrontację na tej drugiej, starszej komendzie. Zimne ściany, antywłamaniowe okna i jeden materac. Miała uczucie, że była w całkiem innym miejscu, że oderwała się od swojego ciała i odleciała. Marzenie, żeby uciec. Do zupełnie nowego życia.

Nie wiedziała, dlaczego te myśli wróciły. Dusił ją w sobie. Próbowwała odganiać już od tamtego dnia przy rzece. Może to zawsze będzie ją ścigać, może po prostu nie można czegoś tak po prostu zostawić za sobą? Tak samo było z domem, który miał usterki. Ukryte wady, które wychodziły na jaw czasami dopiero po wielu latach. Kaloryfer, lampy na podwórku, wyciąg. Na pewno wszystko to funkcjonowało bez zarzutu, zanim nie przyszła ona i nie zaczęła dążyć do perfekcji i nalegać na to, żeby wszystko naprawić.

- Chyba jesteś daleko stąd - wyszeptał miękki głos.

Usiadł obok niej. Podniósł jej dłoń i lekko ją uściśnął. Chciała ją

zabrać. I to szybko. Powiedzieć coś odpychającego, ale on był pierwszy.

- Zachowujmy się, jakby nic się nie wydarzyło, OK? Jesteśmy tylko kolegami i tak dalej.

Patrzyła na niego. Chciała powiedzieć, że myślała dokładnie o tym samym, że z ust jej to wyjął. Miała przejąć kontrolę, ale on był szybszy. Milcząc, kiwnęła głową. Jeszcze raz uścisnął jej dłoń i zabrał rękę. Poczwała, że brakuje jej ciepła tej dłoni.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział cicho. -Moja córeczka upadła i zrobiła sobie dziurę w kolanie, musieliśmy pojechać na pogotowie.

- Nic się nie stało, przecież jeszcze nie zaczęli - odparła może trochę zbyt grzecznie.

Zastanawiała się nad tym, jak mogła wyglądać jego córka. Czy miała jego oczy, jego zgrabne, smukłe ciało, Jego sposób poruszania się i arogancję zmieszana z tym czymś chłopięcym. Może arogancja to było zbyt mocne słowo jak dla takiego młodzika - pomyślała, ale nie mogła znaleźć lepszego określenia. Może to bezczelność? Chciała go poprosić, żeby opowiedział jej o swojej córce i synu. O tym, jak wygląda ich dom i czy wieczorem pachnie kolacją, czy dzieci czasami się biją, ganiają i zabiegają o uwagę mamy i taty. Chciała zapytać, jak wygląda jego żona, czy jest piękna i co robiła, że za nią szalał. Czy ją kocha, mimo że mają trochę problemów... Jej myśli zostały przerwane przez Christiana Hartvigsena, który głośno odchrząknął i cała sala ucichła.

- Zorganizowaliśmy tę konferencję, bo jest postęp w jednej ze spraw, nad którymi pracujemy i którymi państwo oczywiście bardzo się interesowaliście - powiedział Hartvigsen i niepewnie powiodł wzrokiem

po zebranych w sali. - W związku z tym, komisarz John Wagner, który zajmuje się tą sprawą, zaraz poda państwu wszystkie informacje.

Hartvigsen był krępy męczyzną. Miał dużą głowę i sprawiał wrażenie osoby, która czułaby się lepiej na polu w traktorze, otoczona przez mewy i bezkresne niebo. Teraz jednak siedział tu, trochę przytłoczony przez cywilizację, dziennikarzy uzbrojonych w notatniki i dyktafony oraz błyskających fleszami fotografów. Z przerażeniem mrugał oczami. Z wdzięcznością spojrział na Johna Wagnera, gdy ten rozejrzał się po sali i zaczął mówić.

- Policja kryminalna miasta Arhus zatrzymała wczoraj o godzinie szesnastej dziesięć pracownika szpitala Skejby podejrzanego o groźby i pisanie po czole noworodka. W sprawie obowiązuje ochrona danych osobowych. Zatrzymana osoba zostanie przesłuchana dzisiaj o godzinie czternastej. Jakies pytania?

Ręce strzeliły w powietrze. Wszyscy wiedzieli, że, według protokołu, powinni zadawać pytania Hartvigsenowi, ale Wagner miał większy autorytet. Kiwnął głową w kierunku dziennikarza lokalnej gazety. -Tak?

- Czy znacie motyw? I na ile jesteście pewni, że złapaliście właściwego człowieka?

-Zacznę od drugiego pytania. Jesteśmy pewni na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Podejrzana osoba przyznała się. No i mamy dowody techniczne.

-Na przykład jakie? Złapaliście ją na gorącym uczynku?

- Skąd pan wiedział, że to kobieta?

- A nie? - spytał dziennikarz.

Nastąpiła chwila ciszy. Potem Wagner pokiwał twierdząco głową.

- Dobra robota. Nie szuka pan pracy? Tylko proszę pamiętać, że dziennikarze lepiej zarabiają.

- A motyw? - Dziennikarz uśmiechnął się.

- Mamy kilka teorii - powiedział Wagner niejednoznacznie. - Ale nic konkretnego. Poza tym nie złapaliśmy jej na gorącym uczynku, tylko prawie.

-A czy to nie może być fałszywe przyznanie się do winy? Takie rzeczy przecież się zdarzają - zapytał mężczyzna reprezentujący jeden z dużych dzienników.

Wagner wzruszył ramionami.

- Oczywiście, wszystko jest możliwe. Teoretycznie. Jednak za zgodą sądu odsłuchaliśmy wszystkie rozmowy telefoniczne prowadzone z oddziałem. Również te, które według podejrzaney były jej rozmowami z człowiekiem grożącym dzieciom.

- Ale na linii nie było nikogo? - powiedział rezolutnie „lokalny”.

-Przydałby się pan w naszym sztabie. - Wagner uśmiechnął się kwaśno.

- Ale jesteście pewni? - zapytała Dicte. - Noworodkom w szpitalu w Skejby nic już nie grozi?

John Wagner spojrział na nią. Wróciło zmęczenie. Wyglądał, jakby za chwilę miał upaść pod stół i zasnąć.

- Na pewno nie z tej strony - powiedział.

Niech diabli wezmą dziennikarzy. Są jak dzieci. Cały czas chcą zapewnień. Dowodów na stole i zrozumiałych, nie przynoszących cienia wątpliwości wyjaśnień. Nie boją się zadawać głupich pytań, bo nauczyli się w szkole, że czasem mogą tym zaskoczyć rozmówcę i dowiedzieć się czegoś ważnego. W gromadzie są dość denerwujący, musiał jednak przyznać przed sobą, że w kontakcie w cztery oczy nie są z reguły tacy źli i oprócz paru pomyłek, jakie zdarzyło się im popełnić przez te wszystkie lata, zazwyczaj trzymają się faktów.

Popił kawę, która smakowała jak stara fasola. Mimo to poczuł, jak kofeina zaczyna działać i podnosi go do pionu niczym króliczka Duracell. To była już czwarta filiżanka tego dnia.

- Wydaje mi się, że poszło bardzo dobrze - powiedział Hartvigsen, który też zmagał się z kawą. - Jak sądzisz? Teraz chyba przestaniemy łączyć dziecko z rzeki ze sprawą ze szpitala?

Wagner przytaknął. Miał ochotę położyć głowę na stół i zasnąć, ale kawa mu to uniemożliwiała.

-Warto było próbować - odparł ze zmęczeniem. - Zadziwiający zbieg okoliczności i tak dalej.

Machnął ręką i liczył na to, że Hartvigsen zrozumie. Kombinowali. Brali pod uwagę wszystkie możliwości, ale musieli wybrać jakiś kierunek. Wagner wybrał wariant z dwójką dzieci. Szukał pomiędzy nimi związku, którego nie było. Oczywiście sprawy miały różne numery w aktach, ale i tak wylądowały na jego biurku, a on miał przeczucie, że były ze sobą jakoś powiązane, chociaż nie wiedział jak. Może trochę zbyt mocno zaufał swojej intuicji.

Hartvigsen przyglądał się kawie, po czym wziął kolejny łyk i skrzywił się.

- Jest coraz gorsza, nie sądzisz?

- To przez filtr. Ciągłe zapominają go wymienić.

- Wyglądasz na trochę zmęczonego. Może powinieneś wziąć urlop, gdy to wszystko się uspokoi?

Określenie „trochę zmęczony” było najbardziej naciągniętą grzecznością na świecie - pomyślał, gdy Hartvigsen skoncentrował się na podejrzenie wyglądającym kawałku ciasta z płatkami owsianymi. Pracowali 24 godziny na dobę i Wagner tylko kilka razy mógł w tym czasie zjawić się na próbie. Chcieli ustalić tożsamość zmarłego dziecka, wykorzystując psy tropiące. Szukali świadków i odwiedzali sklepy oraz domy wzdłuż rzeki, pytając mieszkańców, czy nie widzieli nic nadzwyczajnego w ciągu tych dni, od kiedy znaleziono dziecko. Zwrócili się do położnych, lekarzy i ośrodków socjalnych w Brabrand i Bispehaven. Jednocześnie przesłuchiwali personel ze Skejby, odsłuchiwali rozmowy telefoniczne i robili wszystko, co było konieczne do rozwikłania tej drugiej sprawy. Jednak jeśli chodziło o dziecko z rzeki, to od pierwszego dnia nie posunęli się ani o krok. Pojawiła się frustracja i zaczęli od czasu do czasu sobie dogryzać. Najbardziej odbiło się to na Janie Hansenie, który został im przydzielony z prewencji. Taka wymiana pracowników była już zwyczajem. Opierającym się na założeniu, że aby zapobiec rutynie, siłę Wydziału Kryminalnego powinna w jednej czwartej stanowić prewencja. Czysty komunizm - jak to określił Ivar K. Jako komisarz w Wydziale Kryminalnym Hansen czuł się oczywiście trochę wyżej postawiony od mięśniaków w mundurach, ale nie był aż taki zły.

- Coś nowego w sprawie kartki z Koranu? - spytał Hartvigsen, przeżuwając ciasto.

- Jest jeszcze w Kopenhadze. - Wagner pokręcił przecząco głową.

- Dlaczego tak długo?

Wagner wzruszył ramionami. Zdenerwowany, bo była to prawda. Nie można tak po prostu ponaglać Wydziału Daktyloskopii, który miał zbadać odciski palców na papierze. Rzadko udawało się coś przyspieszyć.

Wszędzie mieli teraz za mało ludzi - ta fraza funkcjonowała niemal jak klucz. Jakby coś, co wszystko tłumaczyło i wyjaśniało, i czego właściwie nie można było sprawdzić.

- W końcu wróci. Tylko czemu muszą być tacy cholernie skrupulatni?

Pomyślał o kartce wyrwanej z Koranu, którą laboratorium kryminalistyczne znalazło wszytą w jeden z ręczników. Przypomniał sobie swoją pierwszą reakcję: „Tylko nie teraz, nie tak od razu po 11 września!“. To było dokładnie to, czego brakowało, co mogło wywołać pożar w sklepach i pizzeriach imigrantów, i popchnąć chuliganów do wszczynania bójek bez przyczyny. Najgorszy koszmar policji, zaraz po morderstwie w porcie Arhus Marselisborg. Nie chodziło o to, że był jakimś wielkim obrońcą imigrantów. Bóg jeden wie, ile problemów miała policja z przemocą wśród nastoletnich cudzoziemców. To jednak sprawiało, że śledztwo było jeszcze bardziej skomplikowane.

Takie było jego zdanie, ale postąpili słusznie, podając informację o Koranie do wiadomości publicznej. Ludzie oczywiście na to zareagowali, ale nie tak źle, jak można się było tego spodziewać. Mimo wszystko policjanci czekali w pełnej gotowości. Coś wisiało w powietrzu. Czuło się napięcie w listach do gazet i zgłoszeniach na komisariaty. Cierpliwość

ludzi pomału się kończyła. Musimy znaleźć jakiegoś winnego - pomyślał z przekąsem, bo przez te wszystkie lata określenie to nabrało w jego odczuciu wiele nowych znaczeń. Wiedział, że za słowem wina często znajdowali się nieszczęśliwi ludzie i tragiczne wydarzenia, których nikt nie planował. Przestępstwa rzadko popełniano z premedytacją, częściej były one niezamierzone i nieprzemyślane. Gdy policja próbowała schwycić sprawców, najczęściej reagowali paniką.

Hartvigsen odsunął filiżankę ze wstrętem. Wagner podsumował swoje filozoficzne przemyślenia, wychylając ostatni łyk.

- Miejmy nadzieję, że coś tam znajdą - łudził się Hartvigsen.

Wagner pokiwał głową, ale wątpił w powodzenie analiz. Jak zresztą w całą resztę. Zabezpieczył kartkę z Koranu w plastikowej torebce i wysłał pocztą kurierską. Będzie kapana w różnych chemikaliach w poszukiwaniu odcisków palców. Jeśli coś znajdą, zeskanują to do systemu, gdzie znajduje się ponad dwieście tysięcy odcisków palców znanych przestępców. Z nich komputer wybierze dwadzieścia pięć, które będą najbardziej zbliżone. Najlepsze było to, że ostatnia część pracy zawsze była i pozostała „ręczna”. Człowiek, który przez całe życie zajmował się odczytywaniem odcisków palców, będzie badał te ostatnie dwadzieścia Pięć i to on wyda wyrok. Odrobina romantyzmu, która została w branży - pomyślał Wagner z zadowoleniem i wyobraził sobie samotnego mężczyznę z lupą w ręku i okularami na nosie. Sherlock fucking Holmes, jakby go na pewno nazwała jego dorosła córka. Mimo tej romantycznej wizji był przekonany, że i tak nic z tego nie wyniknie.

- Wątpię, żeby to jakiś znany nam przestępca zostawił to dziecko - powiedział cicho. - Bardziej prawdopodobne, że chodzi o jakąś

nieszczęśliwą matkę, albo jeśli już, to o małżeńską kłótnię, po której mąż zemścił się z jakiegoś powodu na swojej żonie.

Spojrzeni na siebie. Obydwaj wiedzieli, że to ogromna różnica.

Zrozpaczona matka, która nieumyślnie popełniła morderstwo, bo nie miała odwagi szukać pomocy i powierzyć dziecka instytucji, czy żądny zemsty ojciec, który włożył dziecko do rzeki, dobrze wiedząc, że ono wkrótce umrze.

- Dziecko przecież jeszcze żyło, kiedy znalazło się w rzece - stwierdził Hartvigsen dla porządku.

- Według koronera przyczyną zgonu było zaniedbanie. Wyziębienie, mimo ręczników, i odwodnienie. Dni pod koniec września są jeszcze ciepłe, ale w nocy temperatura spada do dziewięciu stopni. Ciężkie warunki dla noworodka.

Przez chwilę siedzieli w ciszy. Poważni, z czcią myśleli o chłopcu i jego losie. Potem Hartvigsen wstał i niczym pilny uczeń przysunął krzesło do stołu.

- Co teraz? Jaki jest plan?

Wagner pozbierał filiżanki i odstawił je na wózek z kuchni. Wrócił po swoją teczkę i podążył za szefem.

- Zakładam, że musimy robić wszystko od początku. Na balii nie było przecież żadnych odcisków. Woda rzeki na pewno je zmyła, ale może znajdzie się coś na tych ręcznikach. Poza tym spróbujemy pociągnąć za język ludzi z Magasinu. Problem tkwi w tym, że teoria z imigrantami nijak się ma do klientów tego sklepu.

-Ale ta teoria jest najbardziej prawdopodobna? - Hartvigsen zadał pytanie, mimo że tak to nie zabrzmiało.

- Biorąc pod uwagę informacje, które posiadamy, to tak. Dopóki nie dojdzie nam coś nowego.

- Ale ciebie to za bardzo nie przekonuje?

Szli długim korytarzem, skręcili za rogiem, gdzie nowo zakupione dzieło sztuki rozświetlało trochę ciemny kąt z taną sofą.

Pokręcił głową. Musiał to przyznać. Ale z drugiej strony nie miał żadnego dobrego argumentu, żeby odrzucić tę przekonującą teorię.

Hartvigsen położył mu ostrożnie rękę na ramieniu i spojrzał na niego z troską. Wagner chciał zapaść się pod ziemię, żeby tylko uniknąć przemowy, która zbliżała się wielkimi krokami.

- Oczywiście bardzo cię tu potrzebujemy i dobrze o tym wiesz, ale od śmierci Niny chyba za dużo pracujesz. Pomyśl o wakacjach - zakończył Hartvigsen.

Oddalił się w głąb korytarza, a Wagner skierował się do swojego gabinetu. Aby tam dotrzeć, musiał przejść przez inne oddziały. Jakiś świadek siedział w wydzielonym zamkniętym pomieszczeniu i studiował zdjęcia. Była to kobieta, która wyglądała na pobitą, ale ledwo ją zauważył. Myśłami był przy próbie chóru, z której kolejny raz będzie musiał zrezygnować. Jeśli chce uczestniczyć w koncercie, powinien poćwiczyć sam. Myślał też o niej, o tej Szwedce. Może też będzie musiała zrezygnować z prób, bo zbliżał się termin porodu. Może już nigdy więcej jej nie zobaczy, nigdy nie spojrzy w te niespokojne niebieskie oczy. Te, które zdradziły mu, że bardzo się czymś martwiła.

Poluźnił krawat, który musiał nałożyć w związku z konferencją prasową. Zdjął marynarkę, usiadł prosto w swoim fotelu i przejrzał pocztę. Próbował skoncentrować wszystkie swoje myśli na pracy - na tym małym

chłopczyku, któremu teraz poświęci cały swój czas, jeśli oczywiście wpadnie na jakiś trop. Znajdzie te drzwi, za którymi kryje się rozwiązanie zagadki. Ale nie mógł się skupić - ona cały czas powracała. Szwedka z anielskim głosem. Tak całkowicie różna od Niny, ciemnej i pełnej temperamentu. Jego żony, która zaciekle walczyła z chorobą i mimo to przegrała.

Zdziwił się swoim zachowaniem. Przecież to było kompletnie bez sensu. Kobieta w ciąży. Na pewno miała szczęśliwe i bezpieczne małżeństwo. I tak właśnie powinno być. Tego jej życzył. Nigdy wcześniej nie zainteresował się kobietą która była związana z innym mężczyzną. Wstęp wzbroniony. Było to całkowicie sprzeczne z jego zasadami moralnymi. Sprzeczne z wszelką logiką.

Gdy tak siedział i udawał, że czyta raport z Instytutu Medycyny Sądowej, ktoś zapukał do drzwi. Jan Han-sen nie czekał na odpowiedź, tylko wparował do środka zdenerwowany, jakby przed chwilą miał spięcie z Warem K. i usłyszał, że jest ograniczonym ignorantem albo coś, co brzmiało trochę ładniej, ale znaczyło to samo.

-Co jest, Hansen?

Jan Hansen był taki szeroki w ramionach, że o mało nie pękła na nim koszula. Poza tym miał w sobie urok, któremu kobiety nie potrafiły się oprzeć. Nic dziwnego, że Ivar K był na niego taki cięty.

- Psy. Znalazły coś na brzegu rzeki.

Ta wiadomość wstrząsnęła Wagnerem, mimo że tyle lat służył w policji, iż zdążył już nabrać rutyny. Serce zaczęło mu walić jak młotem i podskoczył puls. Miał nadzieję, że nie straci głosu.

- Co to jest?

- Kawalek materiału. Wydaje mi się, że to chusta.

W świadomości Wagnera kobieta zaczynała nabierać kształtów. Hansen dreptał w miejscu jak gorliwy pies policyjny, czekając na polecenie. Wagner wiedział, że marzeniem Jana było zostać komisarzem w Wydziale Kryminalnym. Hansen zwierzył mu się kiedyś, że przeczytał stopy kryminałów. Biedny Hansen - pomyślał Wagner, dorysowując jednocześnie materializującej się w jego głowie postaci oczy, nos i usta. Hansen miał romantyczną wizję pracowania w Wydziale Kryminalnym.

Obraz kobiety stawał się coraz wyraźniejszy. Obca twarz z przerażeniem odmalowanym w ciemnych oczach, włosy częściowo przysłonięte chustą, która dla niektórych była symbolem ucisku kobiet. Sam nie był do końca pewny, co powinien myśleć o naleganiach muzułmanek na noszenie chust, ale jedną rzecz wiedział na pewno - podanie do wiadomości publicznej informacji o stronie Koranu przelało w społeczeństwie (które chciało już kogoś obwinić) czarę goryczy. Nie było żadnego powodu, żeby temu stadu wygłodniałych wilków z mediów rzucać jeszcze chustę.

Powoli wstał z miejsca. Był o pół głowy niższy od Hansena. Poklepał go lekko po ramieniu.

- Hansen, czy wiesz, co znaczy sotto voce - zapytał z myślą o szóstej części Requiem Brahmsa, kiedy chór i baryton solo nawzajem się uzupełniają.

Hansen rozjaśnił się, jak gdyby wygrał właśnie w „Milionerach”.

- To o dźwiękach. Oznacza szeptać albo coś w tym stylu - sprawiał wrażenie zawstydzonego. - Śpiewałem kiedyś w chórze kościelnym - dodał tak, jakby zwierzył się, że w przeszłości napadał na banki.

Wagner pokręcił głową ze zdziwieniem. Pogratulował sobie szóstego zmysłu. Hansen powinien sobie dobrze poradzić w Wydziale Kryminalnym.

- To oznacza również, że lepiej nie mówić więcej, niż to jest absolutnie konieczne. I to się tyczy właśnie tej sprawy - dodał, a Hansen pokiwał ze zrozumieniem głową. - Zobaczmy tę chustę.

- Dzień dobry - powiedziała Dicte.

Światło wpadające przez zakurzone okna wyczarowało na podłodze kwadraty. W redakcji pachniało kawą papierosami i ukrytymi ambicjami. Davidsen ledwie podniósł głowę, gdy ich przywitała. Burknął coś pod nosem zza swojego biurka. Dziennikarka sportowa Cecilie Toft pisała coś na komputerze. Spojrzała na Dicte i uśmiechnęła się trochę sztywno.

- Cześć - rzuciła od niechcienia.

Dicte zdjęła kurtkę, powiesiła ją na wieszaku i przygładziła dłonią włosy, które wiatr zdążył potargać w czasie krótkiej drogi z parkingu.

- Ale zawierucha.

- W dosłownym czy w przenośnym tego słowa znaczeniu? - pytanie dobiegło zza pleców Davidsena, który cedził gorzkie słowa.

- Zatrzymali pielęgniarkę - powiedziała, ignorując zaczepki.

- Za co? - zapytała Cecilie i posłała szeroki uśmiech do Bo, który w swoich wielkich butach, z torbą na aparat przewieszoną przez ramię, wszedł do redakcji i osunął się na kanapę, pozdrawiając ich z roztargnieniem.

- Kto robi kawę? - Ziewnął tak nonszalancko, jakby się tego uczył.

- Za grożenie śmiercią - słowa Dicte trafiły w pustkę. - Po południu jest przesłuchanie.

Na stoliku przy kanapie leżały porozrzucone dzisiejsze gazety, jakby właśnie przeszła tamtędy trąba powietrzna. Obok nich poniewierały się resztki czyjś śniadania. W rozerwanej torebce leżało pół bułki, a dwie filiżanki z niedopitą kawą stały bez spodków. Mała górka ze zgniecionej folii aluminiowej, pełniąca rolę popielniczki, pełna była niedopałków.

-Kawę? Może Dicte zrobi - powiedziała Cecilie usłużnie. - Kiedyś musi być ten pierwszy raz.

Dicte poczuła na sobie jej wzrok i niemal usłyszała, jak trzasnął lód. Przez moment zastanawiała się, czym mogła narazić się tej dwudziestosiedmioletniej wysportowanej kobiecie bez śladu tłuszczu pod ramionami, za to z gruntowną znajomością piłki nożnej, którą to dziennikarkę mężczyźni najprawdopodobniej uważali za fascynującą. Niepewność pojawiła się razem z tym odwiecznym, denerwującym pragnieniem, żeby łagodzić wszystkie konflikty i ze wszystkimi żyć w zgodzie.

Włączyła swój komputer i spojrzała w neonowozielony ekran monitora.

- OK - powiedziała najłagodniejszym tonem, na jaki mogła się zdobyć.
- To chyba nie jest wielka sztuka.

Gdy zbierała filiżanki, czuła na sobie spojrzenie Cecilie. Davidsen nic nie mówił.

-Pomożemy. - Bo zerwał się z miejsca. Jednym ruchem sprzątnął bułkę i popielniczkę. Dopiero wtedy zauważyła ślady na jego policzku. Pięć czerwonych kresek.

- A tobie co się stało?

Wskazała głową w kierunku jego twarzy. Automatycznie podniósł wolną rękę i potarł nią o policzek. Pochylił się nad stołem i podniósł pusty termos.

- Nic takiego - powiedział i zniknął w kuchni.

- Wściekłe koty - odezwała się Cecilie. - Czy raczej jakaś kotka, jak mi się wydaje. Może domowa - dodała złośliwie.

Dicte z brzękającymi filiżankami i talerzami poszła za Bo do kuchni.

- O co jej chodzi? Co ja jej zrobiłam?

Bo popatrzył na nią zmęczonym wzrokiem. Jednocześnie pociągał ją i odpychał z tymi podkrążonymi oczyma i czerwonymi kreskami układającymi się w piękny prosty wzór. Chciała mu pomóc. Zaczarować i uzdrowić dotykiem dłoni, ale na szczęście miała zajęte ręce.

- Nie zwracaj na nią uwagi - powiedział cicho.

- Na koleżankę z pracy, z którą dzielę pokój? To będzie raczej trudne.

Odstawiła filiżanki. Westchnął i usiadł przy jednym z okrągłych stolików, podczas gdy ona naląła wody do czajnika i włączyła go. Nagle naszła ją dziwna myśl. Wskazała na podrapania.

- To ona? - zapytała niepewnie Dicte, a Bo roześmiał się.

- Chciałbym. Wtedy wszystko byłoby o wiele prostsze.

Kotka domowa. O cholera. Dicte odwróciła się i wyciągnęła czyste filiżanki z szafki. Pomyślała nagle, że przecież w ogóle go nie zna. Może w rzeczywistości był zupełnie inny, niż myślała, taki jak jego niespokojne oczy. Może był bardzo niecierpliwym mężczyzną.

Wzięła głęboki oddech. Wiedziała, że jej wewnętrzny psycholog uciekł, gdzie pieprz rośnie, i wstydził się za Dicte, za to, że nie mogła wytrzymać. Obróciła się trochę za szybko.

- Chyba jej nie bijesz, co?

Słowa zostały wypowiedziane, zanim zdążyła je przemyśleć i ująć w bardziej odpowiedni sposób. Patrzył na nią z otwartymi ustami. Przyszło jej na myśl, że jest jak dzikie zwierzę. Jak lew, który stara się nie hałasować na moment przed atakiem. Cofnął się mimowolnie o jeden krok i oparł o blat szafki.

- Bo? - spytała wystraszona.

Spojrzał jej prosto w oczy. Pokiwał powoli głową, nie odrywając od niej wzroku, tak że zrobiło jej się bardzo wstyd.

- Jesteś po prostu niemożliwa. Może powinnaś donieść na mnie na policję? - Wstał i poszedł do ciemni.

Chciała za nim pobiec, przeprosić, wycofać swoje słowa i wszystko naprawić, żeby znowu było w porządku. Jednak właśnie wtedy przyszła długonoga Cecilie z jędrnym biustem, który prawie nie poruszał się pod bluzką ze skóry węgorza.

- Zaniosę filiżanki. - Spojrzała w stronę Bo. - Kryzys?

Chciała posadzić Cecilie na krzesło i zapytać, jak dobrze się znają? Dowiedzieć się, co o nim wie, o czym Dicte nie ma pojęcia. Potrząsnąć nią, żeby to przyznała. Co? Że mieli kiedyś romans. A może cały czas go mają? I tak bardzo dobrze o tym wiedziała. To wisiało w tym zadymionym powietrzu, tańczyło w kurzu i w promieniach słońca. Jedyne jednak co zrobiła, to pokręciła głową. Przecież była tylko czterdziestoletnią rozwiedzioną kobietą, która miała dość własnych problemów, a poza tym musiała napisać artykuł.

- Przyniosę kawę - powiedziała Dicte.

On jednak nie przyszedł, nawet gdy przyniosła termos i, udając kelnerkę, podała kawę na stole przy kanapie. Była przy tym taka słodka, że mogło zrobić się od tego niedobrze. W dalszym ciągu go nie było, kiedy usiadła za biurkiem i zaczęła pisać, nie widząc słów, które skakały jej przed oczyma. Zatrzymanie pielęgniarki. Przesłuchanie. Próbowana wzbudzić zainteresowanie. Teraz mogli przynajmniej odetchnąć na porodówce. Teraz Ida Marie mogła zaufać Anne i pozwolić jej zająć się

wszystkim. Teraz zapanuje spokój i nie będzie żadnego zagrożenia, Kaiser przestanie ją nękać i będzie mogła wrócić do działu „Gospodarki”, przynajmniej chwilowo. Spokój i wesele, amen.

Ale w ogóle jej nie szło. Nie mogła się skoncentrować, a artykuł nie trzymał się kupy. Wstała. Poszła do toalety. Poczowała się jak wariatka, ale odegrała teatr z trzaskaniem drzwiami i głośnymi krokami na korytarzu. Kogo chciała przekonać? Nie miała ochoty o tym myśleć. Cichutko przekradła się korytarzem do ciemni. Bo leżał na kanapie. Cicho chrapał. Czerwone zadrapania błyszcząły na tle bladego policzka. Może potrzebował słońca? W Somalii - pomyślała ze złością.

Ostrożnie usiadła na brzegu, tak żeby go nie obudzić. Zdjęła jego kurtkę z oparcia kanapy i przykryła go. Patrzyła z ciekawością na szczegóły jego twarzy, na to wszystko, czego nie da się zauważyć z odległości. Na piękną cerę i parę piegów od letniego słońca, brwi tak jasne, że ledwo było widać, iż prawie łączyły się nad nosem. Zastanawiała się, jak wyglądałby bez brody. Byłby całkowicie gładki i delikatny. Twarz dziecka i głębokie oczy oraz zmarszczki, które dodał czas i życie, którym żył.

- Jak brzmi diagnoza? - zapytał, nie otworzywszy oczu.

Podskoczyła, aż zadrżały wszystkie sprężyny w kanapie. Spojrzał na nią. Uśmiechnął się i wziął jej dłoń, którą szybko wyrwała.

-I co, pani psycholog? Co ma pani dziś w zanadrzu?

- Przeprasiny - powiedziała, uginając się w środku.

- Przyjęte. - Powstrzymał ziewnięcie. - Chodź. Chciała stawiać opór, być twarda i profesjonalna i odmówić, ale jego usta przemieniły słowa w szept, który ją przyciągał. Gdzieś daleko usłyszała dźwięk telefonu. A

może to dzwoniło u niej w głowie - na alarm, żeby się zbyt mocno nie wychylać, żeby nie wplątać się w romans z mężczyzną, który ma żonę, dzieci i może wysportowaną kochankę na boku? Teraz jednak musiała ze wstydem przyznać, że te problemy są jej obojętne. Jego miękkie usta kusiły ją.

Cicho jęknął, zrobił się całkowicie poważny. Oplótł jej włosy wokół swojej dłoni i mocno je trzymał. Czuła, jak kładzie rękę na jej plecach i sięga do jej pośladków. To tylko seks, szumiało jej w głowie. Nigdy nie będzie znaczyć nic więcej. Nie może. Nie powinien.

- Mmm, smakujesz kawą. - Pocałował ją.

Czuła, jak jego dłoń wędruje z włosów na szyję, potem w dół, aż objęła jej pierś. Delikatnie wodził po niej kciukiem. Poczowała tęsknotę, która rwała i paliła. Kroki usłyszała z lekkim opóźnieniem.

- Dicte. Telefon do ciebie.

Obydwoje zastygli w bezruchu. Bo odchylił głowę do tyłu, na jego twarzy odmalowywała się irytacja.

- Niech to szlag.

Cecilie stała oparta o framugę drzwi. Patrzyła na nich bez wyrazu.

- Idziesz? Czy mam powiedzieć, że jesteś zajęta? Cisza dzwoniła Dicte w uszach. Przeklinając się w duchu, z największym spokojem, na jaki mogła się zdobyć, wygładziła ubranie. Dlaczego nie mogła po prostu powiedzieć tej gówniarze, żeby sobie poszła? z korytarza, z jej pola widzenia, nie wspominając już o jej życiu? Czuła się tak, jakby Cecilie ją zamroziła.

W końcu wstała i spojrzała na Bo, który postąpił najprościej, jak mógł - przykrył głowę kurtką i świat przestał dla niego istnieć.

- Już idę - rzuciła w stronę drzwi.

Gdy trzy godziny później włożyła płaszcz i poszła do miasta, wszystko wirowało jej w głowie. Wysłała artykuł i - była na, pożałuj Boże, drodze do nagrody Cavlinga - napisała parę linijek na pierwszą stronę. Idąc przez bulwar nad rzeką i ulicą Immervad do Cross Cafe, wyłączyła telefon, żeby Kaiser nie mógł zadzwonić z pretensjami, że artykuł jest za krótki, za długi albo zły. Pomyślała o Cecilie, Bo i kanapie w ciemni, która pewnie była już świadkiem wielu wydarzeń. Czy nigdy się tego nie nauczy? Nie rozumie, że musi uważać i nie nadaje się do miłości, która nie jest po galwanizacji i nie ma dołączonej gwarancji na rdzę?

- Już zamówiłam - powiedziała siedząca przy oknie Ida Marie. Piła wodę mineralną. - Dwie zupy z kurczakiem i curry.

- Jesteś boska. - Dicte pozdrowiła ją i usiadła. - Co u ciebie słyhać?

- W porządku - Ida Marie zwlekała z odpowiedzią. Rozmawiała z Anne i wiedziała o wszystkim. - Dobrze było usłyszeć o tym zatrzymaniu, ale w pewnym sensie to dość przerażające. Mam na myśli fakt, że był to ktoś z pracowników.

Słowa brzmiały tak, jak powietrze wypuszczane z poduszek. Wyrazy przerywane w połowie, jakby miała trudności z oddychaniem.

- Wiem - powiedziała Dicte i spróbowała przybrać komiczny ton. - Co to się teraz dzieje, pani.

Ale Ida Marie najwyraźniej zapomniała o kabaretach. Poza tym była przecież Szwedką, jak z wyrozumiałą czułością powiedziałaby Anne. Dicte zwróciła uwagę na wyrażającą zmartwienie zmarszczkę na czole przyjaciółki, a także na to, że uśmiech Idy Marie był trochę blady. W jej oczach zauważyła strach oczekiwania. Zauważyła to zdenerwowanie już

wtedy, gdy rozmawiały przez telefon, bo to właśnie ona zadzwoniła do redakcji, przyczyniając się do wpadki Dicte. Ida Marie chciała zapytać, czy nie zjadłyby razem obiadu.

-I jak? - zapytała Dicte ostrożnie i zdjęła kurtkę.

- Co się stało?

Ida Marie podniosła szklankę z wodą mineralną.

- Chcę cię o coś zapytać - powiedziała. - O coś bardzo ważnego.

-Mów.

Dicte pochyliła się nad stołem. Ida Marie również się schyliła i wyciągnęła z torby parę książek.

- Byłam wczoraj w bibliotece - powiedziała nagle.

- Chciałabym po prostu wszystko wiedzieć, rozumiesz? Przez cały czas brałam za pewnik to, że wszystko pójdzie według ustalonego planu. Że Theis ze mną będzie i...

- Ale przecież będzie, prawda? - Dicte przeglądała książki, wszystkie były o noworodkach i porodzie.

Ida Marie odwróciła wzrok. Patrzyła przez okno na ulicę, gdzie ludzie ukryci pod parasolami spieszyli przez Immervad, a sprzedawczyni kwiatów na rogu chowała dzbany z bukietami pod daszek Magasinu, żeby wiatr całkowicie ich nie zniszczył. To było przecież tu - pomyślała Dicte. Tak blisko miejsca, z którego usłyszała ten dźwięk i znalazła dziecko. To było tak niedawno. W tym czasie tyle się jednak wydarzyło, że wydawało się, jakby minęły miesiące. Miała już tego dość.

- Theis jest w Hamburgu i zostanie tam do końca następnego tygodnia

- powiedziała Ida Marie bez wyrazu, spoglądając na matkę z niebieskim wózkiem.

To jeden z włoskich modeli - pomyślała automatycznie Dicte - z których dziecko wyrasta po pół roku.

Dostały swoją zupę i Ida Marie bezwiednie ją zamieszała. Wyłowiła kawałek kurczaka i dmuchała, żeby go ostudzić.

- Nie wiadomo, czy zdąży na czas - stwierdziła niejasno, a Dicte nie miała odwagi wypytywać o szczegóły. Ida Marie opuściła łyżkę i spojrzała na przyjaciółkę.

- Dicte, dlatego chciałam zapytać ciebie, czy mogłabyś przy mnie być podczas porodu.

W jej głosie słyhać było taką desperację, że Dicte chwyciła jej dłoń, która leżała na stole.

- A co z twoją mamą? Cały czas jest w Stanach? Ida Marie kiwnęła głową. Pociągnęła nosem – może przez parującą zupę, a może był jakiś konkretny powód. W czasie ciąży kobieta staje się strasznie wrażliwa - przypomniała sobie Dicte. Dobrze pamiętała swoje dołki, sprzeczki bez powodu i noce, kiedy tak bardzo pragnęła, żeby ktoś ją przytulił. To było zadanie mężczyzny. Powinien być do dyspozycji, niech diabli wezmą tego Theisa - pomyślała ze złością. Zwłaszcza, gdy jego żona znajdowała martwego noworodka w rzece i aresztowano pracowników szpitala. Powinna oglądać seriale, mieć pudełko chusteczek higienicznych i ramię, na którym mogłaby się wesprzeć.

-Nie mają pojęcia, z czego rezygnują. Oczywiście, że będę przy tobie - zapewniła. - Bardzo chcę. Być tam i ci pomagać, a Anne wszystkim się zajmie - dodała ze szczerym uśmiechem.

Ida Marie chyba poczuła ulgę.

- Nie chciałam prosić o to nikogo z biura. To w końcu koledzy z pracy

i pracownicy - wyjaśniła.

Dicte zjadła trochę zupy i poczuła, jak w środku rozchodzi się ciepło.

- Nie ma sprawy. Po prostu zadzwoń, gdy się zaczniesz, albo jeśli będziesz myślała, że się zaczęło. Od razu przyjeżdżam. Teraz jesteś już bezpieczna - dodała. - Nie ma więcej złych ludzi.

Ida Marie przytaknęła. Siedziała przez chwilę cicho i patrzyła przez okno. Na moment oparła się o szybę, jak gdyby szukała chłodu.

- A tak w ogóle to wczoraj przy rzece było niezłe zamieszanie.

Widziałam, jak byłam w bibliotece - powiedziała Ida Marie i oderwała sobie kawałek chleba. - Patrole z psami, latarki i tak dalej. Słyszałaś coś o tym?

Dicte pokręciła przecząco głową.

- Nie, ale mogę zadzwonić do mojego policjanta i zapytać.

- Twojego policjanta?

- Mc Wagner. Bardzo porządny facet.

- Może to nic ważnego - powiedziała Ida Marie tonem, jakby chciała się wytłumaczyć, wciskając książki z powrotem do torby.

Na pewno nigdy nie słyszała o McCloudzie - pomyślała Dicte, wciągając powietrze nosem i czując coś więcej niż zupę. Może po tym wszystkim rozwinął się u niej szósty zmysł wyczuwający sensacje?

- Jestem pewna, że to coś ważnego - powiedziała. - W każdym razie na pewno się dowiem.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał wzburzony Wagner, gdy zadzwoniła do niego dużo później.

- Mam swoje źródła - powiedziała profesjonalnie. Wcale nie było tak trudno zostać dziennikarką „Wydarzeń”. Wystarczyło działać według

utartych schematów i wszystko szło dobrze.

Przez chwilę w słuchawce zapadła cisza. Potem wymruczał:

- Nie mogę tego skomentować.

- Dobrze, to napiszę tylko to - powiedziała lekko.

- Nie, nie, na Boga. To przecież śmieszne - tłumaczył szybko. - To brzmi tak... tak głupio.

Mogła tylko przyznać mu rację.

- Czyli coś znaleźliście - stwierdziła.

Znów mrucał coś pod nosem. Potem zaczął wyjaśniać, że było za wcześnie, żeby informować prasę, zanim nie poddadzą znaleziska analizie.

- Więc napiszę to - zdecydowała.

Westchnął tak głośno, że słychać było z komendy aż u niej, na ulicy Frederiksgade.

- Mógłbym ci ewentualnie powiedzieć, ale pod warunkiem, że nie będziesz o tym pisać - zawahał się. - W końcu jestem ci to winny.

- Offthe record- powiedziała po raz pierwszy w życiu do swojego informatora. Nie stosowało się tego raczej w zwykłych wywiadach.

- Offthe record - powtórzył. - Możesz przyjechać i sama to zobaczyć.

Wedle życzenia -jego głos brzmiał niemal desperacko.

- O czym my tu, na miłość boską, rozmawiamy, Wagner? O zakrwawionym prześcieradle? Dymiącym rewolwerze?

Znowu westchnął.

- O chuście. Made in Pakistan - powiedział i prawie usłyszała, jaką przykrość zrobiły mu te słowa.

Ida Marie spojrzała na zegarek, a drugą ręką wepchnęła do ust resztę chleba. Pralka. Musiała jeszcze zdążyć wstawić pranie, żeby mieć ubranie na jutro do pracy. Nowe niebieskie bluzki uszyte specjalnie dla pracowników biura. Nie wypadało, żeby członek zarządu notorycznie przychodził ubrany w coś innego.

Przewracała rzeczy w koszu z brudną bielizną i wybrała trzy bluzki. Zdjęła z siebie czwartą, którą nosiła pod swetrem, bo nie mogła do końca jej dopiąć, i włożyła stary T-shirt Theisa w rozmiarze XL, o wiele lepiej pasujący do jej brzucha. Potem chciała wziąć ciepły prysznic, umyć włosy, które wydawały się ciężkie i tłuste, mimo że myła je poprzedniego dnia. Wybalsamować się i zrobić makijaż. Nie za mocny. Wystarczał taki, żeby nie było widać czerwonych plam i ciemnych krawędzi. Make-up był darem niebios dla kobiet w ciąży i tych zestresowanych, których mężowie wyjeżdżali do pracy, do Niemiec, a matki siedziały w Stanach i słuchały Placido Domingo.

Gdy już zaczęła, zebrała więcej rzeczy. Stos koszul Theisa, które pasowały kolorystycznie, i dwie pary granatowych płóciennych spodni. Dlaczego mężczyźni tak uwielbiają niebieski? Myślała o tym, przeżuując resztki chleba. Oczywiście nie wszyscy mężczyźni, tylko określony typ. Typ Theisa. Typ komputerowca, który szybko i efektywnie rozwiązuje wszystkie problemy, ubrany we wzbudzający zaufanie, chłodny niebieski kolor. W każdym razie problemy, które mają coś wspólnego z megabajtami, oprogramowaniem, systemem operacyjnym i tego rodzaju sprawami. To nie był ten typ mężczyzn, który jej matka miała w poważaniu: noszących apaszkę w kropki i ciepłe włoskie barwy.

Melomanów, którzy doceniali Dorothee Svensson i Placido Domingo, koniecznie w takiej kolejności.

Nagle zobaczyła przed sobą obraz. Wizerunek mężczyzny, może właśnie dlatego, że przypominał Włocha. Mimo że jego styl to bardziej tweed i łąty na rękawach. Może fajka w ustach? Coś w nim było. Patrzył na nią uważnie, jakby wiedział, że coś się z nią działo. Jakby czuł jej myśli, mimo że rozmawiali ze sobą tylko raz. Mówił z troską w głosie.

Uch. Przeglądała kieszenie spodni. Wyjęła parę monet i kartkę papieru. Od tego bycia w ciąży można zdziwaczeć. Czasami nie jest się sobą, zaczynają nachodzić myśli, które wcale nie są własne. Może rodzenie jest groźne? Zadrzała na myśl o porodzie. A jeśli rodząc, rozpadnie się na kawałki? A jeśli dziecko nie będzie mogło wyjść i przekroją ją na pół? Słyszała różne straszne historie. A jeśli ból będzie nie do wytrzymania, a oni nie będą chcieli podać znieczulenia, bo i taką historię słyszała. .. Poczula zimny pot i musiała na chwilę wstrzymać oddech, żeby się uspokoić. Przypomniała sobie wróżkę i to, co powiedziała. Wszystko pójdzie dobrze. To nie poród będzie problemem, jeśli w ogóle będzie jakiś kłopot. Nie poród. Nie dziecko. Będzie takie, jak sobie wymarzyła.

Powtarzała to sobie w kółko. Formułowała słowa i wypowiadała je szeptem, żeby stały się rzeczywistością. Pamiętała też o czymś innym - o dziecku w rzece i o tym, że jeszcze się spotkają, ona i wróżka. Będzie potrzebowała oczu, które widzą więcej, niż ona potrafi pojąć. Chyba tak miała to rozumieć, bo raczej nie chodziło o jakąś imprezę koktajlową, na której wymienią uprzejmości.

Położyła monety i kwitek na pralce. Włożyła ubrania do środka, wsypała proszek, wlała płyn do płukania i wcisnęła start. Odwróciła się,

żeby przygotować się do kąpieli, gdy jej wzrok padł na zgnieciony papierek, wyłowiony z kieszeni Theisa. Zawahała się. Podniosła go i powoli wygładziła. Przeczytała. Trzy razy, zanim dotarło do niej, co na nim było napisane. Hamburg, piąty września 2001. Bar w hotelu Sheraton. Dwa razy gin z tonikiem i dwa Creme de menthe. Musiała oprzeć się o pralkę, która zaczęła obracać ubranie. Patrzyła na monety, a potem na automat, który kręcił się w kółko i w kółko. I czuła się, jakby wirował jej własny żołądek. Jakby przejechał po niej walec i wszystko przewrócił do góry nogami. Kiedy miał na sobie te spodnie? W ten weekend, kiedy musiał zostać w Kopenhadze, bo miał strasznie dużo pracy? Czy w środę, kiedy musiał zostać tam do czwartku?

Poczuła, że robi jej się niedobrze. Doczłapała do ubikacji, zgięła i zwymiotowała do umywalki, bo niżej nie mogła się schylić. Gdy już opróżniła żołądek, wyprostowała się, poczuła jak wszystko wiruje i zatrzymała wzrok na mydle.

Theis jest w Niemczech, a ona o niczym nie wie. Może tylko się domyślać, co tam robi. Może chodziło o pracę - myślała pełna nadziei, czyszcząc umywalkę i dokładnie myjąc zęby. Wiedziała, że to najbardziej optymistyczne wyjaśnienie sytuacji.

Zdarzało się, że wyjeżdżał na długo, a ona była pewna, że pracuje. Przecież tak mówił. Myślała o tym, stojąc pod prysznicem, nie mogąc się nadziwić swojej ślepcie. Nagle wszystko stało się jasne. Zbyt oczywiste. Wypad do przyjaciółki w Niemczech. Może jakiejś koleżanki z firmy. Kiedy ją poznał? Na imprezie latem? Może na imprezie świątecznej? Banalne. To wszystko jest takie trywialne, że mogłaby zwymiotować, gdyby miała czym. Zdziwiła się, że - choć jest w szoku - nadal myśli

racjonalnie. Jak wtedy przy martwym dziecku, gdy na chwilę straciła poczucie rzeczywistości. Czy działo się tak, bo tego się właśnie po Theisie spodziewała? Wręcz miała na to nadzieję?

Przebiegł ją zimny dreszcz, gdy zakręciła wodę. Brednie. Chciała Theisa. Theisa i ich wspólnie stworzonego życia, które nie kryło żadnych zagadek. Wszystko było takie łatwe i przewidywalne jak spacer po otwartej zielonej łące. Tak różne od niebezpiecznej drogi (pełnej ostrych skał i niezdoitych gór, z których tak łatwo można było spaść), jaką kroczyła wcześniej.

Złapała ręcznik. Wytarła się. Była już tak wielka, że nie mogła obrócić się w łazience, nie zahaczając o umywalkę albo parapet. Tak denerwująco i nieporadnie wielka i niezgrabna. Pomyślała, że zdobyła Theisa, bo on nie zauważył, iż Ida Marie nic nie umie i w rzeczywistości jest brzydka i głupia. Teraz tajemnica została odkryta. Cięża pomogła mu zrozumieć, że właśnie taka jest. Cała. Jak niezdarna krowa. Więc poszukał szczęścia gdzie indziej.

Owinęła się szlafrokiem, który wisiał na drzwiach. Wydawało jej się, że jej skóra składa się z samych nerwów, nieodpornych na podmuchy zimnego powietrza. Jakby wszystko nagle zostało odsłonięte, a ona pociągnięta w przeszłość. Wiele lat wstecz.

Miała osiem lat, a nauczycielka śpiewu przewracała oczami: „Intonuj, Ido Marie. Intonuj. Słuchaj. Nie trafiasz w dźwięki”. I jej matka, która siedziała w rogu i wykrzywiła twarz, jakby ktoś drapał paznokciami tablicę. A potem wiele godzin niekończących się ćwiczeń. Gamy, w górę i w dół, z mamą przy pianinie. „CDEFGAH CCCC... Dalej, Ido Marie. Przecież umiesz. Jeśli będziesz ćwiczyć naprawdę pilnie, mama kupi ci

nową sukienkę na wiosenny koncert".

Ćwiczyła. Ciągle ćwiczyła. Uszczęśliwianie innych i ukrywanie swoich słabości, żeby nie zauważyli, że w rzeczywistości nic nie umie. Taka była historia jej życia, pomyślała smutno. A Theis w końcu odkrył prawdę. Odsłonił zasłonę.

Załkała. W zaparowanym lustrze spotkała swoją twarz. Pokazała sobie język, za to uzalanie się nad sobą i wyciąganie pochopnych wniosków. Boże! Przecież ten rachunek nie musi oznaczać niczego nadzwyczajnego. Na pewno da się to jakoś racjonalnie wytłumaczyć. Może hotelowy komputer wstawił złą datę, takie rzeczy się przecież zdarzały.

Ubrała się. Zrobiła makijaż, tak jak planowała. Poczowała, że wraca jej spokój. To musiał być powód. Innego wytłumaczenia by nie zniosła! Ta cała sprawa raniła ją zbyt mocno i całkowicie odkrywała. Komputer w hotelu, tak jak wszystkie komputery świata, narobił zamieszania. Na pewno tak się stało. Jest im razem nieźle. Mają dobry związek.

Wzięła rachunek, zgmiotła go i już miała wyrzucić do śmietnika, ale coś ją jednak powstrzymało. Wygładziła go. Starannie zgięła, przyniosła torebkę i wrzuciła do swojego portfela.

Denn alles Fleisch es ist wie Gras
und alle Herrlichkeit des Menschen wie des Grases
Blumen.
Das Gras ist verdorret
und die Blumen abgefallen.

Tego wieczoru, gdy śpiewała na próbie, zerkała w stronę basów. Nie było go. W sumie przecież w ogóle go nie znała. I nie powinna poznawać. Śpiewaj - myślała Ida Marie. - Zapomnij. Jej głos mieszał się z innymi

sopranami. Dopasowywała jego siłę i ton. Prawie nie rozróżniała, który był jej. Czuła, jak się wznosi. Do góry, pod sklepienie katedry. Wiele lat zajęło jej odnalezienie na nowo swojego głosu, polubienie go, przywrócenie do życia.

Trawa uschła, a kwiat jej opadł - tak śpiewali. I tak właśnie się czuła. Któregoś dnia podjęła decyzję i - choć nie było to łatwe - pożegnała się ze swoim głosem. To bowiem właśnie on był źródłem presji i oczekiwań. Ciągłych koncertów, na których musiała występować w znienawidzonych eleganckich sukienkach. Pewnego dnia obudziła się i wprowadziła swoją decyzję w życie. Od tego dnia przez dwa lata nie wypowiedziała ani słowa.

Przypominała to sobie, podczas gdy kościół wypełniał się śpiewem. Wróciła tęsknota i rwący żal. Powtarzające się obietnice, które kusiły i zapewniały, że znowu będzie wszystko dobrze, że wszyscy będą ją kochać, jeśli znów przemówi. Ale ona była wtedy niezłomna. Wyprowadziła w pole wszystkich psychologów i lekarzy. Wszystkich, jednego po drugim. Przekonywali jej matkę, że nie istnieje żaden logiczny powód jej milczenia, a z jej głosem nie stało się nic złego. Wykluczyli chorobę. Trzeba było po prostu czekać, aż to ośmioletnie dziecko znów zdecyduje się mówić.

Seid nun geduldig, lieben Brtider, bis aufdie Zukunft des Herm.

Trwajcie więc cierpliwie - intonował chór. Czy można być zbyt cierpliwym? Czy można schować siebie tak głęboko, że w końcu przestawało się istnieć? Może trzeba było od czasu do czasu spojrzeć w czyjeś oczy, żeby zobaczyć w nich samego siebie?

Denn alles Gras es ist wie Fleisch

und alle Herrlichkeiten des Menschen
wie des Grases Blumen.

Każde bowiem ciało jak trawa, a cała jego chwała jak kwiat trawy -
może o tym właśnie zapomnieć, żeby być kwiatem trawy?

Uniosła głos i poczuła, że coś z niej wypływa. Coś ciepłego.
Wydawało jej się, że czuje, jak wypuszcza korzenie. Potem zdała sobie
sprawę z tego, że to już i opuściła swój głos miękko, na trawę. Słuchała,
jak chór kontynuuje:

Das Gras ist verdorret und die Blumen abgefallen. Trawa uschła, a
kwiat jej opadł.

Było piękne i ciepłe. Pachniało dojrzałymi jagodami i miało kolor rubinu. No i kosztowało czterdzieści pięć koron w Netto. Dostało pięć gwiazdek w przewodniku po winach „Polityki”. Jak zwykle napisane było „Seria limitowana”. Kupiła sześć butelek. Więcej nie było.

Dicte naląła sobie drugi kieliszek i pomyślała z wdzięcznością hipokryty, jakie zdrowe to jest dla serca i mózgu. No dobrze, może ten argument to lekka przesada, ale ostatnio lepiej myślała jej się przy kieliszku dobrego wina i porcji makaronu z tym-co-masz-w-lo-dówce. Tym razem zrobiony był z dużą ilością warzyw, porządną posypką z parmezanu i świeżo zmielonego pieprzu. Może powinnam mieć swój program kulinarny w telewizji, zonglować garnkami i patelniami przed kamerą? - pomyślała, wykładając jedzenie na talerz. -Lepsze to niż bycie hieną która żeruje na nieszczęściach innych (posiłkując się na przykład słynnymi ręcznikami czy brudnymi chustami) i pokazuje je w gazecie, żeby nakład bił rekordy.

Usiadła za stołem i poczuła zmęczenie w ramionach i nogach. Konferencja prasowa, przesłuchanie, dwa - ku uciesze Kaisera - wypocone artykuły, żonaty facet na

kanapie i dziennikarka sportowa z nożem w rękawie zostawiły po sobie ślad. Plus, oczywiście, obiad z kobietą w zaawansowanej ciąży i spotkanie w sprawie chusty na komendzie. Co będzie następne?

- Przemyśl, co chcesz powiedzieć - głos Rose rozległ się akurat wtedy, gdy Dicte brała swój niezbędny do życia łyk wina. Córka stała przed nią. Ze świeżo umyтыми włosami, ładnie układającymi się na ramionach, w odróżnieniu od jej własnych, które widziały lepsze czasy i jeszcze

lepszego fryzjera. Rose miała na sobie sprane dzinsy i krótki, prawie przezroczysty top z nadrukiem amerykańskiej flagi. Pod bluzką, na ledwie istniejące piersi, nałożone było coś, co miało pewnie być stanikiem. Pępek, widoczny na małym odcinku go-lizny, wyglądał jak pączek róży i przez ułamek sekundy Dicte pomyślała o przynależności. O pępowninie, która łączy matkę i dziecko. I o tym długim rozstaniu, które zaczyna się w momencie jej przecięcia.

- Ślicznie - powiedziała pod nosem i znów napiła się wina. Poczowała ciepło, które aksamitnie spłynęło w dół przełyku.

- Mamo! Tak się nie mówi.

- A jak? Zajebicie? Coop. Zmieniacie wyrazy w waszym słowniku jak rękawiczki.

Rose wzruszyła ramionami. Paradowała po pokoju. Rzuciła krytyczne spojrzenie na butelkę wina, która stała na środku stołu jak antena.

- Trzy kieliszki - zarządziła - według służby zdrowia.

-Amen. Amen. Aaaa-AAA-men - zaintonowała Dicte głosem księdza, ale mimo to odsunęła kieliszek od siebie.

- Obiecujesz? - Rose ruchem eksperta odrzuciła włosy z twarzy.

Dobry Boże! Świat stanął na głowie. Poczowała się jak mała dziewczynka, którą trzeba przywołać do porządku. Co się stało z jej autorytetem? Znikł razem z rozwodem, gdy dziecko odkryło, że rodzice też popełniają błędy? Rozwód był naprawdę kiepską reklamą.

- A tak w ogóle, to z kim idziesz do tego kina? Rose usiadła naprzeciw niej. Wyglądała, jakby przygotowała się na dłuższą rozmowę.

- Chcesz kieliszek? - zaproponowała Dicte.

Jej córka zmarszczyła lekko nos, tak, że błysnął jej kolczyk. Pochyliła

się i powąchała butelkę.

- Nie, dzięki.

- To leć po colę do lodówki. Posiedź tu trochę. Talk to me - powiedziała Dicte głosem Roberta de Niro, który ściągnęła od Torstena, który z kolei spapugował go po komiku Aminie Jensenie.

Rose spojrzała na zegarek. Usiadła na brzegu krzesła.

- Zaraz ktoś po mnie przyjedzie, mamó.

Kiedy rodzice uświadamiają sobie, że coś się dzieje z ich dziećmi? Że one nagle, i to bez pytania, stają się dorosłe i zaczynają wiązać się z innymi ludźmi? Że budzą się ze swojej dziecięcej drzemki i potrzebują być przytulane i całowane nie tylko przez mamę i tatę, ale na przykład przez chłopców.

- Ile ma lat? - Dicte dobrze zdawała sobie sprawę z nieufności i zazdrości czających się w jej słowach. Głowę miała wypełnioną kotłującymi się emocjami. Czowała się jak matka wszystkich nadopiekuńczych matek.

- Osiemnaście.

Powiedziała to z dumą. Dicte próbowała zapanować nad sobą. O Boże, teorię miały już za sobą. Odbyły obowiązkową rozmowę o tabletkach antykoncepcyjnych.

Jednak teoria to jedno, a praktyka, jak wyraźnie czuła, wkrótce okaże się pewnie czymś innym.

- Imię? -Jan.

- Klasa?

- Trzecia. Czy to przesłuchanie? - Rose powstrzymała chichot.

-Tak.

Rose przewróciła oczami, ale nie mogła ukryć uśmiechu.

- Czyj to samochód?

- Jego.

O Boże. Było coraz gorzej. Młody chłopak z kasą. Na pewno zarobioną dzięki sprzedawaniu narkotyków niewinnym pierwszoklasistkom.

- Pracuje w firmie swojego ojca - przyszła z pomocą Rose.

Kapitalista, na pewno Torsten od razu by go tak podsumował. Własna firma. Własny samochód. Własna pierwszoklasistka. Ten facet nie spocznie, dopóki nie będzie miał wszystkiego.

- To jest firma audytorska.

Hieny. Ludzie, którzy żyją z potknięć nieszczęśników przejawiających ochotę na wydawanie większej ilości pieniędzy, niż zarabiają. Ale przynajmniej legalnie. Bezcelowo mieszała w makaronie.

Jakiś samochód wjechał na podjazd. Miętko i bez gwałtownego hamowania. Zawsze to coś. Cicho i dyskretnie dał sygnał klaksonem. Svendsen, który dopiero wrócił ze spaceru, podniósł głowę i szczechnął.

- Mądry pies. Pilnuje domu.

Rose wstała z miejsca. Przykucnęła i podrapała psa za uszami.

- Pilnuj mamy - rozkazała.

Zabrzmiało, jakby mówiła poważnie. Jakby to naprawdę było potrzebne - pomyślała Dicte i odstawiła kieliszek.

- Książę się nie przedstawi?

Rose zostawiła psa i wstała. Podeszła do niej z wyrazem twarzy dorosłej córki. Nachyliła się nad stołem. Dicte wyczuła zapach swoich perfum, które Rose najwidoczniej wypożyczyła na tę okazję. Dicte

poczuła na swoim policzku miękkie włosy i pocałunek.

- Innym razem, mamó. Chyba jeszcze za wcześnie.

- Och, jaka roztropna - powiedziała cicho Dicte i też ją pocałowała. -

To pewnie po listonoszu.

- Na pewno nie po tobie ani po tacie. Poczekaj chwilę. - Rose roześmiała się.

Zniknęła na chwilę. Dicte słyszała, jak szafa w jej pokoju otwiera się i zamyka. Potem Rose wróciła z artystycznie owiniętym wokół szyi różowym szalem z kaszmiru za tysiąc koron.

- Nic z tego.

- A za dodatkowy kieliszek wina?

Zabrzmiało to jak akt desperacji. Dicte próbowała przypomnieć sobie czas, kiedy ona była nastolatką, ale nie mogła porównać go z życiem Rose.

- Dwa - negocjowała.

Na wskroś purytańska dusza Rose przeżywała katusze. To na pewno po mojej mamie - stwierdziła Dicte. W ich domu panował reżim w kwestii długich spódnic, a temu, kto próbował się przeciwstawić, grozono Sądem Ostatecznym. Rose nie wiedziała o tym zbyt wiele. Dicte specjalnie jej tego oszczędziła. Może jednak coś pozostało w genach? Dicte struchlała. A w niej? Nawet jeśli tak długo z tym walczyła?

- OK - powiedziała Rose głosem słodkim jak miód i już była za drzwiami.

Dicte patrzyła na butelkę z wrogością. Jakby to była jej wina, że siedzi tu sama, bez męża i dziecka, ma dom, który wymaga męskiej ręki i za szefa redaktora, który potrzebuje kogoś, żeby nim pomiatać. Do tego dochodzi jeszcze parę poleceń służbowych, które dotknęły ją bardziej niż

dotychczas. Czowała, że to wszystko wysysa z niej życie i siły. Przesłuchanie bladej, ale opanowanej położnej, która zbyt wiele nie powiedziała. Nastrój linczu wśród dziennikarzy i fotografów, głośno przeklinających fakt, że nie mogą zrobić takich zdjęć, jakie najbardziej by chcieli. Ochrona danych osobowych, kaptur na głowie i tak dalej. Jak zwierzę w rzeźni. No i Bo, który zniknął, gdy po obiedzie z Idą Marie wróciła do redakcji. Pojechał odebrać dziecko ze szkoły, wyjaśniła Cecilie, tak jakby wiedziała również, gdzie, kiedy, dlaczego i z kim zdradzał swoją żonę.

Dłubała widelcem w makaronie. Słyszała ruszający z miejsca samochód jeszcze długo po tym, jak Rose znikła ze swoim Janem. Warkot silnika dzwonił jej w uszach. Może to pierwsza poważna miłość? Trzeba postępować ostrożnie - upomniała samą siebie. Osłaniać, zamiast chować się w okopach. Użyć spokojnych argumentów, zamiast wywoływać zderzenie czołowe, które i tak wydawało się nieuniknione.

Przed oczami miała swoją córkę owiniętą różową chustą - prezentem od Torstena na zeszłoroczne święta. Podarunek przywoływał jej na myśl dręczące męża wyrzuty sumienia, bo już wtedy wiedziała, co się święci.

Chusta. Ta druga. Ta, która zajmowała jej myśli przez resztę dnia. Była szara. Mysio szara. Strasznie wybrudzona, bo od kilku dni leżała na brzegu rzeki, gdzie padał na nią deszcz, a wiatr rzucał nią, jak pustą torebką z Bilki.

Gdy Dicte przyszła na komendę, John Wagner wyglądał na zrezygnowanego. Niemal zdesperowanego. Nie mówiąc zbyt wiele, zabrał ją na górę, do laboratorium, gdzie jeden z pracowników przyniósł na tacy chustę.

- Jesteście pewni, że to ma związek ze sprawą? - spytała, siadając i

przyglądając się. Była to po prostu zwyczajna chusta. Ile można wyczytać z kawałka materiału? Istniały przecież jakieś granice a ona nie była żadnym Sherlockiem Holmesem. Nie mogła gołym okiem zanalizować włókna i struktury.

- Możemy zdać się jedynie na trop psów - powiedział, zmęczony, i usiadł. - Ale takie rzeczy zazwyczaj się zgadzają.

- Nawet po takim czasie?

- Zareagowały tak, że nie było mowy o pomyłce.

- A co to jest za chusta?

Chciała już powiedzieć „turecka chusta”, ale powstrzymała się. Czy one miały jakąś nazwę? Tak jak jarmułka, kepi, turban czy fez? O tylu rzeczach nie miała pojęcia...

Westchnął.

- Nie wiemy przecież, czy należała do muzułmanki. Oczywiście, są na niej włosy, ale to jeszcze niczego nie dowodzi.

- Kolor włosów?

- Ciemny - przyznał, wziął do ręki jeden z rogów i odwrócił metkę tak, żeby zobaczyła napis: „Made In Pakistan. 100% wool”.

- Wełna - powiedziała. - Z czego?

- Dowiemy się. -Co z DNA?

Uśmiechnął się. Jego surowa twarz złagodniała.

- Szybko się uczysz. Analiza DNA zajmuje trochę czasu.

- Ale sprawdzacie to?

-Tak, tylko że nie mamy z czym porównać, nie licząc włosów znalezionych na ręczniku w koszu, ale one najprawdopodobniej pasują do siebie. Nie mamy innych próbek DNA. Poza tym nie znaleziono żadnych

odcisków palców na balii, skoro już mówimy o technicznych dowodach. Albo raczej ich braku - dodał.

- A co z DNA dziecka?

- Oczywiście, możemy ustalić, czy są więzi rodzinne, ale nie możemy zidentyfikować dziecka ani osoby, która nosiła tę chustę. Na razie.

Dicte znowu spojrzała na szal, który wyglądał raczej jak zafarbowana szmata. Trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś był ładny i nowy.

- Czego potrzebujecie?

Spojrzał jej prosto w oczy, które wyrażały pełen profesjonalizm.

- Podejrzanego. Stoimy w martwym punkcie, więc przyda się każda poważna pomoc.

Odniosła wrażenie, że chciał powiedzieć coś więcej, ale się powstrzymał. Jakby brakowało mu kogoś, z kim mógłby porozmawiać i zebrać pomysły. Przyszło jej na myśl, że kierował się tym samym, co Kaiser. Wagner chciał poznać kobiecy punkt widzenia na tę sprawę. Zobaczyć to wszystko oczami matki i spróbować wejść w jej myśli i uczucia. Słyszeć, widzieć i czuć jak ona.

Dicte odwzajemniła jego spojrzenie i zobaczyła, że jego oczy ożywiły się. Poczuła własny strach i wiedziała, że on go widzi. Ale i tak nie zdawał sobie sprawy, jak był blisko. I jak dobrą miał intuicję, skoro zaprowadziła go do niej.

- Zawsze jest jakaś tajemnica - powiedział Wagner z wahaniem i poczuła, jak przenika ją zimno. - Wydarzenie z przeszłości, które powraca i zmienia się w przestępstwo albo coś podobnego. To zdarza się bardzo często i mam przeczucie, że to właśnie tam powinniśmy szukać. Coś, co stało się lata temu, mogło być przyczyną tego zdarzenia.

Dicte siedziała całkiem cicho, jakby obawiała się, że jej ochronna zewnętrzna powłoka może pęknąć, jeśli tylko się poruszy. Jak szkło, które bardzo łatwo rozbić.

- Nie popierałem za bardzo tej teorii o młodej mu-zułmance - powiedział - ale przez tę chustę nie mamy wyboru. To ogranicza nam swobodę działania.

Rozumiała. Nie mogli marnować swoich sił. Nie mogli rezygnować z ani jednego człowieka, żeby szukał czegoś na chybił trafił.

- Ta chusta - powiedziała - może równie dobrze należeć do kogoś innego. Na przykład do mnie.

- Ale kartka z Koranu raczej nie.

- Chyba że chciałabym odwrócić od siebie uwagę policji i skierować ją na imigrantów, co nie jest takie trudne w dzisiejszych czasach. Wtedy mogłaby być moja.

Spojrzał na nią niemal z wdzięcznością.

- Jeśli chodzi o chustę, przez jakiś czas nie będziemy ujawniać tej informacji. Dla dobra śledztwa, jak to się mówi.

Kiwnęła głową. To było zrozumiałe.

- Ale jeśli będziecie mieli przełom...

- Wtedy dostaniesz cynk.

Telefon zadzwonił akurat, gdy kończyła ostatni kieliszek wina i makaron. Głos Anne był całkowicie opanowany. W tle słychać było jakieś rozmowy i kroki na długim korytarzu.

- Jeśli chcesz być przy porodzie, to przyjeżdżaj.

- Ida Marie?

- Może urodzić w każdej chwili.

- Zaraz tam będę.

Odłożyła słuchawkę. Ze zdenerwowania momentalnie wytrzeźwiała. Już chciała szukać kluczyków do samochodu, gdy w jej głowie pojawiła się postać Rose. Pokiwała na Dicte palcem i przemówiła: „Cztery kieliszki! Co ty wyprawiasz, mamó?”.

Dicte zadzwoniła po taksówkę.

- Wszystko w porządku, tak? Powiedz, że wszystko w porządku - pytała zdezorientowana Ida Marie.

Anne czuła dłoń, która ją mocno trzymała. Zaciskała się, gdy nadchodził skurcz.

- Oczywiście, że tak - uspokajała. - Przyj.

Ida Marie słuchała. Anne widziała, jak stojąca obok Dicte, kładzie przyjaciółce na czoło zimny ręcznik. Ida Marie miała duże rozwarcie i wszystko przebiegało jak w podręcznikach. Oprócz tej elektryczności... Jakby całe pomieszczenie trzeszczało. Może powinna była polecić jej jakiś inny szpital? Dla spokoju ducha.

Odrzuciła tę myśl. Absurd. Są przecież na największym bloku porodowym w kraju i nie ma się o co niepokoić. Tutaj wszystko jest pod kontrolą.

- Świetnie - chwaliła. - Wszystko na pewno będzie dobrze. Nawet nie myśl inaczej.

Jednak w głębi ducha Anne wiedziała, że tu nie tyle chodzi o myśli, co raczej o uczucia Idy Marie. Niepokój to naturalna rzecz, gdy ma się przeświadczenie, że zostało się pozostawionym samemu sobie w ten być może najważniejszy dzień w życiu.

Anne przeklęła w duchu Theisa i mamę Idy Marie, i posłała swoje myśli daleko, aż do Stanów Zjednoczonych i tej głupiej Metropolitan Opera, niech ją wszyscy diabli!

Na szczęście Anne była akurat na dyżurze, kiedy Ida Marie zadzwoniła z katedry. Panika w jej głosie postawiła położną w stan gotowości. Nie chodziło o to, co powiedziała, a raczej o jej głos, ton. Cienki i łamliwy jak

u dziecka. „Chyba odeszły mi wody” - wydusiła do słuchawki Ida Marie. Tylko tyle. Anne wytłumaczyła spokojnie Idzie Marie, co ma robić. Porozmawiała z kolegą z chóru, który miał odwiedzić rodzącą do szpitala. Uspokoiła go i wyjaśniła, co się stało, co się może dziać, co powinien zrobić oraz to, co najprawdopodobniej się nie wydarzy.

- Spokojnie - powiedziała. - Na pewno zdążycie. Dzieci z reguły nie rodzą się w ciągu sekundy.

Ale oczywiście niczego nie można było przewidzieć. Dziecko mogło urodzić się na środku podłogi albo w samochodzie w drodze do szpitala. Takie rzeczy się działy, ale czasami lepiej było po prostu zaufać swojemu doświadczeniu.

-Niech pan pomoże jej wsiąść do samochodu, jedzie powoli i mierzy czas pomiędzy skurczami. Bez paniki.

W końcu przyjechali. Ida Marie była zgięta wpół jak starsza kobieta z chorym kręgosłupem. Gdy Anne ją zobaczyła, wiedziała, że nie potrwa to długo.

Ida Marie pociała się, siedząc w łóżku. Jej nieruchome spojrzenie sprawiało, że wyglądała, jakby ktoś przyłożył jej do głowy pistolet.

-Powinnaś się cieszyć, kochanie - powiedziała Anne spokojnie. - Zaraz tu będzie. Zaraz zobaczysz swojego synka.

Na USG widziały już płęć dziecka.

- Jak będzie miał na imię? - zapytała Dicte, która przyjechała taksówką, przynosząc z sobą zapach wina. Ten rozwód był winny wielu rzeczy.

- Jeszcze za wcześnie. - Ida Marie z trudem łapała powietrze. Zrobiła się przesadna, co było dość typowe wśród rodzących. Skończyły

rozmawiać.

Zanim zobaczyły włosy dziecka, a zaraz po nich całą główkę, minęły dwie godziny. Coś chlupnęło i Anne wyciągnęła dziecko, które leżało na porodówce w świetle neonówek, usmarowane śluzem i krwią. Szybka kontrola, odśluzowanie buzi i wielki krzyk. Pierwszy dźwięk, wołanie o mamę i bezpieczeństwo.

-Podaj mi go - powiedziała szeptem Ida Marie, której włosy kleiły się od potu, a twarz była czerwona i opuchnięta. Ledwo można było ją poznać. - Chcę zobaczyć mojego synka.

- Chłopak jak malowany - oceniła Anne. - Na piątkę. Dobrze się z Theisem spisaliście.

Pochyliła się razem z dzieckiem, a Ida Marie wyciągnęła rękę. W spojrzeniu młodej mamy widać było jeszcze panikę i Anne pomyślała o depresjach poporodowych i podobnych sprawach. Zdarzało się, że poród przebiegał podręcznikowo, ale to, co się działo po nim, już nie. Zwłaszcza, jeżeli wcześniej coś było nie w porządku, a kobieta znajdowała się pod presją. Jeżeli w małżeństwie lub w całej rodzinie był jakiś problem.

W momencie gdy matka przejmowała chłopca, pomyślała o dziecku w rzece i poczuła, jak gdzieś w brzuchu zawiązuje się wielki supeł. Ida Marie wpatrywała się w dziecko. Trzymała go w pewnej odległości od siebie, jakby się bała, że może go czymś zarazić. Obserwowała każdy najmniejszy ruch, każdą zmarszczkę i fałdkę na jego małym ciałku.

Dziecko zakwiliło. Poruszyło rękami. I wtedy uczucie szczęścia przeważało, a strach i panika gdzieś przepadły. Zmęczona Ida Marie uśmiechnęła się i przytuliła chłopca. Po policzkach popłynęły jej błyszczące łzy. Pocałowała go kilka razy.

-Jest taki śliczny. Taki cudowny - powiedziała ochrypniętym głosem. Śmiała się i płakała naraz.

Anne poczuła napływające łzy i ulgę, która jak łopoczący skrzydłami ptak zabrała z niej wielki ciężar. Sytuacja przypominała zupełnie zwyczajny mały cud, którego (wielokrotnie już) miała szczęście być świadkiem.

- Martin - wyszeptała Ida Marie uroczyście. - Martin Roger Svensson Henriksen.

Dicte roześmiała się, a Anne odetchnęła z ulgą. Słyszała już gorsze pomysły, kiedy pary bez ślubu zostawały rodzicami.

Nastrój euforii panował aż do następnego dnia. Anne dziwiła się, że ogarnął także i ją, bo będąc położną, już trochę przeżyła. Mały Martin był ślicznym zdrowym chłopcem, ważącym 3500 gram. Patrzenie na matkę z dzieckiem naprawdę sprawiało Anne ogromną radość. Można było zapomnieć o wszystkim, co złe. Jakby narodziny przyćmiły ostatnie wydarzenia. Szczęście Idy Marie było tego warte. Theis zjawił się później tego samego dnia, a jej mama zadzwoniła i płakała ze szczęścia z okazji narodzin pierwszego wnuka. Wszystko jest tak, jak być powinno - rozmyślała Anne, popijając kawę w pokoju Idy Marie, kiedy wbiegła Maria.

-Anne, telefon.

- Kto dzwoni?

- Szpital wojewódzki - powiedziała Maria ze zdziwieniem, a Anne poczuła serce w gardle i rosnące ciśnienie, ale powstrzymywała to. Muszę zużyć trochę doznanego szczęścia - pomyślała, podnosząc słuchawkę. Dowiedziała się, że ktoś wycofał się z kolejki i mogła przyjść jutro.

Godzina jedenasta, mammografia.

Przeciwstawić się. Napęlić się szczęściem, żeby nie było miejsca na nieszczęście. Niedola nie będzie miała gdzie się rozplenić, jeśli nadejdzie. Pochłoną ją wszystkie dobre rzeczy.

Obudziła się gotowa do walki. Przygotowywała się wiele godzin. Te same słowa kołatały jej w głowie, kiedy asystentka układała jej piersi, żeby zrobić zdjęcie rentgenowskie.

Cofnęła się myślami w przeszłość. O wiele lat, do momentu, kiedy urodziła Jacoba. I jeszcze wcześniej. Próbowwała przywoływać tylko dobre wspomnienia, ale on i tak się pojawiał. Mężczyzna w sutannie. Jej ojciec. Z krzaczastymi brwiami i spojrzeniem utkwionym w dziewczynce, która siedziała zmarznięta na ławce w kościele i machała nogami w powietrzu. „Siedź spokojnie, Anne”. Więc siedziała. Cichutko jak myszka. Mama była u dentysty, a tata ćwiczył wygłaszanie słów, które miał powiedzieć ludziom w niedzielę. Słów, takich jak potępienie, przebaczenie i miłość Ojca, która jest taka wielka, taka wielka... Nieskończona.

„Zimno mi” - chciało powiedzieć dziecko, ale nie miało odwagi. Bo mężczyzna, który był jej ojcem, wyglądał na złego i niebezpiecznego. Jeśli się nie uważało, można było usłyszeć rzeczy, o których wcale nie chciało się wiedzieć: że w rzeczywistości nie było się jego dzieckiem i że żałował, że się zgodził, gdy jego żona błagała, zebrała i prosiła o to, by adoptowali dziecko z obcego kraju.

„Nie jesteś krwią z mojej krwi - mówił z ambony, a ona nadal machała nóżkami, żeby trochę się ogrzać. - Boże, wybac mi, że nie kocham cię tak, jakbyś była moim własnym dzieckiem”. Potem odchodził od kazalnicy i kończył ćwiczenia. Wracali razem w ciszy na plebanię i czekali na mamę,

której na szczęście było wszystko jedno, czyim Anne była dzieckiem.

-Będzie lepiej, jak zrobimy biopsję - powiedział lekarz i pokazał jej guza na zdjęciu.

Oto i on. Niezbyt duży. Zły duch jej ostatnich dni.

- Oczywiście - powiedziała suchym głosem. - Kiedy?

- Najszybciej jak to możliwe. Postaramy się znaleźć jakiś termin w następnym tygodniu.

- Myśli pan, że to rak?

Pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć, że to może być zarówno jedno, jak i drugie, o czym zresztą dobrze wiedziała.

-Wygląda trochę podejrzanie, ale bądźmy dobrej myśli. Ma pani statystykę po swojej stronie - powiedział i wstał.

Mechanicznie przytaknęła i zatęskniła za szczęściem. Nie uważała statystyki za dobrego obrońcę.

Ale nic nie było pewne. To mógł być tylko tłuszczak. Coś niegroźnego. Musiała o tym pamiętać, a nie bez powodu wpadać w panikę. To byłoby naprawdę głupie. Zmarnowane siły - pocieszała się, parkując samochód przy klinice w Skejby i idąc w kierunku wejścia.

Kiwnęła głową w stronę ochrony i zwróciła uwagę na oddziałowe dziecięce łóżeczko na kółkach, które stało w rogu. Zawróciła i wzięła je ze sobą. Co za bałagan - pomyślała. Jakby ludzie nie mogli trochę pomyśleć i odwozić łóżeczek na oddział, gdzie były pilnie potrzebne. Odnotowała sobie, że muszą poruszyć ten problem na kolejnym zebraniu i uczulić na to młode mamy. Zdziwiła się, że w ogóle może myśleć, że po rozmowie z lekarzem normalnie funkcjonuje. Podejrzane. Pchnęła drzwi na oddział. Przeszła parę kroków i zatrzymała się skołowana. Analizowała.

Zastanawiała się. I nagle zrozumiała dlaczego. To przez nowy dźwięk, do którego nie była tu przyzwyczajona. Dźwięk absolutnej ciszy.

22

Ten sen był biały. Jakby szalała zamieć śnieżna, która przewróciła drzewa i wiała prosto w twarz i oczy, aż leciały łzy. A potem burza zniknęła i zostawiła ten skrzący dywan.

W tym śnie był jakiś mężczyzna. Jego brązowe oczy kontrastowały z bielą. Były przyjazne, jakby chciały się nią zająć. Powiedzieć jej, że wszystko będzie dobrze, że może spać spokojnie. Zatopić się w ten śnieg i ciszę.

Ale ona nie mogła. Musiała wstać. Musiała unieść się w powietrze, lecieć nad białą krainą która zniknęła gdzieś w dole. Była ptakiem lecącym nisko nad ziemią sunęła nad rozciągniętymi polami i pod białymi mostami. Patrzyła na to wszystko i czuła się taka lekka. Ale potem pojawiło się coś ciemnego, niebezpiecznego, jak w kalejdoskopie zmieniającego biel w czerń. Odgłos, który przypominał dźwięk miechu. Kroki, które się od niej oddalały. Ciche kwilenie. A potem znów zapanowała cisza. Jak wtedy, gdy po skończonym przyjęciu patrzy się na resztki. Na opróżnione do połowy butelki, wypełnione popielniczki i okno, otwarte, żeby w domu się wywietrzyło. Właśnie tak jej to utkwiło w pamięci. Jak wrażenia po

imprezie.

Ida Marie otworzyła oczy. Zobaczyła biały sufit. To on był jej zimową krainą. Otwarte okno. Poczwała chłód, poczuła swoje ciało - mniejsze, ale mimo to ciężkie i zmęczone po porodzie. Wyciągnęła rękę po łóżeczko, ale natrafiła w powietrze.

- Moje dziecko! - zawołała. - Martin! Zdezorientowana rozejrzała się po sali. Kobieta na drugim łóżku poruszyła się niespokojnie, ale spała dalej. Wysokie łóżeczko z dzieckiem, dziewczynką, stało obok niej. Drzwi na korytarz były otwarte, ale nie było słycać żadnego dźwięku, tak jakby trwała sjesta.

Ida Marie odsunęła kołdrę i postawiła bosc stopy na zakurzonej podłodze. Poczwała ciężar w dole podbrzusza, tak jakby chciało jej się siku. No, czyli tak to jest po porodzie - uświadomiła sobie. Jakby wszystko chciało wypaść.

Na korytarzu spotkała położną. Ida Marie niecierpliwie pociągnęła ją za rękaw, za co została obrzucona surowym spojrzeniem.

- Gdzie on jest? Moje dziecko. Leżał w łóżeczku obok mnie, a teraz go nie ma - słowa przychodziły z trudnością. Musiała szeptać.

Położna wyglądała na kompetentną.

- Na pewno jest jakieś wytłumaczenie - powiedziała. - Sprawdzę to.

- Teraz?

- Tak, od razu.

Położna skrzyła. Szła korytarzem szybkim krokiem. Coś w jej postawie mówiło, że nie wszystko jest w porządku. Nie zdarzało się, żeby ktoś zasypiał z dzieckiem i budził się bez niego. Jeśli czyjeś dziecko musiało jechać na badanie, chyba budziło się matkę, prawda?

Badanie? Ale na co? Czy coś było nie w porządku? Czyżby włożyli go do inkubatora bez jej wiedzy? Skuliła się na krześle na korytarzu.

Siedziała tak i bujała się, obok przechodzili jacyś ludzie. Tęskniła za tym małym ciałkiem przytulonym do niej. Za zapachem noworodka i za tym, jak ssał jej pierś. Bolało ją w środku. W takim stanie znalazła ją Anne.

- Czemu tu siedzisz? Gdzie jest Martin? Ida Marie, co się stało?

- Nie ma go - gdy wypowiadała te słowa, dotarł do niej ich sens.

Najgorszy koszmar, czy stał się rzeczywistością?

Z trudem łapała powietrze. Przyciskała do piersi zaciśnięte pięści, żeby nie wyskoczyło jej serce. Prawie nie słyszała własnej paniki i nie widziała łez, które spadały na białą szpitalną koszulę.

- Gdzie on jest? Gdzie jest moje dziecko? - Patrzyła na Anne, ale w ogóle nie widziała jej twarzy. Wszystko było jak w migającym ekranie telewizora. To, co działo się potem, widziała jak na zwolnionym filmie. Wróciła położna i rozmawiała z Anne. Coś o tym drugim dziecku, że ktoś napisał mu na czole słowo śmierć. To nie mogło się znowu stać - pomyślała Anne i być może powiedziała to na głos. - Nie wszystkie dzieci.

Z ich stłumionych nerwowych głosów Ida Marie wywnioskowała, że to była prawda. Chodziło o kobietę, z którą dzieliła salę. To jej córeczce, która miała zaledwie dziesięć godzin, ktoś napisał to na czole... Ale dziecko zostało. Jej sąsiadka miała swoje dziecko, które mogła przytulić.

Ida Marie nie wiedziała, skąd przyszło to uczucie. Nie mogła nic zrobić, gdy nagle nią zawładnęło. Wściekłość. Rozpacz. Bezsilność. Dlaczego akurat ona? Dlaczego jej dziecko? Dlaczego nie tamtej? Nie jej córeczka? Tamta miała już dwóch synów, a ona tylko Martina. Buzowały w niej uczucia, próbowały wydostać się na powierzchnię.

Pojawili się inni ludzie, ktoś uciszał podniesione głosy. Biały sufit wirował, a tęsknota szarpała całym jej ciałem. Na koniec rozległ się krzyk. Ida Marie, całkowicie pogrążona w rozpacz, poczuła, jak paraliżuje ją strach. Z całą pewnością wiedziała jedno. Płakała, szlochała i krzyczała, że bez Martina nie chce żyć.

23

Może to przez poród, a może z innego powodu. Przez to, co dręczyło ją w środku. Rozpierało jak fermentujące owoce pod wiekiem słoika.

Nie udało jej się zbyt dużo zrobić. Dicte zadzwoniła do kilku miejsc, ale to jej za bardzo nie pomogło. Poszła na spacer z psem, bo pogoda była jeszcze w miarę znośna. Przemyślała parę rzeczy i postanowiła unikać kontaktu z Kaiserem. Dyżur w domu. Jak należało to w ogóle traktować?

Za oknem zimny jak lód deszcz smagał gałęzie drzew, a w kominku było słychać szum wiatru. Musiała położyć się na chwilę na kanapie, bo zaczęło się jej kręcić w głowie. Krew. Obrazy. Ciekący pot i poskręcane od wilgoci włosy. Może to był początek choroby? Grypy. Na pewno dlatego tak się czuła.

Dicte owinęła się w koc i patrzyła w sufit. Narodziny dziecka. Były jednocześnie piękne i okrutne. Niezapomniane. Jak wtedy, gdy to ona rodziła. Leżała i czuła, jak coś ją rozrywa od środka. I strach, taki jak u Idy Marie, w decydującym momencie. Była obezwładniona uczuciami, z istnienia których nie zdawała sobie wcześniej sprawy. W połączeniu z

lekką gorączką przywołało to dobrze znany jej film. Czowała ucisk w gardle. Wszędzie widziała płynącą krew. Po schodach w dół, do szkoły. Po tych trzynastu stopniach, które tak często liczyła. Na ulicy, gdzie w kompletnej ciszy stała ona. I zapach czerwonej, lepkiej, śmierdzącej ludzkiej krwi. W niektórych miejscach, tam gdzie jeszcze wypływała z otwartych ran, była trochę jaśniejsza. W rogach i zakamarkach, gdzie zbierała się i zastygała, była prawie czarna. Krzyk, który później zamierał na suchych ustach. Jej nauczyciele. Jej koledzy. Dzień Sądu Ostatecznego oddzielił potępionych od wybranych.

Podniosła się na łokciu i wypila wodę ze stojącej na stole obok szklanki. Musiała przestać. Zapomnieć to, co w nią wrosło. Wykasować z twardego dysku, jak powiedziałyby Rose. Po tylu latach musiało to przecież trochę wyblaknąć i stracić na sile.

I straciło. Otrzymała w zamian normalne życie. Ale nie całkiem. Nigdy w stu procentach. Sto procent może zresztą w ogóle nie istniało. W każdym razie nie w jej życiu. Nie tak jak ona to pojmowała - może zupełnie błędnie.

Dicte zamknęła oczy i opadła z powrotem na kanapę, oparła głowę o poduszkę, którą przyniosła z sypialni. Myśli wirowały. Wysoko w górze, a potem blisko jak ptaki w prądzie powietrznym.

Jej taktyka zawiodła. Może nadszedł czas na inną. Na to, żeby spojrzeć demonom prosto w oczy, zamiast odwracać się do nich plecami. Przeszedł ją dreszcz, więc owinęła się kocem jeszcze ciaśniej. W jej głowie dudniło. Miała wrażenie, że bębnienie deszczu o szybę przeniosło się pod jej czaszkę. Na pewno była chora.

Ledwo usłyszała ten dźwięk w szumiącym deszczu. Najpierw ciche

pukanie w szybę, które łaskotało ucho. Potem odgłos narastał, stał się bardziej uporczywy, wręcz agresywny. Odsunęła koc. Obróciła się na kanapie. Rozważała, czy nie przynieść zatyczek do uszu, które miała w sypialni, bo od początku nie mogła się przyzwycząić do hałasujących w nocy sów i domu, który trzeszczał, jakby na strychu osiedlił się jakiś bezdomny. Chciała, żeby ten dźwięk zniknął.

Później jednak zauważyła jego. Stał po drugiej stronie drzwi do ogrodu z nosem przyciśniętym do szyby jak dziecko, ale nie był nawet w połowie tak radosny. Właściwie wyglądał na zrozpaczonego. Dał jej znać ręką, żeby go wpuściła. Powoli stanęła na nogach.

- Nie mogłeś zadzwonić?

Wniósł wodę na dywan. Położył ręce na jej ramionach i opowiedział wszystko, podczas gdy ona odruchowo zatykała uszy dłońmi.

-Nie! Powiedz, że to nieprawda! To nie może być prawda! - Jej słowa były niezgrabne. Niemuzykalne, jakby nie pasowały do sytuacji.

- Chodź tu, usiądź. - Bo zaprowadził ją na kanapę. Osunęła się na jej brzeg. Cała się trzęsła.

- To jakieś kłamstwo. Kto ci to powiedział? -Anne, twoja przyjaciółka.

Wziął koc, przykrył ją i przytrzymał go ramieniem.

- Dlaczego tobie?

Patrzyła na niego i wiedziała, że widział jej nieufność.

- Twój telefon nie odpowiadał, nie mogła się do ciebie dodzwonić.

- A komórka? - pytała teraz jak na przesłuchaniu.

- Nie odbierałaś. - Wzruszył ramionami. Zabrał ramię, więc koc od razu spadł.

- Nie słyszałam. To niemożliwe, żeby dwa naraz się zepsuły.

Skoczyła z miejsca. W głowie migąło jej słowo „zamach”. Na straży. Trzeba być na straży. Zwłaszcza teraz. Podniosła słuchawkę telefaksu stojącego w przedpokoju.

-Nie ma sygnału!

Rzuciła się w pogoń za komórką, żeby czymś się zająć. Czuła nierówny puls, gdy przeszukiwała pomieszczenie po pomieszczeniu i nie mogła jej znaleźć. Popatrzyła z ukosa na Svendsena, który jedyny porządnie przywitał Bo. Rozłożył się u stóp fotografa i łagodnie gryzł jego palce.

Bo cały czas siedział. Mówił do psa przytłumionym głosem.

-Pomóż mi. Zaraz oszaleję! - Dicte przeszukiwała torebkę, półki i kieszenie płaszcza. - A przecież jestem dziennikarką.

W innej sytuacji, innego dnia, na pewno powiedziałaby coś złośliwego. Teraz wziął swój telefon i wystukał jej numer. Rozległ się cichy dzwonek. Poszła w kierunku tego dźwięku. Nachyliła się nad koszem psa i szukała między starymi kocami. Wyciągnęła telefon.

- W dodatku zżarł antenę.

Płakała. Czuła, że jest bliska szaleństwa i że znajduje się w nieodpowiednim miejscu, myśląc o tej beznadziejnej komórce i o dziecku Idy Marie, które tak narozrabiało. Poczwała, że się trzęsie.

- Co teraz? Co, do diabła, robimy?

Płacz przeszedł w szloch. Stała na środku pokoju. Chciała ochraniać siebie i najbliższych. Pojechać po Rose do szkoły. Zapakować ją w pudełko wypełnione watą i zapieczętować. Zamknąć Svendsena w środku, żeby nie ukradł go jakiś szaleniec. Osiodłać konia, wyruszyć w świat, żeby ratować dziecko Idy Marie.

- Ono nie może zniknąć. Po prostu nie może. Przecież jest Idy Marie, do cholery! Co w końcu z tą położną? Złapali nie tę, co trzeba?

Znow był przy niej, przyciągnął ją do siebie, spokojnie głaskał.

- Chodź. Musimy jechać do szpitala. Spojrzała na niego z wyrzutem.

- Myślisz tylko o artykule, o gazecie, o deadline "ie\ Pokręcił głową na ten kolejny dowód braku zaufania. Przeszło jej przez myśl, że mógłby je zbierać.

- Myślę o tobie - powiedział.

Jechali w ciszy. Komórka ogłosiła brak zasięgu, a Dicte oczyma wyobraźni od razu zobaczyła za oknem cień z sekatorem, który przecinał kabel. Błąd sieci. Błąd szpitala. Zaniedbanie środków ostrożności. Czy to się nigdy nie kończy?

- Jak to się mogło stać?

Westchnął. Zwolnił przy Ny Melle i zakręcił tak ostrożnie, jakby wioził w samochodzie dynamit.

- Takie rzeczy się zdarzają- spróbował. - Dzieci są czasami porywane.

- No, ale co z tymi napisami na czole? Przecież to jakieś szaleństwo. - Spojrzała na niego z powątpiewaniem. Zanim to powiedziała, patrzyła chwilę przez okno na drogę. - Czyli na wolności jest szalenie? To nie był tylko głupi kawał?

Już samo słowo „szalenie” przyprawiało ją o dreszcze. Takich wyrazów używało się chyba tylko na filmach.

- Na to wygląda. - Bo kiwnął głową.

Znowu cisza. Jechali przez starą część Skejby. Gdy skręcili w stronę szpitala, pomyślała, że przypomina to scenę z amerykańskiego serialu.

Pełno było tam policyjnych wozów z włączonymi kogutami, psów i ludzi

w mundurach, którzy chodzili w deszczu i wyglądali, jakby zgubili coś bardzo ważnego.

Musieli zadzwonić po Anne, żeby wpuszczono ich do środka. Przyszła, a Dicte jeszcze nigdy nie widziała jej w takim stanie. Nigdy nie widziała, żeby jej twarz była tak zapadnięta, a oczy bez wyrazu. Piękne skośne oczy, w których teraz nie było śladu nadziei.

- Dzwoniłam i dzwoniłam - zaczęła smutno Anne. Dicte poczuła jej ciepły oddech, gdy się do siebie

przytuliły. Wcześniej Anne unikała takich czułości.

- Potrzebowałam ciebie - powiedziała cicho Anne.

- Powinnam ją odesłać, żeby rodziła gdzie indziej.

- Bzdura - odparła Dicte. - Zrobiłaś, co mogłaś.

- To by się nie wydarzyło, gdyby urodziła w Order Sygehus albo w innym miejscu - w głosie Anne była złość. - Ale przecież wszystko było już wyjaśnione. Jak mogliśmy coś takiego przewidzieć? Dziecko Idy Marie. Dlaczego akurat jej? Dlaczego w ogóle czyjeś dziecko?

- Gdzieś zniknął spokój Anne, był bardzo daleko.

Dicte odzyskała kontrolę nad swoim głosem.

- Opowiedz teraz, co się stało. Jak?

Szły korytarzem, trzymając się za rękę, Bo zaraz za nimi. Dicte zauważyła, że nie zabrał swoich aparatów.

Anne opowiadała. O dziwnym przeczuciu, gdy przyjechała do szpitala. I ciszy. O siedzącej na krześle bosej Idzie Marie. O dziecku, które zniknęło bez śladu. O drugim dziecku z napisem na czole, jakby ktoś nie chciał pozostawić żadnych wątpliwości. Jakby przestępca pragnął przekazać za pomocą swojego chorego kodu, że Martin też ma umrzeć. O policji, która

przyjechała i zadawała wiele razy te same pytania. O zachowaniu Idy Marie, która nagle rzuciła się ze szlochem w ramiona jakiegoś policjanta i nie chciała go puścić.

- Teraz dostała coś na uspokojenie - powiedziała Anne beznamiętnym głosem.

Dicte pomyślała, że to było coś, czego z pewnością wszystkie potrzebowały. Czegoś na uspokojenie, nieważne, czy w formie tabletek, czy innego człowieka, któremu można rzucić się na szyję i wypłakać.

Ida Marie leżała w łóżku i wpatrywała się w sufit. Najwyraźniej tylko częściowo przytomna. Cichy, trochę zwierzęcy jęk wydobywał się z jej popękanych ust. Komisarz John Wagner siedział obok i nieco niezgrabnie trzymał ją za rękę. Widział, że weszli, ale jej nie puścił.

Dicte skinęła głową. Anne wyjaśniła.

- To przyjaciółka moja i Idy Marie, Dicte Svendsen. Była wczoraj przy porodzie. A to jej kolega, Bo.

- Dziękuję, my się już znamy. - Wagner skinął głową w ich stronę. - Jesteście w pracy?

Nie była przygotowana na to pytanie. Przez moment wahała się. Kim była? Przyjaciółką czy dziennikarką? Nie mogła tak po prostu o tym zapomnieć.

- Jesteśmy tu, żeby pomóc - powiedział Bo. - Anne zadzwoniła do naszej redakcji.

Dicte przemknęła przez głowę myśl, że Anne nie zadzwoniła do niego. Sam przyszedł, nie pytając nikogo o zdanie. Jakby było oczywiste, że jego to też dotyczyło. Może miał rację.

- Czyli nic o tym nie napiszesz? - kontynuował John Wagner.

Co by powiedział na to Kaiser? Myśli wirowały. Ta historia powinna przecież zostać opublikowana. Ktoś powinien ją opisać. Delikatnie. Z uczuciem. Szlag by trafił taką pracę.

- Tylko wtedy, jeśli się zgodzicie - odparła. -I tylko tyle, ile zdecydujecie się ujawnić.

Patrzył na nią niezdecydowanie. Z tym samym wyrazem twarzy, co wcześniej. Jakby nie mógł jej rozgryźć, zrozumieć, dlaczego cały czas na nią trafiał. Dlaczego czasami wiedziała więcej niż on. Gdyby znalazł odpowiedzi na te pytania, chętnie by je usłyszała.

- Wczoraj wieczorem... - Wagner westchnął w końcu i wstał. Podszedł do okna i stał odwrócony do nich plecami. - Czy zwróciliście na coś uwagę? Na coś podejrzanego? Albo może wcześniej?

Dicte wróciła myślami wstecz. Szukała. Przypomniała sobie, jak przyjechała taksówką do szpitala i zaprowadzono ją na salę, gdzie Ida Marie leżała w łóżku, jęcząc z bólu. Jak wszystko całkiem naturalnie kręciło się wokół niej. Wszystkie myśli i czyny.

- Nic - powiedziała i pokręciła głową.

Zwrócił się do Anne z pytaniem w spojrzeniu. Ona też próbowała sobie przypomnieć. Wyliczyła wszystko, co robiła. Wszystko przebiegało podręcznikowo i profesjonalnie.

- Ida Marie się bała - dodała mimo wszystko.

- Porodu? Przytaknęła.

- Bała się od dawna. Po tym wszystkim, co się stało. Tak jakby myślała, że to jakiś rodzaj klątwy. Bała się o dziecko i że coś się wydarzy.

Stał cicho przy oknie. - Na jego twarzy widać zmęczenie - pomyślała Dicte. Tego mogło być za wiele, nawet dla doświadczonego policjanta.

Potarł twarz dłońmi.

- Coś poza tym? Jakies szczegóły? Cokolwiek.

Cisza. Wagner pochylił głowę w stronę szyby i deszczu padającego na podwórku. Bo westchnął prawie bezdźwięcznie i opadł na krzesło. Wtedy Anne wydała z siebie cichy jęk.

- Łóżeczko.

- Jakie łóżeczko? - Wagner uniósł brwi.

- Dziecięce.

- Można prosić o wyjaśnienie?

- Jak najłatwiej uprowadzić stąd dziecko? Nikt przecież nie nosi tu swoich dzieci na rękach. Wozi się je w takich wysokich łóżeczkach z przezroczystego plastiku.

-I? - ponaglił Wagner, który w dalszym ciągu wyglądał na zdezorientowanego.

Anne wstała. Przycisnęła dłonie do ust, a potem przeczesła nimi włosy.

- O wpół do pierwszej, kiedy przyjechałam do pracy, przy wejściu do szpitala stało łóżeczko. To było dziwne. Ktoś zawiózł swoje dziecko do drzwi, a potem pojechał do domu. Nie odstawił łóżeczka na miejsce.

Niechlujnie.

Wagner podszedł do niej i mocno ją chwycił.

- Gdzie jest to łóżko?

- Odstawiłam je na miejsce.

Westchnął, nie wydając z siebie żadnego dźwięku.

- Dokąd? Możesz je odnaleźć?

- Tak sądzę.

Anne zniknęła za drzwiami. Mijały minuty. Ida Marie marszczyła czoło w swoim półśnie. Patrzyli na siebie, ale nikt nic nie mówił. W końcu Wagner odchrząknął i już miał rozpocząć rozmowę, gdy drzwi się otworzyły i Anne wepchnęła do środka wysokie łóżeczko. Miała czerwone plamy na policzkach, a jej oczy były jeszcze bardziej opuchnięte.

- Oto ono - powiedziała krótko. - Jest na nim numer.

24

Ulica Villavejen w Viby pogrążona była w głębokim śnie. Jego dom nie stanowił wyjątku. Znajdował się na końcu szeregu i był dokładnie tak ciemny, jak pozostałe, zamieszkane przez starsze małżeństwa albo samotnych ludzi. Jak na przykład ta zabawna wdowa, Elisabeth Vinter, która mieszka obok niego i która czasem przychodzi i skarży się, gdy wyłącza muzykę: „Panie Wagner. Niech pan pamięta, że ma pan nazwisko, które zobowiązuje. W innym przypadku, będę zmuszona złożyć na pana skargę w gminie”. Zwłaszcza po śmierci Niny zaczęła częściej zachodzić ze świeżo upieczonym ciastem albo bułeczkami w ramach pocieszenia.

Ale nie wszyscy byli tacy mili. Na przykład Jesper-senowie, którzy mieszkają na końcu ulicy, twierdzą, że jego kot poluje na ptaki w ich ogrodzie. Właśnie, Robin. Właściwie to już dawno przeniósł się pięć numerów dalej do HAnne. Wagner rzadko go widywał.

Sierżant wjechał samochodem do garażu i wyłowił klucze. Zanim

wysiadł, siedział przez chwilę w ciemności, wdychając zapach oleju i torfu ogrodowego. Musiał w końcu nawieźć ogród, ale nie udało mu się zbyt wiele zrobić. Worek stał oparty o ścianę; Wagner spojrzał na niego, gdy otwierał drzwi od garażu. Prawie nigdy nie używał głównego wejścia. Właściwie to niemal nie korzystał ze swojego domu. Wolał pracować albo siedzieć u swojej siostry.

W domu wiało pustką. Wydawało mu się, że gdyby krzyknął, odpowiedziałoby mu echo. Nie próbował. Zdjął kurtkę i powiesił ją na wieszaku w przedpokoju. Przechodząc obok pokoju dziecięcego, celowo odwrócił wzrok. Alexander był u HAnne. Zadzwoiła i zameldowała mu to. Bez cienia wyrzutu w głosie, ale mimo to gryzło go sumienie. Nie wolno, ot tak, podrzucić komuś swojego dziecka, nawet jeśli tym kimś jest rodzona siostra, która w dodatku mieszka przy tej samej ulicy. Każdy sam powinien ponosić konsekwencje. Był odpowiedzialny, nie tylko za łapanie przestępców, ale również za własne dziecko. Choroba i śmierć Niny były przecież dla chłopca piekłem. W dodatku miał ojca, który od czasu do czasu znikał z jego życia. Dawał się wciągnąć w pogoń. To było właśnie to, co robił. Coś, co weszło mu w krew. Co rozwinęło w nim instynkt.

Zrobił sobie kanapkę z kiełbasą i odnotował w pamięci, że skończyła się margaryna. I jeśli już o tym mowa, to brakowało też chleba. Poza tym kuchence i zlewozmywakowi przydałoby się porządne szorowanie. Jak i zresztą całemu domowi, ale nie miał siły nawet o tym myśleć. Ogólnie rzecz biorąc, nie był to najlepszy moment na myślenie. Było grubo po północy, a w głowie wciąż słyszał odgłosy z pracy. Myśleli, szukali, analizowali, przetrząsnęli niebo i ziemię, żeby odnaleźć odciski palców i inne dowody, przeszłuchali każdego napotkanego na swojej drodze

człowieka w szpitalu i okolicy, aż padali na twarz ze zmęczenia i wtedy w końcu odesłali siebie nawzajem do domów spać. Wagner odbył rozmowę z aresztowaną położną, ale to do niczego nie zaprowadziło. Odpowiadała wymijająco i nie był przekonany ani co do jej winy, ani jej braku. W końcu musieli puścić ją wolno, ale z zakazem zbliżania się do szpitala.

Gdy usiadł na kanapie z piwem w jednej ręce i Wariacjami Goldbergowskimi Bacha na płycie CD w drugiej, myślał o swoim instynkcie. Była to praca, ale jednocześnie coś więcej. Może po śmierci Niny bardziej przywiązał się do obowiązków służbowych. Jakby bał się nawet myśli, że może sobie odpuścić jakąś sprawę i zmierzyć się z tą pustką. Wziął łyk piwa z butelki. Wiedział, że Nina by go za to skrytykowała. Wstał i przyniósł szklanekę.

Czy tylko to mu zostało? Okruchy wspomnień? Pokręcił głową, myśląc o własnej głupocie. Znów napił się z butelki, z przekory, jak uparte dziecko. Poluźnił koszulę i wyimaginowany krawat, oparł się wygodnie, słuchając muzyki. Nie do wiary, jak to życie mogło czaić się na kogoś i wymierzać uderzenia raz z prawej i raz z lewej strony. Powalić nawet najlepszych. Czyli tych, którzy szukali sensu. On już dawno przestał. Choćby dziś. Wiedział już, że skrzywdzona matka nazywała się Ida Marie Svensson. Czy miało sens dać jej dziecko, żeby je później zabrać? Nie. To obrzydliwe zapalać radość i nadzieję, żeby sekundę później ją zgasić.

On już od dawna podejrzewał Boga o sadystyczne skłonności.

Bach kontynuował. Dźwięki przywoływały w jego głowie obraz. Znów poczuł ciężar ciała Idy Marie, jak wtedy, gdy do niego przywarła i wtuliła swoją twarz w jego kurtkę. Później na wełnie w kolorze wielbłąda widać było ciemne plamy po jej łzach. W laboratorium na pewno znaleźliby na

ubrani resztki tuszu do rzęs.

Przytulił ją do siebie. Mógł w ten sposób ukryć swoje zmieszanie przynajmniej na kilka sekund. Szok. Gdy ją zobaczył, coś nim wstrząsnęło. Zapłakana, brudna twarz i włosy, które zaplątały się w jego palce. Oczy, błyszczące kryształki, które przypominały mu zdjęcie, jakie widział kiedyś na okładce „Time Magazine”. O ile pamiętał, była to dziewczyna, która uciekła z Pakistanu. To samo poczucie krzywdy. Oczy, które nie rozumiały zła, może dlatego, że same nie potrafiły go wyrządzać i nigdy wcześniej się z nim nie spotkały. Dlaczego? Pytały bez słów: dlaczego ja?

Spojrzał na migającą automatyczną sekretarkę, która dawała znać, że ma dwie nieodsłuchane wiadomości. Wstał i nacisnął przycisk. Pierwsza - była od HAnne, która zawiadamiała, że zarówno Alexander, jak i kot są u niej. Druga od Ivara K, jak zawsze oszczędnego w słowach: „Dzwonił Haraldsen z Wydziału Daktyloskopii. Oddzwoń do niego”.

W końcu! Jakiś cień nadziei. Może coś ruszy w tych trzech sprawach, z których przynajmniej dwie ostatnie były najprawdopodobniej ze sobą powiązane. Mojżesz w rzece, napisy na czołach, a teraz zaginięcie dziecka Idy Marie. Co tu się dzieje? Przemoc, szykany, nawet zabójstwa nie były już takie rzadkie, ale kiedy zaczęło to wszystko dotyczyć noworodków? Kiedy przestępczość rozwinęła się tak, że nie omijała nawet najbardziej niewinnych istot na tym świecie? Czy on czegoś nie zauważył? Czy zanosilo się na to od dawna?

Położył się na kanapie i przykrył kocem. Poczul nadchodzący sen jak wielki, przytłaczający ciężar.

Obudziło go stuknięcie klapki w wejściu dla kota. Robin skradał się na

miękkich łapach. Prosto do miski z jedzeniem w kuchni - odgadł Wagner i usiadł na kanapie. Minęło trochę czasu, zanim zwrócił uwagę na to uczucie. Może dlatego, że nie był przyzwyczajony do wyłączania myślenia, oprócz chwil, gdy śpiewał. Czuł się tak jakby coś go szarpało. Wołało z rozpacz. Nakarmił kota, zrobił sobie filiżankę kawy Nescafe i wziął bułeczkę z cynamonem od Elisabeth Vinter. Była ostatnia w torebce i zaczęła już pleśnieć. Dopiero gdy wypił kawę, wpadł na to, co powinien zrobić. Wziął szybką kąpiel i wyszedł z domu.

-Brahms - powiedziała z łóżka i spróbowała się uśmiechnąć. -
Requiem, oczywiście.

Kiwnął głową, jakby też to dopiero zauważył. Nie rozmawiali o tym, ale to istniało między nimi, ukryte, ich wspólna tajemnica. Może coś, co ich łączyło.

Na krześle siedział jakiś mężczyzna. Młody Frank Sinatra, pomyślał w pierwszym momencie Wagner, ale szybko zmienił zdanie. W jego oczach brakowało tej iskry. Nie było widać żadnego śladu ani życia, ani nawet bólu.

- Mój mąż, Theis. Był w Niemczech. Mówiłam już o tym wczoraj?

Wyglądała na zamroczoną. To przez leki - domyślił się. Podał mężczyźnie dłoń. Próbował nie czuć niechęci. Biedny. Nie zdążył na poród, a teraz to.

- Coś nowego? Gdzie jest nasze dziecko? - słowa Theisa brzmiały jak szczekanie psa i Wagnerowi przeleciała przez głowę myśl, że ten świeżo upieczony ojciec na pewno zajmował jakieś kierownicze stanowisko w firmie, w której priorytetem raczej nie był człowiek.

Sierżant potrząsnął głową.

- Niestety. Jeszcze nic dla państwa nie mam. Wiem, że to musi być dla was trudne.

- Trudne?!

Razem ze słowami wyleciała z ust Theisa ślina. Wagner wyraźnie usłyszał kpinę, ale zmieszana z rozpaczą. Zdążył już do tego przywyknąć. Reakcją kobiet było zamknięcie się w sobie. Mężczyźni musieli wyładować swoją agresję. Bazując na własnych spostrzeżeniach, mógł napisać na ten temat pracę doktorską z psychologii.

- Jak to się w ogóle mogło stać? Nie mogę tego pojąć - powiedział partner Idy Marie i zaczął chodzić w tę i z powrotem po izolatce, do której młoda matka została przeniesiona. Potarł ręką twarz pokrytą zarostem - śladem nieprzespanej nocy - który mocno odcinał się od bladej skóry. Rysopis Theisa ograniczyłby się do zmiętej jasnoniebieskiej koszuli i granatowych spodni. Strój biurowy - pomyślał Wagner. - Czy ona rzeczywiście należy do kobiet, które zakochują się w takich chłopcach, czy może wybrał za nią przypadek?

-Wydawało mi się, że bezpieczeństwo w miejscu takim jak to jest zapewnione. I co z tą wariatką o której wszyscy mówią? Wypuściliście ją?

Wagner odpowiedział, zgodnie z prawdą że nie mogli dłużej trzymać położnej. Mieli słabe podstawy już nawet do jej aresztowania.

- Czyli jest całkiem niewinna?

Wagner wzruszył ramionami i poczuł niesmak. Nie tyle do pytania, ile do mężczyzny, który je zadał. Ojciec dziecka kręcił głową i pocierał ręką szyję i podbródek. Jest bezsilny - pomyślał Wagner.

-Dajcie spokój, to jakiś dom wariatów. Jak można ukraść ludziom dziecko?

- Theis - jej głos był bardzo słaby, tylko na chwilę zatrzymał Theisa w połowie zdania. Potem młody ojciec śmiało dokończył:

-Powinniście ochraniać ten budynek, niech sam pan to przyzna. Nie byliście na to przygotowani. Ktoś popełnił błąd i teraz my musimy za niego zapłacić. Naszym dzieckiem.

- Theis, przestań już!

Znow się zatrzymał. Wagner widział, jak nabrał powietrza i chciał coś powiedzieć, ale ona go uprzedziła:

- Przecież nawet cię tu nie było. Patrzyli na siebie.

- A co to ma, do diabła, z tym wspólnego? Mrugnęła przerażona, ale mimo to kontynuowała:

- Uspokój się. Przecież to niczyja wina. Powinnam była rodzić gdzieś indziej.

- Niby dlaczego?

Przez chwilę rozglądała się po sali. Na koniec spojrzała przez okno na najdalszy punkt, jaki mogła znaleźć.

- Miałam przeczucie, ale rodziłam tu, bo znam Anne, więc nie byłam taka samotna. - Przerwała.

Theis usiadł na brzegu jej łóżka.

- Czyli uważasz, że to moja wina? Unikała jego wzroku.

- Oczywiście, że nie.

Westchnął. Może chciał powiedzieć coś niemiłego, ale zdusił to w sobie.

- Nie mogę cofnąć czasu, kochanie. Nie przyszło mi do głowy, że nasze dziecko może zostać porwane.

Odwrócił się w stronę Wagnera, który miał teraz ochotę zapaść się pod

ziemię. Nigdy sobie nie radził, gdy w grę wchodziły silne emocje.

- Z tym się właśnie liczycie? Z porwaniem? Zakładacie, że on żyje, tak? Czyli to jest tylko gołosłowna groźba, że jakieś dziecko umrze? - W głosie Theisa słychać było straszną rozpacz.

Wagner popatrzył na niego.

- Oczywiście, mamy wielką nadzieję, że tak jest - powiedział ostrożnie.

Ida Marie położyła dłoń na ręce swojego ukochanego, trzymającego róg kołdry. Jest taka blada - pomyślał Wagner. Jak waza z alabastru, którą jego siostra przywiozła kiedyś z Egiptu.

- Nie przyniósłbyś dla nas śniadania? Kawy, herbaty i czegoś do tego? - poprosiła Ida Marie.

Theis siedział przez moment bez ruchu i przyglądał się jej. Pokręcił głową i wstał. Ida Marie patrzyła, jak odchodził.

- To dla niego trudne - tłumaczyła. - Przecież nawet nie zdążył zobaczyć Martina. Nie zdążył go poznać.

Wagner przytaknął. Ostrożnie podchodził coraz bliżej. Miał ochotę usiąść przy niej, tak jak wcześniej tamten. Potrzywać ją za rękę, uspokajać, skłamać i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

- Ale ty zdążyłaś - powiedział zamiast tego. - Spędziłaś z nim dziewięć miesięcy.

Skinęła głową. Widział, że dużo płakała. Może nie miała już więcej łez. W każdym razie od tej pory będzie potrzebowała czegoś, co pomoże jej przez to przejść. Wiedział, że środki uspokajające nie sprawdzają się na dłuższą metę, ale wierzył w siłę wewnętrznego spokoju. Wciąż nie potrafił odgadnąć, kto ją miał, a kto nie. Jeśli chodziło o Idę Marie, to nie miał

najmniejszego pojęcia, czy tę moc posiada i nie miał odwagi zgadywać.

- Tak bardzo za nim tęsknię - powiedziała i zauważył, że ma ochotę mówić dalej. - Nie mogę się tym podzielić z Theisem. Jakby było za późno.

Wagner skinął tylko głową. Pozwolił jej kontynuować, widział, że ona chce o tym opowiedzieć, a on chciał jej słuchać.

-Nie mówiłam o tym wczoraj, bo myślałam, że to był sen.

- Co takiego?

- Słyszałam jakiś dźwięk. Jakby czyjś oddech. -Wyglądała na niezdecydowaną. Widział, że szuka czegoś w pamięci. - Może zabrzmiało głupio - powiedziała i spojrzała na niego niepewnie - ale to był mniej więcej taki dźwięk, jak w filmach kręconych pod wodą, gdy ludzie oddychają przez maski tlenowe.

Nagle mocno złapała go za rękaw marynarki. Przyciągnęła jego ramię i odnalazła dłoń, którą przycisnęła tak mocno, że w końcu musiał usiąść.

- Odnajdziesz go dla mnie, prawda?

Nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobił. Nigdy nawet nie przypuszczał, że może mu to przyjść do głowy. Uważał, że jest zbyt profesjonalny na taką lekkomyślność. Może stało się tak, bo spojrzał jej w oczy, mimo że obiecał sobie tego nie robić, bo coś w nim mówiło, że to jest droga do zguby.

-Obiecuję. Choćbym miał zajrzeć pod każdy kamień w tym kraju, odnajdę go.

Pochyliła się w jego stronę. Poczł muśnięcie jej warg, gdy odcisnęła na jego policzku pocałunek anioła.

- Dziękuję.

Dopiero później, po spotkaniu w sali obrad i codziennym rozdzielaniu zadań, Wagner przypomniał sobie o Haraldsenie z Wydziału Daktyloskopii. Poszedł na górę do swojego gabinetu z filiżanką kawy i kanapką ze stołówki. Przeszedł obok pomieszczenia, gdzie Ivar K zdejmował odciski palców jakiemuś młodemu mężczyźnie. Pewnie przed chwilą podejrzany został sfotografowany. Zwykle policyjne ujęcia - jedno z przodu, jedno z profilu, z numerem sprawy na szyi, gotowe. Policyjne atelier nie przypominało pracowni artysty.

Wagner spotkał Haraldsena parę razy na różnych kursach. Obydwaj uwielbiali szachy, więc któregoś wieczoru zagrali razem, rozmawiając o tym i owym. Kontakt z kolegami z Kopenhagi nie mógł zaszkodzić, a młody Haraldsen zrobił na nim bardzo dobre wrażenie. Był jednym z tych, którzy szukali informacji także własnymi niekonwencjonalnymi sposobami, a nie tylko zgodnie z przepisami. Poza tym obydwaj pochodzili z południowej Jutlandii. Obydwaj też kierowali się dewizą, że w miłości, na wojnie i w sprawach kryminalnych wszystkie chwytły są dozwolone.

Przeżuwając kanapkę, Wagner wykręcił bezpośredni numer.

- Haraldsen - odpowiedział głos w słuchawce.

- Witam! Tu Wagner. Policja Kryminalna, Arhus.

- Wagner! Słyszałem, że prowadzisz niezłą sprawę. Dostałeś też czas na spanie i jedzenie?

- Dzięki, jakoś leci. To ty masz sprawę małego Mojżesza?

- Tak, Koran. To było trudne. Niestety, nic dla ciebie nie mam.

To po co miałem do ciebie dzwonić, baranie? - pomyślał Wagner, ale oczywiście nie powiedział tego głośno. Trzeba było postępować zgodnie z

psychologią gracza.

-Potrzebujemy jakiegoś tropu. Właściwie to nie mamy nic. - Wziął łyk kawy i skrzywił się. Musiał ugryźć kanapkę, żeby nie czuć smaku napoju.

- Naprawdę nic nie wyszło z tej waszej maszyny?

Jakiś kobiecy głos przeszkodził Haraldsenowi. Wagner słyszał, jak rozmówca zakrył ręką słuchawkę.

- Przepraszam, już jestem. Rozrywają mnie - odchrząknął, jakby coś drapało go w gardle.

Wagner czekał.

- Dobra wiadomość jest taka, że znaleźliśmy dodatkowe odciski palców, ale jak już mówiłem, nie wyszło nic, co byłoby zgodne z tymi dziesięcioma punktami, wiesz.

Dodatkowe. Lepsze to niż nic. Szkoda, że nic nie pasowało - frasował się Wagner, myśląc o dziesięciu punktach, w których musi występować zgodność pomiędzy dwoma odciskami. Dopiero wtedy ujęcie sprawcy było zgodne z prawem. Osoby, która wpuściła Mojżesza do rzeki, nie było w policyjnych kartotekach. Wagner i tak na to nie liczył.

- Ale znaleźliśmy coś zabawnego - powiedział Haraldsen.

- Zabawnego?

- Z mojego punktu widzenia, w każdym razie - dodał Haraldsen. - Dość dziwną zbieżność.

- Jaką zbieżność?

Wagner odsłuchał długiego wykładu o tym, że, abstrahując od dziesięciu punktów, znaleźli pewne podobieństwa we wzorze odcisków. Dokończył swoją kanapkę i wrzucił papier do kosza.

- Czy kiedykolwiek słyszałeś o Rolfie E. Jensenie? - zapytał znienacka

Haraldsen.

Nawet jeśli tak, to Wagner nie pamiętał.

- Przed wielu laty napisał pracę doktorską o odciskach palców. W swoim czasie uważany był za największego międzynarodowego eksperta w tej dziedzinie.

No tak, nie można wiedzieć wszystkiego, skoro trzeba jeszcze wyjaśniać zbrodnie. Wagner wyrzucił do kosza kubek z kawą.

- Używał odcisków palców w sprawach o ojcostwo, bo w odciskach ludzi blisko ze sobą spokrewnionych można odnaleźć pewną zbieżność we wzorze linii papilarnych.

Wagner nastawił uszu.

- Do czego zmierzasz? Haraldsen głośno westchnął.

- Mówię tylko, że nie znaleźliśmy odcisków, które zgadzałyby się w dziesięciu punktach. Czyli niczego, co miałoby moc prawną. Ale maszyna wylosowała dziwnego kandydata.

-Tak?

- Zestaw, w którym wzór linii jest w pewnym stopniu zgodny z wzorem linii z kartki Koranu. Mamy tylko to. Bardzo duży rozstrzał. Na pewno i tak do niczego ci się nie przyda.

Teraz z kolei Wagner głośno westchnął. Zwyczajne odciski palców mogły tak skomplikować życie, że miało się ochotę rzucić odznakę na dobre. Lepsze to niż nic - pomyślał, chociaż nie miał pewności co do tego. Jeśli nie będzie uważał, może go to kosztować dużo czasu i środków.

- Zakładam, że masz jakieś nazwisko - powiedział i wziął do ręki długopis.

Czas był największym wrogiem. W każdym razie wtedy, kiedy zadanie polegało na wyjaśnieniu przestępstwa.

Spojrzała na zegarek. Minęło trzy czwarte doby, odkąd Bo do niej przyszedł. Martin zaginął prawie 24 godziny temu. Czy można jeszcze odnaleźć jakieś ślady? Czy policja znalazła jakiś trop? Co jeszcze może zrobić? Na co może wpaść?

Można tak aż do obrzydzenia - pomyślała Dicte i włączyła komputer w redakcji. - Krążyć i krążyć wokół jednego wydarzenia i w końcu samemu nabiera się wątpliwości. Czy kobieta w szpitalnej recepcji nie wyglądała trochę podejrzanie? Czy na korytarzu na porodówce nie słychać było niepokojących kroków? Czy Dicte nie widziała cienia, który się ruszał w toalecie albo kogoś, kto czał się za rogiem? Czy nie traciła właśnie rozumu? Czy nie przyjadą za chwilę mężczyźni, którzy ubiorą ją w kaftan z długimi rękawami i zawiozą do wariatkowa?

Dźwięk telefonu przerwał strumień myśli. W tle słychać było głosy innych: Davidsena, który przeprowadzał przez telefon wywiad z kobietą oskarżoną o prowadzenie burdelu. Cecilie, którą odwiedziła przyjaciółka. Przymierzały buty i chichotały jak nastolatki.

- Svendsen! - krzyknął Kaiser, próbując przekrzyczeć samego siebie. - Dobra robota. Reportaż bomba. Jutro będzie na pierwszej stronie. Napisz jeszcze coś na okładkę. Coś nowego?

Nie słyszała, żeby nabierał powietrza między zdaniem. Coś nowego. Zawsze chciał coś nowego. Pożreć ją na surowo i zrobić abażur z jej skóry i kości. Już czuła się zjedzona.

-Nic.

- Czym zajmuje się policja?

Dłubie w nosie. Chodzi do toalety. Pije kawę - myślała.

- Prowadzi dochodzenie. Bada ślady i wątki.

- Jakie ślady? Jakie wątki? - mówił głośno i wyraźnie, jak do trudnego dziecka. Musi być bardziej ostrożna, jeśli będzie ją dalej wypytywał. - Dobrze by było, gdybyśmy mieli na pojutrze coś ekstra o matce dziecka. Kim jest? Co teraz myśli i robi? A co z jej mężem? Czy to mógł być on? A może ktoś z rodziny? Czy nie tak zawsze mówią - kontynuował - że do większości przestępstw dochodzi w domu? Jakąś statystykę, poproszę. I coś o wcześniejszych zniknięciach noworodków. Czy coś podobnego już się wcześniej wydarzyło? Jeśli nie w Danii, to może w jakimś innym kraju, na przykład w Anglii. Czy przed kilkoma laty nie skradziono tam przypadkiem ze szpitala dziecka?

Słuchała jak sam sobie robił burzę mózgu. Jego pomysły nie były złe, tylko ona już po prostu nie dawała rady. Nie trafił na odpowiednią dziennikarkę, ale było już za późno, żeby mu o tym powiedzieć. Poza tym on i tak by nie słuchał. W końcu się po prostu zgodziła i postanowiła jechać do domu, wziąć valium, popić piwem i położyć się pod kołdrą.

- Będziesz miała spokój przez ten tydzień - powiedział na zakończenie.

- Nie ma mnie.

Nie ma go. Nie bierze urlopu. Nie idzie na wieczorowe studia ani kurs menedżera, tylko go nie ma. Na bank jedzie do Prowansji, gdzie ma dom na wsi.

Odchrząknął.

- Davidsen będzie ci pomagał. Weźmie sprawę Mojżesza.

Cholera, tylko tego brakowało.

- Dam sobie radę sama - zaczęła, ale Kaiser przerwał jej brutalnie, ucinając wypowiedź Dicte, tak jak to robił z jej artykułami.

- Już z nim rozmawiałem. Bierze wątek imigrantów. Jaka była reakcja na Koran? Jakie są nastroje wśród ludzi? Czy mogła to być jakaś młoda dziewczyna działająca w szoku? Czy może był to akt zemsty ojca? Tego typu rzeczy.

Chciała jeszcze protestować, ale nie miała siły. Poza tym Kaiser miał rację. Jej głowa i tak była pełna, a Da-vidsen szczycił się przydatnymi kontaktami, napisał w końcu mnóstwo artykułów o problemach w gettach i przestępczości wśród młodzieży.

- Czyli jesteśmy umówieni - zdecydował i odłożył słuchawkę, zanim zdążyła odpowiedzieć.

Spojrzała w stronę Davidsena, w dalszym ciągu rozmawiającego przez telefon. Wyszła do łazienki i opryskała twarz zimną wodą. Zobaczyła się w lustrze i podskoczyła pół metra do góry. To nie mogła być ona. To ktoś inny! Jakaś obca zmartwiona osoba z błyskiem szaleństwa w oczach. Musiała wyjść. Zrobić coś, żeby to znikło. Cofnąć czas i zaciągnąć Idę Marie do innego szpitala. Na przykład na Księżycu.

- Wyglądasz beznadziejnie - Bo przyszedł z pomocą gdy w końcu wyszła z łazienki. Siedział przy okrągłym stoliku i przeglądał gazety.

- Dzięki za miłe słowo. Wstał.

-Powiedziałem, że wyglądasz. A nie, że jesteś. Chodź.

- Chodź, dokąd?

Ale właściwie było jej wszystko jedno. Byle jak najdalej stąd, byle razem z nim, nagle to poczuła. Ale to była sytuacja awaryjna. Force majeure - siła wyższa. Wszystko dozwolone.

Przyniósł Dicte kurtkę i przytrzymał ją, gdy dziennikarka się ubierała. Wziął jej torebkę z biurka, wrzucił do niej komórkę i jakieś przypadkowe papiery. Cecilie i jej przyjaciółka wytrzeszczały oczy, a Davidsen uniósł jedną brew.

- Nie dasz rady dogodzić wszystkim - powiedział Bo, kiedy wepchnął ją do samochodu, dorzucając uwagę, że nie powinna sama kierować.

Odwrócił się i spojrzał na nią. - Your place or minel

Ukryła uśmiech, przerzucając stertę jakichś starych, leżących między siedzeniami, zdjęć.

- Chyba każdy ma prawo do szczęścia - westchnął z zadowoleniem.

Komórka zadzwoniła, gdy byli w połowie drogi, tam gdzie pola zaczynały zastępować miasto. Wziął telefon do ręki, spojrzał na wyświetlacz i odrzucił połączenie.

-Davidsen - powiedział niewyraźnie. - Na pewno z jakimś ekspresowym zleceniem w jakimś getcie. Niech sobie znajdzie freelancera.

- Ty jesteś freelancerem - przypomniała.

- Innego freelancera. Ja mam teraz bardzo ważne zlecenie. - Roześmiała się.

Nie miała zamiaru się sprzeciwiać. Świat się zmienił, wszystko, co się kochało, można było nagle stracić. Trzeba było trzymać to mocno. Przeżyć życie, zignorować krzyk, zapach krwi i nieszczęścia.

Właściwie o tym nie myślała. Jeśli dobrze pamiętała, odsunęła na bok wszystkie myśli, gdy wyłączył silnik. Gdy otworzył przed nią drzwi i wyprowadził na powietrze, które pachniało jesiennymi liśćmi i mżawką. Gdy zabrał jej klucze, otworzył drzwi i pociągnął ją za sobą. Przeszli obok Svendsena, który powitał ich wesoło, obok pokoju, w którym na stole stała

pusta butelka po winie i jeden kieliszek z brzegiem wybrudzonym szminką, obok kuchni z brudnymi filiżankami po śniadaniu. Szli do sypialni, gdzie, o zgrozo, na nie-poślanym łóżku leżała zwinięta stara pidżama Torstena, w której spała, bo była z bardzo miękkiej bawełny, a na nocnym stoliku leżały żółte zatyczki do uszu, ponieważ definitywnie zrezygnowała z prób polubienia hałasów nocnych. Była tam też opaska na oczy, którą nakładała, gdy kładła się spać, bo budziła ją nawet odrobina światła.

Chciała posprzątać i nakryć czymś to wszystko, ale on mocno ją trzymał.

- Spokojnie, odpręż się.

Był jak hipnotyzer, a ona pozwoliła mu wprowadzić się w trans. Patrzyła na niego i widziała, jak pożerał ją wzrokiem. Przycisnął swoją twarz do jej twarzy, otoczyła ją barwa jego oczu, z których płynęło ciepło i życie. Przytulił ją. Stali bardzo blisko siebie. Czuła, jak jego ciało przywarło do niej. Szczupłe i niepokojąco silne.

-Jesteśmy tylko ty i ja. Tylko my. Zapomnij o wszystkim innym - szeptał.

W głębi swojego otumanionego umysłu, spróbowała sobie przypomnieć, czy rano nałożyła stare sprane majtki, czy miała szczęście i wylosowała z szafki jakiś nowszy model. Chociaż w rzeczywistości było jej wszystko jedno. Chciała tylko cieszyć się tą chwilą. Smakować. Wąchać. Rozkoszować się.

Czuła dłonie, które delikatnie ściągały jej bluzkę. Stała przed nim w samym staniku, który na szczęście miał tylko lekko zniszczone koronki. Pozwoliła, żeby położył ją na łóżko i przewrócił na plecy. Rozebrał i

przeniknął, kiedy już reszta garderoby została ściągnięta i rozrzucona we wszystkich możliwych kierunkach. Pozwoliła, żeby ją wypełnił i zabrał w inne miejsce, do samego końca, gdzie powietrze wirowało, a jego usta były tak blisko, że stały się częścią niej samej, przejęły jej zapach i smak. Nie mogła już rozróżnić, do kogo należą wargi i czyje ciało jest czyje. Wydawało jej się, że to ciecz złączyła ich ciała. Tak jakby to, co się z nich wydobyło, na zawsze sklepiło ich ze sobą. Pot. Sperma. Łzy, bo, choć czuła, że to wstyd, rozplakała się. Znow przybliżył swoją twarz do jej twarzy. Nie pozwolił jej odwrócić wzroku.

- Teraz śpij - powiedział.

Nigdy tego nie potrafiła. Ani razu nie udało jej się zasnąć przy Torstenie. Zawsze coś jej przeszkadzało - jego gorący oddech na jej ustach i smak tytoniu, jego ciągły niepokój, jej bolący kark. Ale to nie był Torsten, nic nie odbierało jej przyjemności. Poza tym była zmęczona jak cały dom starców razem wzięty. Zamknęła oczy i zasnęła. Zdążyła pomyśleć, że tak powinno być zawsze. Bez zbędnych ceregieli. Żona i dzieci Bo stały się w tym momencie tylko szczegółem.

Kiedy obudził ją samochód wjeżdżający na podjazd, nie była już jednak tego taka pewna. W pierwszym momencie pomyślała, że przywłaszczyła sobie coś, co nie należało do niej. Nie chodziło o to, że miała wyrzuty sumienia. Spanikowała raczej z powodu braku prawa własności...

Samochód zakręcił i zatrzymał się. Taki już widocznie był ich los, że zawsze przeszkadzano im w najmniej odpowiednim momencie.

- Udajemy, że nas nie ma - powiedział cicho Bo, gładząc jej włosy.

Wciąż leżeli. Twarz przy twarzy. Co ona zrobiła? Czy będzie umiała z

tego teraz zrezygnować? Zmusiła się, żeby wstać. Odsunęła myśli na bok. Skoncentrowała się na otwierających się drzwiach samochodu.

- Kto to może być?

- Może Davidsen szuka fotografa. - Bo roześmiał się.

- Przestań.

- Spodziewasz się gości?

Podkraśla się do okna. Bo zaciągnął wcześniej zasłony. Odsłoniła i wyjrzała.

- Fuck

- Kto to?

Majtki. Gdzie są jej majtki? I cała reszta. Co za bajzel!

- Rose i jej chłopak, jak sędzę. Wstawaj! Rzuciła go spodniami w głowę. Zanurkował pod kołdrę.

- Ruszaj się! Co za wstyd! Pomóż mi! Ona mnie zabije!

Jego śmiech stłumiło półtora kilo puchu i para levi-sów, które na pewno pamiętały lepsze czasy.

- Cześć, mamó! Bo...?

Reszta zdania zawisła w powietrzu, ale Dicte dobrze widziała jej wzrok, który taksował ich w błyskawicznym tempie. Rose wyciągała wnioski, nie była przecież głupia. Dicte odruchowo przygładziła swoje włosy. Spocone dłonie wytarła w spodnie.

-A już myślałam, że dostałaś nowy samochód - powiedziała Rose i wskazała ręką w stronę młodzieńca, który wyglądał trochę zbyt poprawnie. Krótkie włosy, prosta postawa. Spokojne spojrzenie. - To jest Jan. Byliśmy w Bilce.

- Jak romantycznie - powiedział cicho Bo.

Dicte posłała mu spojrzenie bazyliuszka, więc schylił się i przywołał do siebie psa.

Jan uprzejmie wyciągnął rękę w jej stronę. Ukłonił się lekko.

- Jan Moller.

- Komornik - wyrwało się jej. Bo schylił się jeszcze bardziej w stronę psa. Po ruchu jego pleców poznała, że się śmiał.

- Audytor, mamó - powiedziała Rose ostrzegawczo. - Przecież ci mówiłam.

- Oczywiście, kochanie, przepraszam.

Ledwo udało im się zdążyć. Wybiegli z sypialni w momencie, gdy Rose i Jan weszli do domu.

-Usiądźcie. Zaraz zrobię kawę. - Dicte wskazała kanapę.

Rose spojrzała pytająco na Jana. Chłopak przeprosił.

- Innym razem, mam jeszcze trochę lekcji. Chciałem tylko odwiedzić Rose do domu.

Miała ochotę potrząsnąć nim i zapytać, co jest ważniejsze: jej córka czy jakieś głupie lekcje? Ale Rose patrzyła na niego z podziwem w swoich niezwykle niebieskich oczach i powiedziała ciepło:

- Odprowadzę cię.

Jan pożegnał się. Z przedpokoju dobiegły ich odgłosy czułego pożegnania i Dicte musiała złapać Bo za rękaw, żeby nie wybiec i na nich nie nawrzeszczyć. Co ten szczeniak sobie wyobraża? Że będzie tu przychodził i obmacywał jej córkę?

- Ja też muszę iść - powiedział Bo i szybko ją pocałował.

- Mission accomplished? -Hmm...

- Wydawało mi się, że jesteś w pracy - powiedziała Rose niewinnie,

gdy były już same.

Praca? Co to takiego? Jakieś miasto w Rosji? Ulica w Nowym Jorku? Powoli mózg znowu zaczynał działać i przejmować kontrolę nad ciałem. Spojrzała na zegarek. Zostało pół godziny do deadline'u. O co chodziło Kaiserowi? Coś z tekstem na pierwszej stronie.

- Zwolniłam się wcześniej. Poczula, jak Rose ją obejmuje.

-Na pewno jest ci ciężko przez sprawę z Idą Marie - powiedziała cicho jej córka. - To dobrze, że Bo się tobą opiekuje, ale ostrożnie, mamó. On jest przecież żonaty, tak?

Jak dorosła mogła być szesnastolatka? Uścisnęła córkę z nadzieją, że dzięki perfumom nie wyczuje zapachu seksu. Chciała powiedzieć coś miłego o Janie.

- Skoro już wspomniałaś o pracy, to właściwie muszę coś zrobić - odparła zamiast tego. Uwolniła się z objęć i pobiegła na górę do gabinetu.

To miał być tekst na pierwszej stronie? Znalazła artykuł o uprowadzeniu Martina. Przeczytała go i nie mogła sobie przypomnieć, które fragmenty pisała, sama będąc pod wpływem szoku. Wydrukowała i zaczęła pisać krótszą wersję.

Zajęło jej to więcej czasu, niż się spodziewała. Słowa nie przychodziły. Ciało odzywało się i przypominało o tym, co się stało, a myśli wirowały w głowie. Gdy w końcu nacisnęła na ikonę „wyślij”, było dziesięć minut po czasie. Westchnęła. Odsunęła krzesło i wpatrywała się w ekran.

Postanowiła sprawdzić porAnne artykuły i zobaczyć, jakie to dzieła sztuki wypocił dziś Davidsen.

O mały włos nie spadła z krzesła, gdy zobaczyła jasnozieloną rubrykę z jego artykułem: „Chusta znaleziona przy rzece. Środowisko imigrantów

wrze".

26

- Chcę do domu - wyszeptała błagalnym tonem Ida Marie.

- Jesteś pewna? Nie sądzisz, że powinnaś tu jeszcze trochę zostać?

Theis spanikował. Nie dziwiła mu się. Jej umysł nie mógł pojąć czegokolwiek innego niż to, że Martina nie było. Rozumiała, że Theisowi i tak nie jest lekko. A teraz jeszcze będzie siedziała w domu, otumaniona lekami. Najwyraźniej nie wiedział, co powinien dalej robić i czym się zająć, a ona nie mogła mu pomóc. Zastanawiała się, czy można umrzeć z tęsknoty i rozpacz? Czy można rozpaść się na kawałki i nadal żyć?

Rozejrzała się. Patrzyła na białe szpitalne ściany, które zamykały się wokół niej jak więzienna cela, na trawę i drzewa za oknem. Przed chwilą padał deszcz. Poczowała tęsknotę za powietrzem i zapachem mokrej ziemi. Pomyślała, że jeśli nie chce zwariować, musi skupić się na tym, co jest na zewnątrz, nie dać się pochłonać myślom. Trzymać się nadziei. Odwróciła się i zaczęła wrzucać swoje rzeczy do różnych torebek. Wcisnęła mu do rąk dziecięcy kocyk i położyła na nim misia.

- Ida Marie - powiedział to tak, jakby nie był pewny jej imienia i tożsamości. Podszedł. Położył rękę na jej ramieniu, jakby chciał ją zatrzymać. - Powinnaś chociaż porozmawiać z lekarzem albo położną.

Popatrzyła na niego. Poczowała gniew, on niczego nie rozumie. Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że jest niesprawiedliwa.

- Ani lekarz, ani położna nie może zwrócić mi mojego dziecka - powiedziała oschle.

Przez chwilę stał cicho, jakby go uderzyła. Ścisnął w rękach rzeczy, które trzymał.

- Naszego dziecka - poprawił ją cicho. - Martin jest też mój, nie zapominaj o tym, kochanie.

O Boże. Jak długo będzie go karać, za to, że go przy niej nie było? Za to, że nie nosił go przez dziewięć miesięcy? I za to, że znalazła ten cholerny rachunek, o którym i tak nie ma odwagi powiedzieć, żeby się wszystko nie rozpadło? W końcu mają tylko siebie.

- Oczywiście, przepraszam - powiedziała cicho, bez cienia skruchy.

Pakowała się dalej. Przebrała się w swoje ciuchy. Dość dziwne, ale zatekniła za brzuchem. Nieobecność Martina piekła ją głęboko w środku.

- Czy nie powinnaś przynajmniej komuś o tym powiedzieć? - zapytał, próbując dotrzymać jej kroku, gdy ruszyła długim korytarzem.

Dwie świeżo upieczone mamy spacerowały ze swoimi wysokimi łóžeczkami, rozmawiając wesoło. Gdy ich zobaczyły, ucichły konspiracyjnie. Sprawiały wrażenie, jakby czuły się winne. Tak właśnie teraz będą mnie traktować - pomyślała Ida Marie. - Jakbym była trędowata.

- Sami się domyślą- odparła.

- A Anne?

Właśnie, Anne. Co z nią? Zatrzymała się. Miał rację, ale czy na pewno miała wobec niej jakieś zobowiązania? Czy przypadkiem nie było na odwrót? Czy to nie Anne była jej coś winna? Na przykład przeprosiny za to, że zapewniała, że oddział jest bezpieczny. Za to, że uspokajała ją, mimo

że nie miała na to żadnego dowodu. Anne, która sama miała Jacoba, którego mogła ochraniać i prowadzić przez życie. Nagły i niegodziwy atak zazdrości chwycił Idę Marie za gardło. Poczowała, że cieknie po niej pot. Musiała wyjść.

-Anne może poczekać. Zadzwonię do niej.

Wyszli na dwór. Powietrze poranka było słodkie i ostre. Jesienne. Stała przez moment. Oddychała głęboko. To było takie dziwne, że świat wciąż istniał, że liście spadały z drzew jakby nigdy nic, a trawa była mokra od deszczu. Szare ciężkie chmury znikwały, a na horyzoncie pojawiło się jasnoniebieskie niebo. I pomyśleć, że na zewnątrz nic się nie zmieniło, podczas gdy ona w środku była martwa. Nigdy w życiu nie przeżyła czegoś dziwniejszego. Podniosła torbę.

- Przyrowadzisz samochód?

Popatrzył na nią tak, jakby chciał coś powiedzieć. Namówić ją, żeby została jeszcze na trochę. W końcu kiwnął jednak głową i poszedł w stronę parkingu. Człapiący w deszczu mężczyzna w granatowym pomiętym garniturze z jasnoniebieskim kocykiem i misiem w ramionach.

Późnym popołudniem zadzwonili ze szpitala. Anne była zrozpaczona, ale Ida Marie nie mogła się zmusić, żeby z nią porozmawiać. Nie potrafiła zdjąć z niej poczucia winy. I wcale nie chciała. Gdy uprowadzono czyjeś dziecko, trzeba mieć kogoś, na kogo można było być złym. Kogoś, kogo można chociaż trochę obwiniać.

-A co z policją? - zapytał Theis, który zrzucił winę na funkcjonariuszy.

- Za co, do cholery, płacimy w końcu te podatki? Mogą wystawiać miliony mandatów za przekroczenie prędkości i złe parkowanie, ale czy ktoś tam choć kiwnie palcem, kiedy zginie dziecko?

Chodził w tę i z powrotem po wybejcowanej podłodze w swoich drogich butach firmy Bally, z rozwiązanym krawatem, potarganymi włosami i, co robił zawsze, gdy był zdenerwowany, bez przerwy nawijał na palec kosmyk grzywki. Dopiero teraz do niej dotarło, że robił to od wielu godzin. Jego spojrzenie było twarde, ale z wewnątrz przebijała rozpacz. Chciała go pocieszyć i jednocześnie nie mogła.

W domu nie jest o wiele lepiej - pomyślała, wstawiając wodę na herbatę. W głębi duszy tego się spodziewała. Teraz będą chodzić po domu i denerwować siebie nawzajem albo płakać każdy w swoim kącie. Będą nienawidzić jeden drugiego, samych siebie i wszystkich innych. Emocje, które aż wibrowały, tu na Samsogade, nigdy nie będą miały końca. Skrzywdzeni rodzice zabiorą swoje więzienie, dokądkolwiek pójdą.

Gdy woda zaczęła się gotować, stała i gapiała się na obłok pary. Nie mogła się ruszyć, ale umysł pracował na najwyższych obrotach.

- Gotuje się - powiedział Theis spod okna, gdzie w końcu znalazł spokój i stał z rękoma w kieszeniach.

Para nadal wznosiła się i kłębiła pod wyciągiem, który Ida Marie zapomniała włączyć. Obłok przybrał formę małej pierzyny... konturu... twarzy... I nagle zrozumiała, kogo może poprosić o radę. Kto być może będzie wiedział, jak jej pomóc. Podjęła decyzję, wlewając wodę do dzbanka z herbatą.

- Dokąd idziesz?

- Na dwór.

Stała w swetrze w przedpokoju i zdejmowała kurtkę z wieszaka.

Wypili herbatę w ciszy. Znalazła trochę

ciasteczek i jedynym dźwiękiem w pokoju było chrupanie, gdy któreś

z nich brało wypiek do ust. Przejechał dłonią po włosach. Patrzył na nią.

- Dopiero urodziłaś - powiedział w końcu. - Nie sądzisz, że powinnaś na siebie uważać?

Chciała zapytać go, po co, do licha, miałyby to robić. Żeby móc się nim zajmować, prać jego ubrania i znajdować niemieckie rachunki w jego kieszeniach? Żeby wyglądali na idealną parę, mimo że ich świat rozpadł się na kawałki?

- Niedługo wrócę - obiecała. Otworzyła drzwi i z trudem schodziła ze schodów, kiedy ją dogonił.

- Przecież nie pozwolę ci tak pójść. Zabierz mnie ze sobą.

Dokądkolwiek idziesz - prosił.

- To nie dla ciebie. - Pokręciła głową.

- Spróbuję - nie ustępował Theis.

Teraz był w dodatku uparty. Znała go bardzo dobrze. Prawie na wylot. Nie robił tego, dlatego, że to coś dla niego znaczyło. W rzeczywistości było mu wszystko jedno, dokąd szła, ale gdy do głosu dochodził jego upór, nie odpuszczał tak łatwo.

Westchnęła. Czowała ciężar w dole brzucha. Może jednak lepiej będzie, jak z nią pójdzie?

- No to weź kurtkę - zarządziła.

-I co? Powiesz mi w końcu, dokąd się wybieramy, czy mam zgadywać? - zapytywał, gdy dyrygowała nim, kiedy jechali przez Silkeborg i City Vest.

Pomału wyrastał przed nimi ciemnoszary beton Gjellerup. Grupa młodych imigrantów szła powoli przy ulicy, popychając się. Dwóch z nich, zeskakując z chodnika, prawie wpadło pod samochód. Theis zahamował.

- Co za idioci! - powiedział pod nosem i zatrąbił.

Chłopacy roześmiali się i kontynuowali zabawę. Ida Marie widziała w bocznym lusterku, że, dla porządku, pokazali im jeszcze odpowiedni palec.

- Tu, w prawo.

Włączył kierunkowskaz i skręcił. Widziała pot na jego czole.

- Nigdy tu jeszcze nie byłem.

- W końcu musi być ten pierwszy raz. W lewo. Pokręcił głową z wyraźnym niezadowoleniem, ale posłuchał.

-To jest coraz dziwniejsze. Co my tutaj robimy? Nie powiesz mi chyba, że masz tu rodzinę? Jakąś starą zapomnianą ciotkę, czy coś w tym stylu?

- Możemy tu zaparkować. - Wskazała miejsce.

- Dobrze, że mamy alarm.

- Zamknij się w końcu, Theis.

Popatrzył na nią wzrokiem wyrażającym tysiące słów, ale nic nie powiedział. Otworzył drzwi, wysiadł i był tak uprzejmy, że otworzył też i jej. Potem zamknął samochód i włączył alarm.

- Przepraszam.

W dalszym ciągu nic nie mówił. Wzięła go za rękę i poprowadziła przez podwórze, aż do wejścia. W drodze popatrzyła na okna.

Najwidoczniej w Turcji, czy w kraju skąd pochodziła większość tutejszych mieszkańców, nikt nie słyszał o firankach. Na wielu oknach prowizorycznie zaczepiono prześcieradła albo koce. Tylko w paru miejscach - odgadła, że tam, gdzie mieszkali Duńczycy - zawieszono prawdziwe zasłony. Czy raczej to, co w tym kraju rozumiało się pod tym pojęciem, poprawiła się. Poprawność polityczna. Chyba miała o niej jakieś

pojęcie.

Przywołali windę. Na ścianie widniał czerwony napis po duńsku: „Allah jest wielki”. Pod spodem ktoś dopisał: „Rozmiar się nie liczy”. Czekali chwilę przed drzwiami na czwartym piętrze. Theis wyraźnie uspokoił się na widok duńskiego nazwiska na wizytówce.

Ida Marie zadzwoniła. Minęło pół minuty, zanim drzwi otworzyła kobieta, która, kichając, podała Idzie Marie małą dziewczynkę.

-Mogłabyś ją potrzymać? - Znów kichnięcie.

- Wejdźcie, proszę. - Wyjęła z kieszeni chustkę i głośno wydmuchała nos. - Nigdy się tego nie pozbędę. To pewnie alergia.

Theis stał sztywno w wejściu. Ida Marie skinęła w jego kierunku głową, więc wszedł do jasnego przedpokoju i dalej w głąb mieszkania.

HAnne Guldborg doszła do siebie i z powrotem wzięła dziecko na rękę.

- Właściwie to na was czekałam - powiedziała. -Herbata już gotowa.

- Co to, do jasnej cholery, ma być? - Dicte nie mogła opanować furii.

Telewizor stojący w rogu odbierał program „Larry King Live” na CNN. Davidsen siedział z telefonem wciśniętym między ramieniem a brodą. Przekręcił fotel i spojrzał na nią z udawanym zaskoczeniem. Położył palec na ustach, żeby ją uciszyć.

- Tak, jeszcze tu jestem - powiedział do słuchawki.

- Chyba coś przerywa.

- Coś przerywa? Ty dupku!

Rzuciła na jego biurko gazetę. Na pierwszej stronie umieszczone było zdjęcie grupy rozwścieczonych imigrantów, którzy szli w stronę aparatu z zaciśniętymi pięściami. Na ekranie w rogu pokoju Larry King nachylał się, ubrany w swoje szelki, do jakiejś blond piękności i zadawał jej pytanie.

- Kto zatwierdził ten artykuł? - ciągnęła Dicte, nie zważając na nic.

Davidsen jeszcze raz przeprosił swojego telefonicznego rozmówcę i zakrył ręką słuchawkę.

- Możesz poczekać? Właśnie rozmawiam - zwrócił się do dziennikarki.

- To przycisz telewizor - powiedziała kwaśno. Coś jednak sprawiło, że zmienił zdanie.

- Zadzwoń za dwie minuty - przeprosił rozmówcę. Don 't go away - powiedział Larry King, bo właśnie zaczynał się blok reklamowy.

- Don 't go away - powiedział śmiało Davidsen do słuchawki, zanim ją odłożył.

Przewróciła oczami na tę jego pomysłowość. Przystawiła mu artykuł pod nos.

- Czy Kaiser to czytał?

Davidson wyglądał na zirytowanego.

- Oczywiście, że tak. Nie mógł zresztą zrozumieć, dlaczego sama tego nie napisałaś, ale ty nagle zniknęłaś - dodał przebiegle.

Było coraz gorzej. Czy to jakaś zmowa? Spisek, bo podeszła do sprawy w inny sposób? Bo nie miała swoich kontaktów i informatorów w przestępczym świecie ani nawet w policji? Albo po prostu dlatego, że była nowa, była kobietą i w dodatku dobrze się spisała? W to ostatnie nie chciało jej się wierzyć. Czy świat pomału nie wyrósł już z takiej drobiazgowości?

- Skąd to wytrzasnąłaś? Patrzył na nią z odrazą.

- Tylko nie próbuj mi wmawiać, że to nie jest prawda, Sherlocku. Mam swoje źródła i albo są lepiej poinformowane od twoich, albo zataiłaś prawdę.

Miała ochotę złapać go za fraki i potrząsnąć a następnie roztrzaskać jego chude jak szczapa, aseksualne ciało.

- Zataiłaś prawdę - prychnęła. - Czy masz w ogóle pojęcie, co narobiłaś? Możesz wywołać rozruchy w całym mieście. Ale co tam, przynajmniej będziesz miał o czym pisać - dodała złośliwie. - Zamieszki w City Vest. Tysiące telefonów od Duńczyków, którzy uważają że wszystkich muzułmanów trzeba wyrzucić z kraju. Groźby przemocy na tle rasowym i straszenie nadchodzącym nowym 11 września.

Davidson popatrzył na nią i pokręcił głową.

- Jesteś niemożliwa. Pewnie, osłaniajmy ich, nawet poświęcając prawdę.

Musiała odwrócić się do niego plecami, żeby nie uderzyć go w twarz.

- Przecież to właśnie ty pracowałaś nad sprawami kryminalnymi -

powiedziała, starając się zachować spokój, gdy znów się do niego odwróciła. - Więc chyba dobrze wiesz, że policja nie może czasem ujawniać niektórych informacji dla dobra śledztwa. To przecież, do cholery, całkiem normalne.

Wstał. Przekradł się do stołu i nalał sobie filiżankę kawy. Byli sami. Cecilie udało się, jak wynikało z grafika, na mistrzostwa jakiegoś niezrozumiałego sportu walki. Co będzie następane? Zawody w robieniu zakupów?

Śledziła Davidsena wzrokiem, gdy wracał na swój fotel z filiżanką. Gdyby miała granat, wyjęłaby zawleczkę i wcisnęła pod jego biurko.

- Skoro policja nie chciała ujawniać tych informacji, to jak to się stało, że ty o tym wiesz? - zapytał. - Chyba nie umówiłaś się z nimi, że będziesz oszukiwać czytelników?

To było bez sensu. Do niczego w ten sposób nie dojdą. Poza tym była zła, bo musiała przyznać (oczywiście nie przed nim, ale przed sobą), że częściowo miał rację. Trudno było zataić przed czytelnikami posiadaną wiedzę, gdy było się dziennikarzem. Nawet jeśli robiło się to w dobrej wierze. To mogło szybko obrócić się przeciwko niej - wrócić i uderzyć jak bumerang. Dlaczego właściwie zgodziła się, żeby nie ujawniać tej historii? Zastanawiała się nad tym, przewracając jakieś papiery na swoim biurku i szukając odpowiedzi.

- Po prostu denerwowało mnie to - powiedziała cicho, właściwie do siebie. - Benzyna, stos i cała reszta...

Nic nie odpowiedział. Przez moment patrzył na nią po czym sięgnął po telefon i wybrał jakiś numer. Lar-ry King wrócił po reklamach na ekran ze swoimi czerwonymi szelkami i blondynką. Zadzwoił jej telefon.

Poczekala chwilę. Miała nadzieję, że może aparat się zepsuje, zanim spadnie na nią więcej nieszczęść. Ale sygnał nie ustępował, więc poddała się i wstrzymała oddech.

- Wydawało mi się, że mieliśmy umowę - powiedział John Wagner i słyszała w jego głosie, że ma już dość życia, a szczególnie jej.

Ten dzień nie należał do najszczęśliwszych. A miała na to taką nadzieję. Liczyła choć na odrobinę szczęścia, na tyle ile można czuć, kiedy ktoś porwał dziecko przyjaciółki. Szczęście. Delektowała się tym słowem, kiedy już wróciła do domu o piątej. Może szczęście było to trochę za dużo powiedziane, ale chociaż radość. Mogła przecież być radosna. Miała się z czego cieszyć, mimo tych wszystkich wydarzeń. Uczucie ciepła w dole brzucha (po spotkaniu z Bo) dawało jej radość. Szukała go.

Właściwie nie liczyła na nic więcej. Mały romans, to było jej potrzebne. Tylko seks. Może w końcu nabierze dystansu, tak koniecznego po rozwodzie. Nie było jej potrzebne pakowanie się w nowe kłopoty.

Efektem rozmowy z Wagnerem była wizyta na komendzie. Osobiście go przeprosiła i wyjaśniła, co się stało. Face to face, jak to się teraz mówi.

-A więc, mówiąc pięknym językiem, zrobili cię w konia -
zawyrokował Wagner,

- To nie ja jestem naczelnym - próbowała się bronić Dicte.

Przez moment przyglądał się jej badawczo. W końcu wzruszył ramionami, jakby miał już dość tej sprawy.

-To po prostu wszystko trochę skomplikuje, ale jakoś sobie poradzimy.
Zresztą najpilniejsza jest teraz sprawa Martina.

Siedzieli chwilę w ciszy.

- Coś nowego? - zapytała. Pokręcił z rezygnacją głową.

- Oprócz kompletu niezidentyfikowanych odcisków palców na łóžeczku - nie. Możesz opowiedzieć mi trochę o swojej przyjaciółce?

- Idzie Marie? To raczej Anne jest teraz jej najbliższą przyjaciółką. Co chciałbyś wiedzieć?

Wydawało jej się, że formułował to zdanie wiele razy, zanim je w końcu powiedział na głos. Pochylił się w jej stronę i złapał jej spojrzenie. Zauważyła, że pojawiło się w nim coś nowego, co wyrastało ponad profesjonalizm. Chyba jakieś ciepło. Zastanawiała się przez chwilę, jakim człowiekiem był w życiu prywatnym.

- Czy sądzisz, że jest szczęśliwa? Mam na myśli jej męża - zapytał.

Czy podejrzewał Theisa o uprowadzenie własnego dziecka i pozbycie się go? A może miał jakiś inny powód? Nie odpowiedziała od razu. I nie tak przekonywująco, jak zamierzała.

- Tak mi się wydaje. Ida Marie uznała, że będzie zadowolona, że będzie im razem dobrze.

- Więc nie jest - podsumował i pokiwał głową z namysłem.

Znowu się pojawiło - pomyślała Dicte, stojąc w godzinach szczytu w korku przy rondzie na Randersvej. Szczęście. Może to słowo było zbyt ambitne. Nie pasowało za bardzo do dzisiejszych czasów. Nie pasowało też do przeszłości, a przynajmniej nie jej. Każdy był sumą tego, co ze sobą niósł. Mieszaniny radości i żalu. Tego, co sprawiało, że robiło się to, co się robiło, że było się z facetem takim jak Theis lub romansowało się z młodszym żonatym mężczyzną, wiedząc, że i tak nic z tego nie będzie. Że zostawiało się swoje dziecko w rzece czy porywało dziecko innej kobiety. To wszystko było w środku, jak wypalony w mózgu kod kreskowy. I nie wszystko było równie piękne. Nie wszystko szczęśliwe.

Może właśnie dlatego nie ujawniłam informacji o chuście - pomyślała, dodając gazu, gdy samochody w korku zaczęły ruszać. To chyba trochę zbyt proste uważać, że należała do kogoś z nich. Obcych. Jakby mieli patent na barbarzyńskie zachowania, działanie w afekcie i rozpacz. Jakby jako jedyni mogli stać przed wyborem, czy stracić siebie i zadowolić innych, czy pozostać sobą i doznać wykluczenia. To była iluzja. Dicie była ostatnią osobą, która chciała bronić aranżowane małżeństwa i średniowieczne wyobrażenie o tym, że ciąża bez ślubu była śmiertelną hańbą. Ale one istniały. Także wśród ludzi, których nikt na pierwszy rzut oka nie nazwałby obcymi. A oni byli wszędzie. Ukrywali się w normalnych rodzinach, w domkach jednorodzinnych i zwyczajnych zawodach. Ci, którzy czuli, że są wybrani.

Dzisiaj mogę być szczęśliwa - pomyślała, skręcając w ulicę Softenvejen. Miała piękne wspomnienia. Ciało Bo, dźwięki, zapachy i uczucie, że czas nie istnieje. Zamiast tego czuła tęsknotę i dochodzące do głosu tłumione uczucia, wywołujące mętlik w głowie. Co ona robi? Czego właściwie chce?

Gdy weszła do domu, poczuła zapach pizzy i została przywitana przez Svendsena. Rose wyszła do przedpokoju w fartuszkach i z wypiekami na twarzy.

- Cześć, mamo. Ściągaj buty, chodź i rozgość się. Weszła do środka. Pociągnęła nosem.

- Mmm, skarbie, po prostu uratowałaś mi życie - powiedziała i poczuła, że wezbrało w niej szczęście.

- Co słyszeć w szkole?

Może powinna zapytać, co słyszeć u Jana, ale te słowa nie chciały

przejsć jej przez gardło.

- W porządku.

Rose odcięła od swojego kawałka pizzy brzeg i niemal automatycznie położyła go na talerzu Dicte. Tak było prawie od zawsze. Rose nie lubiła twardego brzegu pizzy i dołu bułki.

- Dobrze mieć matkę, w którą można wrzucać wszystko jak do śmietnika, co?

- Mogłam też dać to psu, ale ty masz prawo pierwokupu.

Dicte zmiażdżyła brzeg pizzy zębami.

- Czuję się zaszczycona.

-Wszystko w porządku, mam. Mam na myśli szkołę.

- No problems.

- Przynajmniej nie dla mnie. - Rose wzruszyła ramionami.

- A dla kogo? - Dicte uniosła brwi.

Rose wzięła ostatni łyk wody i odsunęła krzesło. Dicte miała prawo do dwóch kieliszków wina i sprytnie wyciągnęła z szafki ten najbardziej pojemny. Wypiłam już połowę swojej racji - zauważyła niezadowolona, jeszcze raz nalewając do pełna.

- Jest u mnie w klasie taka dziewczyna - powiedziała Rose, odwracając się plecami i opłukując swój talerz. - Chyba ma jakieś problemy w domu. Prawie nigdy jej nie ma, a kiedy w końcu przychodzi, wygląda jak rakietka gotowa do strzału.

-Rakietka gotowa do strzału? - powtórzyła Dicte i pomyślała o wibratorze. Rose obróciła się.

- Jest taka zdenerwowana.

- Rozmawiałś z nią? Może potrafisz jej pomóc. Rose wytarła ręce w

ręcznik, który wisiał na starym kaloryferze. Poprzedni właściciel domu musiał widocznie mieć problemy z kręgosłupem.

- Mogę spróbować. - Nagle jej twarz rozpromieniła się. - Nie widziałas przecież, co kupiłam wczoraj w Bil-ce, a właściwie to dostałam w prezencie od Jana - poprawiła się i zarumieniła.

Dicte słyszała w głowie głos Bo: „W Bilce. Jak romantycznie”, ale Rose wyglądała na taką szczęśliwą, że nie miała serca powiedzieć tego na głos.

-No to pokazuj!

Posprzątały wszystko i Rose znikła na górze w swoim pokoju, żeby za chwilę wrócić w podskokach, owinięta cienkim jasnoszarym szalem.

- Są teraz przecenione. To oczywiście nie jest prawdziwa wełna - powiedziała Rose i okręciła się. - Ale jest po prostu super?

- Śliczny. Mogę zobaczyć?

Dicte wzięła róg chustki między palce. Znalazła metkę i obróciła ją, żeby móc się dokładnie przyjrzeć. Jak na wielu innych rzeczach w dzisiejszych czasach było tam napisane „Made in Pakistan. 100% wool”.

- Dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć koron - powiedziała oszczędna Rose, która na pewno nie odziedziczyła tej cechy ani po mamie, ani po tacie. Znowu listonosz...

- Potrzebujesz ją na jutro?

Rose spojrzała na nią podejrzliwie.

- Masz przecież swoją w dodatku droższą.

Dicte nie mogła powstrzymać uśmiechu. Nie na myśl o Rose, tylko o minie Davidsena, kiedy zobaczy, że jego muzułmański czarczaf jest przecenionym szalem z Bilki.

- Wiem. Ale innego koloru.

Rose zastanawiała się przez chwilę. Potem kiwnęła łaskawie głową.

-Ale obiecaj, że będziesz jej pilnować.

- Jak oka w głowie! - Dicte przejechała ręką po miękkim materiale.

28

Ida Marie spojrzała na zegarek, siedząc w samochodzie. Wskazówki świeciły w ciemności i pokazywały równo 00.30. Zgasiła silnik i wysiadła. Stała przez chwilę przed domem numer 4. Głęboko oddychała.

Miała nadzieję, że Theis jeszcze śpi. Musiała wykraść się z domu. Udawać, że to, co powiedziała HAnne

Guldborg, nie zrobiło na niej żadnego wrażenia. Dokładnie tak jak na nim. Nie miała odwagi zaproponować mu, żeby powiadomili o tym policję. Zachowywała się, jakby nic się nie stało. Jakby wszystko miało się jakoś ułożyć.

Dopiero po tym, jak przez wiele godzin chodził po pokoju, udało jej się namówić go na tabletkę uspokajającą. Przywiozła ich ze szpitala całe stopy. Na początku nie chciał, ale przekonała go, mówiąc, że musi być wypoczęty i mieć jasny umysł, a to nie jest możliwe, jeśli się nie śpi. Udała, że sama też wzięła jedną. Położyła się obok niego i czekała, aż zaśnie. Gdy zaczął pochrapywać, wstała, ubrała się, wzięła kluczyki od samochodu i opuściła mieszkanie.

Przez chwilę opierała się o samochód, szukając w ciemnościach

jasnych płytek na ścieżce, która prowadziła przez ogródek do drzwi frontowych. Od porodu jej ciało tęskniło za Martinem, a jednocześnie potrzebowało spokoju i odpoczynku. Mleko samo zaczęło wypływać, a piersi bardzo bolały. Wiedziała, że jej kolana mogły zmięknąć dosłownie w każdej chwili, w jednej sekundzie, w mgnieniu oka.

Czuła pod ręką zimno dachu. Wiał lekki wiatr, który wdzierał się pod kurtkę; chłodny podmuch owiał jej podbrzusze. Powstrzymywała ziąb. Próbowwała ignorować fale bólu. Wróciła myślami do spotkania z HAnne Guldborg, jednocześnie obserwując cienie w ogrodzie, wdychając jego zapach i zbierając odwagę. Skupiła wzrok na jedynym świetle, które było włączone w domu. Pewnie w pokoju. Może oglądał telewizor. Może zasnął. Był bardzo zajęтым człowiekiem z dużymi problemami, które rozwiązywał dla innych, również dla niej. Jednak to ona cierpiała. To ona tęskniła aż do bólu. Od tego nie mógł jej uwolnić ani on, ani wróżka.

HAnne Guldborg wszystko rozumiała. Rzuciła na nią jedno spojrzenie i już wiedziała, co robić. Po cichu zaprowadziła ich ze swoją córką do pokoju, gdzie w termosie przygotowana była gorąca herbata, a na stole stały filiżanki. Ida Marie nie zapytała, skąd wróżka wiedziała, że przyjdą we dwoje. Skąd wiedziała, że w ogóle przyjdą. Mimo to, gdy usiedli na kanapie, odpowiedziała na to niewypowiedziane pytanie.

- Gdy usłyszałam o tym w telewizji, wiedziałam, że przyjdziecie - powiedziała, nalewając herbatę do filiżanek. - Uwierzcie mi. Nie wiedziałam o tym tamtego dnia.

-Jakiego dnia? - zapytał Theis. Wyglądał, jakby siedział na pinezkach.

HAnne Guldborg spojrzała na Idę Marie, która wytłumaczyła:

- Byłam tu z dziewczynami z pracy. W wieczór paniński Merete.

HAnne umie przewidywać przyszłość.

- Co, do cholery? - Opadł na poduszki i nerwowo pocierał dłońmi twarz. - Kochanie, coś ty, do diabła, wymyśliła? - Wstał i westchnął, a w całej jego postawie widoczna była rezygnacja. - Chodź. Jedziemy do domu.

Ale ona nie ruszyła się z miejsca. Nawet gdy pochylił się nad nią i chciał ją podnieść.

- Usiądź, Theis.

Skutek odniosły nie słowa, ale ton. Zwykle nie odnosiła się w ten sposób do Theisa, ale ostatnio w szpitalu kilkakrotnie podniosła na niego głos. Może się zmieniła. Nie była już całkiem sobą. W każdym razie usiadł i wyglądał na osłupiałego.

- Nie do końca rozumiem - powiedział i pokręcił głową, patrząc na wróżkę. - Co to niby ma być? Czary?

Ida Marie zignorowała go.

- Powiedziałaś wtedy, że się jeszcze spotkamy - zwróciła się do HAnne Guldberg. - Przypomniałam to sobie i pomyślałam, że jesteś naszą ostatnią nadzieją, że może ty będziesz potrafiła nam pomóc.

Wróżka odwróciła głowę i wysmarkała nos w chusteczkę higieniczną.

- Tego nie wiem - powiedziała, a Ida Marie, ku swojemu przerażeniu, usłyszała w jej głosie niepewność. - Nigdy wcześniej czegoś takiego nie próbowałam, więc jest to dla mnie nowość. Widzisz, są ludzie, którzy robią takie rzeczy regularnie. Jasnowidze. Ja nie jestem całkiem taka jak oni.

- Dajcie spokój. Może jeszcze mamy szukać takiego... - powiedział Theis - jasnowidza.

Ostatnie słowo zabrzmiało jak kpina.

- Rozumiem to, że jesteś sceptyczny. Bądź, ale pozwól mi tego spróbować.

Chciała dodać, że Martin jest przecież jej dzieckiem, ale w końcu tego nie powiedziała.

- Przynieśliście coś ze sobą? - zapytała HAnne Guldborg. - Coś, co należało do Martina.

Ida Marie wyczuła jej zdenerwowanie. Wróżka mówi prawdę - pomyślała. - To dla niej coś nowego. Odkrywa samą siebie. Swoje umiejętności, które sięgają głębiej, niż przypuszczała.

Ida Marie otworzyła torebkę i wyjęła bawełnianą pieluchę. Tę, której używała, gdy nosiła Martina na ramieniu, a teraz wmawiała sobie, że materiał wciąż jeszcze nim pachnie.

Podawała pieluszkę HAnne Guldborg, która wzięła tetę do ręki tak delikatnie, jakby mogła się rozpaść na kawałki. Dotykała pieluszki przez dłuższą chwilę. Zamknęła oczy i mówiła coś niewyraźnie do siebie. Nawet Theis milczał.

- Przez cały czas mam wrażenie, że twojemu dziecku nie stało się nic złego - powiedziała w końcu HAnne Guldborg. - Zakładam, że to jest dobra wiadomość. Trochę gorsza jest taka, że osoba, u której przebywa, znajduje się pod dużą presją i jest bardzo zdenerwowana.

- Czy ona chce go skrzywdzić? Czy zrealizuje swoje groźby?

Ida Marie nie rozpoznawała własnego głosu, który pod wpływem strachu bardzo się zmienił. Musiała jednak zadać to pytanie. Musiała wiedzieć, otrzymać jakąkolwiek informację, wszystko jedno, jaką. Minęły dwie doby, a ona czuła, że odchodzi od zmysłów. Gdy siedziała tam na

kanapie, meble zaczęły przybierać nieprawdopodobne kształty. Zmieniały się w żmije i jakieś cudaczne istoty. Wiedziała, że to przez zmęczenie. Dziwny wykańczający stan, spowodowany czekaniem ze wszystkimi zmysłami w pełnej gotowości, pracującymi na najwyższych obrotach.

HAnne Guldberg siedziała chwilę w ciszy i gładziła palcami miękką bawełnę. Potem podniosła ją na wysokość twarzy i przycisnęła do policzka.

- Nie jestem pewna, czy to jest kobieta - powiedziała - ale możliwe. Jeśli chodzi o to drugie, to niestety też nie jestem pewna. Nie wydaje mi się, żeby ta osoba chciała zrobić twojemu dziecku coś złego, ale mówi mi to tylko mój umysł, a nie przeczucie. Jeśli o to chodzi, niczego nie czuję.

Ida Marie poczuła zimny dreszcz.

-Ale teraz jest wszystko w porządku. On żyje?

- Jestem o tym niemal przekonana. - HAnne Guldberg skinęła głową, chociaż wcale nie wyglądała na pewną.

- Gdzie? - w głosie Theisa dało się wyczuć złość. - Więc gdzie on jest? Skoro wie pani, że żyje, to chyba, do cholery, wie pani też, gdzie jest?

HAnne Guldberg zamruwała, być może z powodu wrogości w jego głosie.

- Naprawdę chciałabym pomóc - powiedziała - ale jedyne, co czuję, to zapach. Nie wiem, czy to się może do czegoś przydać - zawahała się, ale po chwili kontynuowała. Każde słowo wymawiała powoli. - Widzę też coś, co przypomina lustro.

Theis wstał.

- Lustro - sztych. - To przecież na nic. I pewnie jeszcze kosztuje fortunę. Ile pani bierze, za takie hokus-pokus? - Wyciągnął z kieszeni

portfel i zaczął w nim czegoś szukać. - Może przyjmuje pani karty kredytowe?

- Theis, przestań! - krzyknęła Ida Marie. HAnne Guldborg spojrzała na niego.

- To nic nie kosztuje - powiedziała zdumiona. - Nie biorę pieniędzy za coś, czego nie jestem pewna.

Theis wyglądał na niezdecydowanego. Ida Marie pomyślała sobie, że to była jedyna rzecz, przed którą czuje respekt: gdy coś jest gratis.

- Mówiłaś coś o zapachu - powiedziała Ida Marie.

HAnne Guldborg rozejrzała się po pokoju. Zatrzymała wzrok na plakatach Arnoldiego, oprawionych w an-tyramy.

- Lustra - powiedziała cicho. - Z jakiegoś powodu jest tam bardzo dużo luster. I zapach, niezbyt przyjemny - zamknęła oczy, płatki nosa poruszały się lekko. - Wydaje mi się, że to zapach jakiegoś zwierzęcia, ale nie znam się na tym za bardzo. Jestem człowiekiem z miasta - powiedziała niemal przepaszającym tonem.

- Koń? Krowa? Prosiak? Pies? Kocie siki? - przyszedł z pomocą Theis.

- Nie potrafię powiedzieć. - HAnne Guldborg pokręciła głową.

Lodowaty podmuch wiatru przeniósł Idę Marie z powrotem do terażniejszości. Musiała się ruszyć. W przeciwnym wypadku upadnie tu, przy samochodzie. Szła małymi kroczkami. Wtedy poczuła, że jej ciało się sprzeciwia. Rozpoczęło strajk i grozi, że uczyni ją niezdolną do walki. Ścieżka wydawała się jej nieskończenie długa, więc zaczęła liczyć płytki. Jeden, dwa, trzy cztery... Wtedy usłyszała muzykę. Bardzo cicho, jak delikatną cudowną nić, która owijała się wokół niej. Wariacje Goldbergowskie Bacha - pomyślała i poczuła się, jakby ktoś położył pod

jej stopami miękką poduszkę, jakby płynęła w powietrzu.

Wpuść mnie - pomyślała i chciała przekształcić tę myśl w słowa, ale nie mogła. Nie teraz. Prawie cudem było to, że doszła do drzwi i zdołała się o nie oprzeć. Pochylić się do dzwonka, czekać i mieć nadzieję, że działa. Może on nie słyszał, może to przez muzykę.

29

Nagle pojawił się dźwięk, który mieszał się z innymi. Terkot. Dodatkowy głos w fudze, który do niej nie należał. Wagner odłożył nuty. Przejechał dłonią po policzku w kierunku brody. Drapał jak tarka. Potrzebował golenia. Potrzebował pielęgnacji. Potrzebował snu.

Ale muzyka była niezbędna po tym długim dniu. Uwalniała myśli. Dodawała sił. A co, jeśli... a co, jeśli porwanie Martina miało związek z pierwszym przestępstwem? Jeśli mały Mojżesz nie miał nic wspólnego z żadną młodą muzułmanką? Jeśli kartka z Koranu była tylko zmyłką? A co, jeśli... tak, jeśli co? Jego myśli zatoczyły koło. Muzyka grała, ale on nie śledził już nut. Znów tam był. Ten wcześniejszy dźwięk. Jak dzwonek.

Dzwonek do drzwi.

Spojrzał na zegarek. Była za piętnaście pierwsza w nocy. Musiało się coś stać. Przez matową szybę drzwi zobaczył sylwetkę. Ta osoba stała tak blisko drzwi, że będzie musiała wpaść prosto w ramiona Wagnera, gdy ten pociągnie za klamkę.

- Kto tam? - zapytał i wiedział, że zabrzmiało to surowo.

Doszedł go bardzo słaby dźwięk. Skarga. Cichy płacz.

- Uważaj, otwieram.

Sylwetka odsunęła się z trudem od szyby. Oparła o ścianę.

Ostrożnie otworzył.

Nie odezwała się. Stała nieruchomo i wyglądała, jakby w każdej chwili mogła się przewrócić. Potem zrobiła jeden krok i wpadła prosto w jego ramiona.

- To ty, skarbie... - wyszeptał to w jej włosy. Była taka bezradna.

Mocno objęła go za szyję.

- Pomóż mi - powiedziała szeptem. - Martin...

- Oczywiście - wymamrotał. - Trzymam cię. Chodź.

Ale nie weszła. Musiał się schylić i podnieść ją. Poczul się, jakby niósł syrenę, gdy jej długie jasne włosy spłynęły aż na podłogę, a ona leżała w jego ramionach z przymkniętymi oczami.

- Przepraszam - szeptała. - Późno...

To więcej, niż może znieść serce policjanta - pomyślał, kładąc ją na kanapie. Nie można wymagać od niego zbyt wiele. Pozwolić, żeby spadł w jego objęcia anioł i oczekiwać, że będzie tylko funkcjonariuszem, zapominając, że jest również mężczyzną.

- Ido Marie, spójrz na mnie.

Miała bardzo ciężkie powieki, ale przecież nie mogła tam leżeć. Nie całą noc. W końcu otworzyła z trudem oczy.

- Jesteś chora. Zadzwońię po karetkę.

Ale ona złapała jego rękę z niespodziewaną siłą.

- Nie jestem - wymamrotała. - Poczekaj. Siedział przez chwilę.

Przykrył ją kocem. Podłożył poduszkę pod jej głowę. Nie mógł się powstrzymać i wyciągnął rękę. Odsunął kosmyk włosów z jej czoła. Nie miała gorączki. Była lodowato zimna. Pogładził jej policzek i usta. Pod jego palcami jej wargi ułożyły się w słaby uśmiech. Zabrał rękę. Otworzyła szeroko oczy. Miała błękitne spojrzenie.

- Zrobisz mi herbatę?

Wyprostował się. Zadowolony, że w końcu chodziło o coś konkretnego. O coś, z czym mógł sobie poradzić.

- Herbata, a potem zawiozę cię przynajmniej na pogotowie.

Herbata działała cuda i dwadzieścia minut później Ida Marie siedziała na kanapie wyprostowana, owinięta kocem.

- Wierzysz we wróżki? - zapytała nieśmiało. Pokręcił głową.

- To w co wierzysz?

Chciał powiedzieć, że w miłość, ale nie miał odwagi. Nie miał odwagi nawet w to uwierzyć.

- Tylko w takie nudne rzeczy jak fakty - powiedział. - Dowody, dokumenty.

- Ale w instynkt chyba też? Nie masz czegoś takiego, będąc policjantem?

Wpadł w pułapkę.

- Oczywiście, instynkt jest bardzo ważny. Uśmiechnęła się lekko. Podniosła kubek do ust tak, że widział tylko jej oczy. One też się śmiały znad brzegu kubka. Zmieniły się w małe szparki.

- A muzyka? Co dla ciebie znaczy? Zastanowił się. Próbował dobrać słowa.

- Muzyka jest jak wiara. Wydaje mi się, że nie mógłbym bez niej żyć.

Przytaknęła, jakby właśnie potwierdził jakąś tezę.

- Więc widzisz, jesteś złożonym człowiekiem. Nie wierzysz wyłącznie w dowody i suche fakty. Liczą się także dla ciebie impulsy, instynkt, przeczucia.

Przytaknął. Trochę mimowolnie.

- To chyba dotyczy wszystkich. Do czego zmierzasz? Siedział obok, przysunęła się do niego. Wzięła jego dłoń i położyła ją na swoim policzku. Uśmiechała się. W tym momencie przypominała raczej dziecko, małą dziewczynkę spragnioną poczucia bezpieczeństwa, a nie osobę, którą była naprawdę - o czym nie powinien zapomnieć - zrozpaczoną matkę, poszukującą swojego dziecka.

- Chciałabym, żebyś posłuchał też co mówi mój instynkt, bo Martin jest moim synkiem. Daj mu przynajmniej szansę.

- Ale czemu mam dać szansę, Ido Marie? - Nic nie rozumiał. Może jednak miała gorączkę? Wymamrotał to. Był tak blisko niej. Nie mógł. Nie potrafił. Musiał się odsunąć, niemalże użył przemocy wobec siebie.

Wyprostowała się.

- Po prostu uwierz w to, co ci powiem. Weź to pod uwagę. Obiecuj, że potraktujesz to poważnie, tak jak poważnie traktujesz muzykę. Instynkt.

- Dobrze, obiecuję.

Wtedy opowiedziała mu. O wróżce w City Vest, o dziwnym zapachu i lustrach. A on chciał przytulić ją i powiedzieć, że zrobi wszystko, co w jego mocy. Nie mógł jednak chodzić po mieście i węszyć albo wysłać ludzi, żeby szukali kabiny luster. Ale kiedy spojrzał w oczy Idy Marie i zobaczył w nich to rozpaczliwe błaganie o pomoc, nie potrafił jej odmówić. Skinął tylko głową i obiecał. Tak jak zobowiązał się wcześniej.

A potem pozwolił jej spać na swojej kanapie.

30

Zlewozmywaki zwisały z taśmy zawieszzonej pod sufitem jak oskubane kurczaki na niedzielę w drodze do porcjowania i ułożenia na tacki. Fabryka znajdowała się w Hasselager i według Bo była sposobem Davidsena na załagodzenie sytuacji. Fotograf szedł z aparatem za wicedyrektorem, który z dumą opowiadał o współpracy z gminą. Co prawda Bo nie usłyszał nic z jego wywodu (hałas maszyn zagłuszał prawie wszystko), ale był dobrze przygotowany. To jedna z tych pozytywnych historii o integracji. Historia o małej fabryce, która razem z sąsiednią fabryką i gminą opiekowała się nowymi imigrantami, którzy u nich pracowali, wyznaczała pracownika zajmującego się ich problemami i organizowała na miejscu kurs językowy. Przede wszystkim była to jednak samopomoc. Oświecony self-interest. Za kilka lat w przemyśle będzie brakowało siły roboczej.

Davidsen napisał już artykuł, na pewno przeprowadzając uprzednio po kilka krótkich telefonicznych wywiadów. W rzeczywistości prawdopodobnie trzymał tekst w szufladzie od dłuższego czasu i tylko czekał na odpowiednią okazję, żeby go wykorzystać - pomyślał Bo i usłyszał coś, co brzmiało jak arabska muzyka. Pochodziła z magnetofonu

postawionego na półce w hali, gdzie pakowano towar. Młoda kobieta w chuście wkładała do tekturowych pudeł wypolerowane na wysoki połysk zlewozmywaki. Wydawało mu się, że nuciła jakąś melodię i łagodnie poruszała się w rytm muzyki. Spojrzała w jego stronę i posłała mu nieśmiały uśmiech, gdy przechodził obok.

- To jest Huma. 2 G - krzyczał wicedyrektor. -2G?

- Druga generacja imigrantów. Strasznie długie określenie - stwierdził wicedyrektor. - Jej rodzice są z Pakistanu, więc lepiej trzymaj ręce z daleka - dodał.

Oprowadzał go dalej. Bo szedł za nim i słuchał jednym uchem, przyglądając się pracownikom. Mieszance różowych Duńczyków i ciemnych imigrantów. Gdy wyjaśnienia stały się zbyt techniczne, wrócił myślami do poranka i analizował godziny, które minęły od chwili, gdy zadzwonił budzik; to nie on był przecież dziennikarzem.

W skali od jednego do dziesięciu był to beznadziejny dzień. Na mniej niż trzy. Tobias obudził się z wysoką gorączką. Eva nalegała, żeby pojechał z nim do lekarza, bo ona musi pójść do pracy, ale gdy wrócił z chłopcem do domu, jeszcze nie wyszła. Zamiast tego przeszukała jego gabinet. Chociaż nigdy wcześniej nawet nie postawiła w nim swoich nóg modelki. Właściwie nóg byłej modelki - poprawił się. Teraz była pielęgniarką w szpitalu wojewódzkim i Bo ze współczuciem wysłuchiwał historii o przymusowym oddawaniu moczu, cewnikach, które muszą zostać wciśnięte do środka albo o pewnej nieszczęśliwej starszej pani, która zamknęła się w toalecie i nikt nie mógł jej znaleźć przez cztery godziny.

Stała przygotowana w drzwiach, gdy wrócił do domu z bardzo

osłabionym Tobiaszem.

- Co to jest? Co to ma znaczyć? - Pomachała mu przed nosem czymś, czego nie udało mu się rozpoznać.

- Tobias ma zapalenie płuc - odpowiedział. Wybiło ją to na moment z kursu.

- Ojej, skarbie.

Taka też potrafi być - pomyślał. Gdy wykończony i rozgorączkowany Tobias przytulił się do niej, było jej wszystko jedno, czy rozmaże jej makijaż albo wybrudzi palcami naszyjnik z pereł. Perfekcjonizm na szczęście nie dotyczył dzieci.

- Byłeś w aptece? Dostał antybiotyki?

Było dla niego zagadką, w jaki sposób potrafiła tak szybko zmienić ton głosu z zimnego na ciepły. Dla niego przeznaczony był zimny prysznic. Wyjął z kieszeni torebkę z lekarstwami.

- Są tutaj. Następny musi przyjąć dopiero wieczorem. Dlaczego nie jesteś w pracy?

Dotknęła czoła Tobiasa.

- Chodź, kotku. Teraz położysz się w łóżeczku pod ciepłą kołderką, dostaniesz colę i komiksy z Kaczorem Donaldem.

- Lekarz kazał pić wodę - zwrócił uwagę Bo. Spojrzała na niego. Jej oczy zrobiły się wąskie.

- Gówno mnie to obchodzi.

Nie minęło wiele czasu, gdy zauważył, co ją tak rozwścieczyło. Zdjęcie Dicte z wibratorem, które teraz leżało na podłodze w przedpokoju. Ze wszystkich zdjęć, które wisiały na tablicy - a było ich tam wiele, które sam zrobił pięknym kobietom - wybrała właśnie to. Jeśli to nie świadczyło

o istnieniu kobiecej intuicji, to niech go nazwą Chipem albo Dale'em, albo jak oni się tam nazywali. W dodatku to nawet nie on je zrobił.

Cierpliwie czekał, gdy kładła Tobiasa do łóżka. Zastanawiał się, czy nadszedł właśnie ten moment, w którym powinien powiedzieć, że nic z tego nie będzie, że muszą podjąć pewne decyzje, dotyczące dzieci i finansów, mimo że były bardzo trudne. Teraz jednak Tobias był chory, a Ninka znowu zaczęła robić siku do łóżka, więc, biorąc to wszystko pod uwagę, nie był to chyba najlepszy moment.

Usiadł na schodach. W dalszym ciągu podniecał się na myśl o Dicte. Jej włosy między jego palcami. Jej ciało, którego można było dotknąć, a ono nie odsuwało się z oziębłością. Jej niekontrolowany śmiech, który brzmiał, jakby wylewał się niepohamowanym strumieniem. Właściwie nie słyszał go często, bo ostatnio nie było zbyt wielu powodów do radości. Wiedział, że któregoś dnia złapie ten śmiech. Dokładnie go wykadruje, wleje do butelek i będzie sprzedawał jako lekarstwo na depresję.

Wiercił się na schodach. Można szybko przyzwyczaić się do takiej kobiety. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Tylko czy to jest to, czego tak naprawdę chce? Czy nie marzy o wolności? O tym, żeby móc tak po prostu wziąć plecak, wyjechać i robić zdjęcia. Życ tylko dla siebie i nie czuć się za nikogo odpowiedzialnym. Poza dziećmi, oczywiście, ale one tak szybko rosną. Ledwie zdąży pstryknąć palcami, a one już nie będą go potrzebowały. Wszystko tak szybko mija. Między jednym oddechem a drugim.

- To ona, tak? - Nagle pojawiła się przed nim Eva.

- Jaka ona?

- To z nią sypiasz?

Do diabła, ależ ona umiała czasem trafić w czuły punkt. Nie miał pojęcia, jak jej się to zawsze udawało.

- Co za bzdury. Ledwo ją znam. -Kim ona jest?

- To tylko znajoma.

Wstał. Schody były dość twarde, a poza tym czuł się strasznie mały, kiedy tak nad nim stała. Może jednak nie powinien był tego robić, bo teraz podeszła do niego i stanęła z nim twarzą w twarz. Bardziej wyczuł niż widział, jak porusza płatkami nosa.

-Jeszcze tu jest.

- Co takiego?

- Zapach - powiedziała przebiegle. - Wczoraj też go czułam. Myślisz, że jestem głupia?

Patrzył na nią. Nie, nigdy nie myślał, że jest głupia. Mógł powiedzieć o niej wszystko, ale nie to.

- Tym razem to nowy zapach - powiedziała i wyglądała prawie na rozmarzoną. - Wcześniej była jakaś inna. Teraz zamieniłeś ją na następną.

O kurde. Czytała z niego jak z otwartej książki.

- Chyba wiesz, że zdrada to nie jest zbyt dobry pomysł, kiedy w grę wchodzi rozwód. Zwłaszcza, jeśli są dzieci. - Obróciła się na pięcie - Poza tym zostaję w domu. Tobias potrzebuje dzisiaj mamy.

Podczas gdy zlewozmywaki przejeżdżały nad nim z turkotem, a wicedyrektor cicho wygłaszał pochwały na własną cześć, Bo zastanawiał się, czy Eva nie na-oglądała się za dużo prawniczych seriali, czy może naprawdę miała rację. Może to był najwyższy czas, żeby skontaktować się z adwokatem. Najwyższy czas, żeby skończyć tę farsę.

Poczuł w środku ogromny smutek. Więc to było to. Jeszcze raz

zawiódł i to na całej linii. Jeszcze raz złamał obietnicę daną samemu sobie - jego dzieci miały przecież nigdy nie doświadczyć rozwodu. Miały nigdy nie czuć nienawiści do taty albo mamy, bo jedno z nich wyłączyło drugie z gry. Jego dzieci miały żyć radosnym życiem, w którym największymi zmartwieniami miało być to, że lody spadły na ziemię albo że Tivoli zamknęło godzinę za wcześnie. Westchnął i poszedł za wicedyrektorem. Zastanawiał się, jak dużą część życia dostawało się w spadku po rodzicach.

-A tutaj jest Sinnan. Przyjechał do nas z Turcji w ramach „łączenia rodzin”. I właśnie o takich ludzi

jak on tutaj chodzi - powiedział wicedyrektor i po przyjacielsku poklepał po ramieniu mężczyznę stojącego przy maszynie do czyszczenia.

- Sinnan! - próbował przekrzyczeć hałas. - Jest tu fotograf. Może zrobić ci zdjęcie tu, przy maszynie?

Sinnan podniósł się i przywitał z Bo, podając mu rękę. Turek był muskularny i bardzo wysoki. Wyglądał, jakby trenował podnoszenie ciężarów. Charakterystyczne wąsy podniosły się w uśmiechu.

- Cześć.

Bo skinął głową.

- To zajmie tylko chwilę.

Młody Turek wyglądał na trochę zdenerwowanego. Bo próbował rozluźnić atmosferę, więc zagadywał go, robiąc zdjęcia.

- Patrz prosto w obiektyw. Jak długo jesteś w Danii?

- Dwa lata - powiedział Sinnan i mrugnął z przestraszeniem, kiedy błysnęła lampa.

- To trudne?

Sinnan skinął z namysłem głową.

- Duński jest trudny, ale mamy dobrego nauczyciela.

- Ożeniłeś się z Turczynką tu, w Danii?

Sinnan potwierdził, był teraz trochę przygaszony. Czy powinienem zadawać takie osobiste pytania? - pomyślał Bo i zrobił zdjęcie. Może było to przymusowe małżeństwo z dziewczyną myślącą bardziej po duńsku i teraz pojawił się między nimi zgrzyt kulturowy?

- Dzięki, Sinnan, to już wszystko.

Sinnan wyraźnie odetchnął z ulgą. Poszli dalej i wysłuchali kolejnej historii. Bo zrobił zdjęcia i gdy miał już wychodzić, wicedyrektor wręczył mu stos papierów.

- Może pan sobie poczytać o naszym projekcie - powiedział. - Jest tu coś o kursie i tak dalej.

Bo pomyślał, że wyrzuci to do pierwszego śmietnika, na jaki się natknie, ale najpierw musiał zniknąć z pola widzenia. Odłożył więc papiery na siedzenie i pojechał. Dopiero gdy stał w korku na Skanderborgvej w drodze do Arhus, zaczął je z nudów przeglądać. W kursie uczestniczyło pięć osób: dwóch Turków, jeden Somalijczyk, jeden Srilańczyk i dziewczyna z Pakistanu. Szkolenie było tak opracowane, że na zajęciach wykorzystywano słownictwo związane z przepisami BHP i kartą pracy, zgodnie z ideą, że najlepiej jest uczyć się języka, gdy miało to jakiś związek z dniem powszednim ucznia. Pokiwał z uznaniem głową, to brzmiało dosyć rozsądnie. Przebiegł wzrokiem aż do dołu strony, gdzie umieszczone było nazwisko nauczyciela. Nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, ale gdzieś już je słyszał.

- Świat stanął na głowie.

John Wagner pokręcił głową i odkroił sobie kawałek rostbefu.

Usmażona cebula spadła mu na spodnie, ale on nawet tego nie zauważył.

- Logicznie byłoby, gdyby najpierw znikło dziecko, a potem zostało znalezione w rzece. Tu w Arhus nic nie jest jednak logiczne. Tutaj najpierw wkłada się dziecko do rzeki, a potem, żeby był porządek, porywa się inne. I w dodatku grozi mu się śmiercią - dodał.

Wyciągnął rękę po szklankę z piwem bezalkoholowym. Wziął łyk. Nie wyglądał na zadowolonego ani z piwa, ani tematu rozmowy.

- A co z położną? - zapytała Dicte. - Gdzie ona pasuje? Słyszałam, że ją wypuściliście.

- Niestety, nie mogliśmy jej dłużej trzymać. - Wzruszył ramionami, ale wiedziała, że ta sprawa go męczy.

- Nie macie na nią nic konkretnego? - Mieliśmy, ale wycofała zeznania jeszcze przed

sprawą z Martinem. A dzięki nowym okolicznościom ma niezłe alibi - westchnął. Pozbierał cebulę i schrupał ją. - Oczywiście, to tylko wszystko komplikuje. Byłoby bardziej logiczne, gdyby ta sama osoba, która pisała po czołach dzieci, porwała też Martina. Zwłaszcza, że na czole tej małej dziewczynki był podobny napis. Ale, tak jak mówiłem, nie zawsze można liczyć na logikę.

- Masz na myśli to, że ktoś mógł się podszyć? Porwał Martina i, żeby zmylić policję, popisał czoło innego dziecka? Że nadal najbardziej prawdopodobne jest to, iż to położna jest winna w pierwszej sprawie z graffiti?

Spochmurniał.

- Wszystko jest możliwe, a poza tym byłaby to bardzo zła wiadomość, gdyby okazało się, że ostatnia groźba nie służy tylko odwróceniu uwagi.

- Bo w tym wypadku Martin może już by nie żył - przyszła mu z pomocą. Zdjęła z kanapki ser i zdrapywała masło.

Siedzieli w stołówce na komendzie. Chwilę wcześniej zaprezentowała Wagnerowi szal kupiony przez Rose. Policjant skwitował to niespodziewanym zaproszeniem na obiad. Wydawało się jej to dość niezwykle, mimo że nie miała zbyt dużego doświadczenia jako reporter kryminalny. Ktoś kiedyś powiedział, że stosunki między policją a prasą przypominały związek, w którym miłość miesza się z nienawiścią i gdzie jedna strona chciałaby jak najbardziej wykorzystać tę drugą, dlatego zachowuje odpowiedni dystans. Muszę uważać - pomyślała - żebyśmy nie zostali zbyt dobrymi przyjaciółmi. Mimo że Wagner był serdeczny i od czasu do czasu rzucał jej okruchy informacji, Dicte musi je dokładnie sortować i wychodzić z założenia, że on miał ku temu jakiś powód. Może właśnie dlatego, że była niedoświadczona i dzięki temu mógł ją manipulować tak, że pisała to, co chciał. Nigdy się nie dowiem, czy to właśnie tak działa - myślała, przyglądając mu się. Jak zwykle wyglądał na zmęczonego, ale tym razem zauważyła coś jeszcze. Może miał jakieś wielkie osobiste zmartwienie. Coś, co mu bardzo ciążyło.

- Worst case scenario jest więc taki, że ktoś porwał Martina, żeby spełnić groźbę napisaną na czole innego dziecka - podsumowała. - Ale gdzie pasuje mały Mojżesz?

Podniósł bezradnie ręce.

- Na razie nigdzie. Jak dotąd mamy dwie, a może trzy różne sprawy,

które nie mają ze sobą żadnego związku, nawet odległego. Oczywiście poza podszywaniem się. Teoretycznie możemy próbować je połączyć, ale to jest i będzie teoria. A jeśli chodzi o odciski palców, to musimy poczekać. Oddział w Kopenhadze ma gripę.

Wstał.

- Kawy? Nie żeby była godna polecenia, ale przynosi jako takie efekty.

Skinęła głową i patrzyła, jak podchodzi do lady. Miał około pięćdziesiątki i było w nim coś szczególnego. Jakby był czymś napędzany, czymś tak rzadkim jak pasja. Nie potrafiła odgadnąć, czy była to pasja do pracy, czy może po prostu, ogólnie - do życia. Jego oczy miały ten szczególny błysk, mimo że widoczne w nich było zmęczenie. Może pasja do sprawiedliwości - pomyślała. Można było chociaż pomarzyć.

Wrócił z kawą i dwoma ciastkami. Ciężko usiadł.

- Ida Marie... - powiedział w końcu. - Przyszła do mnie wczoraj późnym wieczorem. Opowiedziała o wizycie u wróżki. Słyszałaś coś o tym?

Pokręciła głową. Przyjrzała mu się badawczo. Jest w niej zakochany. To ona jest przyczyną tej pasji i żaru w spojrzeniu. To dlatego traci czas na to, żeby z nią tu siedzieć i prowadzić rozmowę. Bo ją znam, bo może potrafię pomóc, dzięki gazecie. Dzięki przyjaźni z Anne i Idą Marie.

- Bardzo rzadko, w niektórych sprawach, policja wykorzystywała takich ludzi - powiedział ostrożnie. - Ale mi osobiście nigdy się to nie podobało. Nigdy nie miałem do tego zaufania, mimo że czasem dawało rezultaty.

-Ale...? - zapytała, bo czuła, że wkrótce nadejdzie jakieś „ale”.

Wzruszył ramionami.

- Mamy tak mało śladów, właściwie tylko odciski palców na łóżeczku dziecka. No i wspomnienie Idy Marie o dźwięku, który wydaje z siebie człowiek w masce tlenowej. Możliwe, że ta osoba miała zadyszkę.

- A co takiego powiedziała ta wróżka? Machnął ręką, aż kawa wylała się na spodek.

- Po pierwsze, że dziecko żyje. Po drugie, że mamy szukać jakiegoś smrodu, możliwe, że zwierzęcego. No i jeszcze coś o lustrach.

Zamilkł. Może sam słyszał, że brzmiało to dosyć dziwnie - pomyślała.

-A co z odciskami palców? To jest właściwie jedyny konkret - powiedziała, próbując przywołać namacalny trop.

Skinął głową. Ugryzł ciastko, zrobiła to samo, zastanawiając się, czy on naprawdę wziął tę wróżkę na poważnie. Nic dziwnego - uświadomiła sobie. - Widocznie łapał się tego jak tonący brzytwy, bo nic innego nie miał.

- Biedna Ida Marie - powiedziała cicho Dicte.

- Może mogłabyś napisać o tym w swoim artykule? - zaproponował. - Może warto spróbować, mimo że to zapewne sprowokuje wszystkich okolicznych świrów.

Oczywiście wyobraźni już to widziała. Jeśli napiszą o tym, co powiedziała wróżka, zarówno gazeta, jak i policja zostaną zalane zgłoszeniami, z których większość nie będzie pewnie zbyt wiarygodna. Mimo to skinęła głową. Nie mieli zbyt wiele innych możliwości i przynajmniej było o czym napisać.

- Spróbować zawsze można - powiedziała. -A w każdym razie nikomu nie zaszkodzi - dodała potem, słysząc cynizm we własnym głosie. - Poza tym to super materiał. Ludzie uwielbiają takie czary-mary.

Gdy pół godziny później szła przez miasto, czuła ciężar jego zmartwienia. Tak jakby opowiadając jej to wszystko przerzucił na Dicte część odpowiedzialności. Większej niż ta, którą czuła wcześniej.

Kiedy przysłała do niego rano, Wagner nie ucieszył się za bardzo na jej widok. Jakby uważał, że to nie jest zdrowe, kiedy prasa miesza się zbyt w pracę policji. Poza tym był chyba w dalszym ciągu zły za ten artykuł Davidsena, ale gdy stojąc przy ladzie, wyciągnęła z torebki Bilki słynny szal, poddał się.

- A niech to - powiedział, szukając metki. Widziała, że jego reakcja była taka sama jak jej.

Odwrócił się w jej stronę i posłał rzadki uśmiech w stylu Harrisona Forda, z uniesionym jednym kącikiem.

- To by było na tyle, jeśli chodzi o teorię z imigrantami - powiedział, zapominając na moment o kartce z Koranu. - Co na to twój przyjaciel, Davidsen?

Ruszył w stronę swojego gabinetu, a ona szła za nim, uśmiechając się na myśl o twarzy Davidsena, która zapadła się jak suflet.

- To może być trudne dla dziennikarza, kiedy na swej drodze spotyka prawdę.

Skinął głową, gdy wchodzili po schodach, i odwrócił się w jej stronę.

- Uwierz mi, dla policjanta może to być jeszcze trudniejsze. Może powinienem się nawet zdenerwować.

- Ale...

Pokręcił głową, wskazując drogę do swojego gabinetu.

- Pierwszy wyciągnąłbym ciężką artylerię, gdybym był przekonany do tej teorii - powiedział i przytrzymał jej drzwi. - Gdyby to rzeczywiście

młoda muzułmanka porzuciła swoje dziecko w wyniku konfliktu rodzinnego, należałoby oczywiście wyciągnąć to na światło dzienne. I tak, niezależnie od wyniku śledztwa, następnym razem, gdy ktoś znajdzie porzuconego noworodka, wszyscy będą myśleli tak samo. To jest konflikt kulturowy. - Zdjął stos papierów z krzesła, żeby mogła na nim usiąść, a sam zajął miejsce w fotelu za biurkiem. - Ale po prostu nie podoba mi się przecucie, że sprawa jest zbyt jednoznaczna. - Gwałtownie wymachiwał rękoma jak typowy południowiec. Przez chwilę zastanawiała się, skąd on właściwie pochodzi. - Dlatego jestem w dalszym ciągu sceptycznie nastawiony do tej kartki z Koranu. To wszystko jest trochę zbyt oczywiste. - Odchylił się na krześle i przejechał dłonią po włosach. - Ale teraz to oczywiście sprawa Martina ma najwyższy priorytet.

- Jak daleko się posunęliście? Co mogę napisać? Powtórzył o odciskach palców na łóżeczku. Tych, które nie należały ani do Anne, ani do Idy Marie, ani do Pielęgniarki.

- Ale na tym koniec.

Wahał się, jakby chciał jej coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Obrócił dłoń wewnętrzną stroną do góry.

- Możesz napisać, że oprócz tego, nie mamy nic i poprosić, żeby każdy, kto widział coś dziwnego, zgłosił się do nas.

- Co dokładnie masz na myśli? Westchnął. Znowu pomachał ręką.

- Płacz dziecka tam, gdzie nie powinno być żadnych dzieci. Sąsiadkę, która nagle urodziła. Klientów w sklepie, którzy zachowują się dziwnie, kupują tony pieluch i jedzenia dla dzieci, mimo że nie wyglądają na przykładowych rodziców. No nie wiem, co jeszcze...

Popatrzył na nią i przyszło jej na myśl, że on rzeczywiście nic nie

wiedział, i że to dręczyło go bardziej, niż chciałby przyznać.

- Nie mamy sprawcy, świadka, samochodu ani rysopisu. Potrzebujemy pomocy - powiedział i Dicte wiedziała, że był to apel również do niej.

Myślała o tym, blakając się bez celu po mieście i zaglądając do różnych sklepów w drodze do centrum handlowego Salling. Przejrzała ubrania w Victorii i zrobiła rundę po H&M. Ubrani w ciepłe płaszcze ludzie spieszyli ulicą Stroget, gdzie słychać było głośną sprzedawczynię kwiatów: „Dziesięć tulipanów za dwadzieścia koron!”. Dicte myślała o prośbie o pomoc. O wróżce, brzydkim zapachu i lustrach. Gdzieś w zakątku umysłu złościła się również, gdyż Bo się do niej nie odzywał. Czy to nie mężczyzna powinien zadzwonić? Czy to nie on powinien okazać swoje zainteresowanie? Czy też może ona była beznadziejnie staroświecka? Przepędziła go ze swojej głowy. Znow pomyślała o Wagnerze i jego pracy, której mu nie zazdrościła.

Trapiący Dicte problem nie był już tylko zagadką o martwym noworodku, którą trzeba było rozwiązać. Chociaż brzmiało to strasznie, małego Mojżesza nie dało się już uratować. Teraz chodziło przede wszystkim o dziecko Idy Marie. O Martina i, jeśli mogła pomóc, czy nie miała obowiązku zrobić więcej, niż tylko pisać swoje artykuły? Jeśli mogła coś zaoferować, wskazać jakąś furtkę, wyszukać podobną historię... Czy nie robiąc tego nie ponosi odpowiedzialności?

Zadrzała, gdy przypomniała sobie ostatnie słowa Johna Wagnera. Wypili już kawę, zjedli ciastka i wstali od stołu w stołówce.

- Jest jeszcze inny worst case scenario, straszny, ale, z którym trzeba się liczyć.

- Co to jest? - zapytała i ustawiła krzesło przy stole, jak inni policjanci.

- Jeżeli wszystkie te trzy przestępstwa - wyjaśnił Wagner - połączymy w całość, to możemy mieć do czynienia z doprowadzoną do szaleństwa, zrozpaczoną matką, która najpierw zostawiła swoje dziecko w rzece - abstrahując od tego, czy zrobiła to sama, czy ktoś inny - a teraz czuje wielką nienawiść, nie tyle do noworodków, ile do szczęścia, które dają rodzicom. Być może widziała w mieście wesołe matki spacerujące z wózkami i jej coraz większa tęsknota przemieniła się w chęć zabijania innych dzieci. - Szli w stronę schodów, a on kontynuował swoją teorię o szalonej matce: - Najpierw napisała groźbę na czołach dzieci w szpitalu. Może był to podświadomy krzyk o pomoc? Prośba, żeby zostać złapanym. Następnym krokiem było porwanie Martina.

- Jaki będzie kolejny? - zapytała Dicte, wstrzymując oddech, a dźwięki ze stołówki zmieniły się w jej głowie w jednostajny hałas.

Spotkała jego spojrzenie i znów widziała policjanta, którego męczyło i zawodowe, i osobiste zmartwienie, co sprawiało, że jego głos był szorstki i napięty.

- Morderstwo dziecka. Dwójki dzieci. Wielu dzieci.

- Będiesz grzecznym chłopcem i pojedziesz po południu do babci?

Anne zauważyła wahanie stojącego obok Jacoba. Może nie powinni jechać rowerem do szkoły Engdal? Strasznie wiało, miał czerwone i opuchnięte oczy. Może w ogóle powinni schować się przed całym światem? Zostawić całe zło na zewnątrz: śmiertelne choroby, porwane dzieci i wszystko to, co nigdy nie powinno się przytrafić. Jacob przytulił się do jej nogi tak, że przekrzywił mu się kask. Pochyliła się nad nim.

- Chodź tu. Daj mi go. Chyba już nie będzie ci potrzebny, co?

Próbowała nadać głosowi wesoły ton, żeby ukryć zdenerwowanie, ale już dawno zauważyła, że dzieci wyczuwają takie rzeczy, nieważne jak dobrze się je maskowało. Zupełnie jakby instynkt ostrzegał je, że dzieje się coś złego i że w konsekwencji mogą zostać same, bez żadnej opieki.

Poczuła jak głos więźnie jej w gardle. Zostać same. Zrobiłaby wszystko, żeby Jacob nigdy nie został sam. Przyciągnęła go do siebie i przytuliła, zerkając na zegarek. Za pięć ósma. Była umówiona w szpitalu wojewódzkim na dziewiątą, ale najpierw musiała się przygotować. Spędzić trochę czasu sama.

- Dobrze, uciekaj i pozdrów babcię, OK?

Rozstawali się powoli, a serce jej pękało, gdy spojrzał na nią przenikliwie. Taki szczery - pomyślała i przypomniała sobie o Idzie Marie i jej dziecku. Poczuła, jak od razu psuje jej się humor.

- Ale niedługo wrócę do domu, tak?

- Oczywiście - powiedziała łagodnie. - W niedzielę. Przecież zawsze lubiłaś jeździć do babci, prawda?

Skinął głową, ale widziała, że był niezdecydowany. Robił to, bo

musiał. Popchnęła go lekko w stronę szkolnego podwórka, które wypełniało się uczniami. Kim będzie, gdy znów go zobaczy? Wolną i zdrową mamą, czy może mamą, która nagle stała się pacjentem. Mamą, która będzie miała operację, będzie chorowała i sprawi, że on zwątpi w bezpieczeństwo swojego świata.

Stała tam i patrzyła, jak szedł w stronę dzieci. Upewniła się, że przyjęły go do swojego kręgu i że szybko pochłonęły go ich sprawy. Dopiero wtedy odwróciła się i ruszyła do domu willową ulicą Brabrandts.

Gdy lekarz w końcu jej to powiedział, zrozumiała, że ziemia pali jej się pod nogami. Jakby już nie mogło być gorzej, chociaż wiedziała, że mogło. Mimo to osiągnęła kolejny stopień wtajemniczenia i poznania.

Rak. Miała raka. Najpierw zrobią operację bez amputacji piersi. „Jest pani przecież jeszcze młoda” - powiedział lekarz, który z kolei wyglądał na bardzo starego. Może widział już za dużo życia, a może za dużo śmierci...

Pojechała do szpitala samochodem. Anders miał próbę orkiestry w Musikhuset i koncert wieczorem. Jeździł zawsze autobusem, bo do Skejby, gdzie pracowała, było dalej. Gdy dojechała na parking, wszystko zaczęło wirować, więc została w samochodzie i otworzyła drzwi. Zapytano ją, czy ma kogoś, kto ją wesprze. Czy nie chciałaby, żeby był przy niej jej mąż. Ktoś z rodziny albo przyjaciółka. Ale ona pokręciła głową. Nadal nią kręciła, siedząc w volvo z folderami z fundacji „Wygraj z Nowotworem”, które polecono jej zabrać z poczekalni. Poczula, że ledwo może oddychać ze strachu. Coś tak mocno uciskało jej klatkę piersiową, że czuła ból. Wiedziała, że były to łzy, które rozsadzały ją od środka. Wstrzymywane od wielu lat, ukryte łzy. Tak jakby oszczędzała je od dzieciństwa. Śmierć ojca.

Brak jego miłości. Samotność i docinki w szkole, ponieważ wyglądała inaczej. W jej życiu było wiele takich wydarzeń, jak z pewnością w życiu większości ludzi. Czułe punkty. Otwarte rany, które nigdy całkowicie się nie zagoiły.

Proszę bardzo, niech przychodzą teraz te łzy - pomyślała, i choć starała się tak mocno, nie mogła się rozplakać. Nie rozwiąże w ten sposób żadnych problemów, ale przynajmniej odkryje swoje ciało, poczuje życie i będzie mogła się tego trzymać. Takie samo uczucie zawładnęło nią poprzedniego wieczoru. Uczucie rozpaczliwego poszukiwania życia i jego radości. Tęsknota za czymś albo za kimś, na kim można by się oprzeć.

Było już późno, gdy je poczuła. Jacob dawno poszedł do łóżka i mocno spał. Anders ćwiczył w swoim specjalnym dźwiękoszczelnym pokoju, który urządził sobie na końcu długiego korytarza ich parterowego domu. Domu marzeń, jak go nazwali, kupując go przed pięcioma laty. Miał dwa pokoje dziecięce, więc był przygotowany na powiększenie się rodziny. Taki mieli plan. Nadal mamy taki plan - pomyślała, szybko przemierzając długi korytarz w stronę, z której dochodził dźwięk oboju Andersa. Chociaż może nie do końca, bo przecież była coraz starsza. Poza tym czy można urodzić dziecko, jeśli przeżyło się raka? Czy starcza do tego odwagi? Czy człowiek może nadal żyć po tym, jak choć raz zawładnął nim strach?

O tym właśnie myślała. To czuła, pukając do drzwi Andersa. Właściwie nie wiedziała po co. Przecież ćwiczył właśnie przed ważnym koncertem i pewnie miał tremę, mimo że był już przyzwyczajony do występów.

Nie mogła się jednak powstrzymać. Musiała tam wejść i porozmawiać. Może go dotknąć. Poczuć.

-Tak?

Czy coś sobie wmawiała, czy usłyszała w jego głosie zniecierpliwienie? Mimo to, skoro już się na to zdecydowała, uchyliła drzwi.

- Mogę wejść? Chciałabym trochę posłuchać.

- Oczywiście - wyglądał na zdumionego. I miał do tego powód, ponieważ prawie nigdy nie wkraczała na jego teren.

Podeszła, stanęła za nim i objęła go za szyję. Przytuliła się, poczuła jego ciepło i bardzo chciała, aby swoją energią uleczył i ją.

Nie przeciwstawiał się ani nie odsuwał. Ale i tak poczuła, że nie życzył sobie, żeby mu przeszkadzano. Przez moment walczyła, żeby opanować złość, która szybko zmieniła się w rozczarowanie. Przecież o niczym nie wiedział. Niczego nie przeczuwał. I tak miało być. Miał siedzieć tutaj i grać swoją muzykę. Zapewne Mozarta. Orkiestra symfoniczna planowała grać koncert klarnetowy Mozarta w Musikhuset. Ten z Pożegnania z Afryką. Pamiętała, jak Robert Redford wyciągnął podróźny gramofon, nastawił starą płytę i puścił ten utwór dla Meryl Streep, na środku sawanny. Tak to chyba było.

Sytuacja tutaj, w Arhus, jest inna - pomyślała nieśmiało. Spojrzała na swojego męża i poczuła strach przed następnym dniem. Może Anders grał tę samą melodię. .. ale nie dla Anne.

Gdy w końcu uruchomiła samochód i wróciła ze szpitala do domu, tęskniła za Jacobem tak, że aż czuła w brzuchu pustkę. Ale i tak była zadowolona, że synek pojedzie dziś do babci. Już wcześniej zdarzało się, że zostawał u niej cały weekend i zawsze się z tego cieszył. Zawsze. Tym razem chyba jednak coś wyczuł. Pod tym względem był bardziej wrażliwy

od swojego ojca. Oczywiście obiecała Andersowi, że przyjdzie na jego koncert. Cieszył się, że w końcu może to zrobić.

-Zobaczysz, będzie bardzo dobry. Solista jest znakomity. Do tego szeroki program, no i usłyszysz moje solo.

Jest jak dziecko - pomyślała. Zdolne dziecko, bo trzeba przyznać, że ma talent. Może nie ma talentu do niej? W każdym razie nie zauważył, że ona znalazła się w takim punkcie, w którym wszystko może się rozpaść. Nawet zniknięcie dziecka Idy Marie przeszło jakby gdzieś obok niego.

-To straszne - powiedział tonem, którym kończy się rozmowę i nie zaprasza do dalszej dyskusji na ten temat. - Po prostu okropne.

Potem zniknął w swoim pokoju ćwiczeń, skąd chwilę później dobiegły ją dźwięki Mozarta. Jak mały wypolerowany sznur pereł. I chyba właśnie wtedy podjęła decyzję. Że o niczym nie powinien wiedzieć. Nie wcześniej i nie więcej niż będzie to naprawdę konieczne. W jej życiu była tylko jedna osoba, której mogła przekazać tę wiadomość i jednocześnie być pewną, że ona to wytrzyma.

-Anne! Och, Anne! - Dicte objęła ją i gładziła po plecach, tak jak to robiły przy powitaniu. Poczowała mokry policzek Anne, gdy skóra dotknęła skóry. - Będzie dobrze. To minie. Zanim się obejrzysz znów będziesz zdrowa jak ryba.

Zadzwoiła do Dicte. Nie mogła tak siedzieć w domu, sam na sam ze swoimi myślami. Musiała to komuś powiedzieć. Wyrzucić z siebie, a Dicte mogła to znieść. Nie była nadwrażliwa ani nie straciła dziecka. Była, mimo cieni z przeszłości, mocna jak prawdziwa dziewczyna ze wschodniej Jutlandii. Inaczej niż Anne, przywieziona tu z zewnątrz. Na pewno mogła udźwignąć jeszcze jeden mały ciężar.

- Oczywiście, że będę - stwierdziła Anne i pozwoliła sobie na nadzieję.
- Ale teraz sprawa Idy Marie jest ważniejsza i na tym musimy się skoncentrować.

Zawahała się. Spacerowały po lasku przy True. Był pusty. Widocznie ludzie nie wyprowadzali swoich psów na dwór, kiedy wiało. Svendsen ruszył z miejsca bez smyczy i miał całą przestrzeń dla siebie. Szalał między drzewami z pyskiem przy ziemi. Biegał szlaczkiem tam i z powrotem.

- Psom to dobrze - powiedziała cicho Anne. - Żadnych zmartwień.
Przez chwilę szły w ciszy. Dicte wzięła ją pod ramię.

- Musisz mu to powiedzieć.

Anne kopnęła jakąś gałąź na ścieżce. Suche liście zawirowały w powietrzu i wylądowały w kałuży. Pies nie omieszkał tam na nie zapolować.

- Nie mogę, on się kompletnie załamie.

- Wydaje mi się, że go nie doceniasz. Poczula na sobie wzrok Dicte.

Mały wyrzut.

- Znam go - broniła się. - On nie zniesie takich rzeczy.

Dicte odwróciła się. Przez moment stała cicho.

- Takich rzeczy - powtórzyła za Anne. - Tak samo możesz powiedzieć, że jest zbyt delikatny, żeby w ogóle żyć, Anne. A to przecież nieprawda. Każdy wytrzyma to, co chce i co powinien. A on powinien.

Kiedyś się zdecyduje - pomyślała Dicte. Ale nie teraz. Zeszły do małego sztucznego jeziora i Svendsen rzucił się do niego na łeb na szyję po jakiś patyk. Pływał, jakby przez całe życie nie robił nic innego.

- To instynkt. - Wskazała głową w kierunku psiaka Dicte. -

Przetrwanie. - Odwróciła się twarzą do Anne. - Anders też tak zareaguje. Będzie walczył o swoje i twoje przetrwanie. Znajdzie siły, o jakich nawet nie ma pojęcia. Przepraszam za to porównanie... - dodała.

Stały w ciszy i patrzyły na psa, który teraz złapał swój patyk i wracał do brzegu.

- A co z Idą Marie? Myślisz, że ona też to przeżyje?

- zapytała Anne.

Dicte zawahała się, ale skinęła głową.

- Tak. Człowiek walczy. Trzyma się pazurami, a kiedy nadchodzi najgorsze, podejmuje walkę.

- Ale czy ona wygra? Czy dostanie Martina? Czy on żyje? To chyba jest teraz najważniejsze. Wszystko inne może poczekać.

Anne poczuła, że Dicte ją obejmuje. Jej ramiona wyciskały z niej powietrze. Stały tak przytulone, kiwając się w przód i tył.

- W przeciwnym razie nic nie miałoby sensu - wyszeptała Dicte do jej ucha i dodała z przekonaniem:

- On żyje. Jestem tego pewna. Policja nie jest przekonana, ale ja to czuję. Nie porywa się noworodka, żeby go zabić, ale po to, żeby dać mu wszystko to, czego nie dało się komuś innemu.

- Skąd jesteś taka pewna?

Dicte puściła ją. Stała z podniesionym kołnierzem i przyglądała się psu. Wyglądała, jakby płynęła na wietrze.

- Bo wiem, jak ona myśli. -Ona?

Dicte uciekła wzrokiem. Intensywnie wpatrywała się w czubek swojego buta, który, chrzęszcząc, malował na żwirze wzór.

- Matka, która zostawiła swoje dziecko w rzece.

Oczywiście nie pojmowała tego w pełni świadomie, ale mimo wszystko to było jak nagłe oświecenie. Pojawiło się wieczorem po rozmowie z Wagnerem. Po tym, jak dopadł ją zły nastrój i jak w końcu zadzwonił Bo, przeprasząc i mówiąc, że spotkają się następnego dnia. Będzie mógł się wyrwać na kilka godzin, bo przyjedzie mama Evy, więc wpadnie i zobaczy... co to było? Rurę czy kaloryfer albo coś jeszcze innego. Jego głos nabrał niezobowiązującego tonu, jakby traktował to, co się między nimi wydarzyło, jak mało znaczący szczegół.

Była na to przygotowana. Mało znaczący szczegół. W końcu przecież nie było to nic więcej. Erotyczna przygoda dorosłych ludzi. Chwilowe wzajemne przyciąganie. Coś, co na pewno można przypisać jakiejś reakcji chemicznej w ich mózgach, która spowodowała to irracjonalne, zupełnie absurdalne zachowanie, które do niczego nie prowadziło.

Nie, to drugie było gorsze do wytłumaczenia. Morderstwo dziecka. Dwójki dzieci. I więcej. To niemożliwe. To zbyt straszne, żeby mogło zmieścić się w głowie.

Myślała o tym, gdy wracała ze Svendsenem do domu po spacerze z Anne. O tym i o wiadomości od Anne. To było zbyt wiele do zniesienia, ale musiała dać radę. Trochę pomagał fakt, że doszła do jakiegoś logicznego wniosku w związku ze zniknięciem Martina. Tak czułaby się właśnie matka, która opuściła własne dziecko, bo nie widziała innego wyjścia. Tęskniłaby. Tak mocno chciałaby przytulić do siebie dziecko, dać mu jeść, pocieszać i tulić. Czułaby pokusę na widok każdego dziecka - żeby je wziąć ze sobą. Tak po prostu. Traktować jak swoje.

Kiedy Bo w końcu zjawił się wieczorem, opowiedziała mu o spotkaniu

z Wagnerem i o swojej teorii. Zmienił żarówki w lampach na podwórku i nasmarował zamek do drzwi wejściowych. Wypili razem prawie całą butelkę wina, zjedli lasagne. Pilnowali swoich spojrzeń i ruchów, bo żadne z nich nie chciało przyznać, że popełnili błąd i pozwolili ciału kierować mózgiem. Od tej pory będzie inaczej - pomyślała Dicte. Zostaną dobrymi przyjaciółmi, czyż nie tak się mówi?

- Wiem, że policja ma inne zdanie - powiedziała. - Wagner boi się, że po Arhus grasuje seryjny morderca noworodków, ale przecież nie ma żadnej podstawy, żeby tak myśleć.

Bo odłożył nóż i widelec i odsunął od siebie pusty talerz. Widziała, że myślał. Badał ją spojrzeniem.

-Byłoby super, gdybyś miała rację - powiedział w końcu - ale trudno wierzyć w dobro, gdy wokoło dzieją się takie rzeczy.

Wzięła głęboki wdech.

- Wyobraź sobie zdesperowaną osobę. Młodą kobietę w wieku Rose. Jednocześnie dziecko i dorosła. Z jakiegoś powodu, czy wynika to z religii, czy z czegoś innego, wydaje jej się, że nie może zatrzymać swojego dziecka, więc zostawia je w rzece i ma nadzieję, że ktoś znajdzie je żywe. Potem jednak żałuje. Czyta w gazecie, że dziecko zmarło. Tęsknota za nim doprowadzają do szaleństwa. Myśli równocześnie racjonalnie i nieracjonalnie.

-I kradnie komuś dziecko? - Nie wyglądał na przekonanego.

- Tak się właśnie myśli, Bo. Niektóre kobiety zareagowałyby w ten sposób - poprawiła się.

Ale on nie rozumiał. Widziała, że skłaniał się bardziej do zdania Wagnera. Jeśli w ogóle miał jakieś zdanie.

- A co z groźbą na czole drugiego dziecka? - zapytał. - Jeżeli to nie jest dowód, że mamy do czynienia z seryjnym mordercą, to ja już nic nie wiem.

Nagle poczuła, że jego oczy dokładnie badają jej twarz.

- Tylko dowody i dowody. - Wstała. Zaczęła sprzątać ze stołu. - Ktoś mógł się podszyć. Może to był fałszywy trop?

Jego głos dobiegł ją, gdy wносиła talerze do kuchni.

- Dlaczego tak myślisz? - dziwił się. - Jak w ogóle doszłaś do takiego wniosku, Dicte? Może potrafisz czytać kobietom w myślach?

Przyniósł formę z lasagne, wyjął folię aluminiową i przykrył to, co zostało. Odwrócił się i bez skrepowania przyglądał się jej badawczo.

- Co się z tobą stało? Ty, zawsze taka racjonalna. - Podeszedł do lodówki i chciał wstawić lasagne, ale nie było miejsca. Zaczął przestawiać plastikowe pudełka z resztkami jedzenia. - Musisz patrzeć na fakty - naciskał. - Ślady. Dowody. - W końcu udało mu się wcisnąć formę. Zamknął lodówkę i odwrócił się do Dicte. | A fakty wskazują na szaleńca - powiedział z naciskiem. - Na kogoś, kto chce zabijać.

Wzięła gąbkę i zaczęła zmywać szklanki, których nie można myć w zmywarce. Machnął ręką. Wyglądał niemal na zrozpaczonego. Nagle dotarło do niej, że tutaj nie chodzi tylko o sprawę uprowadzonego dziecka. Tu chodzi również o nich. O jego niepewność, o to, że jej nie rozumie. Nie zna.

- Oświeć mnie - zmienił temat.

Patrzyła na niego. Wycierała kieliszek suchą ściereczką, aż piszczało.

- Co ty takiego ukrywasz? Kim jesteś, Dicte Svend-sen?

Zadał to pytanie z teatralną przesadą, jakby stał na scenie i recytował

monolog Hamleta. Odpowiedziała mu w ten sam sposób. Trzymała kieliszek przed sobą, jakby był czaszką biednego Yoricka. Odśpiewała swoją odpowiedź.

- Jestem sobą. Dicte. Dziennikarką z bożej łaski i woli Kaisera. Właśnie się rozwiodłam. Mam nastoletnią córkę, która za chwilę wyruszy w świat i romans z żonatym facetem, który umie wszystko naprawić i który zadaje mi dziwne pytania, chociaż sam powinien mi powiedzieć, co chce zrobić ze swoim życiem. Amen.

Śmiał się. Machnęła w jego kierunku ścierką i odwróciła się, żeby wylać wodę z miski i wytrzeć stół. Poczula na swojej talii jego dłonie.

- Co jeszcze chcesz wiedzieć? - zapytała beztrąsko. - A zresztą, co moje osobiste życie ma wspólnego ze sprawą?

Powiedziała to odwrócona do niego plecami. Miała nadzieję, że zabrzmiało to wesoło, ale on złapał ją mocniej i obrócił do siebie. Powstrzymywała go, ale nie poczuł tego. Pewnie nie chciał poczuć.

-Wydaje mi się, że całkiem sporo - stwierdził, przyciskając swoje usta do jej ucha. - Może nie bezpośrednio, ale pośrednio. Jest coś w sposobie, w jakim myślisz. Wyciągasz dość dziwne wnioski.

Cholera, ale ten facet ma wewnętrzny radar. Poczula niepokój w żołądku. Zastanawiała się, czy da radę się wyrwać. Mimo to stała w miejscu ze ścierką w ręce. Gdy położył jej głowę na swoim ramieniu, poddała się. Jakby im było razem, gdyby nie istniała sprawa małego Mojżesza, grafficiarza i Martina? Przez moment chciała, żeby wszystkie problemy zniknęły, żeby zostali tylko oni.

- Nigdy nie wspominasz o swojej rodzinie - powiedział. - Skąd właściwie jesteś?

Już dawno nauczyła się, że atak był najlepszą obroną.

-I kto to mówi? - odparła i na chwilę udało jej się wyswobodzić.

Położyła ścierkę na stole. Poczuła jego brzeg na swoim krzyżu. - Chyba nie jest to nam potrzebne. Wracanie do zamierzchłych czasów i wygrzebywanie spraw sprzed setek lat. - Spojrzała mu prosto w oczy.

Jego łagodność nagle gdzieś zniknęła i znów przyglądał jej się badawczo, bo czuł, że usilnie starała się odwrócić jego uwagę.

-Tak na poważnie - spróbowała. - Chyba wszyscy mamy jakąś historię. A czy ja coś właściwie wiem o twojej? Na dobrą sprawę mógłbyś być potomkiem Hotentotów albo synem seryjnego mordercy. Żyjemy w nowoczesnych czasach, prawda? Po co nam przeszłość, skoro mamy o wiele lepszą teraźniejszość?

Ale on nadal ją trzymał. Wzmocnił chwyt, aż kant stołu zaczął boleśnie wbijać się w jej krzyż. Atmosfera zrobiła się poważna i wiedziała, że tym razem nie uniknie odpowiedzi. Może uda jej się zdobyć chociaż chwilę na zebranie myśli, ale on nie odpuści. Namówi ją. Wykopie to wszystko na wierzch, łopata, szuflą i widłami, a potem ucieknie daleko stąd, aż będzie się za nim kurzyło.

- Jesteś strasznie dziwna. - Pokręcił głową. Puścił ją i pomógł sprzątać. Dziwnie się poczuła, gdy zabrakło go przy niej.

- Dobrowolnie opowiem pierwszy - zgłosił się Bo, z wprawą wycierając stół. - Jeśli dasz mi więcej wina, poznasz moją historię, bo masz rację - powiedział i przeszył ją wzrokiem. - Wszyscy mamy jakąś przeszłość.

Gdy mówił, zastanawiała się, kto o tym wie. Czy, tak jak ona, trzymał to w sobie i wtajemniczył tylko kilka osób. Może swoją żonę. Dokładnie

tak jak ona zaufała tylko Torstenowi, wtedy, kiedy poznali się na psychologii i miłość pomogła im to wytrzymać. I Anne, oczywiście tylko w pewnym stopniu, bo Anne też dawała coś od siebie.

Może nigdy o tym nikomu nie powiedział? Może pierwsza znalazła się w jego krainie? To właśnie to - pomyślała. Dla nich obojga. Kraina, która nie była ani przeszłością, ani terażniejszością. Tworzył ją ciąg wydarzeń doświadczonych przez jedną osobę. Kraina, która istniała tylko w wewnętrznym świecie snu i rzeczywistości. Jak duch, który nigdy nie znalazł spokoju.

- Moi rodzice rozwiedli się, kiedy miałem dziesięć lat - zaczął, gdy siedzieli w pokoju, zachowując bezpieczną odległość. On na kanapie. Ona na fotelu.

- Mam dwójkę rodzeństwa. Ja jestem najstarszy. - Podniósł kieliszek do ust, ale zauważyła, że wina nie ubyło.

- Tego dnia zaczęło się piekło - powiedział trzeźwo.

- Wtedy, kiedy mój ojciec zniknął z naszego życia. Nie żeby wcześniej było różowo, ale jednak był.

Słuchała. To była historia o niezrównoważonej emocjonalnie, dręczonej przez nałóg matce i najstarszym dziecku, które przejęło odpowiedzialność za rodzinę.

Historia, którą tak często się słyszało. Właściwie nic niezwykłego, ale może dlatego, że to on ją opowiadał, że był taki skoncentrowany i że poznała, co go ukształtowało, poczuła jak ją dotknęła. Coś w niej poruszyła. Poprzestawiała jej uczucia. Manipulowała nią i sprawiła, że Dicte chciała mu powiedzieć rzeczy, które postanowiła kiedyś zachować tylko dla siebie.

-Czasami była całkiem normalna - wspominał.

- Wydawało się wtedy, że nie dzieje się z nią nic złego. Piekła bułeczki, robiła gorącą czekoladę, pachniała domem i wypiekami. Czasami wracała z pracy, rzucała torebkę i zabierała nas do kina, ale to się zdarzało bardzo rzadko - powiedział. - Przez resztę czasu to ja musiałem się o wszystko martwić. - Wykonał bezradny gest.

- Ktoś przecież musiał wyprawić maluchy do szkoły, zrobić kanapki, odrobić z nimi lekcje, wstawić pranie, posprzątać, żeby w domu nie było bałaganu - obniżył głos i odstawił kieliszek - wyrzucać do śmietnika puste butelki, pakować je dobrze w papier, żeby śmieciarze się nie czepiali. - Uśmiechnął się blado. - Pozbywać się dowodów.

Siedziała całkowicie cicho. Chciała podejść do niego, ale chyba nie potrzebował teraz pocieszenia. Pochylił się.

-Może myślisz sobie, że to historia, jakich wiele - powiedział - że wcale nie jest taka nadzwyczajna. Rozumiem, ale nie wie się tego, kiedy się jest dzieckiem. Kiedy myśli się, że wszyscy inni mają normalne życie. Kiedy marzy się o tym, żeby mieć dom taki, jak mają inni koledzy.

Normalne życie rodzinne. Z urodzinami. Ze świętami. Z prezentami, radością i rozpieszczaniem. Pamiętała to marzenie. Miała takie samo. Patrzyła na swoich kolegów ze szkoły i próbowała im nie zazdrościć.

Przygotowywała się do każdych urodzin, do każdego święta, bo zawsze kończyły się rozczarowaniem.

- To właśnie mam na myśli - dodał cicho. - Przeszłość nas kształtuje i ma dla nas duże znaczenie.

Znowu podniósł kieliszek. Trzymał go w dłoni, ale nie pił. Kręcił nim, jakby był kryształową kulą, w której Bo widział przyszłość.

- Mój ojciec był fotografem - powiedział. - Dużo czasu zajęło mi zaakceptowanie tego, że mam takie same zainteresowania. Nie chciałem być taki jak on.

- Jaki? - zapytała nieśmiało.

- Nieodpowiedzialny. Właściwie nigdy nie było go w domu - wyjaśnił.

- Myśleliśmy, że to dlatego, że nas nie lubił. Dopiero później odkryliśmy, że to przez naszą mamę. I przez to, że nie potrafił nigdzie zagrzać miejsca.

Oczywiście. To było to.

-I odziedziczyłeś to - stwierdziła.

Przytaknął.

- Można próbować z tym walczyć - powiedział - albo to zaakceptować i tak ułożyć swoje życie, żeby za bardzo nie krzywdzić innych.

- Chodzi o twoją żonę? Pokręcił przecząco głową.

- O dzieci. Dla mnie i dla Ewy jest już za późno. Poczwała bezwstydną ulgę. Opróżniła kieliszek. Nie mógł zagrzać miejsca. A niech to. Jeśli chodziło o nią, to na nic zdawało się uciekanie od tego, co ją męczyło.

- Ale każdy dochodzi do takiego wniosku, że to, co ze sobą niesie, będzie miało na niego wpływ przez resztę życia - mówił to jakby do siebie.

- Nie można tak po prostu od tego uciec, nic nie przestaje istnieć tylko dlatego, że się to ukryje. - Spojrzał na nią, jakby chciał zapytać, czy go rozumie. Przytaknęła. - Obiecałem sobie, że moje dzieci nigdy nie przeżyją rozwodu - powiedział po chwili. Popatrzył na nią. Ostrożnie. Jakby wysyłał przez szerokość stołu jakąś sondę. - Ale ostatnio pomyślałem, że to chyba nieuniknione. Mimo wszystkich pięknych obietnic, które sobie składałem.

Wstała. Usiadła obok niego. Wiedziała, że to już, że nigdy nie

nadejdzie lepszy moment.

- Mamy ze sobą wiele wspólnego - powiedziała po chwili. - Może nie na pierwszy rzut oka, ale w środku - zawahała się, bo nie wiedziała, w jaki sposób mówiło się o takich rzeczach. - Marzenie o normalności - dodała.

Położył rękę na oparciu kanapy. Poczwała, jak bawi się kosmykiem jej włosów. Oparła głowę o jego dłoń. Nie wiedziała, jak ma zacząć. W końcu wzięła przykład z niego, zaczęła od przełomu.

- Kiedy miałam dziewięć lat, mój świat uległ całkowitej zmianie - powiedziała. - Nagle nie wolno było obchodzić urodzin i Bożego Narodzenia, dawać prezentów, bez powodu odwiedzać babci, bawić się z kuzynami, z kolegami z klasy... Ponieważ oni wszyscy byli potępieni. Wszyscy mieli zginąć w krwawej bitwie.

- Krwawa bitwa? - zapytał. - Ale jaka?

- Armagedon - wyszeptała. - Sąd Ostateczny.

W sobotę padał deszcz.

Anne siedziała przy oknie w kuchni i patrzyła, jak Woda spływa po szybie. Miała wrażenie, że znajduje się w łodzi podwodnej, która właśnie wynurza się na powierzchnię. Tak też się czuję - pomyślała, malując krzyżyk na zaparowanej szybie - jakby ktoś wrzucił mnie na głęboką wodę, a ja walczę, żeby się wydostać.

Była sama. Na własne życzenie - bo ciężko jej było wytrzymać z Andersem, a gdy była w pobliżu Jacoba, łzy cisnęły się jej do oczu. Jeszcze nie wiedziała, co powinna zrobić i jak. Czy mogła przejść przez to w pojedynkę, bez wtajemniczenia rodziny, i czy miała na to odwagę.

Pomyślała o Idzie Marie. Tak bardzo chciała z nią porozmawiać, ale bała się spotkać z odmową, której była niemal pewna. Nie mogły się jeszcze spotkać. Może później, ale na pewno nie tu i teraz. Widocznie tak to właśnie było, gdy życie wywracało się do góry nogami. Nie zawsze i nie z każdym można było stanąć twarzą w twarz.

Po spacerze z Dicte piątek włókł się niemiłosiernie. Pojechała na koncert w Musikhuset, chociaż był to spory wysiłek. Trudno jej było rozmawiać ze znajomymi, których spotkała. Z żonami i mężami innych muzyków oraz wspólnymi znajomymi jej i Andersa. Był też oczywiście Anders, który po koncercie pękał z dumy i chciał wyjść na piwo, zwłaszcza, że Jacob został u babci i mieli trochę czasu dla siebie. Pojechali do Latinerkvarteret, zaszli do kilku kawiarni. Ani Jorden, ani Englen z hałaśliwym tłumem i z o wiele za głośną muzyką za bardzo się jej nie spodobały i nie pomógł ani jeden, ani nawet dwa kieliszki wina. Siedziała naprzeciwko Andersa, jego kolegów, ich żon i dziewczyn, nie mając

pojęcia, co ma powiedzieć, podczas gdy on w pełni szczęśliwy gadał jak najęty o tym, jak wspaniale udał się koncert, jaki świetny był dyrygent, podobnie zresztą jak na próbach, i dźwięk. Dźwięk w drugiej części, tak pięknie frazowany, transparentny, całkowicie nieziemski..• Była na niego zła, dlatego że siedział tam, był taki beztroski i interesowało go tylko piękno. Zastanawiała się, czy on kiedykolwiek będzie zdolny pokochać jej ciało po tej operacji, czy ona sama będzie potrafiła je zaakceptować. Być z niego dumna. Czy poczuje się znów silna, czy będzie chciała podobać się mężczyznom. Bo przecież kiedyś miała na nich apetyt.

Gdy tak siedziała przy oknie, wyciągnęła rękę i na zaparowanej szybie narysowała serce. Takie ze strzałą. Potem dorysowała kropelki wypływające z miejsca, w którym wbiła się strzała. Krew - powiedziała w duchu Anne i wiedziała, że musi się uwolnić od czarnych myśli, zanim w nich utonie. Wydostać z głębin na powierzchnię.

Kiedy zadzwonił telefon, nadal siedziała. Nie zdążyła przesunąć się ani o centymetr, nawet w myślach. Zastanawiała się, czy powinna go zignorować. To pewnie Anders, który pojechał do Viborg ćwiczyć do kameralnego koncertu. Powie, że się przeciągnęło, mimo że to sobota, i że wróci do domu późno. Leniwie wstała. Jeszcze się nie wykąpała i chodziła w starym dresie. To był przecież jej dzień. Nie miała w planach z nikim się spotykać. O tym też myślała, podnosząc słuchawkę.

- Halo?

- Anne? Co się stało? - w słuchawce usłyszała ciepły głos Torstena.

- Dlaczego pytasz?

- Brzmisz zupełnie obco. Jak się czujesz?

Zadał jedno jedyne pytanie. I to zresztą takie, które często mówi się

automatycznie, nie oczekując nawet szczerzej odpowiedzi, jednak w głosie Torstena była troska i to wystarczyło. Łzy przecisnęły się przez gardło, wydostały na zewnątrz i zmieniły w bezsłowne łkanie.

- Anne, o Boże, jest aż tak źle? Gdzie jest Anders? Był zmieszany, ale nie bezradny. Postarała się zapanować nad swoim głosem.

- Jest w Viborg. A ty?

- Tu, w Arhus - powiedział wesoło. - Chciałem zapytać, czy wasza oferta jest jeszcze aktualna. Jeśli tak, to zajrzałbym do was.

- Żeby przenocować? - usłyszała panikę w swoim głosie.

-Nie... wynająłem pokój w Ritzu. Nie przyjechałbym przecież tak znienacka, ale może moglibyśmy się spotkać?

- Teraz?

Przez chwilę milczał. W tle słyszała dźwięk zapowiadający wiadomości na CNN. Świat puzzli, haftów krzyżkowych i zwyczajnej nudy umarł. Jeśli nie miało się żadnego pomysłu na spędzanie czasu wolnego, wystarczyło włączyć telewizor.

-W poniedziałek mam wykład w Wyższej Szkole Dziennikarstwa. Liczyłem też na to, że w weekend zobaczę się z Rose - powiedział. - Wiesz, chciałem jej zrobić niespodziankę. Ale Dicte mówi mi, że dziecko ma chłopaka - teraz z kolei on wydawał się bezradny, a w jego głosie wyczuwało się jakąś dziwną troskę.

-I siedzisz tam teraz sam?

Bardzo dobrze wiedziała o tym, że Torsten nienawidził być sam. Był mężczyzną, który uwielbiał towarzystwo i żywe rozmowy wsparte gestykulacją, dobre cygaro, kieliszek koniaku i południe w grupie dobrych przyjaciół. Wtedy był w pełni szczęśliwy.

- Na to wygląda - przyznał. - Co powiesz na obiad w mieście, skoro tak siedzimy, sami jak te palce, a pogoda nie nadaje się na spacer po Tivoli?

Oczywiście ani przez moment nie pomyślał o Jaco-bie, a przecież mógł być w domu. Egoizm? Może raczej bezmyślność. Poza tym rzeczywiście była sama. I właśnie tego chciała.

-Nie jestem dziś najlepszym towarzyszem - powiedziała. - Poza tym Tivoli jest zamknięte o tej porze roku.

Roześmiał się. Przypomniała sobie jego śmiech, tak samo jak wtedy w kinie przypomniała sobie jego uścisk. Z pewnością był pod wieloma względami draniem i, według Dicte, psem na baby. Ale nikt na całym świecie nie potrafił tak jak Torsten poświęcić komuś tyle uwagi, że czuło się jak prawdziwa gwiazda.

-Zawsze jesteś dobrym towarzyszem - powiedział szarmancko. - Nawet wtedy, kiedy jesteś smutna w deszczowy dzień.

Anne wzięła kąpiel. Potem stanęła przed dużym lustrem zawieszonym w sypialni i studiowała swoje ciało. Nadal była piękna. Miała twarde mięśnie i gładką skórę, mimo że specjalnie o to nie dbała. Zdawała sobie sprawę ze swojej kwadratowej budowy ciała. Nogi też nie były tak długie i zgrabne jak Idy Marie czy Dicte, tylko krótkie i trochę za grube. Nigdy nie miała dobrze wyrzeźbionej talii; tułów krótki i wąskie biodra. Całość była jednak proporcjonalna, brzuch nadal płaski, a piersi jędrne. Może dlatego, że nigdy nie były zbyt wielkie, tylko takie jak u nastolatki.

Lubiła je. Wzięła je w dłonie, podniosła, tworząc rowek. Obróciła się bokiem do lustra i wciągnęła brzuch. Jak będzie wyglądać po operacji? A jeśli najbliższe dni są ostatnimi, kiedy może stać przed lustrem i cieszyć się tym, co widzi? Może musi nacieszyć się teraz swoim ciałem, zanim

będzie za późno?

Ubierała się starannie. Przymierzyła kilka kombinacji z džinsami, swetrami i różnymi topami pod spodem. W końcu zdecydowała się na mały czarny obcisły top pod krótkim rozpinanym sweterkiem i na to długą skórzaną kurtkę.

A może wcale go tam nie ma? - pomyślała, ostatni raz przeglądając się w lustrze. -Może się pomylili i nie ma tam żadnego raka? Takie rzeczy się przecież zdarzają, prawda?

Kawiarnia Ritz na placu Banegardspladsen już dawno została przerobiona na Burger Kinga, spotkali się więc w odrestaurowanej kawiarni Carlton na Pustervig. To ona ją zaproponowała. Przynajmniej nie było to jedno z tych miejsc, gdzie przychodziła z Andersem. Nie do końca wiedziała dlaczego, ale tak musiało być. Coś nowego.

- Wyglądasz fantastycznie.

Słyszając ten komplement, poczuła łyzy w oczach. Szybko zamruwała, ale on i tak je zauważył, a może zwrócił uwagę na wyraz jej twarzy.

- Powiedziałem coś nie tak?

Nie chodziło o to, co powiedział. Nawet w tej sytuacji, gdyby powiedział to ktoś inny, nie wywołałoby to u niej takiej reakcji. Chodziło o sposób, w jaki to powiedział. Jakby naprawdę tak myślał i martwił się o nią. Myślał o niej.

- To nie twoja wina. - Pociągnęła nosem.

- Chodź, pomogę ci zdjąć kurtkę.

Podszedł do Anne i powiesił jej ubranie na wieszaku. Znaleźli stolik przy oknie, skąd mogli obserwować ludzi przechodzących obok. Od elegancko ubranego kelnera dostali menu.

Czy to jest nie w porządku? - zastanawiała się, czytając kartę dań i ukradkiem go obserwując. - Czy to jest nie w porządku wobec Dicte, jeść obiad z jej byłym mężem? Odsunęła od siebie te myśli. Poczwała, że w tym momencie może skupić się tylko na sobie. Może zadziałał ten sam mechanizm co u Svendsena? - Anne przypomniała sobie, co Dicte mówiła o instynkcie pływającego psa.

- Powiesz to w końcu, czy mam to z ciebie wyciągać?

- Czy co powiem? - Spojrzała na niego zaskoczona.

- Co cię tak męczy? Co sprawia, że pociągasz nosem i łkasz, za każdym razem, kiedy się odezwę -jego głos był wesoły, ale spojrzenie zdystansowane, wyczekujące.

- To nic takiego. Zapomnij o tym.

Gdy to powiedziała, wiedziała, że popełniła błąd. To nie brzmiało jak coś, co można było pospiesznie zamieść pod dywan. Sprawiał wrażenie, jakby szukał czegoś w karcie. Nałożył okulary. Spadały mu trochę z nosa. Spojrzał znad nich na nią. Uśmiechnęła się.

- O co chodzi? - spytał zdekoncentrowany. Osłupiała. Jak mogła siedzieć tu i śmiać się, kiedy była przecież smutna i może miała wkrótce umrzeć?

- O nic. To przez te okulary. I przez ciebie.

Pochylił się nad stołem. Zdecydowała się mu powiedzieć. Może dlatego, że to był on i że go znała, a jednocześnie był trochę obcy, więc czuła między nimi dystans. Może dlatego, że sprawiał, iż dobrze się przy nim czuła. A może dlatego, że musiała to z siebie wyrzucić i przyznać, że duszenie tego w sobie nie miało sensu.

- Mam raka.

Szukał jej spojrzenia. Nie wydawał się ani wstrząśnięty, ani zdziwiony i zaczęła się zastanawiać, czy Dicte mu powiedziała, choć w gruncie rzeczy w to nie wierzyła. On po prostu taki był. Trudno go czymś zszokować.

- Posłuchaj, co zrobimy - powiedział po przerwie.

- Zjemy dobry obiad i miło spędzimy czas. A potem pójdziemy gdzieś, może do mnie na górę. - Neutralnie, niezobowiązująco podniósł jej dłoń, która leżała na stole, po koleżeńsku, bez żadnych podtekstów, po prostu ze zrozumieniem. - I porozmawiamy. Tak po prostu. Bardzo staroświecko.

OK?

Skinęła głową. Czowała się przy nim bezpiecznie, przy tym mężczyźnie, który potrafił przejąć dowodzenie. -OK.

Było tak jak powiedział. I coś więcej.

Potem chciała się wstydić, ale nie mogła. Ponieważ nie czuła więcej strachu, a przynajmniej nie tego oślepiającego, wywołującego panikę. Oczywiście nadal się martwiła. Operacją i tym, jak powinna powiedzieć o chorobie Andersowi. Jednak lęk przed śmiercią, strach przed rozplynięciem się w powietrzu tak po prostu, pif-paf, zniknął.

Gdy potem spojrzała na zegarek, zrozumiała, że minęły tylko trzy godziny. Rzeczywiście rozmawiali bardzo długo. O życiu, o śmierci, o małżeństwie, wierności, macierzyństwie i rodzinie. Aż była nasycona. Potem opowiedziała o swoich przemyśleniach. O chorobie i operacji, o tym, jak bardzo była niepewna przyszłości, a on słuchał. Tylko tyle. Słuchał, trzymał ją za rękę, nigdzie się nie spieszył i nie myślał o sobie. Pomyślała, że być może był draniem i kobieciarzem, i że miał jakiś cel w tym, że siedział z nią i wszystko rozumiał. Tu i teraz jednak, w tym

momencie, był dokładnie tym, kogo potrzebowała.

Instykt - przyszło jej znowu do głowy, gdy skończyły się słowa i oboje wiedzieli, co się dalej wydarzy.

- Wyłącznie walka o przetrwanie - myślała, kiedy on całował jej ramiona i szyję i szukał drogi miękkimi ustami, a czarny top znalazł się na podłodze. I gdy poddali się, szli do łóżka, a reszta ubrań fruwała na prawo i lewo.

- Anne, do cholery - powiedział cicho, przyciskając usta i wąsy do jej ucha. - Uwiodłaś mnie.

Czy to właśnie zrobiła? Uwiodła go? Jeśli tak, to było to tak dawno, że już nie pamiętała. Ale czuła się dobrze, coraz lepiej.

Myślała o tym, gdy już w niej był i mocnymi pchnięciami wysyłał jej ciało na szczyt. Gdy już go osiągnęła, była zdyszana, ale w każdej komórce czuła pulsujące życie. Oczywiście, trwało to tylko chwilę. Kilka sekund niebiańskiej przyjemności na szczycie, ale zapamięta to. Każdą sekundę, kiedy tam leżała. Zapamięta, że wypełniła się życiem.

Kiedy wróciła do domu, Andersa jeszcze nie było. W pośpiechu przebrała się i wzięła kąpiel. Ciuchy wrzuciła do kosza z praniem. Usiadła przy kuchennym stole z filiżanką herbaty, ubrana w kaptur i szlafrok z frotte i poczuła, że wypełnia ją ciepło. Wróciła myślami do ich spotkania, ale obrazy nie chciały przyjść. Zamiast nich nadeszły słowa. Urywki rozmowy, którą prowadzili przed tym, kiedy wszystko sprowadziło się do ciała. Przed uwodzeniem, ktokolwiek przejął inicjatywę.

Pomyślała o Dicte i po raz pierwszy poczuła niepewność. Rozmawiali też i o niej. O Torstenie i jego małżeństwie z Dicte, mimo że właściwie nie chciała tego słuchać. O tym, że chyba znali się za dobrze, jak to wyraził

Torsten.

- Za dobrze? Ale co masz na myśli? - zapytała. Westchnął.

- Po prostu widzę, że ona jest bliska tego, żeby zbłądzić - powiedział. -

W pewien sposób stracić orientację - to brzmiało zupełnie wariacko.

- Jak to?

Machnął ręką, trochę roztargniony.

- Cała ta historia z dzieckiem z rzeki, a teraz jeszcze chłopczyk Idy Marie. To wszystko miesza jej w głowie. Słyszałem to w jej głosie, kiedy do niej zadzwoniłem. Jest strasznie zagubiona.

- A co to ma wspólnego z tym, że znacie się za dobrze?

Zauważyła na jego czole zmarszczkę. Oznaczała zmartwienie.

Przypuszczała, że ten grymas nie pojawiał się tam często, ale w tej sytuacji tak - gdy mówił o Dicte. Przez chwilę poczuła ukłucie. Zazdrość?

Zwariowała?

- Dlatego, że widzę, że ona za bardzo się angażuje - powiedział nieśmiało. - Przecież ją znasz, Anne. Znasz jej przeszłość.

Patrzył na nią pytająco. Zastanawiała się, ile jeszcze nie wie o swojej przyjaciółce.

- Jeśli masz na myśli to, że wieki temu należała do świadków Jehowy, to oczywiście, o tym wiem. Poza tym to było przez jej rodzinę, rodziców.

- Anne szukała potwierdzenia w jego oczach. - Dicte się przecież zbuntowała, prawda? Uciekła z domu, kiedy miała szesnaście lat. Krótka po tym trafiła do naszej klasy. Przez pewien czas mieszkała w rodzinie zastępczej. Państwo się nią zajęło.

Skinął głową.

- Co więcej wiesz? Gapiła się na niego.

- To jeszcze mało? Co więcej miałabym wiedzieć? Wlepił wzrok w sufit, jakby było tam coś niesamowicie interesującego. Potem wyciągnął rękę i przyciągnął ją do siebie. Jego spojrzenie stało się głębokie, intensywne i wywołało motyle w brzuchu.

- Wydaje mi się, że mnie podrywasz, Anne - powiedział łagodnie. - Że zdecydowałaś się mnie uwieść.

W tamtej chwili o wszystkim zapomniała. Ale teraz, gdy siedziała przy stole w kuchni, jego słowa wróciły. Myślała, że wie o wszystkim i że zna całą historię Dicte, bo przyjaciółka sama ją Anne opowiedziała, kiedy już były sobie tak bliskie, że mogły się sobie zwierzyć. Teraz nie była już tego taka pewna. O czym miałaby jeszcze wiedzieć?

- Na pewno wydaje ci się, że zwariowałam. Siedzisz i myślisz, że w końcu odbiło tej Szwedce.

Dicte nie mieściło się w głowie, jak można być tak chudym - prawie przezroczystym - skoro właśnie urodziło się dziecko. Ida Marie, człowiek-zapałka, siedziała tam i przytulała do siebie bawełnianą pieluszkę Martina. Dicte słyszała wcześniej o ludziach, którzy osiwieli w ciągu jednego dnia, bo spotkało ich coś strasznego. Może można też w ciągu paru sekund osiągnąć wagę modelki?

Chcąc zaprzeczyć słowom przyjaciółki, Dicte pokręciła głową. Siedziały nad filiżanką herbaty. Była niedziela i Ida Marie przyjechała bez zapowiedzi. Powiedziała, że musiała uciec z domu. Od Theisa - pomyślała Dicte. Od napięcia i oczekiwania na to, co się stanie. Wiedziała, że policja założyła podsłuch na Samsogade. Ktoś mógł przecież zadzwonić. Wszyscy czekali, bali się i mieli nadzieję.

-Nie jesteś wariatką - uspokajała. - Biorąc pod uwagę to, przez co w ostatnim czasie przeszłaś, uważam wręcz, że jesteś całkiem normalna.

Ida Marie nie była zadowolona. Zamknięta w sobie, ze zwiniętymi na krześle długimi nogami. Wcisnęła pieluszkę do torebki, która stała otwarta na podłodze, podniosła filiżankę do ust i ostrożnie się napiła.

- JESTEM wariatką. Nigdy w życiu nie wierzyłam w żadnych uzdrowicieli i takich tam. To niepojęte - powiedziała to słowo, jakby było zakażone bakteriami i trzeba było trzymać się od niego z daleka.

Dicte odstawiła filiżankę.

- Nie chodzi mi teraz o reklamowanie mojego byłego męża, ale z tego, co wiem, to w trakcie swojej współpracy z policją miał do czynienia z

wróżką, jasnowidzem, czy jak to się nazywa, którzy okazali się bardzo pomocni.

- Kiedy?

Dicte próbowała sobie przypomnieć, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Znowu bezradnie pokręciła głową.

- To były różne sprawy, ale mogę zadzwonić do Tor-stena. Je z Rose obiad w mieście.

Gdy dzwoniła, Ida Marie wstała i spacerowała w kółko po pokoju, zanim nie zwróciła uwagi na konewkę. Wtedy wyszła do kuchni, nalała do niej wody i zaczęła podlewać kwiatki. Chciała się czymś zająć, nie mogła siedzieć beczynn timer.

Głos Torstena był dziwnie zachrypnięty. Jakby imprezował całą poprzednią noc, możliwe zresztą, że właśnie to robił. W każdym razie był bardzo rozczarowany tym, że Rose nie czekała zwarta i gotowa na spotkanie z nim. Dicte też nie czuła się w obowiązku zapraszać go do siebie, gdy zadzwonił. Teraz mógł przynajmniej wyjaśnić parę spraw, które ona mogła przekazać dalej Idzie Marie.

- Przed paroma laty zginęła w Kopenhadze dziewczynka - powiedziała później Idzie Marie. - Szukali jej w tym domu, gdzie mieszkała, ale nie mogli znaleźć. Zapytali jasnowidza, który stwierdził, że dziewczynka znajduje się w piwnicy, a oni po prostu nie znaleźli odpowiedniego pomieszczenia, w którym leży.

Ida Marie skinęła powoli głową. W jej głos wkradła się panika.

- Leżała w piwnicy. Pamiętam to. Została zgwałcona i uduszona.

Dicte westchnęła w myślach. To chyba nie był najlepszy przykład.

- Ale z Martinem to coś innego - powiedziała szybko. - To zupełnie

inna sprawa.

Ida Marie znowu kiwnęła głową. Mechanicznie.

- Jak ci się wydaje, co Anne by na to powiedziała? Mam na myśli to z wróżką.

Po raz pierwszy w ich rozmowie padło imię Anne. Dicte czekała chwilę na dalszy ciąg, ale nie nadchodził.

- Możesz przecież sama ją zapytać - powiedziała po chwili.

Ida Marie wpatrywała się w filiżankę. Dicte zastanawiała się, czy nie powiedzieć jej o chorobie Anne, ale wtedy Ida Marie podniosła wzrok i Dicte zauważyła łzy spływające jej po policzkach. Pomyślała, że to nie jest najlepszy moment. W tej chwili nie powinno spadać na nią więcej nieszczęść.

- Może nie dzisiaj - powiedziała cicho Ida Marie. -Może później.

Dicte pochyliła się w jej stronę. Przyszło jej do głowy, że może w rzeczywistości dlatego Ida Marie do niej przyszła. Z powodu Anne.

- Jest załamana, obwinia się. Czy to nie wystarczy? Ida Marie obracała w dłoni filiżankę. Odstawiła ją na spodek, po chwili zmieniła zdanie, podniosła ją do ust i napiła się herbaty.

- Może - odparła. - A może to w głównej mierze moja wina.

Dicte westchnęła. Już miała powiedzieć, że to nie jest niczyja wina, że obwinianie siebie i innych nie doprowadzi do niczego dobrego. Wtedy jednak zauważyła, że Svendsen leży w swoim koszu, trzymając w zębach kawałek białej tkaniny i wesoło nim potrząsa.

- Svendsen, ty niedobry psie! Chodź tu z tym. Wstała. Próbowwała wyrwać mu z pyska pieluszkę

Martina, ale ten trzymał mocno, myśląc, że to zabawa. W końcu udało

jej się zabrać mokrą pieluszkę szczeniakowi i podać ją Idzie Marie.

Svendsen wyszarpał z niej jeden róg.

- Przepraszam.

- Nic się nie stało. Może to ja jestem winna przeprosiny. - Ida Marie uśmiechnęła się pierwszy raz.

Gdy Ida Marie już poszła, dom jakby opustoszał. Niedziela. Najgorszy dzień dla samotnych - pomyślała Dicte i zrobiło jej się żal samej siebie. Rose była z ojcem. Bo pewnie z rodziną. Anne miała mimo wszystko Andersa. Może powinnam trochę popracować? - zastanawiała się Dicte. - Przepisać na czysto jakieś notatki? Pojechać do redakcji i posiedzieć trochę w tym biurze strachów?

Ale kiedy tak chodziła, nie wiedząc za bardzo, co ze sobą zrobić, Svendsen podjął decyzję za nią. Podbiegł wesoło, machając ogonem, z kawałkiem pieluszki w pysku i z miną wyraźnie zachęcającą do spaceru.

A więc las. Kiedy chodzili dookoła, a Svendsen gonił biegających, strasząc ich na śmierć, jej myśli wróciły do Bo i poprzedniego wieczoru. Miała uczucie, jakby ją rozebrał. Obnażył niemal całkowicie, ostrożnie wyciągając z niej przeszłość. Właściwie to te minione chwile nie były aż tak głęboko pogrzebane. Wydarzenia ostatnich tygodni uchyliły nieco wieko tej trumny. Tak jakby historie wypełniające ostatnie dni - te, o których pisała w gazecie -ożywiły wspomnienia z dzieciństwa.

-Świadkowie Jehowy - powtarzał w kółko, gdy skończyli już rozmawiać o jej dzieciństwie. -Ale co to ma wspólnego z twoją teorią, że to ta sama osoba włożyła dziecko do rzeki i porwała Martina?

Szukała pasującej odpowiedzi. Takiej, która zilustrowałaby, co czuje człowiek, kiedy jego wewnętrzny głos nie zgadza się z tym, co dociera doń

z zewnątrz. Kiedy znajduje się pod presją, bo otoczenie narzuca mu sposób myślenia i czucia. Kiedy jego myśli wywołują w nim wyrzuty sumienia, bo powiedziano mu, że istnieje tylko jeden słuszny sposób rozumowania (reprezentowany przez organizację), z którym jednak on nie potrafi się utożsamić.

- To jak podwójna księgowość - odpowiedziała. - To oczywiście jest tylko moje przypuszczenie. Może intuicja? Po prostu wiem, jak to jest być rozdwojonym w sobie.

- Brzmi trochę schizofrenicznie - powiedział z ciekawością.

- Bo trochę tak jest - potwierdziła. Przypominała sobie to, spacerując ze Svendsenem, który biegał jak szalony pomiędzy drzewkami i krzakami z pyskiem przy ziemi wilgotnej po deszczu. Ten pies jest urodzonym myśliwym. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Musiała zmusić się do wspomnień z dzieciństwa. Tak naprawdę wcale ich nie chciała. Walczyła z nimi tak długo, aż prawie udało się jej zapomnieć. Co takiego powiedział Bo? Że można próbować z nimi walczyć, ale nigdy się od nich nie ucieknie.

I to jest prawda - pomyślała. Nie uciekła. Nigdy jej się to nie udało, mimo że tak głęboko ukryła wspomnienia. Przecież nadal czuła strach przed krwawą bitwą. Niektóre reakcje były całkowicie automatyczne. To narzucony sposób myślenia. Wyrzuty sumienia, kiedy robiła coś, co innym przychodziło naturalnie. Na przykład seks. Pomyślała, że przygoda z Bo była chyba pierwszą w jej życiu, po której zbyt wiele się nie zastanawiała. Wcześniej zawsze miała jakieś hamulce. „Ręce na kołdrę” - mawiała jej matka i sprawdzała to, ganiła za niestosowanie się do zasad. Kierowała ich rodziną, jakby żyli w średniowieczu, a nie w dwudziestym wieku.

Przestrzegła jednego - nie wolno cieszyć się niczym innym niż to, na co pozwala Towarzystwo Strażnica.

Takie historie już się słyszało, tak jak to, co powiedział Bo o swojej rodzinie. To była jedna z takich opowieści, których pełno było w kolorowych tygodnikach: „Moja mama była alkoholiczką”; „Uciekłam od świadków Jehowy”. Miał rację, wiedziało się o tym dopiero z perspektywy czasu. Dla dziecka jednak to nie jest coś, o czym już słyszało i mogłoby potraktować jak interesujące opowiadanie z dreszczykiem. To jego rzeczywistość, nad którą przechodzi do porządku dziennego i pozwala się jej formować. Dopiero później rodzą się pytania.

Svendsen dobiegł do jeziora. Wskoczył do wody w pogoni za wymagowanym patykiem. Poszła za nim. Szukała w kieszeni wysuszonej ryby, którą uwielbiał. Rzuciła ją i przyglądała się, jak po nią płynął. Wyraźnie słyszała, jak węszył, bo nie mógł jej dostrzec. Przypomniała sobie słowa Anne: „Psom to dobrze. Żadnych zmartwień”.

Pomyślała, że nigdy taka nie była w dzieciństwie. Nie po dniu, sprzed ponad trzydziestu lat, kiedy to jej mama i tata zawołali ją i jej siostrę na rozmowę do pokoju. Kiedy powiedzieli, że od tej pory wszystko się zmieni. Będzie bardziej poprawnie. Teraz będą służyć Jehowie i tylko Jemu. Musiały zrozumieć, że to wymagało od nich ofiar. Nie mogły nigdy więcej obchodzić urodzin, bo to zbyt egoistyczne, ani Bożego Narodzenia, to bowiem oznaka próżności. W zamian za to zostaną przyjęte do Królestwa Bożego. „Kiedy nadejdzie Armagedon, a nadejdzie wkrótce, pójdą tam tylko wybrani. Wszyscy pozostali - koledzy ze szkoły, nauczyciele, ci, którzy nie zdążą się nawrócić - zginą w krwawej rzezi Jehowy. I dlatego - opowiadali rodzice - niezmiernie ważne jest, żeby

wyjść i obwieszczać ludziom tę wiadomość. Wyjść i głosić prawdę. Chodzi o to, żeby jak najwięcej ludzi mogło wejść do Królestwa Bożego i ocalało od mąk w dzień Armagedonu".

Nie mogła sama dokonać wyboru. Jej rodzice wybrali za nią i jej siostrę. Dopiero po latach, gdy jej ciało zaczęło się budzić, uświadomiła sobie, że żyje w więzieniu. Było to pociągające, ponieważ dawało poczucie bezpieczeństwa, ale ona miała przecież też swoją drugą stronę. Chciała być taka jak inni. Chodzić na imprezy, nosić miniówki i mieć chłopaka. Przyznała, że nigdy nie miała własnego zdania. Jakby coś zostało w nią wszyte. Mały komputerowy chip, który przez cały czas podpowiadał jej, co ma mówić, myśleć, na co uważać.

Pies wyszedł z jeziora i otrzepał się. Dała mu jeszcze jedną rybkę, ale nie był nią zainteresowany. Zaczął węszyć w pobliskich krzakach. Biegał w tę i z powrotem z podniesionym ogonem, aż w końcu rozległ się gwałtowny trzepot skrzydeł. Z krzewów niepewnie wyleciał bażant i uniósł się nad polem.

- Svendsen! - krzyknęła i pospieszyła za nim, ale pies jej nie słyszał. Pędził jak strzała w kierunku dużego gospodarstwa po drugiej stronie pola.
- Cholera!

Nie miała innego wyjścia, jak ruszyć za nim. Biegła, najszybciej jak mogła, po brzdach na polu. Wołała i wołała, ale szybko straciła zwierzę z zasięgu wzroku.

- Głupi pies!

W końcu znalazła go za jednym z budynków, gdzie, zapomniawszy o bażancie, rozkoszował się zapachem pobliskiej gnojowni. Założyła mu smycz i pociągnęła, chcąc zniknąć, zanim rolnik zdąży się zorientować, że

ma gości.

- Teraz masz się zachowywać porządnie. Idź grzecznie!

Przez chwilę rzeczywiście szedł ładnie. Zanim nie doszli do posiadłości po przeciwnej stronie. Było to trochę mniejsze gospodarstwo, zabudowane z czterech stron świeżo pobielonymi budynkami i dachem ze słomy. O ściany budynku mieszkalnego stały oparte okna. Dicte poczuła mocne szarpnięcie.

- Svendsen, no chodź!

Chciała pociągnąć go za sobą, ale pies skamlał i szarpał. W końcu postanowiła wyjąć z kieszeni jeszcze jedną wysuszoną rybkę, ale nawet to nie pomogło. Pies ciągnął ją z powrotem w kierunku posiadłości.

Odwróciła jego uwagę, dopiero gdy zaczęła biec w stronę lasu. Gdy minęli jezioro i doszli do dużej łąki pośrodku lasu, spuściła go znowu ze smyczy. Rzucił się do zabawy z foksterierem i labradorem, zapominając o gnoju i bażantach.

Stojąc tak i przyglądając się zabawie psów, wróciła myślami do rozmowy z Bo.

-No dobra, ale jak udało ci się wyrwać od tych świadków? - zapytał.

Po raz kolejny szukała dobrej odpowiedzi. Czegoś, co by go zadowoliło, żeby już dalej nie drążył.

- Świadkowie Jehowy nie zachęcają młodzieży do długiej nauki.

Patrząc z punktu widzenia organizacji, najlepiej byłoby, gdyby członkowie stowarzyszenia mieli później pracę, która nie będzie zbyt wymagająca. Wtedy będą mogli poświęcić więcej czasu na nawracanie.

- Nawracanie? Masz na myśli tych młodych facetów w marynarkach, którzy próbują wcisnąć nam „Strażnicę”?

Uśmiechnęła się. Dokładnie to. Przebranie - długie przyzwoite spódnice dla kobiet oraz marynarki i krawaty dla mężczyzn.

-No właśnie. A ja chciałam zdobyć wykształcenie, wyjechać i nauczyć się czegoś.

Patrzył na nią nieufnie.

- Naprawdę? Opuściłabyś swoją rodzinę i bezpieczne otoczenie, żeby zdobyć wykształcenie?

Widziała, że jej nie wychodzi. Musiała dać mu coś więcej. Coś, co zaakceptuje i co było bliskie prawdzie.

- Zakochałam się - powiedziała w końcu.

- Tak myślałem. A kto był tym szczęściarzem? - Pokiwał głową zadowolony.

- Co mamy?

Wydział Kryminalny zebrał się w sali narad. Wagner rozejrzał się po twarzach kolegów. Nie dlatego, że go wybrali na przywódcę, prawda była taka, że wszyscy mieli to samo stanowisko. Taki był system. Wszyscy byli komisarzami. Ponieważ jednak Wagner był najstarszy, reszta oczekiwała, że to on przejmie inicjatywę. I zazwyczaj kończyło się tym, że rzeczywiście to robił.

W ten sposób, mimo tej płaskiej struktury, funkcjonowali najlepiej i mogli coś działać.

- Mamy coś w ogóle? - zapytał.

Ivar K pokręcił głową i powiedział to, co wszyscy z pewnością myśleli:

- Kompletnie nic.

Patrzył na Wagnera niemal wyzywająco i puścił w obieg termos z kawą i bułeczki przyniesione przez Jana Hansena, który miał urodziny.

- Brakuje nam przełomu - kontynuował Ivar K, a Wagner trochę się na niego zdenerwował. Wydawało mu się, że grupa marnowała za dużo czasu na wewnętrzne konflikty, a Ivar K nie był w tej kwestii aniołem. Zaraził innych swoją niechęcią do Jana Hansena z prewencji, a to nie wpływało dobrze na pracę zespołową. Ale bułeczki to jedli...

Petersen chrząknął, ugryzł kawałek i popił kawą.

- Dostaliśmy sporo zgłoszeń po tych artykułach w prasie o wróżce i innych. Odzywają się ludzie, którzy uważają, że widzieli albo słyszeli coś godnego uwagi.

Wagner podziękował w myślach Dicte Svendsen. Udało jej się opisać

sprawę i wypowiedzi wróżki tak trzeźwo, jak tylko można, a jednocześnie z dużym wyczuciem. Przydałaby się nam w drużynie kobieta - pomyślał, zresztą nie po raz pierwszy.

- Jak dużo?

- Mam na biurku około dwudziestu.

- Coś godnego uwagi?

Petersen wzruszył ramionami i zrelacjonował zgłoszenia. Zwyczajne rzeczy, jeśli coś w dzisiejszych czasach można nazwać zwyczajnym - pomyślał Wagner. Tak jak wcześniej przypuszczali, sporo odnosiło się do wróżki, ale, według Petersena, do niczego się nie nadawało. Parę starszych kobiet, które mają za dużo wolnego czasu, zaobserwowało ze swoich okien coś, co wydawało im się podejrzane. Inni widzieli samochody z fotelikami dziecięcymi, które jechały nieostrożnie, i spisali ich numery. Był nawet mężczyzna, który jechał za, jego zdaniem, podejrzaną kobietą i w czasie pogoni zaalarmował przez komórkę policję. Śledzona okazała się być spieszącą do żłobka matką. Kierowca otrzymał reprimendę.

Wagner skinął głową w stronę Arnego Petersena, który był na służbie prawie tak długo jak on.

- Zajmij się tym. Tylko uważaj na nazwiska i adresy - dodał, przypominając sobie sprawę gwałtu sprzed paru lat, kiedy to zawieruszyło się gdzieś nazwisko świadka. - Jeszcze coś? Gdzie jest Hansen?

Okazało się, że War K zrzucił na niego swoje zadanie. Jan Hansen był w tym momencie na górze, gdzie miał przekazać laborantom, że są guzdrałami i partaczami. W dalszym ciągu brakowało wyników analizy porównawczej różnych włókien oraz odcisków palców ze spraw małego Mojżesza i Martina, jak się teraz nazywały. Tak to właśnie jest, kiedy

Kopenhaga i Arhus muszą współpracować - pomyślał rozzłoszczony Wagner. Właściwie nie spodziewał się, że coś z tego wyniknie. Mimo swojego wywodu dla Dicte Svendsen o seryjnym mordercy, wiedział, że było to mało prawdopodobne. Dobry Boże. Przecież to Dania. Prowincja. I tak tutejsi kryminaliści stali się ostatnio bardziej brutalni, ale, mimo wszystko, były chyba jeszcze jakieś granice.

- Eriksen! Jak poszło ze wskazówką od twojego kuzyna?

Eriksen odchrząknął, jakby miał właśnie wygłosić przemówienie z okazji okrągłej rocznicy. Powiódł wzrokiem po wszystkich siedzących, żeby przyciągnąć ich uwagę. Cały Eriksen. W wolnym czasie pisał piosenki na różne okoliczności.

- Nasi koledzy z Ringkobing rozpracowują właśnie sprawę dziecięcej pornografii. Przesłany działali przez Internet - powiedział. - Z tego, co wiem, chodzi również o małe dzieci.

Przyjazny charakter Eriksena widać było w jego błękitnych oczach, które wyglądały młodo i niewinnie, mimo osiemnastu lat przepracowanych w policji. Jego kuzyn pracował w policji kryminalnej w Ringkobing.

- Nawet noworodki - dodał i spojrzał na Wagnera, który poczuł niesmak.

- Będziesz odpowiedzialny za kontakt z Ringkobing. Postaraj się o jakieś nazwiska, przejrzyj, jakie mają informacje. Coś jeszcze?

- Dostaliśmy sporo próśb ze żłobków i przedszkoli o ochronę - powiedział Ivar K. - Co z tym zrobimy?

To było dobre pytanie. Wagner sięgnął po bułeczkę. Był zły na Ivara K, że właśnie teraz dał jubilatowi zadanie.

- Powiedz im, że wyślemy dodatkowe patrole. Spisz wszystkie adresy i zadbaj, żeby widzieli, jak przejeżdżamy obok placówek minimum trzy razy w ciągu dnia. W każdym razie, jeśli chodzi o żłobki, szkoły i przedszkola muszą poradzić sobie same. Nie mamy tyle środków, musimy też ochraniać oddział położniczy w Skejby.

- Czyli zostawiamy tam na razie naszych ludzi?

Pytanie zadał młody Kristian Hvidt. Niedoświadczony - od razu pomyślał Wagner. Był jednak też świeżo upieczonym ojcem, a także - dopóki nie udało im się pozyskać żadnej policjantki - tym z drużyny, który najlepiej znał się na małych dzieciach.

- Oczywiście. Nie możemy pozwolić, żeby zniknęło więcej noworodków.

Hvidt chrząknął.

-Ale czy to możliwe? To z dziecięcą pornografią albo handlem żywym towarem? Czy takich rzeczy nie robią raczej kobiety, które rozpaczliwie marzą o dzieciach? Na przykład takie, które same ich nie mogą mieć? Czy w dzisiejszych czasach są jeszcze kobiety, które nie mogą mieć dzieci, jeśli tego chcą? - zastanawiał się Wagner i znów poczuł brak kobiecego punktu widzenia. Czy to nie zdarzało się tylko kiedyś, kiedy nie było sztucznego zapłodnienia? Ale mimo wszystko jest taka możliwość. Skinął głową.

- Tę furtkę również musimy zostawić otwartą. Teoretycznie te dwie sprawy mogą być dwoma aspektami jednej. Matka, która zostawia swoje dziecko w rzece, potem żałuje i porywa inne.

Dicte Svendsen dała to do zrozumienia w jednym ze swoich artykułów. Ale co zrobić z grafficiarzem? Znowu są w punkcie wyjścia. Niepasujące do siebie klocki w układance. Westchnął.

- Mogłem zostać listonoszem - powiedział Ivar K rozmarzonym głosem.

-I dostarczać listy z wąglikiem - dociął mu Arne Petersen. - A propos, co z imigrantami? Całkowicie wyłączyliśmy ten wątek ze sprawy małego Mojżesza?

-Nie całkiem, bo została jeszcze strona Koranu. - Wagner pokręcił głową.

- Ale chusta była kaczką dziennikarską?

Wagner bębnił palcami w blat stołu. To wszystko do niczego ich nie prowadzi. Kręcą się w kółko. Przerabiali to już wiele razy. Z całą pewnością czegoś im brakuje.

Ivar K roześmiał się.

- Przecież może być też i tak, że jakaś Turczynka kupiła ją w Bilce i nosiła na głowie.

Wagner spojrzał na niego zrezygnowanym wzrokiem i dziękował bogom, że nie ma tu dziennikarzy. Potarł oczy, zmęczone i bolące, mimo wczesnego poranka.

- Trochę powagi, panowie. Spróbujmy się skoncentrować - powiedział.

- Co z telefonem u rodziców Martina? Mamy pozwolenie z sądu? Podśluch działa?

Pokiwali głowami. Wszystko pod kontrolą, zapewnił Ivar K. Dobre sobie - pomyślał Wagner. - Nic tu nie jest pod kontrolą. Mamy dwie sprawy, które nie chcą ruszyć z miejsca, nieszczęśliwą matkę, równie nieszczęśliwego ojca, niecierpliwą opinię publiczną i jeszcze bardziej niecierpliwego inspektora policji, który cały czas dzwoni i pyta, co nowego.

Pomyślał o obietnicy złożonej Idzie Marie i stracił humor. Może powinien wtajemniczyć w to innych, ale z jakiegoś powodu nie miał ochoty opowiadać im o nocnej wizycie w Viby. Może dlatego, że jest świadkiem koronnym w sprawie i tym samym - zakazanym terenem. Nie wolno angażować się osobiście, taka jest zasada numer jeden. Niestety to też najczęściej łamana reguła.

Wstał i wyrzucił do śmietnika plastikowy kubek. Już miał opuścić zebranie, kiedy nagle na salę wpadł jak burza Jan Hansen.

- Pasują! - prawie krzyczał. - Odciski palców. Te z Koranu i łóžeczka. - Szybko oddychał. Był czerwony z przejęcia. - To ta sama osoba - powiedział z triumfem, tak jakby to było jego własne odkrycie.

Wagner pomyślał o Dicte Svendsen. Gdyby miał kapelusz, ukloniłby się teraz w jej stronę.

- Jesteś gotowy?

Cecilie stała z przewieszoną przez ramię torbą sportową. Rzuciła pytanie w eter tak, by Dicte na pewno je usłyszała. Bo siedział na kanapie z nogami na stole i czytał gazetę. Konkurencja - zauważyła Dicte zza swoich papierów. Praktykantka z działu „Gospodarki”, Lone, siedziała w rogu i robiła notatki z telegramów Ritzau. Davidsena unieszkodliwiła grypa.

- Idziesz w końcu?

-Wyluzuj. - Bo ziewnął i spojrział na zegarek. -Mamy dobry czas.

Powiedział to, nie podnosząc wzroku znad gazety. Ale potem złożył ją, zdjął nogi ze stołu i przeciągnął się.

- Zaszalało się wczoraj w nocy w mieście, co? - zauważyła Cecilie.

- Tobias jest chory - odparł cicho. - Nie dał się wyspać.

- Biedaczek, pozdrów go ode mnie. To fajny chłopak - stwierdziła Cecilie i znowu wypowiedziała swój komentarz w taki sposób, że miał drugie dno.

Posłała Dicte spojrzenie przypiekające jak laser. Fajny chłopak. Kiedy Cecilie poznała Tobiasa?

- OK, lets go! - Cecilie ponownie zwróciła się do fotografa.

Bo podniósł swoją torbę.

-Nienawidzę sportu - powiedział cicho do Dicte, wlokąc się za Cecilie.

I na tym się właściwie skończyła nasza dzisiejsza rozmowa - pomyślała Dicte.

- Jedziemy twoim samochodem, tak? - głos Cecilie dobiegł Dicte z korytarza, zanim dziennikarka sportowa zatrzasnęła za sobą drzwi.

Jechali na jakiś bardzo ważny mecz piłki nożnej. A może mieli inny cel? Próbowwała odsunąć od siebie tę myśl. Zazdrość uwłaczała jej godności. Ale nie mogła zaprzeczyć, że nie czuła zazdrości. Dlaczego? To powinno być jej obojętne. I tak nie chciała wiązać się z żonatym mężczyzną. Nie chciała i już, koniec, kropka.

A może to on nie chciał? Może był właśnie w trakcie manewru, który przewidywała, czyli wycofywał się, zostawiając wszystko w spokoju i jako takim porządku. Czy nie był dziwnie nieobecny, odkąd wyciągnął z niej tę starą historię o świadkach Jehowy? Może wydawało mu się, że cierpiała na podejrzaną chorobę, na dodatek zaraźliwą? Że mimo wszystko była zbyt dziwna. „Jedziemy twoim samochodem, tak?”. Samochodem Bo...

Dicte dokończyła artykuł. Zastanawiała się, czy zadzwonić do Wagnera. Myślała o czymś, co powiedział jej w czasie któregoś z ich pierwszych spotkań. O tym, że rozwiązanie sprawy małego Mojżesza należy być może szukać w czyjejś zapomnianej przeszłości. Coś zaczęło mieć nagle wpływ na teraźniejsze wydarzenia i skłoniło kogoś do pozostawienia swojego dziecka w rzece Arhus. Jego słowa dotknęły ją, trafiły w czuły punkt. Czy przeszłość mogła mieć jednak znaczenie, jeśli chodziło o zniknięcie Martina? I co z napisem na czole? Czy to wszystko było ze sobą powiązane? Czy były to jednak trzy różne zbrodnie, chociaż jej instynkt mówił coś innego?

Zdecydowała się nie dzwonić. Raczej nie mieli nic nowego, bo przecież obiecał, że da jej cynk, kiedy i jeśli coś drgnie. Wcisnęła klawisz „wyślij”. To był artykuł o sprawach innych zaginionych noworodków. Napisany na podstawie archiwalnych materiałów, ale, kurczę blade, było

co czytać. Większość historii pochodziła z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Dzieci porywane z wózków, kiedy matki robiły zakupy. To ludzi czegoś nauczyło - pomyślała. Dzisiaj nie ma chyba nikogo, kto zostawiłby dziecko przed supermarketem. Co najwyżej przed oknem kawiarni, z której miał na nie oko, ale i to uchodziło niemalże za zbrodnię po pewnej sprawie z Nowego Jorku, kiedy to jakaś Dunka zostawiła w ten sposób dziecko. Czy ludzie wyciągną też naukę ze sprawy Martina? Czy to skłoni kobiety do rodzenia w domu? Może trzeba coś o tym napisać?

Włączyła komputer w stan oczekiwania, wstała i zebrała swoje rzeczy. Potrzebowała świeżego powietrza i chciała pójść na spacer. Przewietrzyć umysł, uwolnić się od myśli o Bo i Cecilie, którzy byli teraz razem na meczu. Domowe porody... Nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak niektóre wydarzenia mogą zmienić zwyczaje ludzi.

Dopiero gdy wyszła na ulicę Frederiksgade, zainteresowała się, dokąd idzie. Czowała, jakby nogi, nie kontaktując się z mózgiem, same niosły ją w tamtą stronę. W dół, do skrzyżowania przy Aboulevarden. Na drugą stronę do Immervad. I w dół, do kawiarni przy rzece Arhus. Jeszcze przed kilkoma laty jeździły tędy samochody. Sama tędy jeździła, nie myśląc o tym, że pod asfaltem płynie rzeka. Przez ostatnie lata, przy każdej wizycie u Anne i Andersa, odkrywała coś nowego. Najpierw trafili na rzekę i woda znowu płynęła przez miasto, od Głównej Biblioteki, obok Magasinu i dalej, mijając budynki Midtbanku. Potem doszły schody z szerokimi stopniami, które prowadziły nad samą wodę. Mieszkańcy Arhus przeprawiali się w tym miejscu przez rzekę. I dlatego to miejsce w języku tutejszych nazywało się teraz Vadestedet, czyli bród. Na końcu doszły kawiarnie. Jeden po drugim restauratorzy zaczęli ustawiać na szerokim

chodniku stoły, krzesła i parasole. Później wstawili piecyki gazowe, dzięki którym w mieście pachniało paryską wiosną. Arhus zyskało nowe miejsce i nowe ceny piwa.

Dzisiaj było tam prawie pusto. Odnalazła stolik, przy którym siedziały z Anne i Idą Marie, ten blisko brzegu.

Usiadła, mimo że trochę mżyło, a niebo było ciężkie i szare. Owinęła się płaszczem, zamknęła oczy i poczuła pryskające na jej twarz małe krople. Znow usłyszała odgłos chrobotania, ale tym razem tylko w swojej wyobraźni. Pomyślała, że to właśnie tego dnia wszystko się zaczęło. Nie zdawała sobie z tego wcześniej sprawy, ale teraz wyraźnie to widziała. Co się przez ten czas zmieniło? Policzyła, że od dnia, kiedy znalazła niebieską balię, minęło szesnaście dni. Dwa tygodnie i dwa dni, odkąd wbrew woli została w to wplątana i zmuszona do zabrania głosu w sprawie. Do pisania o czymś, czego najchętniej chciałaby uniknąć. Szesnaście dni temu zaczęła swoją podróż do przeszłości.

Siedziała tak, dopóki całkiem nie przemokła. Zmusiła się, żeby przypomnieć sobie coś jeszcze. Więcej niż powiedziała Bo. Odkrywała to wszystko jak stary obraz. I na koniec pomyślała, że to jeszcze nie wszystko, że pozostał jeszcze najtrudniejszy kawałek.

Z kawiarni wyszedł kelner, żeby przyjąć od niej zamówienie. Wstała i przeprosiła, tłumacząc, że nic nie chce. Poszła w stronę bocznego wejścia do Magasinu i kwiaciarni, która z pewnością nie sprzedała w taki deszczowy dzień wielu kwiatów. Pod wpływem nagłego impulsu weszła do środka. Pachniało tam egzotycznymi roślinami jak w tropikalnym lesie deszczowym. Kobieta za ladą była duża i gruba i od razu dostała ataku kaszlu.

-Przeklęta astma - narzekała i zapakowała Dicte bukiet słoneczników.

Jeśli nie można było nic zrobić, to kupi sobie przynajmniej trochę dobrego humoru.

- Jesień daje się we znaki - powiedziała niepytana kobieta, wdychając powietrze z odgłosem papieru ściernego. - To przez tę wilgoć. Dostaje się prosto do płuc.

Dopiero gdy Dicte wróciła do redakcji i włożyła kwiaty do wody, przypomniała sobie o Idzie Marie i o tym, co zapamiętała z tego dnia, kiedy Martin zniknął. Opowiedział jej o tym Wagner. Coś o dźwiękach, które wydawała osoba, oddychająca przez maskę tlenową. Pomyślała o kobiecie z kwiaciarni, ale pokręciła głową, logując się do komputera. Nie można przesadzać.

- Nasz człowiek nazywa się Kim Sorensen. W wieku osiemnastu lat został aresztowany za kradzież samochodu - wyjaśniał Jan Hansen. - Dzisiaj ma dwadzieścia trzy lata, nie był więcej karany - dodał.

Wagner zanotował. Z przyzwyczajenia. Mimo że Jan Hansen czytał z kartki, nigdy nie wiadomo, czy taki dokument przypadkiem nie zginie. Papierami, które zginęły u nich na komendzie, można byłoby uzupełnić całe archiwum.

- A gdzie możemy znaleźć pana Sorensena?

Jan Hansen odłożył papiery na biurko. Odwrócił je tak, żeby Wagner widział.

- W porcie - powiedział. - Jest sprzedawcą. Delikatesy Fotex. Pracuje w sklepie rybnym.

Wagner zatrzasnął bloczek. Wstał i zdjął kurtkę z haczyka przy drzwiach.

- No to zabierajmy się do dzieła i złapmy tę rybkę. Tylko musimy pamiętać, że facet nie jest o nic oskarżony.

Jan Hansen spojrzał na niego ze zdziwieniem. Widocznie nie całkiem rozumiał, jaki był związek pomiędzy Kimem Sorensenem a ewentualnym sprawcą zbrodni. Wagner pomyślał o Haraldsenie z Kopenhagi i przyznał przed sobą, że było to trochę naciągane.

Właśnie dlatego nie zajął się tym wcześniej, ale teraz sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Przypomniał sobie, co mówił mu przez telefon jego kolega. „Pewna zbieżność między liniami”. Mówiąc potocznym językiem, znaczyło to tyle, że odciski palców, które znaleźli na łóżeczku i kartce z Koranu przypominały odciski, które zostały zdjęte od Kima

Sorensena, gdy przed wieloma laty ukradł samochód. Stwierdzono, że odciski te nie były identyczne, ale - według Haraldsen - mógł to być ktoś blisko z nim spokrewniony. Może siostra? - pomyślał Wagner, równocześnie zdając sobie sprawę, że to by było zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Albo Haraldsen był geniuszem, albo całkiem zwariował. Bardziej prawdopodobne jest to drugie - pomyślał markotnie Wagner, kiedy schodzili po schodach do podziemnego garażu, gdzie w równym rzędzie stały samochody służbowe. Wzięli jednak jego starą toyotę. Po co ściągać na siebie niepotrzebną uwagę?

Często myślał, że nigdy nie nauczy się odnajdywać drogi w porcie Arhus. Wydawało mu się, że za każdym razem, kiedy tam przyjeżdżał, ruch na portowej ulicy Havnevejen był coraz bardziej skomplikowany. Dzisiaj miał jeszcze większe problemy. Kiedy z Hansenem na fotelu pasażera przejeżdżał przez skrzyżowanie obok Basenu, o mały włos nie gruchnęli w samochód wyjeżdżający z parkingu. Na Bałtyku przeprowadzano właśnie ćwiczenia NATO i port po brzegi wypełniony był duńskimi i zagranicznymi okrętami wojennymi. Na pewno nazywają się jakoś inaczej, korwety, czy coś w tym stylu - pomyślał. Nigdy nie interesował się militariami. Wojna była czymś, co zawsze rzucało cień na jego rodzinę.

Stali na czerwonym świetle, czekając aż przejedzie pociąg i, gdy w końcu mogli jechać, o mało nie zostali zmiażdżeni przez pędzącą ogromną ciężarówkę z dwoma kontenerami Maersk. Z trudem udało mu się uniknąć tego zderzenia i dziękował bogom za to, że nie wylądował w drogówce. Nie nadawał się do tego. On, który ledwie rozróżniał prawą stronę od lewej. Jechał za ciężarówką z kontenerami Maersk, która zmierzała do

jakiegoś terminalu, który z kolei znajdował się obok dwóch sklepów rybnych. Tyle przynajmniej wiedział. Hansen szybko zapalił urodzinowego papierosa. Wagner opuścił szybę i zapach portu zmieszał się ze smrodem z fabryki oleju. Okazałe mieszkania starego Arhus leżały na wybrzeżu. Miał widok na zatokę, chociaż dzisiaj z powodu ulewy niewiele było widać.

- O który chodzi? Ten nowy czy ten stary?
- O nowy. Sklep rybny Clausena - wyjaśnił Hansen.
- Oba są niezłe.

Wagner skinął głową i zaparkował przy sklepie, na którym jakiś szyld ogłaszał promocję na filety z rdzawca i wędzonego domowym sposobem śledzia. Wspomnił z tęsknotą, że Nina często kupowała tu rybę. Właściwie nie jedli zbyt wymyślnych potraw. Nina co prawda z chęcią zrobiłaby zarówno francuską zupę rybną, jak i faszerowaną flądre, ale wolał tradycyjne dania - pomyślał ze smutkiem, gdy wysiadali z samochodu, trzaskając drzwiami. Gotowany dorsz i kotlety rybne były bardziej na jego poziomie.

W sklepie stali klienci. Bardzo dużo klientów jak na poniedziałkowe przedpołudnie. Za ladą obsługiwało dwóch młodych mężczyzn. Na wyłożonych lodem stołach leżały wszystkie gatunki ryb we wszelkich rozmiarach. Tu pęłzał żywy homar, a tam leżał olbrzymi żarłacz śledziowy z otwartą paszczą. Były tam kraby i płastugi, i połyskująca różowo ikra. Sprzedawcy ubrani w białe fartuchy nosili drewniaki, żeby nie ślizgać się na terakocie, na którą kapała woda, tworząc małe kałuże.

- W czym mogę pomóc? - Młody mężczyzna patrzył na nich pytającym wzrokiem.

- Kim Serensen? - zapytał Wagner. Mężczyzna wskazał głową w stronę kolegi, który właśnie pakował klientowi dorsza.

- Akurat jest zajęty. Może ja mogę pomóc?

- Dzięki, poczekamy - powiedział Hansen. Chwilę później klient Kima Serensena wyszedł ze sklepu. Drugi już czekał w gotowości, ale Wagner wcisnął się w kolejkę.

- Przepraszam, ja tylko na słowo.

W czasie długiej służby wyćwiczył dyskretne pokazywanie odznaki. Błyskawicznie wyjął z kieszeni czarne skórzane etui i schował je z powrotem.

- Możemy porozmawiać na osobności?

Kim Sorensen patrzył na niego zdezorientowany.

- Coś, yyy... coś się stało staruszkom?

To była pierwsza myśl niewinnego. Czy coś się stało komuś z jego rodziny? Wagner pokręcił głową.

- Nie, nie. Po prostu mamy parę rutynowych pytań. Kim Sorensen pokręcił głową ze zdziwieniem, ale zaprowadził ich na zaplecze, gdzie jedna na drugiej stały skrzynki z rybami ułożonymi na lodzie. Miały dość silny zapach i Wagner przypomniał sobie, że ryby właściwie nigdy nie należały do jego ulubionych potraw.

- Chodzi o tę starą sprawę z samochodem? - zapytał Kim Sorensen. - Czy może zapomniałem zapłacić mandat za parkowanie?

Wagner pokręcił głową.

- Właściwie ani to, ani to - powiedział. - Pana nazwisko wypłynęło w związku z jedną sprawą. Podkreślam, że o nic pana nie podejrzewamy. Niestety nie mogę powiedzieć nic więcej.

- Z jaką sprawą? - zapytał Kim Sorensen z zaciekawieniem. -

Wydawało mi się, że policja w Arhus ma teraz sporo roboty ze znalezieniem zaginionego dziecka. Coś w związku z tym?

Jan Hansen wykazał się profesjonalizmem.

- Jeśli odpowie pan na kilka pytań, to będzie pan mógł szybko wrócić do swojej pracy. Jak już powiedzieliśmy, nie zakładamy, że jest pan zamieszany w sprawę, nad którą pracujemy.

- Chcielibyśmy pana prosić, żeby opowiedział nam pan o swojej rodzinie. Spokojnie - powiedział Wagner.

Kim Serensen wyglądał, jakby to go trochę uspokoiło.

- Pochodzi pan z Arhus? - zapytał Hansen. Sorensen skinął głową.

- Urodziłem się i wychowałem w okolicy Tilst. Moi rodzice nadal tam mieszkają.

- Czym się zajmują?

Popatrzył na nich ze zdziwieniem, ale odpowiedział, nie protestując.

- Moja mama jest nauczycielką ojciec rencistą.

- Ma pan ich adres?

Podał im adres, który Hansen zapisał.

- Ma pan rodzeństwo? - zapytał Wagner.

- Mam brata i siostrę.

- Czym się zajmują i ile mają lat?

Chłopak westchnął. Wagner zauważył, że zastanawia się, czy nie zaprotestować i nie domagać się wyjaśnień. Potem jednak spojrział na zegarek. Zbliżała się przerwa na obiad.

- Mój brat ma dwadzieścia osiem lat. Przejął interesy ojca. Moja siostra Rikke chodzi do pierwszej klasy liceum.

- Gdzie? - zapytał Hansen.

Kim Sorensen uśmiechnął się krzywo.

- Jedyna z nas, która ma głowę do egzaminów. Chodzi do liceum w Tilst.

Wagner zdecydował się zakończyć rozmowę. Skinął przyjaźnie do chłopaka.

- Na razie dziękujemy. Bardzo nam pan pomógł. Kim Sorensen skinął trochę sztywno głową.

- Coś jest nie tak z moją rodziną? Po co wam to wszystko?

-To rutynowe postępowanie - powiedział cicho Hansen, kierując się w stronę sklepu. - Poza tym wydaje mi się, że kupię trochę ryb do domu, skoro już tu jestem. - Popatrzył na Wagnera niemal przepraszającym wzrokiem. - Moja żona umie zrobić z ryby cuda.

- To co ma być? -Kim Sorensen rozchmurzył się; w końcu coś, na czym się znał.

- No i co? - zapytał Hansen, gdy już wyszli i skierowali się w stronę samochodu, trzymając w ręku torbę pełną filetów z rdzawca. - Co o tym sądzisz?

Wagner uruchomił silnik i zaczął cofać. Myślał o Idzie Marie. Ojej twarzy na jego poduszce, ojej ciele, kiedy niósł ją w swoich ramionach na kanapę. O tej trudnej do odparcia ochocie, którą czuł, żeby pochylić się i pocałować ją w czoło i usta. Nie zdając sobie z tego sprawy, wydał z siebie długie westchnięcie, aż Hansen spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Lepiej sprawdźmy tę siostrę - powiedział w końcu Wagner.

Zdenerwowała się - dało się to zauważyć. Była w odróżnieniu od brata dość gruba. Mimo to ładna - miała miłą, okrągłą twarz i pełne, regularne

usta, teraz uformowane w podłużne O, na znak ciągłego milczącego niezadowolenia.

- Mogą panowie skorzystać z mojego gabinetu - zaproponował dyrektor i po ojcowsku objął ramieniem Rikke Serensen.

Stała sztywno. Nie chciała patrzeć na żadnego z nich, więc jej oczy zapadły się. Były pozbawione życia i uczuć.

- W porządku? To tylko kilka pytań. Możesz zawołać mnie, jeżeli nie będziesz czegoś pewna - powiedział dyrektor. - Będę w pokoju nauczycielskim.

Dziewczyna kiwnęła spokojnie głową. Podniosła dłoń do ust. Obgryzała paznokcie. W końcu spojrzała na Wagnera dużymi brązowymi oczami, ale nic nie powiedziała. Nie odzywała się również, gdy Wagner zamknął za nimi drzwi.

-Rikke, zakładam, że słyszałaś o dziecku, które zostało znalezione w rzece Arhus - zaczął Wagner i spojrzał na dziewczynę, która siedziała z założonymi rękoma i patrzyła w okno. - Rikke, spójrz na mnie.

Jej spojrzenie go zaniepokoiło. Nie potrafił sobie jednak wytłumaczyć, dlaczego. Wyglądała na zmęczoną i wystraszoną. Ale odpowiedziała na wszystkie ich pytania, jedno po drugim. Wyraźnie wysilała się, żeby niczego nie pomylić. Zapewniała policjantów, niespokojnie wierząc się na krześle, że czytała o tym w gazetach i widziała w telewizji, ale nic poza tym nie wiedziała.

Wagner poczuł, jak budzi się jego instynkt. To mogłaby być ona, ale mogła też być zdenerwowana, bo sytuacja była niecodzienna.

- Wagarujesz czasami, Rikke?

To Hansen zadał pytanie. Wagner zauważył, że kolega przybrał ciepły

ton głosu. Dobry Boże, przecież ona właściwie była jeszcze dzieckiem.

Dziewczyna długo się zastanawiała. W końcu kiwnęła głową.

- Trochę, ostatnio. Dostałam pracę.

- Brzmi super. A co robisz? - wypytywał Hansen głosem dobrego wujka.

Wagner pomyślał, że brakowało mu tylko torebki z cukierkami. Był pewny, że dziewczyna zamrugła, ale to trwało tylko sekundę.

- Opiekuję się koniem.

Odezwał się dzwonek. W ciągu sekundy pootwierały się drzwi, a korytarze wypełniły hałaśliwymi uczniami. W całym budynku odbiło się echo. Na szczęście w gabinecie dyrektora panowała cisza. Wystraszona dziewczyna obgryzała paznokcie i patrzyła na nich.

- A kiedy nie było ciebie w szkole? - zapytał w końcu Wagner. - Kiedy zaczęły się twoje nieobecności? - poprawił się.

- W zeszłym tygodniu, kiedy dostałam pracę - powiedziała, teraz z przekonaniem. - To tymczasowe zajęcia, ale dobrze płatne.

Próbowali z innymi pytaniami, ale w końcu Wagner dyskretnie dał znak Hansenowi.

- To wszystko, Rikke. - Hansen uśmiechał się jak prawdziwy nauczyciel. - Możesz wracać do swoich kolegów.

Potem sprawdzili jej zeznania i okazało się, że nie kłamała. Z dziennika jasno wynikało, że Rikke Sorensen miała sporo nieobecności, zwłaszcza w ostatnim tygodniu. Dla pewności poprosili wychowawcę o potwierdzenie jej słów. Okazało się, że w dniu, kiedy Martin został porwany, była cały dzień w szkole. Nie miała również żadnej nieobecności w tym okresie, kiedy prawdopodobnie dziecko z rzeki przyszło na świat.

-To nie ona - podsumował Hansen, wzdychając, kiedy wyjeżdżali z parkingu. - Nie uciekła ani razu w tamtym czasie.

Wagner mimowolnie musiał przyznać mu rację. Zdenerwowanie dziewczyny musiało być widocznie spowodowane czymś innym. Na pewno tym, że wyciągnięto ją z klasy i zamknięto w gabinecie dyrektora z dwoma policjantami oraz z torbą pełną ryb, którą Hansen nie wiadomo dlaczego zabrał ze sobą. To wystarczyłoby, żeby większość ludzi miała nerwowe tiki. Wagner opadł na oparcie siedzenia. Znowu poczuł zmęczenie i przygnębienie.

Czasami myślała, że oszaleje z tęsknoty, że zacznie krzyczeć, wrzeszczeć, rzuci się na podłogę, będzie kopać nogami i walić we wszystko dookoła. Czowała się tak, jakby świat przytłaczał ją, próbował zmiażdżyć. Wycisnąć z niej powietrze, żeby się udusiła. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Wręcz przeciwnie, zachowywała się w miarę normalnie, mimo że ruszała się jak robot. Budziła się, wstawiała wodę na kawę, kąpała się, odciągała mleko laktatorem, który dali jej w szpitalu i wylewała je do zlewozmywaka, patrzyła jak spływa do kanalizacji i się marnuje. Wkładała ubranie. Czuwała przy telefonie...

Oprócz mleka i tęsknoty za Martinem, czekanie jest największą zmianą - pomyślała Ida Marie. No i to, że cały czas był przy niej Theis. Czekał razem z nią, ale starali się nie wchodzić sobie w drogę. Jego komórka ciągle dzwoniła, bo próbował wykonywać swoją pracę w domu.

Odsłuchiwała już wiele rozmów o programowaniu, instalowaniu, programach nadzorczych i temu podobnych. Tak jak teraz, kiedy chodził tam i z powrotem z komórką przy uchu i filiżanką kawy w ręce. W dodatku jej mama zaczęła się nagle o nią martwić i przypadkowo cały czas do niej wpadała. Będzie musiała się do tego przyzwyczaić.

- Zadzwoń do Larsa i powiedz mu, że ma przyjść i to zobaczyć - zarządzał Theis przez telefon. - A wtedy Kopenhaga będzie musiała się pospieszyć i wysłać tam kogoś. Przyjadę, jak tylko będę mógł.

Odstawił filiżankę i stanął, jak to miał w zwyczaju, przy oknie. Mimo że był do niej odwrócony plecami, poznała, że podniósł rękę do czoła i zaczął okręcać swój ulubiony kosmyk włosów wokół palca. Wiedziała, że oznacza to, iż jest zdenerwowany. Zupełnie jak Mike Tyson.

Kiedy rozmawiał, znowu pomyślała o Martinie. Próbowwała przypomnieć sobie jak wyglądał, ale, ku swojemu przerażeniu, stwierdziła, że nie pamięta jego nosa. I uszu. Były małe czy duże? Odstające? Czy miał mały mocny podbródek, czy nie było w nim dziurki? Czy pachniał wanilią? A może była to mieszanka brzoskwiń i jabłek? Siedząc tak przy telefonie, miała wrażenie, że zaraz się udusi. Nie pamiętała własnego dziecka. Jego zapach gdzieś przepadł. Jak to się mogło stać? Jak mogła zapomnieć?

Poczuła, że zaczęła się trząść. Nie mogła powstrzymać zduszonego krzyku. Przecież dopiero co była tu jej matka. Dopiero co jeszcze raz Ida Marie szczegółowo opowiadała jej o Martinie. Opowiadała to, czego jego babcia nie zdążyła sama zobaczyć. A teraz to zginęło.

- Możesz być trochę ciszej? - Theis położył dłoń na komórcie i patrzył na nią. Zatrzymała się w środku tego, co najprawdopodobniej było formą płaczu bez łez. - Mam ważną rozmowę - powiedział Theis. - Z Niemcami.

Przez kilka sekund siedziała po cichu zgięta w pół. potem coś się w niej obudziło. Patrzyła na niego, kiedy rozmawiał. Czy to chłód od niego bił, czy może była to tylko niepewność, której nigdy wcześniej nie zauważyła? Niedojrzałość? Zawsze jej się wydawało, że Theis potrafi wybrnąć z każdej sytuacji. Typ światow-ca. Zatrudniony w dużej firmie, rozwiązujący problemy na całym świecie. Loty w klasie biznesowej i koszule od Armaniego. Nie potrafiła zrozumieć, skąd wziął się w jej głowie taki obraz. Przecież był dokładnie tym, na kogo patrzyła. Mężczyzną, który nie miał pojęcia, jak poradzić sobie z czymkolwiek, co nie miało związku z komputerami.

Mrugnęła przestraszona swoimi myślami. Skończył rozmowę i spojrzął

na nią.

- Co się znowu stało?

Była pewna, że nie chciał, żeby jego głos brzmiał tak obojętnie. Mimo wszystko poczuła do niego niechęć. Zmusiła się, żeby wzruszyć ramionami.

- Nic. Nieważne.

Westchnął. Znowu owijał na palce kosmyk włosów. Wiedziała, że duchem był już w drodze do Niemiec.

- Ido Marie, życie toczy się dalej.

Minął tydzień, a teraz życie ma toczyć się dalej. Wytrzymał siedem dni - pomyślała - ale dłużej już nie potrafi. Usiadł na krześle daleko od niej. Widziała, że ma już tego wszystkiego dość, że chce wyjechać jak najdalej stąd, ale jednocześnie uważa, że nieuprzejmie będzie zostawiać ją tu samą.

- Dlaczego nie zadzwonisz do swojego policjanta? Może ma coś nowego.

Od tamtej nocy, kiedy nie wróciła do domu, był to zawsze „jej policjant”. Pokręciła głową.

- No to może wieczorem do niego pojedziesz? - zaproponował Theis sucho. - Na pewno pozwoli ci spać na kanapie.

Wiedziała, że Theis był zmęczony i zdenerwowany. Nie chodziło tu raczej o zazdrość, tylko o uczucie bycia wykluczonym. Czuła, że powinna być wyrozumiała, ale coś w niej nagle pękło.

-Ja przynajmniej byłam szczerą - powiedziała i usłyszała, jak jej własny głos aż trzeszczy od pogardy.

— A nie tak jak niektórzy, co jadą do Niemiec, nie mówiąc o tym ani słowa.

Jego reakcja była tak gwałtowna, że od razu go zdradziła. Wstał i wyglądał, jakby chciał ją uderzyć. Potem zatrzymało go jednak w miarę dobre wychowanie, więc opadł z powrotem na siedzenie.

- Co masz na myśli? O co ci, do cholery, chodzi?!

Zaczął kręcić dodatkowym kosmykiem. O Boże. Popęłniła straszny błąd. Mężczyzna, który siedzi naprzeciwko niej, nie może przecież być kimś, z kim chciała dzielić swoje życie. Wydawało jej się, że będą zawsze stali razem, ramię w ramię. Nie mówiła nic o Niemczech, bo bała się rozstania. Nie miała na to siły. Teraz jednak coś się zmieniło. Jakby odnalazła w sobie prawdę. Taką moc, jak wtedy, kiedy przestała mówić.

Wstała. Poszła do sypialni i znalazła torebkę. Wyciągnęła z portfela rachunek i przeczytała na głos:

- Hamburg, piąty września 2001, bar w hotelu She-raton. Dwa razy gin i dwa razy - teraz uwaga - Cre-me de Menthe. - Podniosła wzrok i spojrzała na niego.

- Abstrahując od tego, że w tych dniach pracowałeś w Kopenhadze, to od kiedy przerzuciłeś się na kobiece drinki?

- Pokaż to! Skąd to masz? - Wyglądał, jakby krew naprawdę odpłynęła z jego twarzy. Wstał i wyrwał rachunek z jej dłoni. Przeczytał go, a potem porwał na drobne kawałki. Rzucił białe konfetti w powietrze. Nie mogła powstrzymać gorzkiego uśmiechu.

- Teraz nie będzie go można użyć jako dowodu rzeczowego na sali sądowej. Ale to i tak nie pomoże - powiedziała.

Odwrócił wzrok. Podeszedł do okna i zachowywał się, jakby był bardzo zainteresowany ruchem na ulicy.

- Jesteś taki zły za noc na kanapie u policjanta, czy może jest coś, o

czym chcesz mi powiedzieć? Chyba że dalej będziesz kłamał?

Przez kilka sekund stał w milczeniu, jakby właśnie uderzyła go w twarz. Zdziwiła ją własna odwaga. Skąd się wzięła? Co chciała osiągnąć? Wiedziała, że to porównanie nie było sprawiedliwe, ale pomyślała o Johnie Wagnerze i, gdy Theis szukał słów, wróciło wspomnienie. Troska. Ramiona, które ją niosły. Dłoń, która głaskała jej policzek, gdy leżała tam na kanapie. Poczula, że się wstydzi i próbuje powstrzymać swoje myśli. W jaki sposób pojawiały się takie uczucia? Jak mogły w ogóle powstać w całym tym zamieszaniu?

- Mówisz tak, jakbym cię kiedyś oszukał - okłamał ją w końcu Theis, ale przerwa w mówieniu zabrała jego słowom siłę. Widziała to po jego ramionach, które niepostrzeżenie opadły. Po całej jego postawie, która nie wyrażała już takiej pewności siebie. Po dłoniach, które trzymał nieruchomo w kieszeniach, a które odciskały się teraz pod materiałem jak dwa pagórki. - To dla mnie nic nie znaczy - powiedział cicho, stojąc do niej bokiem i patrząc z ukosa. - To było głupie, ale...

-Ale co?

Znowu spojrzenie z ukosa, zanim nie skupił wzroku na czarnym ekranie stojącego w rogu telewizora. Podświadomie pomyślała, że trzeba by było zetrzeć z niego kurz. Powinna doprowadzić mieszkanie do porządku. Poukładać wszystko i na zewnątrz, i w środku...

- Zmieniłaś się.

- Aha, zmieniłam. Takie rzeczy mogą się zdarzyć, jeśli się jest w ciąży. Wewnętrznie, ale i zewnętrznie, prawda? Fuj, woda w ciele i hemoroidy. Obrzydliwe, tak?

Nie podobał jej się własny głos, który przeszedł w kpinę, ale widziała,

że Theis się zaczerwienił. Pogarda rosła jak balon. Żywiła ją dla niego, ale też dla siebie samej, za brak samodzielności i zły wybór. Bo właśnie to zrobiła. Wybrała niewłaściwego mężczyznę.

-To nie do końca było tak, jak to przedstawiasz - zaprotestował. - To jest moja koleżanka... była koleżanka - poprawił się.

Wstała.

- Nie chcę wiedzieć, kim ona jest. Nie interesuje mnie to.

Wiedziała, że mówi prawdę. Poczwała, że właściwie to chce po prostu być jak najdalej od niego. Gdzieś głęboko w środku, pod zranioną dumą, pod tęsknotą za Martinem i potrzebą bezpieczeństwa Ida Marie czuła, że ten rachunek był jej ratunkiem.

Jechała. Nie do końca zdawała sobie sprawę z tego dokąd, ale musiała wyjść. Jednocześnie dziwiła się sobie. Gdzie podziało się wszystko to, co ich łączyło? Jednak dobrze wiedziała, że to nie znikło w ciągu kilku dni, i że nie miało nic wspólnego z porwaniem Martina. Wyparowało powoli przez kilka ostatnich lat. Jego dodatkowa praca w Niemczech, jej zaangażowanie w biuro podróży, ich wspólne marzenie, którego tak kurczowo się trzymali. Powiedział, że się zmieniła. Ona nie mogła powiedzieć o nim tego samego. Ona nigdy nie miała odwagi ujrzeć w nim osoby, którą był naprawdę.

Myślała o tym, skręcając i wjeżdżając w ulicę Langelandsgade, gdzie przy skraju drogi leżały stosy liści. Przez te wszystkie lata stworzyła obraz Theisa, który nie był zgodny z rzeczywistością. Wizerunek mężczyzny, który, kiedy było trzeba, potrafił przejąć inicjatywę i był silny. Który wiedział, czego chce. Czego oni oboje chcą. Kupić mieszkanie, zmienić pracę, zaryzykować. Pomógł jej w banku, kiedy kupowali biuro podróży,

załatwił najlepszego adwokata, najlepszego rewidenta. No i oczywiście zajął się instalacją nowych komputerów i nowego programu, napisanego specjalnie dla biura - inwestycja na kilkaset tysięcy koron. Wszystko poszło bardzo dobrze. Jeśli tylko chodziło o pieniądze albo komputery, nie było żadnych problemów.

Chmury przesuwały się po niebie. Na moment pokazało się słońce. Droga wyglądała tak, jakby niedawno padał deszcz. Idzie Marie wydawało się, że jedzie bezpośrednio w ciemność, gdzie wessie ją noc. Będzie tam całkiem sama ze swoją tęsknotą. Bo wiedziała, że Theisa już nie będzie. Fizycznie może tak, jeszcze przez jakiś czas, ale wkrótce ulotni się do Niemiec. Zniknie z jej życia. Jej i Martina.

Kiedy o tym myślała, wiedziała, że nie było to prawdą. Jeśli znajdą Martina... kiedy go znajdą powinien oczywiście poznać swojego ojca. Kiedy. Dojechała do ulicy Ringgaden i pod wpływem impulsu skręciła z Silkeborgvej. Zanim to sobie uświadomiła, była już w Brabrand i City Vest.

HANNE Guldberg otworzyła drzwi, trzymając na ręku córeczkę. Tym razem to mała miała katar.

-Pierwszy dzień choroby dziecka - wyjaśniła. -Wejdz.

Usiadły w pokoju.

- Chciałam się tylko dowiedzieć, czy nie masz niczego nowego - powiedziała Ida Marie i poczuła się głupio. - Czy nie przyszło ci do głowy coś więcej.

HANNE Guldberg wyglądała na niezbyt szczęśliwą. Dziecko popłakiwało przytulone do jej ramienia, leciało mu z nosa.

- Przykro mi - powiedziała - ale chodzą za mną tylko te dwie rzeczy:

zapach i lustra. Co się stało?

Ida Marie spojrzała przez okno. Wychodziło prosto na kolejny blok. Szary beton i okna z dziwacznymi firankami. Plac zabaw był pusty. Jest jak instytucja - pomyślała.

- Theis i ja chyba się rozstajemy - odparła po chwili.

HAnne Guldberg przytaknęła.

- Przez całe życie myślałam, że nie jestem nic warta - kontynuowała Ida Marie i do końca nie wiedziała, czy mówi do siebie, czy do wróżki - więc wydawało mi się, że potrzebuję kogoś, kto jest coś wart. Wtedy mogłabym się do niego przyłączyć. - To brzmiało tak bezradnie, tak bezsensownie. Spojrzała ukradkiem na HAnne Guldberg, która potakiwała. - W rzeczywistości to nie Theis, tylko ja się zmieniłam.

- W jaki sposób? - zapytała HAnne Guldberg. Szukała słowa.

- Dam sobie radę sama - powiedziała w końcu. - Nie potrzebuję mężczyzny, który zna na pamięć paragrafy.

- Machnęła ręką. - Wszystko: pieniądze, prestiż, odpowiedni samochód, odpowiednia rodzina. Nie potrzebuję tego. Potrafię się sama sobą zająć - mówiła coraz głośniej i wydawało jej się, że siedzi naprzeciwko Theisa.

- Poradziłam sobie sama, nosząc Martina przez dziewięć miesięcy i czując, jak moje ciało staje się grube i wypełnione wodą. Poradziłam sobie sama z porodem.

I poradzę sobie teraz. - Patrzyła na HAnne Guldberg. _ A już na pewno nie potrzebuję Theisa.

- Skoro poradzisz sobie z tym wszystkim sama, to czego potrzebujesz?

- Miłości - słowo wyfrunęło, zanim zdążyła się zastanowić. -

Potrzebuję miłości - powtórzyła.

Przejechała obok Abyhoj. Była już w drodze do miasta, kiedy zatrzymała się na czerwonym świetle i zwróciła uwagę na nowy prestiżowy budynek na rogu naprzeciwko Browaru Ceres. Nazywał się Pryzmat. Wysoki biurowiec o kształcie graniastosłupa, którego fasada krzywo odbijała chmury na niebie i komin Ceres. Nie za bardzo wiedziała, co mieściło się w tym budynku. Pewnie gabinety lekarzy. Jeśli dobrze pamiętała, to lekarze specjaliści przenieśli się tu z Alei Mortena Berupa. Przez moment zawahała się, jakby było coś, o czym powinna pamiętać. Coś, co powinno przyjść jej do głowy, ale wtedy zmieniły się światła i skoncentrowała się najeździe.

Wszystko zaczęło się przez Davidsena. W czwartek przyszedł do redakcji na niezmiernie ważny wywiad z anonimowym mężczyzną w sprawie morderstw prostytutek w Randers. Ciągle miał gorączkę z powodu grypy i istniało ryzyko, że zarazi całą redakcję. Przyniósł ze sobą torbę jabłek i, kiedy usiadł przy klawiaturze, żeby napisać artykuł, zaczął je jedno po drugim obierać.

- An apple a day... - wyjaśnił wesoło, z błyszczącymi od gorączki oczami. Najwidoczniej z powodu choroby zapomniał o ich wrogości.

Dicte spojrzała na niego. Byli w redakcji sami, nie licząc znudzonej praktykantki z działu „Gospodarki”. Biedna dziewczyna nie rozumiała, dlaczego nie biegają przez cały dzień po mieście, zbierając materiały, ani nie robią wywiadów ze sławnymi ludźmi.

- Skoro tak mówisz... - Dicte zwróciła się do Davidsena.

- Od razu wyzdrowieję - obiecał i ugryzł jabłko.

Tym razem nie odpowiedziała. Jak zahipnotyzowana patrzyła, jak pochłaniał je całe, od góry do dołu. Ogryzek, wszystko. Zostawił tylko ogonek, ale wtedy była już myślami bardzo daleko. Cofnęła się o wiele lat. Widziała, jak jej tata siedzi w fotelu przed telewizorem. Trzymał w dłoni czerwone pachnące jabłko odmiany Ingrid Marie. „Jedno jabłko dziennie, pamiętaj, Dicte” - powiedział i uśmiechnął się do niej. Usiadła mu na kolanach. Czowała słodki zapach jabłka pomieszany z zapachem tytoniu. To było jeszcze przed Wielką Zmianą, po której papierosy były zabronione. Przed tym, jak zniknął w świecie zwanym Radą Starszych. To było wtedy, kiedy jeszcze był jej ojcem.

Siedziała mu na kolanach i patrzyła, jak podnosi jabłko do ust.

Przypomniała sobie, jak wydawał jej się olbrzymi. Mógł odgryźć ogromny kawałek, soczyście chrupiąc. Jeszcze jeden gryz i połowa jabłka była zjedzona. Jeszcze trochę i znikł ogryzek. Zmarszczyła nos, a tata wybuchnął śmiechem. Jego niebieskie oczy patrzyły na nią, jego szerokie usta stały się jeszcze szersze.

„Nie wolno grymasić - dokuczał jej. - Ogryzek też jest dobry”. Później dawał jej ogonek, który wyrzucała do popielniczki, podczas gdy ojciec pokazywał, że potrafi dotknąć językiem do swojego nosa. Wtedy czuła, jak małe bąbelki śmiechu łaskoczą ją w brzuchu.

- Co znowu? - Davidsen patrzył na nią ze zdziwieniem.

-Nic, myślałam o czymś. - Mrugnęła i poczuła w oczach łzy.

Powoli pokręcił głową i odwrócił się do klawiatury i swoich notatek. Wyciągnął rękę po kolejne jabłko. Najwyraźniej pod wpływem gorączki stał się miły, bo zaproponował jej jedno, ale odmówiła.

Wspomnienie ojca wydawało się jej takie odległe. Przez wiele lat leżało gdzieś w środku niej i dopiero teraz wypłynęło. Ile jeszcze takich wspomnień kryło się w jej głowie? Z czasów przed i czasów po. Z wszystkich tych bezsensownych lat, kiedy czuła się taka samotna, pozostawiona ze swoimi myślami, kiedy oddalała się coraz bardziej. Kiedy jej tata zaczął nagle mówić w inny sposób, kiedy jego słowa nie pochodziły z serca, tylko były wyuczonymi na pamięć cytatami ze „Strażnicy”. Rozmowy, które prowadził z innymi z Rady Starszych. Argumenty, dlaczego nie mogła tego albo tamtego.

Ku swojemu zdziwieniu znowu poczuła nadchodzące łzy. Szybko schowała się za monitorem i wyciągnęła chusteczki higieniczne. Dlaczego teraz? Tutaj, w pracy. Dlaczego akurat dziś. Dlaczego dręczyły ją te

obrazy? A najbardziej obraży ojca. Nie matki, mimo że to ona zajmowała się domem i wszystkimi zasadami. Ojca, ponieważ liczyła na jego wsparcie. Bo nie potrafiła sobie wyobrazić, że on też odwróci się do niej plecami. Jej ukochany, najwspanialszy tata. A jednak zrobił to, kiedy musiał dokonać wyboru. Kiedy musiał wybrać pomiędzy swoją córką a organizacją, wybrał tę ostatnią. Nie odważył się postąpić inaczej. Uczucie zawodu tkwiło w niej jak mała błyszcząca perła.

„Jeżeli nie czujesz skruchy, nie możesz wrócić do domu”. Niebieskie oczy ojca były twarde i bezgranicznie zmęczone. Usta nie rozciągały się już w uśmiechu. Ale jak mogła żałować najpiękniejszej rzeczy, która przydarzyła się w całym jej życiu? Jak można żałować miłości, mimo że ten, który ją dawał, okazał się tchórzem? I czy oni, gdyby ją naprawdę kochali, nie powinni dać jej oparcia, pocieszyć?

„Kochana Dicte. Pomyśl rozsądnie. Chcemy przecież twojego dobra” - teraz był to głos jej matki. Ale wtedy zobaczyła wszystko bardzo wyraźnie. To, że wpadli w sieć i nie potrafią się z niej wyrwać. Wiedziała całym sercem, że nie chce być taka jak oni. Miała rozpaczliwą nadzieję, że zrozumieją i uświadomią sobie, że to ją kochają bardziej. Ale tak się nie stało. Nie kochali jej.

Usłyszała kroki na schodach i obrazy rozplynęły się. Pozostało jednak uczucie, że czegoś jej brakowało. Siedząc przed ekranem komputera, przyznała to przed sobą. Tak bardzo za nimi tęskniła, takimi, jacy byli kiedyś. O Boże, jak za nimi tęskniła!

- Ktoś ci zabrał lizaka?

Pytanie zadała Cecilie. Bo szedł za nią. Stwierdziła, że wyglądał na bardzo zmęczonego. Jakby był na zupełnie innej planecie i nie można się

było z nim skontaktować. Przeszedł obok. Nachylił się, żeby zobaczyć, co Dicte pisała, a może, żeby dmuchnąć jej w szyję.

- Cześć.

Nie odpowiedziała. Patrzyła na klawiaturę. Być może pomyślał, że to jego wina. Może chciał ją pocieszyć, bo położył rękę na jej ramieniu. Przeprasza za to, że nie da rady, że nie poradzi sobie z kobietą, za którą ciągnie się taka przeszłość. Chciała odwrócić się i powiedzieć, że rozumie. Zawsze rozumiała, gdy ktoś mówił coś bez słów. Poczula się odrzucona. Dziwne słowo - pomyślała sobie. - Odrzucona. Kiedy ktoś, kto powinien kochać, nie kocha wystarczająco mocno. Gdy brakuje mu odwagi i wybiera najprostsze wyjście.

- Jak się czujesz? - zapytał.

O nie. To były słowa na zakończenie. Willyou be all right! Nie mógł oszczędzić jej tego przy Davidsenie, wpatrującym się w ogonek jabłka, i Cecilie, kręcącej się obok z nastawionymi uszami?

Skinęła głową. Przełknęła ślinę. Już miała coś powiedzieć, kiedy zadzwonił telefon na jej biurku. Zadowolona, że coś przerwało tę sytuację, podniosła słuchawkę. Była niemal pewna, że to Kaiser, który już wrócił.

- Dicte Svendsen.

Chwila ciszy. A potem głos. To był mężczyzna, z silnym obcym akcentem.

-Chcę tylko powiedzieć, że dziecko... że ono żyje...

Wczorajsza mżawka przemieniła się w coś na kształt tropikalnej ulewy. Oprócz temperatury, oczywiście. Było dwanaście stopni. Siedząc w gabinecie Wagnera, Dicte miała wrażenie, jakby wjechała samochodem do myjni. Była zmarznięta, bo przemokła do suchej nitki po przejściu zaledwie dziesięciu metrów z parkingu do wejścia na komendę.

Wagner pocierał swój podbródek, wystukiwał o kant stołu takt długopisem i przyglądał się jej badawczo. Zauważyła, że jego głęboko osadzone oczy były ciemne i zmartwione.

- Co o tym sądzisz? Jakie masz przeczucie?

Czy to był żart? Czy facet, który dzwonił, po prostu marzył o tym, żeby zobaczyć swoje nazwisko na pierwszej stronie tabloidu? Czy mówił prawdę?

Długopis stukał dalej.

- Wierzę mu - powiedziała w końcu. - Ale to tylko moje przeczucie. Mogę się mylić.

- Masz zamiar napisać o tym w gazecie?

O mało nie zakrztusiła się kawą. Właściwie nie była warta lepszego traktowania.

- O Boże, nie! Nie piszemy o czymś tylko dlatego, że zadzwonił do nas jakiś wariat. To przecież mogłaby być kaczka dziennikarska.

Dodała w myślach, że dopóki reszta o niczym nie wie, nikt nie może jej do tego zmusić, co w sumie mogłoby im przyjść do głowy. Dlatego też nic nikomu nie powiedziała. Nawet Bo. Gdy mężczyzna skończył mówić, odłożyła słuchawkę, wstała i od razu pojechała na komendę.

- Kaczki lądują czasami w gazecie - stwierdził Wagner.

-Wy, policjanci, w ogóle nie macie zaufania do dziennikarzy - powiedziała z przekorą.

Wagner odkaszlnął. Przewracał papiery, które leżały przed nim na biurku. Myślała, że zaraz się odgryzie, dlatego zdziwiła się jego następnym krokiem.

- Zanim przyjechałaś ze swoją wiadomością, myśleliśmy już, że mamy przełom.

Spojrzała na niego pytającym wzrokiem. Popatrzył na nią i zapobiegawczo pomachał kartką papieru, którą trzymał w jednej ręce.

- To nie twoja wina, a teoria i tak spaliła na panewce jeszcze przed twoim przyjściem. Dokładnie pół godziny temu.

Zadzwonił telefon. Wagner odebrał. To była krótka rozmowa, po której wcisnął jakiś przycisk.

- Pójdzie do Wara K. Niech też ma coś do roboty - powiedział cicho, bez słowa wyjaśnienia, kim jest ten Ivar K.

Znowu podniósł długopis. Tym razem wystukiwał rytm deszczu dudniącego o szybę. Pochylił się nad biurkiem i spojrzał na nią, aż poczuła ochotę, żeby poprawić sobie ubranie i wycisnąć z włosów wodę.

- To jest ta sama osoba - powiedział w końcu. - Sprawa małego Mojżesza i Martina. Dostaliśmy w końcu wyniki analizy porównawczej i okazało się, że odciski palców z kartki Koranu i łóžeczka zgadzają się. Miałem zadzwonić, ale byliśmy zajęci sprawdzaniem tej teorii.

Chciała podnieść ręce na znak zwycięstwa, ale coś ją powstrzymywało. Siedziała bez ruchu. Poczwała, jak woda z włosów kapie na jej czoło. Więc miała rację. I co z tego? Czy to pomoże im w znalezieniu Martina, czy mimo wszystko nadal mógł to zrobić jakiś

szaleniec? Morderca, który po prostu chce zabijać noworodki.

-Opowiesz mi o tej teorii, która się nie zgadza? - zapytała w końcu.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwunasta.

- Pójdziemy na stołówkę? Mam teraz dwadzieścia minut. Moja jedyna szansa na obiad - zaproponował.

Skinęła głową.

Nad kilkoma kanapkami i piwem bezalkoholowym opowiedział jej o Wydziale Daktyloskopii i koledze, Haraldsenie, który odkrył zbieżność pomiędzy odciskami palców na kartce z Koranu i tymi z komputerowego archiwum skazanych przestępców. Opowiedział jej o rozmowie w portowym sklepie rybnym z Kimem Serensenem, o którego tu chodziło. Okazało się, że miał siostrę, Rikke, która chodziła do pierwszej klasy liceum w Tilst. Z nią też już rozmawiali. Mieli nadzieję, że jej odciski palców pasują do tych z Koranu i łóżeczka. Ale zanim w ogóle to zbadali, ich teoria zdążyła rozbić się o mur.

- Do jakiej klasy chodzi ta dziewczyna? - zapytała Dicte.

- A po co ci to? Czy to ważne? - zapytał znad kanapki z jajkiem.

Zawahała się.

-Pewnie nie, ale moja córka chodzi do pierwszej klasy liceum w Tilst.

Wstał, podszedł do bufetowej i pożyczył jej telefon. Widziała, jak wystukiwał jakiś numer. Po krótkiej rozmowie wrócił do ich stolika.

- Z moich informacji wynika, że do „c”. Czyli do klasy Rose, o ile Dicte wiadomo.

- To oczywiście nic nie znaczy - powiedziała. - Jeśli chcesz, mogę trochę popytać, ale to chyba raczej mało prawdopodobne, że to ona, tak?

Wagner skinął głową.

- Najpierw myśleliśmy, że to strzał w dziesiątkę. Ma szesnaście lat i okazało się, że jest raczej przy kości. Mogła ukryć ciążę, mówiąc, że przytyła. Wszystko wyglądało bardzo obiecująco.

- Za bardzo?

- Oczywiście, że tak. - Wagner spojrział na nią wymownie, po czym wbił wzrok w resztki kanapki. - Okazało się, że jej nieobecności w szkole zaczęły się dopiero tydzień temu. Była na lekcjach we wszystkie dni przed sprawą małego Mojżesza. Zatem nie może być matką dziecka z rzeki. A skoro wiemy teraz, że te dwie sprawy są ze sobą powiązane, jest mało prawdopodobne, że ma z nimi cokolwiek wspólnego. - Ze złością odsunął talerz. - Rozmawialiśmy z nią i była strasznie zdenerwowana, ale to chyba oczywiste. Nie co dzień do szkoły wpada dwóch policjantów z odznakami i tym wszystkim.

-A jej rodzice? Rozmawialiście z nimi?

Skinął głową. Wyglądał na przygnębionego.

- Tam też wysłaliśmy ludzi. I nic. Ojciec jeździ na wózku, a matka jest nauczycielką. Syn przejął po ojcu jego szklarnię. Nic podejrzanego - westchnął. Wypił resztę piwa bezalkoholowego. - A teraz przychodzisz ty i mówisz o jakimś cudzoziemcu, który dzwonił. Wygląda na to, że jesteśmy w punkcie wyjścia.

- Teoria obcokrajowca? - zapytała ostrożnie. Skinął głową i widać było, że nie do końca mu się to podoba.

- Nie nagrałaś tego przypadkiem na taśmę?

Nie. A mężczyzna nie zadzwonił oczywiście do rodziców dziecka, gdzie założony był policyjny podsłuch.

- Przynajmniej wygląda na to, że Martin żyje - powiedziała. - Jeśli

można brać słowa tego człowieka na poważnie.

-I to jest dobra wiadomość. - Uśmiechnął się, mimo widocznego zmęczenia.

42

Głosy pojawiły się znikąd. Jakby przyniosło je światło.

Zamknął oczy. Podniósł ramiona i wstał. Wydawało mu się, że to wszystko wydobywa się z niego. Wyrasta z jego palców i przemienia się w dźwięk. W śpiew Seligsind.

Soprany, alty, tenory i basy. Wszystkie głosy powtarzały te słowa w kanonie, omiatały pomieszczenie, dopóki nie włączały się następne. Selig sind die, da Leid tragen. Denn sie sollen getröstet werden. Soprany krążyły wokół tego ostatniego słowa, jakby chciały owinać je wstążką, tak jak on wiązał kokardkę w powietrzu.

Wyobraził sobie przed sobą chór stojący pod sklepieniem katedry, gdzie dźwięk unosi się swobodnie, ale mimo wszystko nie ginie całkowicie. Wyobraził sobie jej głos, który unosił się nad innymi. Czysty i piękny.

Zacisnął powieki. Nie było powodu, dla którego miałyby mu przeszkadzać padający na dworze deszcz. Zniszczone meble w pokoju albo lampa PH wisząca nad stołem. Nie było powodu, dla którego miałyby skupiać się na fakcie, że dyrygował sam dla siebie, stojąc w skarpetach. Szklanka whisky na stole, otwarte nuty do Requiem Brahmsa na fotelu,

wydobywająca się z głośników na ścianie muzyka. Nie musiał widzieć nut, znał wszystko na pamięć. Mimo że nie poświęcał temu zbyt dużo czasu, miał wrażenie, że to w nim dojrzało.

Gdy muzyka rozbrzmiewała, a on wczuł się w nastrój, pozwolił myślom lecieć swobodnie. To była jego forma medytacji i nie robił tego pierwszy raz. Dyrygował już w tym pokoju zarówno przy muzyce Hindemitha, Mozarta, jak i Bacha. Używał muzyki, tak samo jak inni medytacji, marihuany czy seksu, żeby oczyścić głowę z myśli. Zreorganizować je tak, żeby powstały nowe obrazy i żeby mógł ułożyć stare myśli w nowe konstelacje i może, jeśli akurat będzie miał szczęście, dojrzeć coś w tym bałaganie, w którym tkwił. W sprawach, które próbował rozgryźć.

Ale tego dnia nie doszedł tak daleko. Już miał dopuścić basy. Nawet odwrócił się w lewą stronę, żeby mogły wejść ze zrywem, kiedy zobaczył ją przez szklane drzwi do ogrodu, w które w dalszym ciągu uderzał deszcz. Stała tam jak piękna zjawka z ciężkimi od deszczu blond włosami. W swoim jasnym płaszczu rozproszyła ciemność, dokładnie tak jak przed chwilą dźwięki rozproszyły ciszę. Machała rękoma, tak jak on.

Dopiero teraz usłyszał jej pukanie w szybę i poczuł się jakby ktoś przyłapał go na gorącym uczynku. Szybko podszedł do drzwi i wpuścił ją do środka. Stała przed nim tak blisko, że czuł jej oddech i zapach wilgoci. Gdyby chciał, mógłby dosięgnąć jej jedwabistych włosów i zetrzeć wodę z policzka. Bardzo tego pragnął, ale mimo wszystko nie zrobił.

-Nie słyszałeś dzwonka? - zapytała, przekrzykując muzykę. Potem zrobiła delikatny ruch ręką, która zadrżała w powietrzu tak, że spadły z niej krople deszczu. Przysłuchiwała się przez sekundę. - Brahms.

Skinął głową. Zamknął za nią drzwi. Ten ruch sprawił, że byli teraz bardzo blisko siebie. Stała na palcach i Wagner poczuł na swoim policzku muśnięcie jej ust. Jednocześnie gorących i zimnych.

- Cześć - wyszeptała trochę niepewnie.

- Ido Marie... - zaczął, ale nie skończył. Nie mógł. Kiedy ona objęła rękoma jego szyję, odkrył, że istnieją granice tego, co może wytrzymać policjant. - Kochanie, nie możemy - zaprotestował, gdy przytuliła się do niego. Z drugiej strony jednak czuł się wspaniale, poddał się i zatopił swoją twarz w jej mokrych włosach. Przycisnął ją do siebie. Westchnął głęboko i sam nie wiedział, czy oznaczało to ulgę, czy rozpacz. - Posłuchaj - powiedział cicho, podczas gdy Brahms przechodził z jednej koloratury do drugiej. - Przecież nie możesz tu zostać, prawda? Tak nie można, kochanie - powtórzył.

Odwróciła do niego swoją twarz. W jej oczach była prośba.

- Tylko na trochę - szeptała. - Pozwól mi zostać tylko na trochę. Potem sobie pójdę.

Po prostu musiał ją pocałować. Dotknąć jej ust, poczuć ich słodki smak, dotknąć jej skóry, która była taka świeża i chłodna od deszczu. Zatopić się w jej spojrzeniu... Czy nie o tym mówiły wiersze? Myślał tak, kiedy spojrzał w dół, w ten błękit i wiedział, że jest już stracony. A właściwie zatopiony.

- Jest coś, nad czym myślałam - powiedziała, przytulając się do niego.

- Od wczoraj.

Tak bardzo różniła się od Niny, że absurdem byłoby ich porównywanie. Nina, taka ciemna, gorący temperament, ogień, który nigdy nie gasł. Ida Marie - łagodny sopran. Wiedział o tym, mimo że

prawie jej nie znał. Słyszał to w jej głosie i czuł, gdy stała tak blisko niego. Delikatne: natura, kolory i cała jej istota, ale ma też charakter - pomyślał.

- Posłuchaj - powiedział cicho. - Mam syna, Ale-xandra, ma dziewięć lat, i dorosłą córkę - nie wiedział za bardzo, dlaczego to powiedział, na co się porywał, ale mimo to kontynuował. Mówił cicho, całując jej policzki i czoło. - W rzeczywistości nie chcesz wiązać się z policjantem - powiedział. - Zobacz, jak spędzam czas. Na rozwiązywaniu spraw. Pracuję do późna. Mój syn jest u mojej siostry. Nie widziałem go prawie od tygodnia.

Przestraszona otworzyła szeroko oczy.

- A żona?

- Nina umarła pół roku temu.

Chciał powiedzieć coś więcej. Wy tłumaczyć, że Nina by ją polubiła, ale to brzmiało tak głupio. Patetycznie. Może taki właśnie był. Patetyczny, żaloszny mężczyzna, który zakochał się w kobiecie o dwanaście lat od siebie młodszej. Przecież wiedział o tym.

- Pocałuj mnie jeszcze raz - szeptała. - Tylko tyle.

I uświadomił sobie, że ona patrzyła na niego w zupełnie inny sposób niż on sam. Zrobił to, o co prosiła. Udało mu się zaprowadzić ją na kanapę, gdzie, nie odrywając się od niego, łączywie napiła się whisky.

-Lustra - powiedziała potem pomiędzy jednym a drugim łykiem i czułymi pocałunkami, siedząc na kanapie z nogami podwiniętymi pod siebie jak mała dziewczynka.

- Co z nimi? - zapytał cicho i gładził jej plecy i włosy, które sięgały aż do talii i opadały na obicie kanapy.

-Bardzo dużo o nich myślałam - powiedziała. -

Całą noc nie spałam i zastanawiałam się. I doszłam do wniosku, że ona się pomyliła.

-Kto?

Odchylił się. Słuchał. Patrzył na nią, wyprostowaną, zamyśloną i pachnącą whisky.

- HAnne Guldborg, wróżka z Gjellerup, pomyliła się - powtórzyła z przekonaniem i patrzyła na niego poważnym wzrokiem. - To nie były lustra. To okna. Setki okien. Tak jak w Pryzmacie. Znasz go? To ten nowy budynek przy Ceres.

- Okna - powtórzył i coś poruszyło się we wszystkich jego myślach, które chciał uporządkować, ale jeszcze nie potrafił sobie uświadomić, co to było.

Dicte nie mogła zasnąć. Drzewo trzeszczało bardziej niż zwykle. Czowała się, jakby siedem słoni zamieszkało na poddaszu. Może to jakaś kuna - pomyślała - a może Rose też nie może spać i postanowiła zatańczyć balet w swoim pokoju pod dachem.

Gdzieś na podwórku huczała sowa. Wiatr przegonił deszcz. Obudził się Svendsen. Słyszała, jak dla porządku zaszczekał kilka razy w korytarzu, a później z pewnością położył łeb na łapach i zapadł w sen. Najprawdopodobniej to kot sąsiadów, chcąc podokuczać szczeniakowi, zapalił fotokomórkę, stanął przed przeszklonymi drzwiami i gapił się na niego, tak jak to miał w zwyczaju.

Odwróciła się i przekręciła w łóżku, poprawiła poduszkę. Zastanawiała się, czy nie wziąć jakichś proszków na sen. Słyszała głos, który odezwał się wtedy w słuchawce - ten z trochę niepoprawnym akcentem. „Dziecko... ono żyje”. Gdzie był Martin? Jeśli żył, jeśli miała uwierzyć anonimowemu rozmówcy, to gdzie był teraz niemowlak? Kto się nim opiekował? Kto tulił go, kiedy płakał?

Myśli pędziły dalej. Czas ciągnął się w nieskończoność. Kołdra była za gruba. Poduszki za duże. Ciało zaczęło się jednak robić ciężkie, jakby już miało się poddać. Teraz to Bo odwiedzał ją w nocy. A może był to ktoś inny? Ktoś z innych czasów. Dłonie, które odkrywały jej ciało. Objęcia. Miłość. Mamrotała w półśnie, wspominała mężczyznę. „Kto był tym szczęściarzem?”. Czy to Bo o to pytał? Siedzieli w jej salonie i zwierzali się. Wypili trochę wina. Trochę się przytulali. „Kto był tym szczęściarzem?”.

Była tylko młodą dziewczyną. Ciągłe dzieckiem. W szkole niczego nie

było jej wolno. Nie mogła chodzić z koleżankami do ich domów. Nie mogła chodzić na imprezy. Miała tylko szesnaście lat, kiedy pojawił się w jej życiu. Szesnaście lat, kiedy na zastępstwo przyszedł nowy nauczyciel. Był rok 1976. Chodziła do dziesiątej klasy. Pozwolili jej. Studia nie wchodziły w grę. Nie mogła mieć wyższego wykształcenia, bo przecież w przyszłości miała być na utrzymaniu męża i zajmować się rodziną. Miała spędzać wolny czas na nawracaniu innych i pracować tak mało, jak to tylko możliwe.

Nowy nauczyciel jednak miał co do niej zupełnie inne plany, bo przecież umiała coś, czego nie umieli inni. Umiała pisać. Długie barwne wypracowania na przeróżne tematy, w których dawała upust swoim marzeniom i tęsknotom. Pisane pod kołdrą przy świetle latarki, kiedy jej rodzice nie patrzyli. Wmawiała sobie, że to dozwolone, że mogła przelewać słowa na papier, jeśli tylko nie wypowiadała ich głośno. Odkryła, że to było jak latanie. Przenosiła się do innego świata, w którym wszystko było możliwe.

Nauczyciel o imieniu Morten chciał, żeby poszła na studia. Ona też bardzo tego pragnęła, ale nie mogła. Zaczął prowadzić z nią rozmowy po lekcjach. Dawał jej książki, które potajemnie czytała. Mówił jej, że jest zdolna i piękna. Miał 30 lat, długie włosy i mieszkał w komunie. Któregoś dnia poszła do niego.

Morten. Torsten. Bo.

Obracała się w półśnie. Mamrotała. Ciało pulsowało. Czowała się, jakby tuzin rąk delikatnie jak motyle dotykał jej skóry. Ciepło rozchodziło się z przepony w dół. Zatopiła się w nim. Poczwała, jak jej ciało tęskni za dłońmi, pocałunkami. Za mężczyzną.

Bo. Gdzie on był? Zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo go pragnęła. Chciała, żeby tu był. Natychmiast, właśnie w tym momencie. Powinien przyjść i być z nią, i zabrać ją ze sobą. Leżeć obok niej, głaskać jej plecy, w dół, aż do bioder, i wodzić po niej ustami. Obrócić ją i patrzeć. Położyć się na niej. Bawić się językiem wokół jej piersi, pępka i wzdłuż linii poniżej niego. Ale w tej krainie między snem a jawą wizerunek mężczyzny bez przerwy się zmieniał. Morten. Torsten. Bo.

Zrzuciła z siebie kołdrę. Obrazy wirowały jej w głowie. Ramiona, nogi, ciała, pulsujące ciepło. Poczowała, że zrobiła się wilgotna. Ostrożnie spróbowała palcem. Zła. Wściekła. Gdzie on był? Dlaczego nie przyszedł? Rzuciła się na poduszki. Znowu spróbowała. Ale denerwował ją paznokieć. Nagle wiedziała, że sen był nieosiągalny. Będzie tak leżeć i gapić się w sufit, aż wzejdzie słońce.

Wtedy przyszedł jej do głowy pomysł. Wstydziła się i cieszyła. Będzie mogła rozkoszować się swoim ciałem, poczuje jego drzenie i odrzuci wszystko, co je krępuje. Ciągle nosiła swój wewnętrzny pas cnoty, albo przynajmniej jego resztki.

Leżał w szufladzie. Na wyciągnięcie ręki. Zrobiła to trochę z przekory, trochę z gorliwości. To było lepsze niż nic. Podniosła go. W ciemności nie widziała różowego koloru i czerwonych kropek. Na szczęście - pomyślała. Ale za to go czuła. Włączyła, aż zaburczało. Pozwoliła wypełnić się i wysłać do miejsca, które jej matka nazywała piekłem. Nie wiedziała, co to było i nie ubolewała nad tym. W każdym razie było ciepłe i miłe. Ani objawienie, ani trzęsienie ziemi. Po prostu delikatne drzenie, ale wystarczyło, żeby potem odpłynęła w krainę snu.

Obudziła ją Rose, która pobrzękiwała w kuchni filiżankami i pies,

który czekał.

- Cholera - wymamrotała i poczłapała pod prysznic. Pomyślała o minionej nocy we własnym towarzystwie. Kolejny raz doszła do wniosku, że zbyt długo jest sama. Jeżeli z Bo nic nie wyjdzie, będzie musiała rozejrzeć się za kimś innym. Tego kwiatu jest pół świata, jak to mawiał Torsten, kiedy siedział w dobrym towarzystwie. Oczywiście o kobietach, ale w drugą stronę też się liczyło, mimo że nie miała pojęcia, gdzie powinna szukać. Zmusi się do tego, zbada teren. Dlaczego w końcu została dziennikarką? Przede wszystkim po to, żeby uciec z uniwersytetu - powiedział jakiś głos w jej głowie - żeby dać ujście potrzebie pisania. Uciec do tych światów, które leżały tak daleko od niej. Badaniu terenu nigdy nie poświęcała zbyt dużej uwagi.

- Kawa? - to było pierwsze słowo Rose tego ranka i Dicte poczuła, jak bardzo chce jej się pić.

- Super. Wczesnie wstałaś? -Hmm.

Rose podała jej dymiący kubek. Cudowne dziecko - pomyślała Dicte. Znowu ten listonosz.

- Tost? Z margaryną lightl

Ostatnie słowo wypowiedziane zostało z pogardą. Margaryna light była nowym zakupem. Zamierzenie było takie, żeby schudnąć kilka kilo, najlepiej pięć.

Skinęła głową. Rose posmarowała zapieczony chleb i podała Dicte talerz.

- Co słyhać u tego tam, Bo?

Pytanie zadane przez Rose, która stała odwrócona do niej bokiem i smarowała masłem kawałek chleba dla siebie, brzmiało zupełnie

niewinnie. Dicte poczuła, jak ogarnia ją współczucie dla samej siebie.

- Przecież on jest żonaty - powiedziała i od razu pożałowała, bo zgodnie ze swoim staroświeckim podejściem nie powinna angażować swojej córki w takie rzeczy.

-Tylko nieumiejętna maciora nie umie odepchnąć innej od koryta. - Rose spojrzała na nią surowym wzrokiem.

Dicte ugryzła swojego tosta trochę szybciej, niż planowała i małe okruszki spadły na podłogę, gdzie leżał Svendsen.

- Jak niesolidarnie - powiedziała Dicte, wspominając ze złością Evę. - Gdzieś ty się nauczyła takich bzdur?

- Od mojej koleżanki z klasy. Jej ojciec hoduje świnie - Rose prychnęła.

Dicte ukucnęła i odłamała kawałek tosta Svendseno-wi, który żuł go z zadowoleniem.

-Sorry - kontynuowała Rose, a Dicte widziała, jak jej delikatny nos zmarszczył się trochę - ale często śmierdzi prosiakami.

-A co u tej drugiej dziewczyny? Tej, o której niedawno opowiadałaś? Rose spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Rikke? Miała wczoraj gości. Dwóch mężczyzn przyszło po nią w środku lekcji. Mówiła później, że byli z policji.

Miała takie przeczucie. Podejrzenie, które się wkradło, teraz zostało przynajmniej potwierdzone. Rose wyprostowała się. Usiadła na krześle.

- Coś jest z nią nie tak, mamo.

Dicte odstawiła talerz i filiżankę do zlewu. Poczuła na karku mrowienie. Próbowwała stłumić uczucie niepokoju.

- Nie wydaje ci się, że po prostu zdenerwowała się, bo przyszła do niej

policja?

Rose siedziała przez chwilę i zastanawiała się. Pokręciła głową.

- Nie wiem, o co chodzi, ale coś jest nie w porządku.

Dicte nie odpowiedziała, ale pomyślała, że oczywiście córka ma rację. I to pod wieloma względami. Dziennikarka czuła się, jakby miał się zagotować jej mózg. Wszystkie historie zlewały się ze sobą, tak jak przed zaledwie kilkoma godzinami tych trzech mężczyzn mieszało się w jej fantazji. Historie, które może miały ze sobą coś wspólnego, a może nie. Nie chciała ich. Nie chciała, żeby były jej, ale im bardziej próbowała je powstrzymać, tym głośniejsze słyszała pytania i tym słabszy był jej opór.

Telefon zadzwonił w środę rano i na szczęście sama odebrała. Nie spodziewała się go tak szybko. Tyle się słyszało o listach oczekujących i tak dalej. Ale mimo to mogli przyjąć ją teraz. W przyszłym tygodniu. Musiała się tylko przygotować. Przez resztę poranka chodziła otumaniona, jakby wzięła jakieś tabletki. To wszystko wydawało się takie nierzeczywiste. Guz, który był w niej, mimo że go nie widziała. Śmierć, która podeszła bliżej, mimo że czuła się zdrowa. Miała wrażenie, jakby nawet Jacob i Anders byli statystami w teatrze, w którym ona grała główną rolę. Jakby wszyscy troje mieli zniknąć, kiedy kurtyna opadnie.

Anne odwiozła Jacoba do szkoły, zadzwoniła do szpitala i powiedziała, że jest chora. Potem wróciła do domu. Wstawiła samochód do garażu i poszła do pokoju ćwiczeń Andersa.

- Co się stało? - Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

Zastanawiała się przez moment nad tym, czy rzeczywiście patrzył na nią, czy może przyglądał się czemuś innemu. Wzorkowi na jej bluzce albo kolorowi jej włosów.

- Anne?

Stała tam jak w transie. Weszła do środka. Usiadła na krześle do pianina, którego używało się tylko przy graniu muzyki kameralnej. Odłożył swój obój. Chociaż tyle - pomyślała. Instrument leżał w poprzek złotego aksamitu w pudełku. Widziała, że Anders zbladł. Uświadomiła sobie, że się bał.

Chciała to powiedzieć, ale słowa nie przychodziły. Zamiast tego nadeszły łzy. Wytarła je, ale nadchodziły następne i następne. Siedziała cicho, a one płynęły. Bez szlochu i bez żadnego dźwięku. Tak bardzo

chciała to powiedzieć, ale nie mogła i nagle uświadomiła sobie, że przecież kocha go, dlatego że jest właśnie taki, jaki jest, że jej potrzebuje.

- Kochanie, co się stało?

Podszedł do niej. Wziął niepewnie jej dłonie w swoje. Osunęła się na podłogę. Położyła głowę na jego kolanach, a on nie odepchnął jej, tylko przytrzymał jej podbródek i wyprostował ją, tak żeby spojrzała mu w oczy. I w tym momencie pomyślała, że nigdy tego nie robiła. Nigdy nie odkryła przed nim swoich słabości i nie prosiła go o pomoc.

- To przeze mnie? - zapytał w końcu. - To koniec? To dlatego? Jest jakiś inny?

Teraz i on płakał. Bał się, och, jak bardzo się bał. Chciała przytulić go i powiedzieć mu, że tak bardzo go kocha, nawet mimo tego, że czasami zamyka się w swoim świecie. Nawet mimo tego, że nie może znieść widoku porodu i że nie radził sobie ze złymi wiadomościami. Mimo że zrzucił na nią rolę tego silnego i może dlatego nigdy właściwie nie wypróbował swojej siły. Teraz nadszedł czas, kiedy będzie musiał to zrobić.

- Będę miała operację. W następną środę - powiedziała w końcu. - Mam raka piersi.

Czego się spodziewała? Że ucieknie z krzykiem? Zamknie się w ubikacji i będzie rozpaczał? Nie zrobił tego, ale i nie podjął walki. Przycisnął ją tylko do siebie. Milczał przez dłuższy czas, aż wydawało jej się, że całkiem stracił mowę.

- Nie, to nie może być prawda - powiedział w końcu; był kompletnie spanikowany. - To nie może być prawda - powtórzył. - Przecież nie jesteś chora.

Wyjaśniła mu, spokojnie i powoli, to, o czym on oczywiście dobrze wiedział, że można mieć guza bez widocznych objawów choroby.

-Ale mam spore szanse - powiedziała i poczuła napływające do oczu łzy. - Nie wiadomo, czy są przerzuty.

Dziwiła się własnym słowom. Nigdy w życiu nie przypuszczała, że będzie musiała mówić takie rzeczy. Tak to jest - pomyślała przez chwilę - każdemu wydaje się, że jest niezniszczalny, nieśmiertelny, zanim życie go nie dopędzi.

-Nie wiadomo, czy są przerzuty?! O Boże... - powiedział zdławionym głosem.

Pochylił się w jej stronę i płakał. Szlochał, jakby ktoś go pobił. Pomyślała, że są różne reakcje w obliczu katastrofy. Była też rozpacz, w której trzeba było podtrzymywać na duchu tę drugą osobę i koncentrować się tylko na tym. Właśnie tak to rozumiała.

- Poradzimy sobie - zaszlochał nagle, a ona o mały włos nie roześmiała się przez łzy. Pomyślała, że jednak był odważny. Anders miał wrażliwą duszę, ale wykazał się dużą odwagą, próbując ją pocieszać. - Nie zawiodę cię. Obiecuję - łkał i tulił się do niej. - Nie ucieknę. Będę przy tobie.

Poczuła, jak łzy wysychają. Jak zwycięża jej wola walki. Pomyślała, że może takie właśnie ma być jej życie. Na pewno takie. To ona ma pocieszać i dzięki temu znajdować pocieszenie dla siebie. Martwić się o innych i w ten sposób zapominać o sobie. Pomyślała o swojej mamie, która nigdy nie pozwoliła jej zwątpić w swoją miłość. O ojcu, który wątpił i dlatego był pełen rozpacz. O genach, które przywiozła ze sobą z tak daleka i o swojej rodzinie skazanej na biedę. Nie wiedziała, skąd przyszła siła. Czy miała ją we krwi, czy może to miłość urosła do czegoś nieprzewycięzonego. Ale

wiedziała, że ma tę moc.

Później, gdy już wszystko było zaplanowane, poczuła ulgę. Jakby pierwszy raz w swoim życiu uporządkowała sprawy i gruntownie przygotowała się do egzaminu. Dzień i godzina były ustalone. Wiedziała co i w jakiej kolejności ma się wydarzyć. Anders, opanowany, ale blady jak ściana, wytłumaczył Jacobowi, że mama będzie miała operację, ale odwiedzą ją i przyniosą kwiaty, a potem wróci do domu i wtedy będą musieli dobrze się nią opiekować, oni dwaj.

Później, po południu, zdecydowała, że powinna jeszcze odwiedzić Idę Marie i Theisa i pogodzić się również z nimi. Czuła, że powinna wszystko uporządkować. Chciała zacząć wszystko od początku.

Jechała ulicą Silkeborgvej i już miała skręcić w lewo w Ringgaden, kiedy nagle coś ją powstrzymało i sprawiło, że pojechała dalej prosto. Wiedziała, dokąd jedzie, ale nie chciała dopuścić do siebie tej myśli. Przynajmniej nie przed tym, zanim stanęła na dużym skrzyżowaniu przy placu Banegårdplads. Zaparkowała przy dworcu i znalazła parkometr. Wysiadła. Wiał popołudniowy rześki wiatr. Stała przez chwilę i głęboko wdychała miasto. Żółte autobusy, które wypełniały ulice, dworzec kolejowy, który świecił nowo wyremontowanymi żółtymi ścianami, ludzi, którzy szli po pasach w kierunku czekającego na nich autobusu na lotnisko. Tłok w tym małym dużym mieście, które tak bardzo lubiła. Zapach, dźwięk i świeżość Arhus. Prowincjonalizm i wielko-miejskość pomieszane ze sobą. Studiowała tu. Znała każdą uliczkę i każdą kawiarnię. Zamawiała wycieczki w biurze podróży DSB; kupowała gazety w kiosku na rogu i ciastka w piekarni przy ratuszu. Skoro muszę - pomyślała, nie czując strachu - to chcę umrzeć tutaj, gdzie było wszystko, czego

potrzebowała. I mimo wszystko musiała uśmiechnąć się na myśl, że adoptowana przez pastora Koreańska zapuściła swoje korzenie w miejscu tak egzotycznym jak jutlandzka ziemia.

Kiedy przechodziła na drugą stronę, spoglądając na różne wystawy, a potem kupiła w kiosku jakieś kobiece pismo, ciągle o tym myślała. Przemykała obok Burger Kinga i stanęła przed wejściem do hotelu Ritz, który kojarzył się bardziej z jedwabnymi prześcieradłami i Paryżem niż z duńską prowincją. Nie dając sobie zbyt dużo czasu na zastanowienie, zapytała w recepcji o Torstena. Pomyślała, że pewnie go nie ma. Kurs już się skończył, a jeśli nie, to był w Szkole Dziennikarstwa.

-Anne!

Głos był łagodny. Dochodził z tyłu. Odwróciła się i zobaczyła, jak szedł w jej stronę z jakimiś torbami pod pachą.

- Zakupy. - Uśmiechnął się i pocałował ją w policzek, tak jakby była po prostu dobrą przyjaciółką, co właściwie było prawdą. - Zawsze przywożę coś do domu.

Nie powiedział komu.

- Zajdziesz do mnie?

Stała niepewnie. Czowała, że nie odważy się powiedzieć tak. Skinęła głową w stronę okna i ulicy, gdzie przez chmury prześwitywało słońce.

- Masz czas na kawę w jakiejś kawiarni?

Mogła zaproponować hotelową restaurację, ale to brzmiało zbyt intymnie. Ukradkiem mu się przyglądała. Był przystojnym mężczyzną, ale sprawiał wrażenie zmęczonego. Z szarymi refleksami w zaroście, który potrzebował strzyżenia. Z ciężkimi powiekami. I ramionami, które, jakby zrezygnowane, ukośną linią opadały w dół.

- Możemy pójść tam, na drugą stronę ulicy - zaproponował.

Zauważyła, że jego oczy ciągle błyszczały niezwykłym blaskiem. Przeszła pewnie dopiero tego dnia, kiedy nałożyła na nogi papcie - pomyślała, gdy opuszczali hotel, a on zostawił swoje torby na ladzie recepcji. Czuje spojrzenie. Poczula jego lekką dłoń na krzyżu, kiedy przechodzili do Plaży, gdzie znaleźli stolik, trochę odsunięty od okna.

- Cappuccino?

Przytaknęła. Obserwowała, jak nachylał się nad barem i prawie szeptem składał zamówienie. A może wyszeptał do ucha barmanki coś innego? Była blondynką miała dołeczki na policzkach i biust, który odstawał jak mała półka. Może świat potrzebował takich jak Torsten. Może Stwórca, jeżeli istniał, przewidział, że niektóre kobiety potrzebują takiego wentyla. Kogoś, czyją rolą na tym świecie jest poświęcanie im uwagi i przekonywanie, że są najpiękniejsze. Kogoś, kto potrafi przełamać lody i kto bez zająknięcia odbębni wszystkie grzecznościowe zwroty. Kto z otwartym spojrzeniem i pełną dyskrecją wypełni swoją misję podnoszenia poczucia wartości u kobiet, a potem zniknie za kulisami.

- Jak poszło?

Przyniósł jedno cappuccino i espresso i usiadł naprzeciwko niej. Opowiedziała mu. Nie rozmawiali o drugiej sprawie. Nie w szczegółach. Siedząc tam, wiedziała, że mogła to powtórzyć, gdyby tylko chciała. Może ta wiedza jej wystarczała. Uważał ją za atrakcyjną, a ona mogłaby zapomnieć się na chwilę. Mogłaby, gdyby chciała, zostać jego kochanką i, o zgrozo, wiedziała, że nie miałyby wyrzutów sumienia. Bo z Torstenem to było coś innego. Coś całkowicie odmiennego niż z Andersem. Nie tak skomplikowanego, ale też -musiała przyznać - nie tak głębokiego. Bez

wszystkich powiązań, które ciągnęły i rwały, raniły serce do krwi, a potem łączyło je się na nowo w przemyślny wzór, którego nikt nie potrafił rozszyfrować.

Prawda była taka, że nie potrzebowała już Torste-na. Niech teraz inne mają z niego pożytek - pomyślała, jakby chodziło o jakiś nowy lek. Cynicznie? Może, ale w tym momencie nie stać jej było na nic innego.

- Udało ci się spotkać z Rose? - zapytała. Przytaknął. Wyglądał na zamyślonego.

- Zrobiła się ostatnio strasznie rozsądna. Chłopak i nauka. Jeśli dobrze zrozumiałem, to z tego składa się teraz jej życie. - Pokręcił głową, ale właściwie wyglądał na całkiem zadowolonego. - Skończy się pewnie całkiem małomiasteczkowo Mężem, domem i dziećmi.

- Tak jak u ciebie? - Uśmiechnęła się. Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- U mnie? Wydawało mi się, że robię wszystko, co mogę, żeby zmącić stabilizację.

-ADicte?

Widocznie zastanawiał się, co odpowiedzieć. Przechylił filiżankę i napił się swojej mocnej kawy. Jego spojrzenie rozświetliło się.

- Dicte. Ona nigdy nie będzie całkiem normalna. Na szczęście.

Pochylił się nad stołem. Pomyślała o blondynce. O jej dołeczkach i biuście. Zauważyła, że był czymś zmartwiony.

- Rose trochę się o nią martwi - powiedział, wyglądając nagle na niepewnego. - Przez tę historię z małym Mojżeszem i zaginionym dzieckiem Idy Marie. Mówi, że jej mama stała się pracoholiczką, że nie może przestać o tym myśleć... A prawda jest taka, że Rose nie wie nawet połowy.

- Jakiej połowy?

Znowu zbliżali się do tego miejsca. Do tego, które tak bardzo ją gryzło. Myślała, że zna Dicte na wylot. Może nawet lepiej niż Andersa. Teraz zaskoczyło ją dziwne przeczucie. Wrażenie, że jednak coś trzyma przed nią w tajemnicy.

Westchnął cicho i przyglądał się jej. Bawił się przez chwilę kawałkiem papieru z torebki po cukrze.

- To nie dlatego, że ci nie ufa - zaczął. - Ona już po prostu taka jest. Nie chce do siebie nikogo dopuścić. To może jedna z przyczyn, dla których... - Machnął ręką, tak że resztki cukru rozsypały się na stole. - Widzisz, to w niej siedzi. Siedziało przez wszystkie te lata. Próbowałem pomóc jej to wydobyć, żeby się z tym zmierzyła, przypomniała i przestała dusić w sobie. Do cholery, jestem przecież psychologiem z wykształcenia.

- Dicte prawie też - zaznaczyła Anne.

-Prawie - powtórzył. - Tylko prawie, bo kiedy przyszło co do czego, okazało się, że brakuje jej odwagi. Dziennikarstwo było o wiele pewniejsze. Redakcja „Gospodarki”. W bezpiecznej odległości od wszystkiego! - Znowu machnął ręką. Cukier wypadł. - Nie mam teraz oczywiście zamiaru zrzucać na nią całej winy. Też miałem w tym swój udział, nawet całkiem spory. Czasami czułem się, jakbym żył z duchem. Z kimś, kto lawirował między przeszłością a teraźniejszością.

Anne westchnęła cicho. Czekala. Widziała, że był bardzo bliski złamania obietnicy. Opadł na oparcie krzesła, kręcił głową i wyglądał na nieszczęśliwego.

- Była przecież tylko dzieckiem. Opowiedziała mi o tym jeden jedyny raz. Później nie mogłem o to pytać. Musiałem przysiąc, że nigdy już o tym

nie wspomnę.

- O czym?

- Że była w ciąży, oczywiście - powiedział, zgniatając w popielniczce papierek po cukrze, aż trzeszczał.

- Wtedy, kiedy uciekła z domu. - Znów machnął ręką.

- Wtedy, kiedy została wykluczona - poprawił się.

Czuła, że żyje. Pamiętała to uczucie. Pewnego dnia obudziła się i po prostu wiedziała. Wiedziała również, że nic już nie będzie takie samo.

Dicte dołała wina do szklanki. Południowoafrykańskie. Kupione w Fotex, dwie butelki za dziewięćdziesiąt koron. Na tym trzeba było się skupić. Czasem musiała naprostowywać swoje myśli, naprowadzać je na odpowiedni tor, żeby nie przedostawały się przez mur, który powstał, by chronić. Zupełnie jak potężny płot wokół działki, który wzniesli kiedyś wcześniejsi właściciele domu, harley owcy, żeby się osłonić.

Przez okno w pokoju obserwowowała ciemność. Słyszała wiatr szumiący w kominie i deszcz dudniący o szybę. Przyciągnęła nogi do siebie.

Słuchała płyty zespołu Queen. Wyłapywała dźwięki gitary Briana Maya, który rozrzucał je w tym pomieszczeniu, dokładnie tak, jak niebo zrzucało na ziemię deszcz. Mieszały się tam radość i ból. Jakby gitarzysta odrywał kawałek siebie.

Czuła się identycznie, kiedy to odkryła. Radość i ból zmieszały się ze sobą gdy już wiedziała na pewno, że w wieku szesnastu lat będzie miała dziecko.

Odsunęła od siebie kieliszek. Wino przynosiło odwrotny skutek, niż zwykle. Sprawiało, że sobie przypominała. Może to była jej wina, a może po prostu dotarła do miejsca, w którym mur ochronny był zniszczony?

Wiedziała, że nie może zostać u swoich rodziców. Wiedziała też, że nie chce. Myślała o tym, że nie pozwoli Strażnicy wychowywać swego dziecka, a była pewna, że tak by się właśnie stało. To było dla nich najważniejsze, w pewnym stopniu ważniejsze niż grzech, bo przecież nie była jeszcze nawet ochrzczona. Zabraliby jej dziecko, wiedziała to z

pewnością. Stałoby się ich. Może nie dosłownie, ale duchowo. Zabraliby mu duszę. Zadbali, żeby wychowało się w tym, co nazywali prawdziwą wiarą.

Ale poza tym, nie wiedziała nic. Nie miała pojęcia, dokąd powinna pójść i kto mógłby jej pomóc. Nie wyobrażała sobie, jaki ból sprawia odcięcie pępownicy. Tej łączącej ją z rodzicami, z domem i tym wszystkim, co mimo wszystko było znane i bezpieczne. W ogóle nie potrafiła pojąć ogromu rewolucji, przed którą stała.

Sięgnęła po wino, które jednak trochę ją uspokajało. Ogrzewało w środku i upewniało, że żyła. Odstawiła kieliszek i przyszło jej do głowy, może pierwszy raz w życiu, że nigdy by tego nie zrobiła, gdyby znała konsekwencje. Jeśli by wiedziała, jaką zapłaci cenę, zostałaby na zawsze z nimi. Ale wtedy tego nie wiedziała. Miała może jakieś bladziutkie pojęcie i w pewnym sensie okazało się to jej szczęściem.

Zmieniła pozycję na kanapie. Bardzo chciała to odłożyć. Wymyślić coś, żeby uniknąć tej konfrontacji. Uciekała już jednak bardzo długo i sama się do tego przyznała, że jest strasznie zmęczona. Nadaremnie walczyła, gdy to wszystko się na nią zwały. Niepotrzebnie. Ponieważ w końcu doszła do wniosku, że o to właśnie chodziło: musiała sobie wszystko przypomnieć i przeżyć jeszcze raz. Chociaż nie miała pojęcia, czemu to ma służyć.

Wspominając, słuchała muzyki, która odsłaniała jej duszę. Gitary, która wibrowała dziko i na pozór chaotycznie. Razem z innymi instrumentami, a jednak oddzielnie. Samotnie - pomyślała solidarnie, ponieważ ona też miała tylko Svendsena, bo Rose była w mieście ze swoim, pozał się Boże, Janem. Może zawsze taka była? Svendsen podniósł

łeb w swoim koszyku, jakby wymówiła jego imię. Usłyszała, że warczy. Wyszedł z legowiska, stanął na środku pokoju i zaczął szczekać. Zjeżył sierść na karku, zanim ona usłyszała jakikolwiek dźwięk. Potem doszedł ją odgłos kroków na podjeździe. To może być ratunek - pomyślała, ale właściwie wcale go nie chciała. Zignorowała go. Zignorowała dźwięk dzwonka. Zrobiła głośniejszą muzykę, naląła sobie więcej wina i pozwoliła, żeby Svendsen szczekał jak wariat. To oczywiście nie pomogło, ponieważ ten ktoś znał dom i wpadł na to, żeby go okrążyć i podejść do tylnych drzwi. Wtedy pies zaczął merdać ogonem, więc mimo wszystko musiała wstać, ściszyć muzykę i zapalić światło na tonącym w deszczu podwórku. Gdzie padał deszcz. Zobaczyła Bo, przemoczonego do suchej nitki. Z włosów i brody kapłała woda. Wyglądał jak zmokła kura. Wpuściła go do środka.

- Co się stało?

Jeszcze jedno porwanie? Morderstwo? Zła wiadomość już w drzwiach, tak jak ostatnio?

- To się stało, że czuję się, jakbym wskoczył do wody z dziesięciometrowej trampoliny i na pewno wstanę jutro z zapaleniem płuc.

Potrząsnął głową jak pies, a z włosów poleciały krople deszczu.

Przyniosła ręcznik i podała mu. Wytarł twarz, szyję i kark.

- No i to, że odszedłem od żony - dodał.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Dlaczego on jej to mówił? I dlaczego w ogóle do niej przyszedł? Jakby w odpowiedzi na jej pytania, uśmiechnął się i wskazał palcem w stronę kuchni i jadalni.

- Pomyślałem, że spojrzę na twoje okna.

Usiadł na stołku i przywitał się ze Svendsenem. Nic z tego nie

rozumiała. Może dlatego, że nie chciała. Nie miała odwagi.

- Na dworze jest ciemno - stwierdziła i postanowiła przynieść mu kieliszek z barku. Powiedziała to przez ramię, odwrócona do niego tyłem, postukując szkłem i wyciągając kieliszek. - A ty chcesz oglądać okna?

Teraz uśmiechnął się, wyprostował nogi i pozwolił psu gryźć swojego buta, który już i tak wyglądał na przeżutego.

- A co byś, do cholery, chciała, żebym powiedział?

Spojrzał na nią. Nalała wina do jego kieliszka. Przyglądała się jego chudej sylwetce. Mogłoby się wydawać, że jest chłopcem, osądziła, ale ona wiedziała przecież, że jest inaczej.

-Na przykład prawdę - odparła z roztargnieniem i podniosła butelkę, żeby zobaczyć, ile ubyło. Zawsze można otworzyć następną. Drugą połowę dziewięćdziesięciu koron.

- Zakochałem się w tobie.

Pies warknął gotowy do zabawy z zębami zaciśniętymi na bucie. Dicte o mało nie upuściła butelki z winem.

- Chyba nie wiesz, co mówisz.

Nie zastanawiała się nad tymi słowami. Przyszły same, niemal automatycznie. Dobrze wiedziała dlaczego. Lepiej było trzymać go na dystans. Przez kilka sekund siedział w milczeniu. Potem pokręcił wolno głową.

-To niesamowite - powiedział, wyraźnie słyszała w jego głosie irytację.

- Poświęciłem kilka dni, żeby sobie to wszystko przemyśleć i wyobrazić, zastanowić się w jaki sposób najlepiej ci to powiedzieć. A ty stoisz sobie tam i myślisz, że możesz opanować sytuację i cały wszechświat, mówiąc takie pieprzone bzdury. - Spojrzał na nią; w całej jego postaci, zaciśniętych

nogach i ciele nastroszonym jak pióro, kipiała złość. - Myślisz, że naprawdę zdobędziesz nad wszystkim kontrolę, jeśli będziesz rzucać wkoło takimi frazesami? Popatrz na siebie. Spójrz w lustro. I tam poszukaj prawdy. Chyba o nią ci właśnie chodzi?

Nie wiedziała, co ma powiedzieć ani zrobić. Posłuchała więc go. Jak w transie przeszła przedpokój i stanęła przed ogromnym lustrem, które kiedyś, ku przerażeniu Torstena, kupiła na pchlim targu. Spotkała swój wzrok i odkryła, że nie potrafi spojrzeć sobie w oczy, ponieważ wewnątrz niej pojawiły się obrazy. Widziała, jak czas się cofa i znowu była w domu na gospodarstwie. Znowu miała tylko szesnaście lat, właśnie podjęła decyzję i wiedziała, że to był koniec bezpieczeństwa, dzieciństwa i wszystkiego, co jednak było jej. Wiedziała, że ta decyzja będzie ją prześladować. Przez resztę życia będzie tkwić w niej jak dziwny, ciemny strumień.

Chciała uciec, ale Bo stanął za nią. Zanim zdążyła go odepchnąć, objął ją ramieniem i mocno trzymał. Poczowała dreszcze. Trzęsła się, jakby było jej zimno. Wzmocnił uścisk. Przycisnął do niej swoją twarz, tak że stykali się policzkami.

- Naprawdę jest tak źle? - wyszeptał bardzo łagodnie. - Czy to naprawdę takie okropne być Dicte?

Poddała się. Usłyszała napięty dźwięk wydobywający się z jej krtani. Pomyślała, że teraz go straci, ale przecież i tak nie był jej.

- Urodziłam dziecko - powiedziała. - Miałam szesnaście lat i nie mogłam sobie z tym poradzić.

Nie uciekł, stał przy niej, tulił i patrzył na nią w lustrze.

- Co było dalej? - zapytał. Wtedy mu opowiedziała.

Później. Dużo później, kiedy już się kochali i przenikali nawzajem, przyznali przed sobą, że przyszłość ich przeraża.

- Oczywiście, nie miałem zamiaru stanąć z walizką w twoich drzwiach
- powiedział i wziął do ręki kosmyk jej włosów. - Znajdę jakieś mieszkanie.

Leżeli w łóżku. Ubranie poniewierało się po podłodze. Na dworze padało i wiał wiatr, sceneria jak z komiksu „Snoopy. Była ciemna burzliwa noc.

Domyślała się tego. Nie należał do mężczyzn, którzy pakują się z jednych tarapatów w drugie. On, który nigdzie nie mógł zagrać miejsca.

- Wyjedziesz w świat - zmusiła się, żeby to powiedzieć. - Do Somalii.

O matko, jak trudno było jej powiedzieć to słowo. Słysząc w nim było tyle tęsknoty, że ścisnęło się jej gardło.

- Nie jestem pewien. Mam przecież jeszcze dzieci - westchnął i pocałował jej ramiona.

Przez chwilę leżeli w ciszy. Dzieci. Nie mogła wyobrazić sobie ich twarzy. Za to przyszedł jej do głowy Martin. I to, jak Ida Marie musiała się czuć.

- Myśleli, że mają przełom.

- Kto? - zapytał zdezorientowany.

- Policja, Wagner. - Opowiedziała mu o teorii z odciskami palców, mężczyźnie ze sklepu rybnego i Rik-ke, dziewczynie, która chodzi do klasy z Rose. - Ale pomylili się - dodała. - Okazało się, że to jakaś całkiem normalna rodzina, a poza tym ta dziewczyna nie mogła urodzić małego Mojżeszka. Była w szkole przez wszystkie te dni.

-Hmm.

Obróciła się w jego stronę. Leżał i uśmiechał się z pół-przymkniętymi oczami. W ogóle słuchał, co ona mówiła?

-Ojciec dziewczynki jest inwalidą po wypadku w pracy. Był szklarzem. Pewnie wstawiał okno gdzieś wysoko.

- Powiedziałaś szklarzem? - Bo otworzył oczy.

Skinęła. Powtórzyła.

- Dziwne - powiedział cicho, przyciskając usta do jej ramienia. - To musi być ten sam. Ilu szklarzy na wózkach inwalidzkich może żyć w objęciach Arhus? Mówiłaś, że gdzie mieszka?

Wzruszyła ramionami.

-W True. Leży przy Tilst. Mała miejscina. Znasz ich?

Położył się na plecach. Wpatrywał się w sufit i drapał po piersi.

- Wygrał w lotka. Przed trzema tygodniami robiłem zdjęcie jemu i jego żonie. Artykuł jeszcze nie został opublikowany. Ich sąsiad zadzwonił z tą historią do „Familie Bladet”.

Uśmiechnęła się.

- No i widzisz. Całkiem normalna rodzina. A poza tym, to chyba jednak jakiś obcokrajowiec - dodała.

Spojrzał na nią pytającym wzrokiem, więc opowiedziała mu o telefonie. Zagwizdał cicho.

-Ta historia robi się coraz bardziej zagmatwana. Dobrze, że jestem tylko fotografem.

Nigdy wcześniej nie był u adwokata. Nawet zawodowo. Szybko zorientował się jednak, że przede wszystkim trzeba było uzbroić się w cierpliwość i czekać. Usiadł więc tak, żeby mieć widok na dziewczyny w recepcji Dcii które przez cały czas rozmawiały przez telefon i bardzo głośno wyjaśniały, że taki a taki adwokat jest na spotkaniu, albo że taki a taki adwokat jest właśnie w sądzie. Inni mieli najwidoczniej równie wielkie trudności w dostaniu się do biura na Vestergade jak on.

Bo wiercił się na krześle. Czuł się tak, jakby spędził 25 rund na ringu z mistrzem świata w boksie. Bolało go całe ciało i cały czas dzwoniło mu w jednym uchu, przez co wszystko wydawało się nierzeczywiste. Tak widocznie jest, kiedy się odchodzi - pomyślał - kiedy się wie, że życie zatoczyło koło i jest się w punkcie wyjścia, kiedy złamało się wszystkie obietnice złożone samemu sobie i zawiodło tych, których kochało się najbardziej. On już nie mógł, ani chwili dłużej. Wiedział, że to nie było w porządku. Nie w porządku wobec dzieci. Miał nadzieję, że jakoś to się ułoży. Znajdzie jakieś rozwiązanie. Będzie walczył o to, co trzeba.

Nie chciał myśleć o kłótni z Evą ale to w nim tkwiło. Jej wyrzuty, blady gniew, wściekłość i głos, który rozdarł powietrze, kiedy w końcu powiedział jej, że chce się rozwieść i nie ma już od tego odwrotu. Dzieci, które szukały schronienia w swoich pokojach. I później, kiedy próbował im to wyjaśnić, ale słowa nie brzmiały dobrze. Utknęły w gardle i jedyne, co mógł powiedzieć to to, że tak bardzo je kocha. Ale one nie mogły zrozumieć, dlaczego w takim razie nie może zostać i było tak trudno, tak piekielnie trudno wytłumaczyć im, że nie może dłużej żyć z mamą która przecież też je kocha. Wciąż słyszał cichutki głos Ninki: „Dlaczego nie

możemy po prostu wszyscy mieszkać tutaj?"

W końcu oboje zasnęli. Razem, w łóżku Tobiasa. Wyczerpani wszystkim, czego nie rozumieli i informacją że ich tata nie będzie dłużej z nimi mieszkał. Ze zmartwionymi buźkami i niepokojem pod powiekami.

W ciągu ostatnich dni, i nawet teraz, kiedy czekał na adwokata, zadał sobie milion razy to pytanie: Czy zrobiłby ten krok, gdyby nie spotkał Dicte? Wydawało mu się, że nie. Pewnie ciągnąłby to dalej. Może byłoby to lepsze dla dzieci, a może nie. Prawda była jednak taka, że, oprócz dzieci, ona była jedyną osobą w jego życiu, która dawała mu poczucie sensu. Mimo jej przeszłości, dużo bardziej skomplikowanej niż u większości ludzi. Mimo tego, co przytrafiło jej się przed laty. Ale i tak nie mógł tak po prostu wepchnąć się do jej życia. To nie był dobry pomysł. Zakochał się, owszem, ale próbował już tego wcześniej i nie doprowadziło to do niczego dobrego. Musiał pomyśleć. Uporządkować chaos i znaleźć równowagę w kontaktach z dziećmi. Na nowo ułożyć swoje życie, zanim zacznie budować coś nowego.

- Niestety nie. Jest na spotkaniu - telefonistka powiedziała to dwudziesty siódmy raz. - Czy mam przekazać mu wiadomość?

Najpierw musiał dowiedzieć się, na czym stoi. Gdy tylko adwokat będzie znowu wolny i uda mu się przez chwilę z nim porozmawiać. Bezwiednie sięgnął po gazetę. Był to dziennik „Arhus Stiftstidende”. Zaczął przerzucać kartki. Miał taki zwyczaj, że zawsze przeglądał różne gazety i magazyny, żeby sprawdzić, czy między kolumnami nie pojawiło się któreś z jego zdjęć. Tu było to prawdopodobne, przeczytał kilka nagłówków. Wiele gazet połączonych było umową o syndykacji treści, więc często pojawiały się w nich odgrzane historie, o których istnieniu

całkowicie już zapomniał.

W tej niczego nie było, więc odłożył ją na bok. Podniósł „Midtjyllands Avis”. Tu też możliwe było bingo. Doszedł do siódmej strony, kiedy jego wzrok padł na artykuł ze zdjęciami z fabryki zlewozmywaków. Uśmiechał się do niego wstęp Davidsena. A więc pozytywna historia o imigrantach dostała się do szerszej publiczności - pomyślał z zadowoleniem. Nie czytał jej, gdy pojawiła się w ich gazecie. Teraz też mu się właściwie nie chciało, ale nie miał nic innego do roboty.

Ta myśl dotarła do niego, dopiero gdy skończył rozmowę z adwokatem i uzyskał jako taką prognozę przebiegu rozwodu. Właściwie to doszedł już do redakcji, złapał kartkę ze zleceniem i był w drodze do muzeum na Moesgaard na otwarcie nowej wystawy, kiedy to do niego dotarło. Esther Sorensen. Nauczycielka duńskiego w fabryce zlewozmywaków, którą Davidsen opisał w artykule. Jeśli się nie mylił, była to przecież żona szklarza. W każdym razie warto się temu przyjrzeć bliżej.

Mrugnął światłami w środku jesiennego lasu i zatrzymał się na parkingu przy czerwonym płocie otaczającym rezerwat. Wyciągnął komórkę i wybrał redakcyjny numer Dicte.

Czy to możliwe? Czy to jest łącznik pomiędzy teorią o imigrantach a odciskami palców? Może to trochę grubymi nićmi szyte, przyznała przed samą sobą, gdy odłożyła słuchawkę po rozmowie z Bo. Zbyt grubymi? Siedziała przez chwilę i patrzyła w przestrzeń, pozwalając myślom krążyć. Od czasu do czasu jakiś pojedynczy promień słońca dosięgał Davidsena, który siedział z nosem w notatniku spacyfikowany resztką grypy. Ce-cilie musiała skończyć artykuł przed jakimś ważnym meczem piłki ręcznej, a praktykantka z „Gospodarki” jak zwykle robiła notatki z telegramów.

Innymi słowy: w redakcji panował jako taki spokój i nie było żadnego zagrożenia. Dicte aż trzeszczało w głowie, gdy próbowała zrozumieć nową informację. Esther Sorensen. Ile kobiet o tym nazwisku mogło pracować jako nauczycielki w rejonie Arhus?

Duński Związek Nauczycieli musiał mieć jakąś ogólnodostępną listę. Zamiast wykorzystywać Internet, zadzwoniła. To było mimo wszystko szybsze. Uzyskała odpowiedź prędzej, niż gdyby musiała wyszukać listę w sieci. Poinformowano ją że była tylko jedna Esther Serensen pisana przez „h” i jedna bez „h”. Esther Sorensen z „h” miała kod pocztowy 8381 Tilst. Ester Sorensen bez „h” miała kod 8000 Arhus C.

Pytanie teraz, jak to wszystko ze sobą połączyć. Czy telefon mężczyzny z obcym akcentem może mieć jakiś związek z faktem, że odciski palców ze strony Koranu i łóżeczka Martina w pewien sposób pasują do odcisków byłego złodzieja samochodów?

Zacząła się pocić. Można zwariować od tego myślenia. Pojawiło się też pytanie, czy coś z tych wiadomości nadawało się do artykułu na następny dzień, czy powinna raczej poczekać. Poczekać i zobaczyć, czy to

wszystko, wszystkie urywki informacji, można było w jakiś sposób połączyć, żeby miały sens. W tym momencie zadzwonił telefon.

- Svendsen! - głos Kaisera brzmiał niepokojąco wesoło. Bez ogródek przeszedł do sedna sprawy. - Co masz na jutro?

Była tylko jedna rzecz gorsza od sfrustrowanego naczelnego gazety ze spadającym nakładem: rozpieszczony naczelny, który sunął na fali rosnącego nakładu i śmiertelnie bał się spadku. Złapała za notes i zaczęła malować kółka.

-Jeszcze nic - powiedziała zgodnie z prawdą a twarz Kaisera na rysunku zaczęła nabierać kształtu. - W każdym razie nic, co mogłoby cię porwać.

- Co nowego w sprawie Martina? Co mówi policja? Gdy powiedziała mu - co było prawie zgodne z prawdą - że jeszcze nie mają przełomu, o którym warto by napisać, Kaiser trochę złagodniał. Łaskawie domalowała mu minimalny uśmiech pod wąsami i lekkiego zęza.

- Mam tu jedną sprawę, którą możesz wypełnić sobie czas - powiedział, jakby bał się, żeby nie umarła z nudów. - Zapchajdziura na ostatnią stronę. Na pewno dostaliście komunikat prasowy.

Na pewno, ale najprawdopodobniej zginął razem ze starymi gazetami w trakcie cotygodniowego sprzątnia. Nie pierwszy raz.

- Dobrze. Prześlą ci go faksem z sekretariatu. Otwarcie nowej kawiarni przy rzece. W sam raz dla ciebie - powiedział i dodał: - Uważaj tylko, żebyś znowu nie wpadła do wody.

Może sprzątaczką wzięła zaproszenie i poszła do kawiarni? Dicte dorysowała Kaiserowi noworoczną czapeczkę, serpentyny dookoła szyi i kieliszek w dłoni.

- Na zdrowie - wymamrotała.

- Co, przepraszam?

- Zajrzę tam.

Przed wyjazdem zadzwoniła do Wagnera i podrzuciła mu wiadomość o Esther Sorensen. Niech on się z tym wszystkim męczy. Ona już nie chce. Nie chce za dużo spekulować. Może kiedy napięcie już opadnie, zostanie redaktorką rubryki towarzyskiej. Skoncentruje swoje życie wokół przyjęć, premier, nowych restauracji i kawiarni. Ta myśl ją pociągała.

Bezproblemowy obszar, kto by nie chciał?

Zadzwoniła do drugiego fotografa, który z nimi współpracował, ponieważ Bo miał jechać na mecz z Cecilie. Opuszczając redakcję, rzuciła po raz ostatni spojrzenie na dziennikarkę sportową, która stuknęła w klawiaturę. Zazdrosna? Kto? Ja? Nigdy! Takie rzeczy są mi obce! - Dicte powiedziała sobie w myślach.

Poza tym Cecilie była tylko gruchoczącym szkieletem, płaskim jak deska. Triumfując w duchu, Dicte przewiesiła torebkę przez ramię i wyszła na ulicę, gdzie słońce sprawiło, że w ludzi w końcu wstąpiło życie, a sklepy wystawiły szyldy z promocjami, próbki kolekcji, stojaki z butami i białe metalowe kosze z prążkowanymi ciuchami od Matasa.

Nowa kawiarnia nie oszczędzała. Było jedzenie, napoje, orkiestra dęta i tłum, który cisnął się w zadymionym lokalu. Porozmawiała z właścicielem i kilkoma sławami, a fotograf robił zdjęcia. Ogólnie rzecz biorąc, uwinęła się bardzo szybko. Wypiła kieliszek białego wina w nadziei, że w odgrywanej roli towarzyskiej dziennikarki wypadnie bardziej przekonująco.

Myśli nie opuszczały jej jednak ani na moment, więc w końcu poddała

się i wyszła na ulicę. Dała się pociągnąć nad brzeg, gdzie rzeka przepływała spokojnym nurtem. Jak zwykle czuła się, jakby woda niczym magnes przyciągała ją do siebie. To wszystko uderzyło w nią jak fala. Wciąż jeszcze czuła ramię Bo, kiedy stali przed lustrem. Właśnie to teraz miała przed oczami. Nie czas spędzony w łóżku. Nie jego pocałunki i zagłębianie się na jej terytorium. Tylko jego upór, kiedy przeglądali się wtedy w lustrze. Jego niezłomną wiarę w to, że warto ją kochać.

Woda była ciemna. Prawie całkiem czarna. Dicte miała wrażenie, że słońce przemyka po niej jak po wypolerowanym bazalcie. Znowu cofnęła się o wiele lat. Było wczesne lato. Stała na pomoście i patrzyła na wodę jeziora. Czuła dziecko, które poruszało się u niej w brzuchu. Chciała wrócić do domu, ale tam jej nie chcieli, dopóki nie okaże skruchy, nie poprosi o przebaczenie. Miała żyć jak cień w swojej społeczności i myśleć jak ona. Chciała znowu odwiedzić Mortena, ale ten wystraszył się i zatrzasnął drzwi, kiedy wcześniej do niego poszła. „Mam przecież dziewczynę” - zdążył wyszeptać z paniką w spojrzeniu. Właśnie wprowadziła się do komuny. „Nic z tego nie będzie, Benedicte. Uciekaj lepiej do domu”.

W sumie nie powiedziała mu nawet o ciąży. Po prostu chciała, żeby ktoś ją przytulił. Przygarnął do siebie, zanim sama nie obmyśli, co ma robić. Była sama. Miała szesnaście lat i w każdej chwili mogła urodzić. Ciemna woda kusila swoim rozwiązaniem. Co miała do stracenia? Rozważała wszystkie za i przeciw. Całkowicie spokojnie. Co było najgorsze? I czy było to właściwie trudniejsze od samotności? Zamknęła oczy. Chciała skoczyć. Nie umiem pływać, więc pójdzie szybko - tak wówczas myślała.

Ale wtedy oczyma wyobraźni zobaczyła krwawą bitwę. Armagedon. Przypomniała sobie, że ten, kto sam skończy swoje życie, będzie przeklęty. Odsunęła się. Poczowała nadchodzący strach jak nadciągającą falę na tym do tej pory spokojnym jeziorze. Stwierdziła, że nawet jeśli będzie walczyć, nigdy nie uwolni się od tego, co ją ukształtowało. To tkwiło w niej. Było zamocowane na stałe. Może nigdy od tego nie ucieknie? Może będzie ją to prześladowało do końca życia, pojawiało się wtedy, kiedy najbardziej będzie chciała być wolna? To była jej ostatnia myśl. Potem poczuła ukłucie palącego bólu, który przeszył jej ciało. Upadła na kolana, na twarde deski.

Tak ją znaleźli. Opowieść właściwie na tym się kończy - wyznała Bo. Ojciec kolegi z jej klasy przechodził obok z wędką. Potem pamięta tylko, że obudziła się w szpitalu bez swojego dziecka. Zostało adoptowane. Powiedzieli, że sama podpisała dokumenty. Jej rodzice przyszli, ale ona odwróciła głowę. Nie chciała ich widzieć. Dopiero później przypomniała sobie, że w szpitalu mieli rację. Pozwoliła im. Trzymała swojego syna w ramionach i wiedziała, że nie da mu tego, co dla niego najlepsze. Zastrzegła tylko, żeby nie trafił do religijnej rodziny. Potem go oddała.

Później był ból. Tęsknota, która paliła jak nic innego. Tylko to. Przez całe życie.

Położyli ją na inny oddział. Naszprycowali lekami. Mówili do niej uspokajającym tonem i w końcu zrozumiała, że musi zachowywać się normalnie. W innym wypadku nie będzie mogła dalej żyć. Wytłumaczyła im, że chciałyby iść do liceum albo na kurs przysposabiający do studiów, że chce zdobyć wykształcenie. Daleko od domu. Zorganizowano to tak, że wyjechała do internatu w Arhus i poszła do liceum do klasy

przygotowującej na egzaminy na studia. Rozpoczęła się jej podróż ku normalności, ale w środku zastygła w jednym czasie. Każdego dnia wracała myśl o bitwie i widziała ich wszystkich przed sobą: wszystkich kolegów i nauczycieli, także Mortena. Na schodach przed szkołą.

Rzeka przepływająca obok niej wiała się jak wąż. Dicte słyszała za sobą głosy ludzi. Spotkanie prasowe się skończyło i fotograf opowiedział jej, jakie jeszcze zrobił zdjęcia. Stała tak przez moment. Próbowwała zapanować nad swoimi myślami.

Było się zdolnym do desperackich czynów, kiedy wewnętrzne uczucia i potrzeby zaprzeczały temu, co na zewnątrz. Kiedy otoczenie myślało, że jest się normalnym, podczas gdy w środku panował chaos. Pomyślała o Rikke z klasy Rose. Czy ta dziewczynka przeżywała coś podobnego? Ale przecież była w szkole, w ciągu tych dni, kiedy dziecko się urodziło. Więc kto? Ktoś z jej rodziny?

Nagle Dicte poczuła, jakby porwał ją prąd. Czarna woda pędziła obok niej i zabierała ze sobą jej myśli. Czy to było możliwe? Teoretycznie tak. Czy to mogło się tak potoczyć? Zobaczyła wydarzenia ułożone w logicznym ciągu, zmieniając zaledwie jedną rzecz w równaniu. Była ślepa. Krążyła w kółko po omacku. Najprawdopodobniej tak jak wszyscy. Uwierzyli w historię o nastolatce, która urodziła dziecko, być może nawet nie zdając sobie sprawy, że była w ciąży. Bo to typowe wytłumaczenie, jeśli coś tego rodzaju w ogóle można nazwać zwykłym. Zgadzało się ze stereotypami, z myślą o młodej muzułmance, która zrobiła coś takiego, bo była w ciężkiej sytuacji. Ale nie zgadzało się z rzeczywistością.

Ruszyła z miejsca, wracała do redakcji piechotą. Prawie biegnąc. Minęła kwaciarnię na rogu przy Ma-gasinie, spieszyła ulicą Frederiksgade

i o mały włos nie przewróciła wieszaka z ubraniami, kiedy skręcała w bramę i wbiegała po schodach do redakcji, gdzie Davidsen sarkastycznie uniósł brew i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie zdążył. Wskazała palcem na jego chudą, zakażoną grypą pierś, podczas gdy myśli wirowały jak szalone.

- Ani słowa - zakomenderowała.

Z kłapnięciem zamknął usta. Widocznie tak trzeba z nim postępować - pomyślała. Na pewno jego żona tak go traktuje. Złapała za telefon i wystukała bezpośredni numer. Słyszała jak krew pulsuje jej w głowie. Wydawało jej się, że telefon żyje.

- No dalej, do cholery! - Stukała długopisem o blat stołu. Davidsen schował się za monitorem. W końcu ktoś podniósł słuchawkę.

- Wagner.

- Ile lat ma Esther Sorensen?

-Kto?

- Matka Rikke Sorensen. Ile ma lat?

Krótką przerwą. Słyszała, jak przewracał coś na biurku. Zgadywała, że jakieś raporty.

- Nie wiem - powiedział w końcu. - Czy to ważne? Nabrała powietrza i zmusiła swój głos, żeby brzmiał normalnie, a nie jak maszyna do cięcia żelaza w trakcie przecinania sztangi.

- Bardzo - powiedziała. - To zapewne najważniejsze pytanie, jakie usłyszałeś w związku z tą sprawą. -Już miała odłożyć słuchawkę, kiedy w myślach znowu pojawiła się kwiaciarnia i skrzyżowanie przy Frederiks-gade. - I jeszcze jedno - powiedziała. Tak, to musiało być... Ależ była ślepa! - Może uda ci się dowiedzieć jeszcze innej rzeczy - rzekła, nie

zastanawiając się nad tym, że właśnie wydaje rozkazy policjantowi. - Złap Kima Sorensena i zapytaj, czy jego matka ma astmę.

48

Trzeba było umieć czytać w myślach. Kiedy już różne informacje leżały przed jego nosem, kiedy wszystkie fakty zostały sprawdzone i na stole znalazły się wszystkie części układanki, wtedy trzeba było użyć wyobraźni. Wyobraźni i prawa. Ale jedno i drugie miało swoje granice.

Wagner i Jan Hansen zatrzymali się w porcie przy kolejce, która właśnie przejechała obok po torach. Hansen opowiadał wesoło o sprawie, o pogodzie i o wszystkim możliwym, ale Wagner się wyłączył. Kiedy trzeba było, od czasu do czasu kiwał albo kręcił głową, ale w rzeczywistości był daleko od tamtego miejsca. Znajdował się w zupełnie innym porcie.

Abenra, późne lata pięćdziesiąte. Już dawno o tym nie myślał i nie miał pojęcia, dlaczego wróciło to do niego właśnie teraz. Przecież był wtedy jeszcze dzieckiem. Nie do końca rozumiał, co mówili jego koledzy, kiedy dokuczali mu, stojąc z wędkami na molo, że jego mama puściła się ze Szwabem, że po zakończeniu wojny szydzono z niej, ogolono na łyso i robiono jeszcze gorsze rzeczy, bo spała z wrogiem.

Pewnego dnia wrócił z płaczem do domu i opowiedział o tym. Zawsze wydawało mu się, że właśnie to oraz inne podobne wydarzenia skłoniły

jego rodziców do wyjazdu do Viborg. Do miejsca, w którym mogli zacząć wszystko od nowa. Zmienić nazwisko. Odrzucić przeszłość. Od tamtego dnia już nigdy nie płakał. Zamiast tego rosła w nim złość. Obiecał sobie, że będzie zwalczać niesprawiedliwość. To oczywiście naiwne, ponieważ później odkrył, że to, co w oczach jednej osoby było przestępstwem, inna mogła usprawiedliwić. Rzadko zdarzały się osoby z gruntu złe, częściej spotykał takie, które stawały się produktami swojego czasu i otoczenia oraz dominujących zachowań. Prawo nie gwarantowało sprawiedliwości, odkrył to już dość wcześnie. Czasami wydawało mu się, że wręcz przeciwnie, ale mimo to trzeba było próbować. Lepiej walczyć z wiatrakami niż nie walczyć wcale. Próbować rozróżniać i chronić tych, którzy potrzebowali ochrony. Do tego właśnie służyło prawo i intuicja, która potrafiła rozpoznać prawdę. Gdy przyszło co do czego, te dwie rzeczy były, nawet mimo nieuniknionych błędów, najlepszymi narzędziami, jakie miało się do dyspozycji.

Zbrodnia jego matki polegała na tym, że w czasie wojny zakochała się w niemieckim żołnierzu. Pięć lat po zakończeniu wojny, Karl Wagner wrócił z Monachium do Abenra i ożenił się z miłością swojego życia, Inge. Mimo że było to całkiem legalne, w oczach wielu ludzi ten związek był przestępstwem. Dopiero kiedy miał dwadzieścia trzy lata i ubiegał się o pracę w policji, postanowił wrócić do swojego starego nazwiska.

Kiedy jechali, Wagner pomyślał, że może ta sprawa dotyczyła ludzi z marginesu społeczeństwa, dokładnie takich jak oni, kiedy żyli w Abenra. Zranionych i odepchniętych, z blizną na życiu rodzinnym, wspominających wydarzenia odległe w czasie, sięgające wiele lat wstecz. Ludzi, których łatwo poddaje się ocenie, kiedy patrzy się na nich z

zewnątrz. Jeśli spojrzano się jednak z innej perspektywy, wszystko stawało się logiczne. Wagner westchnął, a Hansen zakręcił z Havnevejen w stronę sklepu rybnego. Z reguły wszystko takie właśnie było. Logiczne. Ale czasami, w niektórych przypadkach, nawet logika mogła być karalna i niebezpieczna.

Szyld przed sklepem reklamował farsz rybny domowej roboty i wędzonego śledzia. Hansen stał przez moment i z uwielbieniem patrzył na ofertę.

- Moja żona była zachwycona filedami - powiedział cicho. - Muszę spróbować czegoś nowego.

Zapytali o Kima Sorensena, ale akurat miał wolny dzień. Dostali adres. Mieszkanie na Bruunsgade.

- Nad piekarnią Schweizerbageren - wyjaśnił kolega Kima Sorensena. - Na rogu, naprzeciwko nowego sklepu Emmerys.

Jechali z powrotem wzdłuż portu i Wagner znowu zatopił się we własnych myślach. Hansen opowiadał o tym, w jaki sposób przygotowuje małże, które teraz leżały w torbie na tylnym siedzeniu.

- Duszone w odrobinie białego wina z pięcioma ząbkami czosnku - mówił rozmarzonym głosem, przejeżdżając przez skrzyżowanie Norreport i Kystvejen. - Do tego garść pietruszki - dodał i zwolnił za samochodem dostawczym z Aria Foods. Wagner skinął głową, choć nienawidził małży. - Może z odrobiną śmietany - kontynuował tęsknym głosem, przejeżdżając obok olejarni i jej smrodu.

Wagner znowu skinął głową. Pomyślał o Esther Sorensen, która, jak wynikało z raportu, urodziła się w 1952 roku. Miała więc czterdzieści dziewięć lat. Była o dwa lata młodsza od niego. Musiał przyznać, że jego

wyobraźnia nie sięgała aż tak daleko i oskarżył sam siebie o to, że miał w głowie tyle stereotypów. Próbował brać pod uwagę wszystkie możliwości, nawet wtedy, kiedy wszystkim na myśl przychodziła teoria o imi-grantce. A mimo to poległ na całej linii. Był przekonany, że jest to sprawa, która dotyczy jakiejś młodej i niedoświadczonej matki. Nastolatki. Dlaczego? Oczywiście nie miał wszystkich potrzebnych informacji, ale może przede wszystkim dlatego, że był mężczyzną.

-I do tego dobry chleb - dokończył Hansen i skręcił w wyłożoną brukiem dolną część Jaegergardsgade. Cała karoseria zaczęła się trząść.

- Wiadomo - powiedział pod nosem Wagner, który myślał o czymś innym.

Dicte Svendsen oczywiście rozgryzła tę zagadkę. Jego nieprawdopodobna partnerka pierwsza rozwikłała nieprawdopodobną historię. To tylko podkreślało jego brak szerszej perspektywy i koniec końców dowodziło, że w policji w Arhus bardzo brakuje kobiet. Oczywiście, nie niedoświadczonych lolitek ani nie jędz po sześćdziesiątce, jak Sigrid Jensen w Wydziale ds. Imigrantów, czy może Biurze dla Obcokrajowców, jak to się teraz poprawnie nazywa. Chodziło o zwyczajne, praktyczne, dobrze wykształcone kobiety w sile wieku i z dobrą intuicją.

- Może Chardonnay? Jeden chłodny kieliszek - dodał Hansen, patrząc z ukosa, jakby chciał zaznaczyć, że nie jest jakimś pijaczną.

- Kobiety... - półgłosem powiedział Wagner do siebie, a Hansen podniósł ze zdziwieniem brwi. Wagner obiecał sobie, że pogada o tym poważnie z szefem, kiedy już będą mieli tę sprawę za sobą.

- Jedna może to chyba zrobić - wymamrotał Hansen z bardzo głupią

miną.

Od czasu do czasu mieli trochę szczęścia. Kim Sorensen otworzył drzwi ubrany w dżinsy i luźny podkoszulek. Był na boso. Patrzył na nich zaskoczony, drapał się po głowie i wyglądał, jakby przed chwilą wstał.

- O co chodzi?

- Mamy jeszcze kilka pytań - powiedział bez namysłu Wagner. -

Chcieliśmy wyjaśnić parę zaległych kwestii.

- Zaległych kwestii?

Hansen wskazał głową w stronę mieszkania.

- Możemy wejść?

Kim Sorensen wyglądał, jakby się rozzłościł, ale mimo to odsunął się i wpuścił ich do środka. Mieszkanie było ciemne i przytłaczające, ze starodawnymi meblami, które pewnie po kimś odziedziczył, i zaciągniętymi zasłonami. Podeszedł do okna i odsłonił je. Światło wpadło do środka. Zobaczyli zakurzone stoły, półki i telewizor, w którym leciał właśnie mecz piłki nożnej.

- Pewnie jesteś trochę zajęty - zagadywał Wagner, przechadzając się po pomieszczeniu i oglądając kilka rodzinnych zdjęć stojących na półce. - Do tego pewnie jeszcze dziewczyna. Właściwie jak często widuje się pan ze swoją rodziną?

Kim Sorensen wyglądał, jakby niczego nie rozumiał. Wzruszył ramionami i ziewnął. Przez otwarte drzwi widzieli sypialnię i nieposłane łóżko.

- Muszę przyznać, że ostatnio niezbyt często. A dlaczego? O co chodzi?

Hansen podniósł z kanapy pilota i ściszył trochę telewizor. Wagner

wolałby, żeby w ogóle go wyłączył.

- Pana mama na pewno za panem tęskni - powiedział Hansen. - Tak jak wszystkie matki - dodał i zabrzmiało to, jakby wiedział o tym z własnego doświadczenia.

Kim Sorensen pokręcił z irytacją głową i rozsiadł się w fotelu z kwiecistą tapicerką i zniszczonymi oparciami.

- To prawda.

- Czyli nie był pan ostatnio w True?

Młody mężczyzna oparł się ze skrzyżowanymi za głową rękoma i z nogami w rozkroku.

- Niech pomyślę. - Zamknął oczy, koncentrując się. - Ponad czternaście dni. Ojciec Gitte, mojej dziewczyny, skończył pięćdziesiąt lat w zeszły weekend. - Opuścił dłonie i podrapał się po udzie. - Najwięcej czasu mam w weekendy - dodał. - Dni powszednie lecą jak szalone, a wolne... - Zawiesił resztę zdania w powietrzu i zrobił ruch ręką, który miał obrazować, że wolne dni mijały, zanim zdążył się obejrzeć.

Hansen skinął ze zrozumieniem głową. Wagner nie zareagował.

- A pana matka tęskni pewnie za pana śliczną buzią. Wszyscy to znamy, prawda? - zagadywał Hansen.

Kim Sorensen uśmiechnął się krzywo i podrapał po sterczących na wszystkie strony włosach.

- Z matkami tak to już jest - kontynuował Hansen, podczas gdy Wagner sprawiał wrażenie, jakby oglądał mecz. - Zawsze znajdą dla ciebie jakąś pracę, zwłaszcza gdy w grę wchodzi choroba. Moja mama ma na przykład problemy z kręgosłupem - wyznał przez nikogo niepytany. - Dlatego to ja zawsze muszę kosić trawę.

Wagner wstrzymał oddech. Kim Sorensen wpadł, niczego się nie domyślając, w pułapkę. Przytaknął.

- Ja też. Trawnik, to jest to. Mój ojciec jeździ na wózku, a mama ma astmę. Między innymi ma alergię na trawę. I wszystkie kwiatki, więc cały ogród również należy do mnie.

Hansen pokręcił głową ze zrozumieniem.

- Ale nie będziemy ich mieli wiecznie – powiedział z namaszczeniem.

Wagner musiał ukryć uśmiech.

- Nie - powiedział zdezorientowany Kim Serensen. - Ale po co właściwie przyszliście?

Wtedy Wagner wstał. Spojrzał na zegarek.

- O do licha, mamy spotkanie za pięć minut. Hansen również wstał.

- Czas szybko leci w dobrym towarzystwie - wymamrotał. - Wkrótce się z panem skontaktujemy.

Kim Sorensen wyglądał, jakby zupełnie nic z tego nie rozumiał, ale też wyraźnie mu ulżyło.

- Znamy drogę - powiedział Wagner i skierował się w stronę wyjścia.

-Kwiaty - powiedział Hansen przebiegle, kiedy wracali na komendę. - Na położniczym jest dużo kwiatów.

- Dobra robota - pochwalił go Wagner. - Nieźle go załatwiłeś.

Hansen zrobił się czerwony jak burak, a Wagner pomyślał o Idzie Marie. Było dla niego obojętne, w jaki sposób odnajdą Martina, byle go tylko odnaleźli. Komu przypadnie chwała i jaki wkład w rozwiązanie zagadki będzie miała przyjaciółka Idy Marie, która - jak się akurat złożyło - była też dziennikarką, w tym przypadku nie znaczyło dla niego zbyt wiele.

- Chwali się tego, kto na to zasługuje - powiedział, a Hansen zerknął na niego z zawstydzeniem.

- Aż takie trudne to nie było. Wystarczyło tylko trochę pociągnąć go za język i od razu wszystko wypaplał.

Wagner skinął głową nieobecny duchem i stęskniony. Do szpiku kości. Błękitne oczy bez dna, pofalowane włosy syreny i blada zatroskana twarz zlały się w jego wyobraźni w jedno i zmieniły w obraz miłości. Seling sind die, da Leid tragen, derm sie sollen getröstet werden.

Kiedy Hansen wyprzedzał cysternę, Wagner zamknął na chwilę oczy.

Po niebie pędziły chmury. Wiało z zachodu i zacienione niebo co chwilę rozjaśniały promienie słońca tak szybko, że oczy ledwo mogły się przyzwyczaić. Pola uprawne, przez moment wyglądające jak czarne dywany, po chwili przypominały już gęstą czekoladę, na której ogromny widelec zostawił wspaniałą, symetryczny wzór pełen bruzd.

Dicte otworzyła okno w czasie jazdy. Powietrze było ciężkie, pachniało ziemią i gnijącymi liśćmi. Chłód stał się odrobinę ostrzejszy.

Mogła się mylić. Może było to zupełnie bez sensu. Przeszłość mogła wpływać na nią tak bardzo, że w ogóle nie była w stanie wydawać sądów. Zwolniła na zakręcie. Było już jednak za późno na to, żeby zawrócić i za późno, żeby mieć wątpliwości. Czuła, że jakaś niewidzialna ręka popycha ją w tamtym kierunku, jakby dziennikarka od dawna była w drodze i w końcu zobaczyła cel. Nie mogła się teraz zatrzymać.

Wagner kazał jej zostać tam, gdzie była.

- Pozwól zrobić to nam. W końcu jesteśmy profesjonalistami - poprosił Dicte, kiedy zadzwonił do niej i opowiedział o spotkaniu z Kimem Sorensenem.

- Dajcie mi pół godziny - prosiła. - Małą przewagę.

- Nie lubiła niczego wymuszać, ale mimo to dodała:

- Jesteś mi to winien.

Na znak protestu wydał z siebie odgłos, przypominający kichnięcie.

- Ona może być niebezpieczna - powiedział w końcu. - Nie możemy zagwarantować ci bezpieczeństwa.

- W porządku. Dam sobie radę. - Przez chwilę sama zdziwiła się swoją pewnością. Czuła, że coś ją do tego popycha. Teraz nie mogła się już

wycofać.

Nagle go oświeciło.

- Robisz to dla artykułu. Dla swojej kioskowej sławy.

W jego głosie słychać było lekką pogardę. Przez moment sama poczuła zgorszenie. Nagle zwątpiła w swoje pobódki. Jeszcze raz o nich pomyślała.

- To czysto osobiste - powiedziała w końcu. - Nie ma nic wspólnego z gazetą.

Widocznie brzmiało to przekonująco, a może ją okłamał, ale powiedział:

- Pół godziny i ani minuty dłużej!

Pierwsze, co rozpoznała, to smród. Ostry, palący zapach świń, ściśniętych razem na tak małej powierzchni, jak to tylko możliwe. Wrzuciła mniejszy bieg i zwolniła. Gruz trzeszczał pod oponami i jakiś kamień wpadł pod błotnik z głośnym stukotem.

Pomyślała o Svendsenie. To był oczywiście przypadek, że tamtego dnia bażant przyleciał tak blisko tego gospodarstwa. Przypadkiem było też, że gnojówka leżała tak blisko miejsca, w którym bażantowi wreszcie udało się wzbić na swoich ciężkich skrzydłach w powietrze i zniknąć w lesie. Odjechała trochę na bok i zaparkowała samochód w pobliżu sąsiedniej posiadłości. Ciągle jeszcze widziała okna oparte o ścianę głównego budynku. Przypomniało jej się, jak Svendsen zdenerwował się, kiedy z nim wtedy wracała i jak musiała go ciągnąć. To też był przypadek? Nigdy się tego nie dowie.

Próbowała zastanowić się przez chwilę, ale stwierdziła, że ma w głowie pustkę. Żadnej taktyki. Żadnej strategii, która mogłaby wyciągnąć

z niej te słowa. Tylko ta ciągła presja jak ręka na jej plecach. Dicte wysiadła z samochodu i poszła w kierunku zabudowań. W całej posiadłości panowała dziwna cisza. Jakby przed chwilą było tam pełno ludzi, którzy pracowali i krzatali się wokół budynków, a później zostawili wszystko i zniknęli. Przerwa obiadowa - pomyślała. - A może czas się tu po prostu zatrzymał...

Kiedy przechodziła przez podwórze w stronę wybielonego wapnem domu z muru pruskiego, pod nogami chrzęścił jej żwir. Parę zwiędłych malw opierało się o ścianę i bujało lekko na wietrze. Przekwitły już i miały żółtawobrazowy kolor. Okna stały oparte o ścianę. Zauważyła szyld „Szklarz” wystający z jednego z budynków gospodarstwa. Pod nim siedział czarny kot i mył się. Długi podjazd dla wózka inwalidzkiego prowadził do głównych drzwi. Zadzwonila. Minęło trochę czasu, zanim usłyszała, jak jedzie po drewnianej podłodze. Potem drzwi się otworzyły.

- Słucham?

Mężczyzna na wózku wyglądał na biznesmena.

- Umówiłam się z Esther Sorensen.

Wskazał głową stajnię, w oknach której wisały jasne zasłony i która najwyraźniej została przerobiona na budynek mieszkalny. Może dla gości. Może dla dorosłych dzieci, które chciały mieć trochę wolności.

- Chyba jest tam. Pewnie sprząta.

- Zobaczę.

On o niczym nie wie - pomyślała. Tkwi pośrodku wszystkich wydarzeń i nie ma o tym bladego pojęcia. Zwróciła uwagę, że przed wejściem do drugiego budynku nie było podjazdu. Do drzwi z grubych desek, które rzeczywiście wyglądały jak stajenne, prowadziły schody.

Zapukała ostrożnie, ale nikt nie odpowiadał. Wyciągnęła więc rękę i pociągnęła za żelazne kółko zastępujące klamkę. Drzwi otworzyły się, skrzypiąc. W tej samej chwili usłyszała ten dźwięk. Ciche kwilenie. Dźwięk, jaki wydawały noworodki.

Przez moment stała bez ruchu, znowu coś pchało ją w tamtym kierunku. Zmusiło, żeby otworzyła drugie drzwi.

Kobieta siedziała i kołysała dziecko na swoim mocnym ramieniu. W prawej ręce trzymała wypełnioną do połowy butelkę. Dziecko ssało. Kobieta podniosła wzrok i spotkała spojrzenie Dicte. W tym momencie zrozumiała, że Esther Sorensen się jej spodziewała. Może niekoniecznie jej, ale na pewno na kogoś czekała. Kim Sorensen zadzwonił do domu.

- Wiedziałam, że to się w końcu wyda - powiedziała jego matka z westchnieniem. Martin znowu załkał. Podniosła go ostrożnie i trzymała na ramieniu. Miał na sobie jasnoniebieskie ubranko.

Dicte poczuła, że przenosi się w czasie. Widok kobiety z dzieckiem w dziwny sposób utorował drogę przez wszystkie lata, które minęły.

- Nie można się powstrzymać, prawda? Jeśli się urodziło i widziało swoje dziecko. Trzymało je na rękach. Jest bardzo trudno - powiedziała.

Esther Sorensen wstała. Zaczęła powoli chodzić po pomieszczeniu z Martinem na rękach. Dicte zauważyła, że były w mieszkaniu nastolatki. Na ścianach wisiały plakaty z gwiazdami pop i sportowcami. Podeszła kilka kroków. Na sekretarzyku stało zdjęcie oprawione w ramki.

Rozpoznała na nim klasę Rose.

- Co ty możesz o tym wiedzieć?

Słowa nadeszły szybko. Jasne i ostre jak szkło. A jednak coś wiedziała. Właściwie więcej niż można znieść.

Znowu cofnęła się o wiele lat. Była w nowym mieście, w nowym życiu. Czuła się tak, jakby to stare zostało przejechane przez ciężarówkę. Zmasakrowane nie do poznania. Teraz musiała sama o wszystko zadbać. Nauczyć się wszystkiego od początku. Zakupy. Gotowanie. Sprzątanie. Musiała robić to sama. Kupiła więc książkę kucharską i poszła do centrum na Stregt, zrobić zakupy w markecie Brugsen. Przez całą drogę myślała o tym, że za pieniądze z zasiłku socjalnego musi kupić sobie rower. Oczywiście używany.

Kobieta z wózkiem zatrzymała się. Zablokowała koła i zrobiła gest, jakby chciała podnieść dziecko. Słowa wyleciały same, zanim Dicte zdążyła je zatrzymać.

- Nie szkoda go budzić? Może go popilnuję? Nigdy nie zapomni wdzięczności w zmęczonych oczach. Zaufania.

- To bardzo miło z twojej strony. Na pewno ci się odwdziczę.

Dziecku na ramieniu Esther Sorensen głośno się odbiło.

- Dobry chłopczyk - chwaliła go cicho i lekko go kołysała. - Grzeczny.

- Zabrałam kiedyś dziecko z wózka - zaczęła Dicte.

Po omacku sięgnęła po krzesło i usiadła, przez cały czas obserwując kobietę i dziecko. Teraz Esther Sorensen odwróciła się do niej plecami i patrzyła przez okno, ale jej plecy nasłuchiwały. Dicte odniosła wrażenie, że kobieta słucha całym ciałem.

- Miałam szesnaście lat - kontynuowała. - Dopiero urodziłam małego chłopczyka. Namówili mnie, żebym oddała go do adopcji. - Coś zaciskało jej szyję.

- Miałam go przez dobę - powiedziała i przypomniała sobie. Podniosła dziecko z wózka i po prostu sobie poszła. Przez zatłoczone miasto. Do

internatu. Niczego nie planowała. Nad niczym się nie zastanawiała. Nie miała jedzenia, picia, butelek ani pieluch. Nie miała nikogo, kto mógłby jej pomóc. Zupełnie jak Esther Sorensen.

- W końcu przyszli po mnie.

Chciałaby zapomnieć twardą pryczę w celi i brak zrozumienia wśród policjantów. Ich okrutne komentarze i sposób, w jaki ją prowadzili. Jakby była niebezpiecznym przestępcą. Kara była łagodna. Została skazana na obowiązkowe rozmowy z psychiatrą w Szpitalu Psychiatrycznym w Risskov. Zaniechała analizy psychiatrycznej i próby zmierzenia się z przeszłością, ale i tak każdy dzień był odtąd karą.

Esther Sorensen stała przy oknie. Dicte słyszała jej oddech. Ciężki i zrezygnowany, ale mimo wszystko pełen wahania. Długo tak stała. Ze wzrokiem wbitym w malwy opierające się o ścianę domu. Jakby jej myśli były tam, za tą ścianą. Przy mężczyźnie, którego kiedyś kochała. Potem jej ciałem wstrząsnął dreszcz i ramiona się skuliły. Gdy w końcu się odezwała, jej głos był zachrypnięty.

- Mój mąż jeździ na wózku - zaczęła. - Przed wypadkiem nasze małżeństwo było bardzo dobre. Nigdy nie chciałam... - zamilkła. Nie odwróciła się.

Dicte wstała i zrobiła kilka kroków w jej stronę.

- Piętnaście lat to bardzo dużo - powiedziała cicho do odwróconej od niej kobiety. - Uczucie przychodzi nawet wtedy, kiedy się go nie chce. Każdy spotyka przecież innych ludzi. Mężczyzn.

Esther Sorensen odwróciła się. Dicte zobaczyła łzy, które płynęły po jej opuchniętej twarzy.

- Ja przecież też mam prawo, żeby żyć - wyszeptała i przycisnęła do

siebie dziecko. - Wszystko miało odbywać się w tajemnicy. Spotkałam go przez przypadek. W pracy.

- W szkole językowej? - spytała Dicte. Esther Sorensen zaszlochała.

- Uczę duńskiego w różnych przedsiębiorstwach. Mustafa był moim uczniem - mówiła i kołysała Martina. Wydawało się, że ten rytmiczny ruch trochę ją uspokaja.

- Myślałam, że nie mogę już zająć w ciążę - powiedziała z lekkim uśmiechem. - Mam czterdzieści dziewięć lat. Kiedy nie dostałam miesiączki, myślałam, że przekwitam.

- Pokręciła głową. - To było oczywiście głupie. Ale chyba nie miałam odwagi dopuścić do głowy innej myśli.

Spojrzała na Dicte. Potem odwróciła wzrok i pochyliła się nad chłopcem. Delikatnie gładziła go palcem po policzku.

- Gdzie pani urodziła?

Esther Sorensen nie odrywała wzroku od Martina.

- W hotelu, w mieście. Tanim. Przyszedł Mustafa. Tam się właśnie spotykaliśmy. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Był zły, zmęczony i jednocześnie chciał dla dziecka tego, co najlepsze.

Ich spojrzenia spotkały się. Dicte zobaczyła w jej oczach niepokój.

- Myśleliśmy, że tak będzie najlepiej - powiedziała błagalnym tonem. - Nie było najmniejszej możliwości, żebym zatrzymała to dziecko, a Mustafa jest żonaty. - Pokręciła głową. - To było straszne.

- Więc postanowiliście włożyć dziecko do balii i puścić na rzece - pomogła Dicte.

-Co mieliśmy zrobić? Wszystko by się wydało. Ale przecież nie chcieliśmy, żeby umarł. Kiedy o tym usłyszałam, wpadłam w rozpacz.

Miałam wrażenie, że moje życie się skończyło. Tak bardzo za nim tęskniłam.

Dicte wyciągnęła rękę. Ostrożnie pogłaskała rączkę Martina.

Pogładziła jego policzek.

- Mogę?

W oczach Esther Sorensen błysnęła panika. Zrobiła krok do tyłu. Dicte została w miejscu, w końcu kobieta podała jej dziecko. Ostrożnie wzięła je na rękę i poczuła ciężar małego zawiniątka.

- A co z ręcznikami i kartką Koranu? Esther Sorensen pokręciła głową.

- Ręczniki były moje. Wzięłam je z domu, bo te w hotelu zawsze były takie cienkie i tanie. Nie stać nas było na nic drogiego.

-A Koran?

Esther Sorensen westchnęła lekko, a na czole, gładkim od tuszy, podobnie jak policzki, pojawiła się zmarszczka. Dicte znowu usłyszała jej ciężki oddech.

- Nalegał. Skoro już musieliśmy to zrobić, to chciał zostawić znak. -
Machnęła dłonią zdenerwowana.

Dicte zauważyła, że Esther Sorensen jest pulchna.

-Mieliśmy oczywiście nadzieję, że ktoś znajdzie dziecko, że zostanie wychowane na muzułmanina. Próbowałam mu wytłumaczyć, że to na nic, że tylko nas zdradzi, ale nie dał się przekonać.

- Więc włożyłaś kartkę z Koranu do plastikowej torebki i przyszyłaś do ręcznika - dokończyła Dicte.

- To z uwagi na wodę - powiedziała Esther Sorensen - żeby strona się nie zamoczyła.

Usiadła ciężko na czymś, co przypominało kanapę do spania. W

zdenerwowaniu podnosiła na zmianę dłonie do szyi, a potem pocierała je o siebie. Dicte usłyszała silnik samochodu. Żwir pod oponami. Ich czas dobiegał końca.

- Co stało się później?

Esther Sorensen przymknęła oczy.

- Wstałam dziesięć godzin po porodzie. Powiedziałam mężowi, że wyjeżdżam do mojej siostry w Vejle. Był środek nocy. Pojechaliśmy do siedziby Głównej Biblioteki przy rzece. Znaleźliście tam mój szal...

- Oczywiście śledziła wszystko w gazetach. - Włożyliśmy chłopca do balii, którą znaleźliśmy w hotelowym schowku. Dobrze go otuliliśmy i każdy z nas odmówił swoją modlitwę, zanim odepchnęliśmy balię od brzegu.

- Jej głos był bezdźwięczny, bez wyrazu, a oczy błyszczące jak w gorączce.

- A potem i tak nie mogłaś wytrzymać bez dziecka. Dicte po raz ostatni poczuła ukłucie w sercu. Przypomniała sobie uczucie pustki. Braku sensu.

Oddech Esther Sorensen był coraz cięższy. Jakby całe jej ciało drżało.

- Nie zaplanowałam tego. Odwiedzałam moją siostrzenicę, która właśnie urodziła. W drodze na parking coś jakby popchnęło mnie na salę, gdzie stały dwa dziecięce łóżeczka. Oczywiście czytałam o tym kimś, kto popisał czoła dzieci, zrobiłam więc to samo. Dla zmyłki - mówiła teraz bardzo szybko. Aż traciła oddech. - Odjechałam łóżeczkiem z dzieckiem i zawiozłam je do domu. To było łatwe. Ale później... - Pokręciła głową.

- Nie przewidziałam konsekwencji.

Dicte powiedziała łagodnie:

- Wtajemniczyłaś w to swoją córkę. Namówiłaś ją do milczenia i

zmusiłaś do pomocy.

Esther Sorensen kiwnęła głową. Dicte zobaczyła przez okienne ramy dwa samochody na podwórzu. Wsiadło z nich czterech mężczyzn w cywilu i rozdzieliło się na dwie grupy. Widziała, jak mamrotali coś do radia. Jedna grupa poszła w stronę głównych drzwi, a druga do tylnego wyjścia. Jednym z nich był John Wagner.

- Wstydę się za to z Rikke - powiedziała Esther Sorensen i Dicte widziała, że się poddała. Że całe jej ciało zapadło się i skurczyło.

- Mustafa zadzwonił do mnie - powiedziała Dicte. - Powiedział, że Martin żyje.

Esther Sorensen mrugnęła zaskoczona. Potem chyba pogodziła się z tym. Jakby wszystko trafiło na swoje miejsce. Spojrzała na Dicte swoimi przejrzystymi, rozgorączkowanymi oczami.

- Czy po czymś takim można kiedyś znów być człowiekiem? - zapytała.

Mężczyźni podeszli do drzwi od stajni. Dicte słyszała, jak uprzejmie zapukali, otworzyli drzwi i weszli do środka. Słyszała ich głosy w sieni.

- Nie do końca - powiedziała - ale prawie.

Blade słońce świeciło nad rzeką, a w powietrzu pełno było małych, lekkich płatków śniegu, które wirowały, jakby goniły się w jakimś dziwnym tańcu. W kawiarni było ciepło. Ludzie jak zawsze wchodzili do środka w swoich mokrych płaszczach i kurtkach i rozwieszali je na wolnych krzesłach. Na butach wnosili szarą chlapę, przez co podłoga przy wejściu przypominała ślizgawkę. Była trzecia niedziela adwentu. Arhus przybrane było girlandami z choinek i czerwonymi sercami, a w kwiaciarni przy Magasinie można było kupić dekoracje świąteczne, hiacynty i jemiolę.

- Powinni tu położyć wycieraczkę - powiedziała Dicte i skinęła głową w stronę kałuży błota. - Wygląda jak mus bananowy.

- Racja - potwierdziła Ida Marie i zmarszczyła nos. Martin, który właśnie leżał przytulony do mamy i jadł swój obiad, mlasnął z zadowoleniem.

- Martin uważa, że brzmi smakowicie - zauważyła Dicte.

- A więc na zdrowie!

Powiedziała to Anne. Ta, która była w piekle, ale właśnie wróciła do domu z dobrym poziomem limfocytów, wobec czego uniknęła chemioterapii. Anne, która tego dnia, kończyła okrągłą czterdziestkę.

- Na zdrowie! - powiedziały uroczyście.

Dicte podniosła kieliszek z winem. Raczej tanim, ale co tam. Pozostałe piły grzańca.

- Dużo szczęścia - dodała Ida Marie. Anne z radością dała się przytulić, kiedy objęły ją długie, chude ramiona przyjaciółki. -I jeszcze raz przepraszam - powiedziała szeptem Ida Marie.

Anne przybrała ton nauczyciela, co było dla niej dość naturalne. Dicte pomyślała, że Anders po raz pierwszy przejął na pewien czas dowodzenie i wcale nie poszło mu tak źle. Chociaż, kiedy go ostatni raz widziała, przypominał ofiarę wypadku o dzikim spojrzeniu.

- Przestań w końcu z tymi przeprosinami - powiedziała Anne. - To już minimum dwudzieste siódme. Nigdy nie słyszałaś o inflacji?

- Przepraszanie jest teraz w modzie - broniła się Ida Marie. - Thorsen, Trads, Clinton, wszyscy przeprosili.

Dicte spostrzegła ze zdziwieniem, że Ida Marie pierwszy raz odrobiła lekcje. Jak to się można było zmienić, kiedy spotykało się z policjantem kryminalnym. Ida Marie w dalszym ciągu mieszkała na Samsogade. Theis przeniósł się do Niemiec.

- Nie wolno niewolniczo podążać za modą- powiedziała Anne praktycznie.

Dicte pozwoliła im się trochę pokłócić. Skupiła się na swojej prywatnej tęsknocie, chyba miała do tego prawo przed świętami. Rose miała spędzić Boże Narodzenie u swojego taty, a ona tęskniła za nią z wyprzedzeniem. Bo nie było już od sześciu tygodni. Ze wszystkich miejsc wybrał Pakistan. To było prawie nie do zniesienia, ale konieczne. Dla niego, z powodu rozstania z Evą. Dla niej, bo ciągle była świeżo po rozwodzie i czuła jeszcze rezerwę. I tyle rzeczy chciała uporządkować.

Nie zdobyła się jeszcze na to, żeby odwiedzić swoich rodziców, ale już podjęła decyzję. Może zamkną przed nią drzwi bojąc się, co powie Strażnica, a może mają już więcej wątpliwości, są coraz starsi i niepewni życia, wpuszczą ją więc do środka. Porozmawiają z nią. Spojrzą jej w oczy, czego, jak pamiętała, nigdy właściwie nie robili.

No i praca. Kaiser nie wybaczył jej jeszcze, że stonowała artykuły o porwaniu Martina. Chciał mieć relację świadka prosto z frontu. Chciał krwi, ale powiedziała stop. Dostał swój artykuł, który był lepszy niż w innych gazetach, ale napisany na jej warunkach. Zastrzegła sobie nawet zatwierdzenie tytułu, umieszczenie zdjęć Bo i łamanie. Nie będzie z tego nagrody Carlinga, ale nie szkodzi. I tak się cieszy.

- O Boże, zapomnimy o prezencie - powiedziała nagle Ida Marie i przerwała rozmyślania Dicte.

- Kategoria... rzecz, która wyśle cię do raju - powiedziała Ida Marie i wyciągnęła z głębi swojej torebki

podłużną paczkę, zawiniętą w czarną bibułę, owiniętą ciemnozieloną wstążką.

- Jak rakietka - dodała Dicte niewinnie.

Anne popatrzyła na nie. Wyraz głębokiego zdziwienia odmalował się na jej twarzy. Pokręciła głową.

- Nie mogliście tego zrobić - zaprotestowała. - To zemsta.

Ida Marie uśmiechnęła się przyjaźnie. -W każdym gospodarstwie domowym powinien znaleźć się taki jeden. Minimum - dodała.

- Będiesz później innym człowiekiem - obiecywała Dicte. - Ujrzysz świat z nowej perspektywy.

Anne podniosła paczkę i zdjęła wstążkę. Dicte wyraźnie widziała, jak przemykają jej przez głowę różne obrazy.

-Powinniście robić prezentację w Magasinie z tą swoją gadką.

Papier został ostrożnie ściągnięty, a pudełko otwarte. Anne zajrzała ze zdziwieniem do środka i zaczęła wyjmować zgniecione kawałki gazet.

- Co to, do licha, jest?

Na końcu została tylko koperta. Otworzyła ją ostrożnie. Jej twarz rozjaśnił uśmiech, a skośne oczy zrobiły się jeszcze bardziej skośne.

- Wycieczka - powiedziała ochryłym głosem. - Do Grecji.

- Dwie - poprawiła ją Ida Marie. - Dwie wycieczki do Grecji.

- Pomyślałyśmy, że ci się przyda - dodała Dicte. -No i możesz zabrać ze sobą Andersa albo twoją mamę, albo sąsiada, albo kogoś, kto na to zasłużył.

Anne wachlowała bezradnie prezentem. -Ale, to o wiele za...

- Mało - dokończyła Ida Marie. I przytuliła Martina, aż zakwilił. - O wiele, wiele za mało.

Anne odwróciła się nagle do Dicte.

- Jedź ze mną - powiedziała. - To może nie Pakistan, ale lepsze niż nic.

- Zawsze będziesz bliżej niego - zgodziła się Ida Marie.

Dochodziła czwarta, kiedy w końcu oderwała się od towarzystwa i pojechała do domu drogą Paludan Miil-lersvej. Tu, na granicy między miastem a wsią płatki śniegu stworzyły w ciemności zdradliwe kupki śniegu. Jechała ostrożnie. Opony samochodu słabo trzymały się nawierzchni, a śnieg padał, tańcząc na przedniej szybie.

Po radosnych urodzinach podstępnie ogarniało Dicte nowe uczucie. Godziny spędzone w kawiarni były jak światełko w ciemnościach zimy. W cieniu ukrywała się przyszłość i niepewność. Życie w pojedynkę, kiedy Rose wyfrunie kiedyś z gniazda. Życie z tym wszystkim, co się za nią ciągnęło. Zgromadzone wydarzenia, które nie leżały już w przytłaczającym chaosie, ale mimo to były obecne. Porządnie skatalogowane w wewnętrznej bibliotece. Ale mimo wszystko miała jeszcze dom. Pełen niespodzianek, które cały czas odkrywała. Chyba już

się do niego przyzwyczaiła. Stał się jej częścią, dokładnie tak jak przeszłość. Dom i Svendsen, który zaraz powita ją radośnie, merdając z zachwytu ogonem.

Myślała o tym, skręcając z RevelhoJvej w Topkaervej. Zauważyła zapalone przed garażem światło. Przeklęte koty. Znowu drażniły szczeniaka, paradując pod fotokomórką tak, żeby widziało je przez szklane drzwi. Ale potem wjechała na podwórze i zobaczyła, że światło paliło się też w przedpokoju, a Svendsen nie stał przy drzwiach i nie czekał na nią. Włamanie - pomyślała, ostrożnie otwierając drzwi. Zauważyła torbę podróżną która stała oparta o ścianę. I wiedziała, że zaraz zobaczy kolejne krótkie światełko. Ono też zniknie szybciej niż zdąży się obejrzeć. Tak właśnie minie całe moje życie, w mgnienia oka - zamyśliła się. Raz będzie pędzić bez wytchnienia, a raz odpoczywać. Nie miała pewności, czy to wytrzyma ani jak długo. Wiedziała jednak, że nie może powiedzieć nie.

Weszła do pokoju i znalazła go pod stołem, przy kaloryferze. Uderzał kluczem francuskim o metal.

- Nie będziemy przecież marznąć całą zimę - powiedział Bo.